Santa Montefiore
Włoskie zaręczyny

Z angielskiego przełożyła

Anna Dobrzańska-Gadowska

Louisowi Dundasowi

Miłość jest wieczna

1

ANGLIA

WIOSNA 2001

Luca stał przy oknie pustej biblioteki i patrzył na lśniące ogrody posiadłości Dinton Manor w Hampshire. Z wiszących nisko na niebie chmur sączyła się uporczywa mżawka. Dwa kosy skakały po trawie, szukając robaków. Po chwili ptaki poderwały się i przysiadły na gałęzi jednej z wysokich topoli, które właśnie zaczęły wypuszczać świeże listki. Spokojną ciszę co jakiś czas przerywały wybuchy śmiechu, dobiegające z salonu po drugiej stronie holu, gdzie reszta domowników i gości komentowała głośno wiadomości zawarte w weekendowych gazetach lub grała w scrabble. Ich radość życia mocno drażniła Lucę. Przyjechał tu wyłącznie ze względu na Freyę, z którą stracił kontakt wiele lat wcześniej. Teraz podziwiał jej dom, rodzinę i dość oczywiste zadowolenie z życia, i z każdą chwilą coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że zupełnie zboczył z kursu.

Dmuchnął dymem w szybę, zagubiony w melancholijnych myślach o swoim życiu. Miał czterdzieści jeden lat i znowu był wolny. Był też ojcem dwóch małych dziewczynek, które mocno ucierpiały w rezultacie gorzkiego rozwodu rodziców. I był bez pracy, ponieważ dopiero co zrezygnował ze stanowiska dyrektora do spraw zarządzania funduszami w banku w londyńskim City, na którym przez dwadzieścia lat zarabiał pieniądze z tak wielkim entuzjazmem i poświęceniem, że zarabianie pieniędzy stało się dla niego celem samym w sobie. Było to puste, przesycone chciwością życie, które nie dawało mu żadnej satysfakcji.

Opuścił City wśród szmeru plotek i domysłów. Telefony dzwoniły, gdy wiadomość mknęła z jednego kontynentu na drugi, pozostawiając świat bankowości w stanie absolutnego zdumienia. Luca Chancellor, zarządzający grubymi miliardami, sprzedał swoje udziały dwóm wspólnikom i po prostu odszedł. Nikt nie potrafił tego wyjaśnić ani pojąć, a Luca nie odpowiadał na żadne pytania. Wyłączył komórkę i uciekł na wieś. Wolność po systematycznie poukładanej egzystencji w świecie finansów budziła w nim pewien niepokój; nie miała żadnych granic.

Zanim zdążył głębiej zanurzyć się w rozmyślaniach nad nowym, dopiero rozpoczynającym się życiem, wyczuł, że nie jest już sam w bibliotece. Zapach lilii przypomniał mu dawno minione lato, kiedy on i Freya byli kochankami. Teraz Freya objęła go ramieniem w pasie i przytuliła się do jego pleców.

- Tu jesteś... Co robisz?

- Myślę.

- To niebezpieczne zajęcie! O czym myślisz?

Wyczuwalny w jej głosie uśmiech dodał mu odwagi.

- O tobie i o mnie. I o tamtym lecie w siedemdziesiątym dziewiątym...

- O tamtym lecie, kiedy zakochałam się w tobie tylko po to, żebyś rzucił mnie na samym początku jesieni? - Roześmiała się, teraz zdolna lekko potraktować sytuację, która wtedy głęboko ją zraniła. - Tak jak te wszystkie pozostałe kobiety, które wierzyły, że zdołają cię oswoić?

- Ty zawsze byłaś inna. To, że pozwoliłem ci odejść, było najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłem.

- Nie bądź dla siebie aż tak surowy! Po prostu nie byliśmy sobie przeznaczeni.

- Wiem, że z tobą byłoby mi naprawdę dobrze...

- Ale ja nie jestem przekonana, czy mnie byłoby dobrze z tobą! Byłeś zbyt przystojny i arogancki, żeby dochować wierności jednej kobiecie.

- Teraz jestem zupełnie inny.

- Trudno mi w to uwierzyć! Tacy faceci jak ty nigdy się nie zmieniają. Tak czy inaczej, jak długo wytrzymałeś z Claire? Dziesięć lat? To i tak o dziewięć dłużej, niż się spodziewałam.

- A ty? - popatrzył na nią błękitnymi, pełnymi żalu oczami. - Nadal jesteś szczęśliwą żoną Milesa. Masz duży, cudowny dom na wsi i czworo jasnowłosych, ślicznych dzieci. - Czułym spojrzeniem omiótł jej twarz. - I z każdym rokiem jesteś piękniejsza.

Zarumieniła się.

- Och, Luca, przestań! Zwykle najbardziej zależy ci na tym, czego nie możesz mieć!

- Jesteś szczęśliwa z Milesem?

- Bardzo. - Poprawiła opadający na policzek jasny lok.

- Wielka szkoda... Dużo dałbym za to, żeby znowu móc się z tobą kochać.

Cofnęła ramię.

- To, że jesteś półkrwi Włochem, nie upoważnia cię bynajmniej do wygłaszania tego rodzaju deklaracji pod adresem mężatki!

- Jesteś moją najdawniejszą przyjaciółką, więc nie ma rzeczy, której nie mógłbym ci powiedzieć. - Zaciągnął się papierosem, z którego został już tylko niedopałek.

Sięgnęła po stojącą na stoliku popielniczkę i podała mu.

- Okropny nałóg! - Wstrząsnęła się. - Powinieneś rzucić palenie!

- To nie jest dobry moment...

- A kiedy będzie odpowiedni?

- Teraz czuję się jak umierający człowiek, który widzi całe swoje życie przewijające się przed jego oczami niczym film. Wcześniej byłem do tego stop-

nia pochłonięty zarabianiem pieniędzy, że nigdy nie miałem czasu na naprawdę ważne sprawy.

Spieprzyłem swoje małżeństwo. Za nic nie chciałem być jednym z tych ojców, którzy niszczą życie dzieci, a popatrz tylko, co się stało. Mam więcej forsy, niż Claire zdołałaby wydać, i bardzo wątpię, czy moja była żona jeszcze w ogóle pamięta, kiedy podróżowała klasą ekonomiczną. Ta cholerna kobieta próbuje oskubać mnie ze wszystkiego, co mam, ale jeżeli nawet jest potworem, to tylko siebie mogę za to winić. Pieniądze nie zastąpią miłości. Mimo całego majątku jestem jak pusta skorupa... Freya pieszczotliwie dotknęła jego ramienia.

- Dziewczynki jakoś poradzą sobie z tą sytuacją - powiedziała. - Ja przeżyłam...

- Miałaś szczęście. Twoja matka bardzo szybko znowu wyszła za mąż i Fitz podniósł cię, zanim zdążyłaś się przewrócić. Poza tym twoja mama nie była mściwa. To rozsądna osoba, w przeciwieństwie do Claire, i nigdy nie nastawiała cię przeciwko ojcu.

- Dzieci są zwykle kompletnie oszołomione, kiedy dowiadują się, że ich rodzice już się nie kochają i chcą żyć z kimś innym. - Freya westchnęła. - Nawet jeżeli rozstanie przebiega w przyjaznej atmosferze, dziecko mimo wszystko ma poczucie winy i zadaje sobie pytanie, dlaczego rodzice nie kochają go na tyle, aby jednak zostać razem. Ale dzieci są bardzo żywotne i szybko przystosowują się do nowej sytuacji. Twoje też się przystosują, zobaczysz.

- John Tresco to nie Fitzroy Davenport, moja droga! Zimno mi się robi na samą myśl, że ma odgrywać rolę ojca moich dziewczynek. - Luca pobladł i znowu chciwie zaciągnął się dymem.

- Może spróbuj wyjechać gdzieś na lato. Opowiadałeś mi o tym przepięknym *palazzo,* który kupili twoi rodzice. Wybrzeże Amalfi to chyba idealna kryjówka, no, oczywiście, tylko na parę miesięcy... Mógłbyś się tam zaszyć i spokojnie zastanowić, co chcesz dalej robić, bo tutaj będziesz się tylko zadręczał. Kto wie, może dziewczynki spędziłyby z tobą trochę czasu? Dzieci uwielbiają pałace!

- Moja matka nie należy do osób spokojnych, w żadnym razie! Przez większą część dorosłego życia staram się ograniczać nasze kontakty.

- Kosztem ojca...

- Mama jest zabójczo towarzyska, naprawdę nie wiem, jak on znosi obecność tych wszystkich ludzi. Tak czy inaczej, jestem pewny, że teraz potrzeba mi zupełnie innej atmosfery.

- Zmiana miejsca dobrze by ci zrobiła! Słońce, morze, mnóstwo czasu na rozmyślania.

- Nad moimi błędami!

- Cóż, nie ma ludzi doskonałych...

- Dźwigam wielki ciężar, Freyo.

- Więc zrzuć go z siebie, przynajmniej na trochę! Jedź odwiedzić rodziców. Zdaję sobie sprawę, że Romina bywa trochę męcząca, ale ma złote serce. Rodzina jest najważniejsza, a poza tym na pewno oboje nie mogą się już doczekać, kiedy pokażą ci pałac.

Luca zerknął na nią i uśmiechnął się szeroko. Freya zamrugała, bo nagle w twarzy zgorzkniałego mężczyzny dostrzegła przystojnego młodego człowieka, którego kiedyś kochała.

- Widzisz, jak dobry masz na mnie wpływ - rzekł z błyskiem w oku. - Powinienem był ożenić się z tobą, gdy miałem szansę. Teraz, po tylu latach, odkryłem, że kobieta, którą zawsze kochałem, cały czas była tuż obok mnie. Miles to wielki szczęściarz!

- Kiedyś będziesz się śmiał na wspomnienie tej rozmowy. Tak naprawdę kochasz nie mnie, ale to, co sobą przedstawiam. Jestem jak bezpieczny port, wystarczy jednak, że odpoczniesz i naładujesz baterie, a odkryjesz, że wcale nie pragniesz zatrzymać się w nim na dłużej. Zawsze byłeś człowiekiem czynu i chyba bardziej odpowiada ci zmaganie się ze sztormem niż długi postój w porcie. Jestem zbyt spokojna, żebyś mógł znaleźć sens życia u mojego boku. Szybko znudziłbyś się mną, tak jak stało się to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym.

- Mylisz się, nigdy się tobą nie znudziłem! Po prostu wtedy nie byłem jeszcze gotowy na życiową stabilizację. Niewłaściwy moment, to wszystko!

- Chodź, wróćmy do salonu. Mama i Fitz przyjadą niedługo na lunch.

- Nie, lepiej chodźmy się przejść!

- W tej mżawce?

- Podobno jesteś dziewczyną ze wsi!

- To tylko pozory, o które muszę dbać ze względu na Milesa. Mój mąż nawet nie zbliża się do Londynu. Jesteś pewny, że nie chcesz dać szansy Annabel? Wydaje mi się, że wpadłeś jej w oko!

- Annabel ma w oku ten wygłodniały błysk, który sprawia, że robi mi się zimno z przerażenia - odparł, widząc z zadowoleniem, jak Freya z rozbawieniem marszczy nos. - Już od jakiegoś czasu widzę ten szczególny wyraz w oczach niezamężnych kobiet z czterdziestką na karku. Zawsze słyszę też głośne tykanie ich biologicznego zegara. Dzięki, że tak się o mnie troszczysz, ale jednak nie skorzystam z propozycji.

- Dobra gospodyni myśli o wszystkich potrzebach swoich gości!

- Ja potrzebuję tylko tego, czego i tak nie potrafisz mi dać...

- O tej potrzebie w ogóle nie powinieneś wspominać pod moim dachem.

- Nigdy nie byłaś aż tak poprawna.

- Jestem mężatką - powiedziała z naciskiem.

Luca westchnął.

- Nie taką chciałbym cię pamiętać.

- Nie mam ochoty słuchać, jaką chciałbyś mnie pamiętać! - Zarumieniła się gwałtownie.

- Opartą o maskę samochodu, w stodole twoich rodziców, o północy, w środku lata...

- Dosyć! Nie mam pojęcia, co masz na myśli! Lepiej chodźmy już na ten spacer. I zapytajmy innych, czy nie chcą przejść się przed obiadem!

Luca bardzo żałował, że Freya zaprosiła na przechadzkę wszystkich obecnych - dorosłych, dzieci oraz psy. Nie był w szczególnie towarzyskim nastroju, głównie dlatego, że nie miał ochoty rozmawiać z nikim poza Freyą. Miles, typowy właściciel ziemski, w kurtce firmy Barbour, w wysokich butach i tweedowej czapce, poprowadził ich ścieżką w stronę lasu. Jego żona potulnie szła kilka kroków za nim, razem ze swoim szwagrem i jego żoną. Lucę wzięły między siebie kobiety - An-nabel, z którą Freya chciała poznać go bliżej, była ładna, lecz sucha jak zbyt długo pieczony w piekarniku kurczak, natomiast Emily, której mąż został trochę z tyłu z dziećmi, była przesadnie rumiana i pulchna jak hodowana na święta gęś. Pośpiesznie ukrył grymas niechęci, przy czym dużą pomocą okazał się jego wzrost, i poszukał wzrokiem Frei, której jasne loki luźno opadały na plecy. Kroczyła przez długą trawę, starając się dotrzymać kroku mężowi. Luca nie miał pojęcia, co takiego Freya widziała w Milesie, skądinąd bardzo sympatycznym i pogodnym. Dwoje dzieci Frei i Milesa przebiegło obok Luki w pogoni za czarnym labradorem; miał teraz dodatkową okazję, żeby przyjrzeć się ich złocistym włosom i brzoskwiniowej skórze, odziedziczonym po matce. Miles miał bladą, usianą piegami cerę, typową dla potomków Celtów, jego przerzedzające się włosy były zdecydowanie rudawe. Luca z rozdrażnieniem myślał o Frei u boku takiego mężczyzny. Gdyby wyszła za kogoś podobnego do niego, z radością wzniósłby toast za szczęśliwą parę i wycofał się z gry, bez protestu przyjmując do wiadomości porażkę z rąk w niczym nieustępującego mu gracza, nie uważał jednak Milesa za równego sobie, wręcz przeciwnie, w rywalu dostrzegał wyłącznie gorsze cechy. Był głęboko przekonany, że Freya poszła na życiowy kompromis.

- Pośpieszcie się, ślimaki! - krzyknął Miles, przystając na moment u wejścia do lasu. - Nie rozbudzicie apetytu, jeśli nie zdobędziecie się na odrobinę wysiłku!

Czarny labrador posłusznie usadowił się u stóp pana, dysząc z podniecenia.

- Czuję się jak na obozie sportowym! - poskarżyła się Emily. - Miles zawsze musi być pierwszy i najlepszy, na stoku narciarskim, na korcie, po prostu wszędzie!

- A jest najlepszy? - zagadnął Luca, wsuwając dłonie do kieszeni płaszcza.

- Nie - odparła sucho Emily. - Na pewno nie na korcie, zwłaszcza kiedy gra z Hugonem. Mój mąż nie może pochwalić się wysokim wzrostem, ale jest bardzo szybki. - Lekko zniżyła głos. - Miles nie potrafi przegrywać...

- Od dawna ich znasz?

- Od dziesięciu lat, no, prawie od dziesięciu. Odkąd się tu przeprowadzili. Mieszkamy dwadzieścia minut stąd, tuż pod Alresford. Poznaliśmy się przez wspólnych przyjaciół. Freya jest cudowna, nigdy z nikim nie rywalizuje i nawet nie przychodzi jej to do głowy.

- Jakim cudem dogadują się jako para?

Okrągłą twarz Emily rozjaśnił uśmiech. Z wielką przyjemnością przystąpiła do wyjaśniania sytuacji przystojnemu rozmówcy.

- Można powiedzieć, że połączyła ich zasada przeciwieństw. Freya zawsze jest na luzie, a Miles musi rywalizować z innymi, inaczej nie byłby sobą. W trudnych chwilach Freya po prostu wznosi oczy do nieba i się uśmiecha... - Emily ostrożnie zerknęła na Annabel i jeszcze bardziej zniżyła głos. - Moim zdaniem, Miles jest okropnie pompatyczny, ale może Freya lubi takich mężczyzn. Może odpowiada jej mąż, który walczy o to, aby mieć wszystko pod kontrolą.

- Co o tym myślisz, Annabel? - Luca zwrócił się do swojej drugiej towarzyszki, zdecydowany wykorzystać spacer do maksimum.

Mżawka przeszła w dość gęsty deszcz i czuł, jak zimne krople spływają mu po plecach. Skulił ramiona, zastanawiając się, ile czasu zostało do lunchu.

- Miles jest bardzo dobrym kochankiem - oświadczyła autorytatywnym tonem Annabel.

Luca wstrząsnął się nerwowo. Obraz Frei kochającej się z Milesem wydał mu się równie mało przyjemny jak płynąca po kręgosłupie lodowata strużka.

- Tak ci powiedziała? - zapytał. Emily zaniosła się śmiechem.

- Naprawdę powiedziała, że Miles jest dobrym kochankiem? - powtórzyła, nagle widząc Milesa w zupełnie innym świetle. - Coś takiego!

Nie mogła się już doczekać, kiedy zrelacjonuje tę rozmowę swojemu mężowi.

- Tak, Miles ma ogromnego penisa - wyjaśniła Annabel takim tonem, jakby chodziło o wielkość samochodu. -1 uwielbia doprowadzać ją do orgazmu, a na dodatek potrafi pieprzyć się całymi godzinami!

Luca obrzucił Annabel pełnym uznania spojrzeniem. Lubił kobiety, które nie wstydziły się mówić o seksie. W 1979 roku to właśnie niewinność Frei przestraszyła go tak bardzo, że w końcu od niej odszedł.

- Wymieniacie się takimi sekretami? - Lekko uniósł brwi.

- Freya chyba by cię zamordowała, gdyby wiedziała, że nam to powtórzyłaś! - zawołała Emily, wyraźnie podekscytowana tematem.

- Ale przecież nigdy się tego nie dowie - odparła spokojnie Annabel. - O takich sprawach nie dyskutuje się przy stole, prawda?

- Więc w jakich okolicznościach powierzyła ci tak interesujące szczegóły życia intymnego? - zapytał Luca, patrząc na idącą przed nimi Freyę, kompletnie nieświadomą, że o niej rozmawiają.

- Pewnego dnia wieczorem sporo wypiłyśmy, było to niedługo po tym, jak Freya poznała Milesa. Miałam za sobą okropną noc, którą spędziłam z facetem o wyglądzie Sylvestra Stallone... Niestety, pozorny superman okazał się kompletnym zerem w łóżku i kiedy się poskarżyłam, Freya powiedziała, że atrybuty fizyczne jeszcze o niczym nie świadczą. Miles jest nie tylko bogaty, ale także świetnie sprawdza się jako kochanek. Czego więcej może pragnąć kobieta?

Kilkanaście kroków przed nimi Freya dogoniła męża, który na chwilę objął ją w talii i przytulił. Przelotnie oparła głowę na jego ramieniu, oboje roześmiali się z jakiegoś dowcipu. Luca poczuł, jak zazdrość wzbiera w nim gorzką falą. Miles nie był przystojny, ale był dobrym kochankiem... Luca mimo woli zaczął się zastanawiać, jak on sam wypada w porównaniu z mężem Frei. Byli kochankami tak

dawno, że pewnie już nie pamiętała, jak jej z nim było. Jednak Luca nie zapomniał. Tamte epizody utrwaliły się w jego pamięci jak zapis wideo. Mógł wyjąć film i odtworzyć go, kiedy tylko miał na to ochotę. Freya była wtedy naiwna i niewinna, słodka jak nektar i bardzo nieśmiała. Luca otworzył ją jak świeży pąk i pozbawił dziewictwa. Pocałunkami ukoił jej zawstydzenie i sprawił, że nauczyła się czerpać przyjemność z seksu, a później ją rzucił, wystraszony intensywnością jej pragnienia, aby wyjść za mąż i żyć długo i szczęśliwie. Dopiero wtedy trafiła na Milesa z jego wielkim domem, wielkim ego i wielkim penisem... Ciekawe, jak dalej potoczyłyby się ich losy, gdyby Luca był bardziej dojrzały.

Podczas gdy Emily szeptem przekazywała tajemnice Frei swojemu mężowi, Luca doszedł do wniosku, że on i Annabel rozumieją się niczym para złodziei. Bez pośpiechu szli dalej, gawędząc jak starzy znajomi, świadomi, że coś między nimi zaiskrzyło. Luca nie zauważył spojrzeń, które Freya rzucała w jego kierunku. Zaprosiła Annabel ze względu na niego, lecz teraz, widząc, że obydwoje przypadli sobie do gustu, wcale nie była zachwycona.

Całe towarzystwo wróciło do domu spocone i zarumienione, z mokrymi od deszczu włosami, ale w doskonałych nastrojach. Zapach pieczonej jagnięciny czuć było już w holu. Z wioski przyszła zająć się gotowaniem Heather Dervish, a sprzątaczka Peggy, zajmująca mały domek na końcu podjazdu, miała podawać do stołu. Peggy zrezygnowała na tę okoliczność ze zwykle dość poplamionego fartucha i przywdziała jaskrawoczerwoną sukienkę z portfelowym zapięciem oraz rajstopy w tym samym kolorze, natomiast szerokie stopy z najwyższym trudem wcisnęła w pantofle ze srebrzystymi klamerkami. Freya przyjrzała się jej uważnie, nie kryjąc wrażenia, jakie zrobiła na niej prezencją Peggy.

- Wyglądasz imponująco, ale nie trzeba było zadawać sobie tyle kłopotu - powiedziała.

Peggy wygładziła sukienkę dłońmi.

- Nie wkładałam jej od lat - odparła z dumą. - Sądzi pani, że nie umiem się przyzwoicie zaprezentować?

Freya jeszcze raz zmierzyła wzrokiem pękatą sylwetkę sześćdziesięcioośmioletniej wdowy i postanowiła nie wyjawiać prawdy. Ostatecznie Peggy wystroiła

się głównie dla jej ojczyma, którego niewątpliwie ten fakt ogromnie ubawi. Zawsze, gdy przyjeżdżał, dosłownie przechodziła samą siebie.

- Uważam, że w tej sukience jest ci prześlicznie - oświadczyła zdecydowanym tonem, wywołując blady rumieniec na pulchnych policzkach Peggy.

Gdy goście zebrali się w salonie, Miles otworzył butelkę szampana. W kominku wesoło trzaskał ogień, napełniając pokój cudownym aromatem dobrze wysuszonego drewna jabłoni. Na zewnątrz rozpadało się na całego i duże krople deszczu uderzały w szyby z siłą drobnych kamyków. Luca usadowił się na kanapie obok Annabel. Czuł przytłaczająco słodki zapach jej perfum. Przechyliła się w jego stronę tak, że dotykali się ramionami.

- Gdybyś stanął przed wyborem, że masz pieprzyć się z kimś obecnym w tym pokoju albo umrzeć, to kogo byś wybrał? - zapytała z anielsko niewinnym wyrazem twarzy. -Oczywiście mnie nie bierz pod uwagę! - zastrzegła się pośpiesznie. - Nie chcę zmuszać cię do fałszywej uprzejmości...

Luca popatrzył na nią sennymi oczami i chociaż bez wątpienia wybrałby Freyę, myśl o Annabel wydała mu się nagle całkiem kusząca.

- Muszę brać cię pod uwagę - rzekł z naciskiem. - Ponieważ zdecydowałbym się na ciebie.

W tym momencie w progu pojawił się Fitzroy Davenport, przystojny i wysoki.

- Zostało jeszcze coś dla nas? - spytał, wskazując ruchem głowy butelkę, którą Miles właśnie opróżnił.

- Fitz! - wykrzyknęła Freya, śpiesząc na powitanie ojczyma. - Gdzie mama?

- Tutaj, skarbie, niedaleko! - Matka Frei przecisnęła się obok męża.

Rosemary Davenport była smukła i pełna życia, miała jasne włosy do ramion i jasnoszare oczy, które odziedziczyła po niej córka. Była dumna z tego, że nie wygląda na swoje sześćdziesiąt sześć lat i trzy razy w tygodniu uczęszczała na ćwiczenia pilates z grupą LTJM, „Ludzie Tacy Jak My". Energiczna i towarzyska, nigdy nie ukrywała, że jest może trochę zbyt przebojowa.

- Ale gdybym nie była tak pewna siebie, nie skłoniłabym Fitza, żeby stanął ze mną przed ołtarzem - mawiała. - Mężczyzna taki jak on potrzebuje pewnej siebie kobiety, bo ona umie zadbać, by jego życie toczyło się gładko jak po maśle!

Zerknęła na męża. Fitz był typem wiecznego chłopca, włosy miał nadal jasnobrązowe, jedynie na skroniach naznaczone dyskretną siwizną, i wyglądał teraz jeszcze korzystniej, niż kiedy Rosemary go poznała. Jak na dwukrotnego rozwodnika, zadziwiająco łatwo pozwolił schwytać się kolejny raz w sidła małżeńskiej miłości. Cóż, Rosemary nie należała do kobiet, które pozwoliłyby wymknąć się tak pożądanej zdobyczy. Może i nie była pięknością, w przeciwieństwie do byłych żon i niektórych narzeczonych Fitza, ale chociaż wydała na świat Freyę oraz trójkę jej przyrodniego rodzeństwa, nadal świetnie się trzymała. Była w pełni świadoma, że gdyby się zaniedbała, bardzo szybko zaczęłaby wyglądać jak matka swojego męża.

- Dla ciebie, Fitz, otworzę następną butelkę! - oznajmił Miles, wypychając korek szampana kciukami.

- Zostawiłem w samochodzie Bendica i Diggera. - Fitz mówił o swoich dwóch złocistych labradorach. - Po południu chętnie zabrałbym je na dłuższy spacer. Może wtedy pokażesz mi ten parkan, który stawiasz...

- Dobry pomysł! Będę musiał spalić kalorie, którymi Heather napakowała lunch!

- Powinienem zajrzeć do kuchni i przywitać się - powiedział Fitz. - A jak tam nasza ekscentryczna Peggy Blight?

- Wygląda koszmarnie... Uważaj, żebyś na jej widok nie stracił ochoty na lunch!

Obaj mężczyźni roześmiali się cicho. Miles napełnił wysoki kieliszek musującym moet & chandon.

- A gdybym ja miała pieprzyć się z kimś, kto teraz jest w tym pokoju... - Annabel z zastanowieniem rozejrzała się dookoła - ...wykluczając ciebie, z pewnością zdecydowałabym się na ojczyma Frei, słodkiego jak cukiereczek. Lubię wy-

sokich, poza tym to świetny przykład faceta, który z wiekiem robi się coraz bardziej interesujący. Ma pod siedemdziesiątkę, ale wygląda znacznie, znacznie młodziej. Tak, sądzę, że staruszek ma w sobie jeszcze sporo ognia.

- A nie wykluczając nikogo?

- Och, sama nie wiem - rzuciła żartobliwie. - Jeśli chodzi o Milesa, to on przeszedł już konieczne testy, i to z bardzo pozytywnymi wynikami... Czy dziewczyna powinna lecieć na faceta, który jest absolutnym pewniakiem, czy też raczej na takiego, który wygląda niezwykle obiecująco, ale może ją fatalnie rozczarować?

- Daję ci słowo, że nie będziesz rozczarowana. - Uśmiechnął się zarozumiale.

- Przemyślę to sobie w czasie lunchu.

- Los mi sprzyja, rzecz jasna! Miles jest niedostępny!

- I trudno powiedzieć, że jest przystojny. Oczywiście to może być zaletą, ale także i wadą...

- Jak to?

- Przystojni faceci bardzo wysoko się cenią, bo zwykle dostają to, czego chcą, i dlatego źle traktują kobiety. Nie szanują dziewczyn, które nie stanowią dla nich żadnego wyzwania. -Annabel wstała, ponieważ w progu pojawiła się właśnie Peggy z wiadomością, że lunch już czeka.

Wszyscy utkwili zdumiony wzrok w czerwonym zjawisku, tylko Fitz z szerokim uśmiechem zbliżył się do swojej wielbicielki.

- Moja droga Peggy! - zawołał. - Jesteś po prostu zachwycająca w tym szkarłacie!

Policzki Peggy natychmiast przybrały kolor jej rajstop.

- Bardzo dziękuję, panie Davenport... Włożyłam pierwszą rzecz, jaka rano wpadła mi w ręce, ot, nic specjalnego.

Lunch podano w jadalni, przy dużym okrągłym stole z orzechowego drewna. Freya umieściła na środku elegancką kompozycję z kremowych lilii i wyjęła z

szafy srebrne sztućce oraz kryształowe kieliszki i szklanki, które dostała w prezencie ślubnym. Na dworze nadal padało i ciężkie, fioletowe chmury powoli sunęły po niebie. Freya zapaliła świece w lichtarzach, ponieważ zrobiło się ciemno i złocisty blask rozjaśnił mrok w pokoju równie pięknym i stylowym jak pani domu.

Luca siedział po lewej ręce Frei, z drugiej strony miał Emily. Po prawej stronie Frei usiadł Fitz. Kiedy na stole pojawiła się jagnięcina, Fitz wdał się w rozmowę z Lucą, którego nie widział od wielu lat.

- Freya wyszła za Milesa, ja ożeniłem się z Claire i zabrakło nam czasu na dalsze kontakty - wyjaśnił Luca. - Teraz, kiedy jestem po rozwodzie, wracam do dawnych przyjaciół. Freya przywitała mnie z radością i nie robiła mi żadnych wyrzutów.

- Przykro mi, że twoje małżeństwo tak się skończyło.

- Mnie także. - Luca wymownie wzruszył ramionami. -Ale takie jest życie.

- Przechodziłem przez to dwa razy, więc szczerze ci współczuję.

- Wszystko wskazuje na to, że trzeci raz miałeś szczęście. - Luca się uśmiechnął. - Ja nie zamierzam się śpieszyć z wstępowaniem w kolejny związek.

- Nie musisz się śpieszyć - wtrąciła Freya. - Masz dwie cudowne córeczki, którym powinieneś poświęcić cały swój czas!

- Dobrze się czuję w małżeństwie - powiedział Fitz. - Rosemary pomogła mi się podnieść, gdy miałem naprawdę marny okres, i zorganizowała moje życie. Nie wiem, co bym bez niej zrobił.

- Natomiast Claire tylko wydawała moje pieniądze i narzekała - zauważył kwaśno Luca.

- Wszystkie kobiety narzekają. - Fitz pokiwał głową. -Słyszałem, że zrezygnowałeś z pracy w City...

- Tak, odwaliłem już swój kawałek roboty.

- Pisali o tym na stronach finansowych wszystkich gazet.

- Nie czytuję gazet.

- Nikt nie może zrozumieć, skąd ta decyzja, niektórzy niemal wpadli w panikę. Wiesz może coś, o czym inni nie mają pojęcia?

Luca potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Nie. Któregoś dnia się obudziłem i uświadomiłem sobie, że pracuję jak automat zaprogramowany na zarabianie pieniędzy, naturalnie po to, aby bogaci stali się jeszcze bogatsi. To bezsensowne życie, wierz mi. Nic, tylko pieniądze, pieniądze i jeszcze więcej pieniędzy... Ile pieniędzy potrzebuję, żeby być szczęśliwym? Ile, żeby cieszyć się wolnością? Oczywiście zawsze więcej niż mam, nie wiadomo tylko, ile konkretnie...

- Co będziesz teraz robił? - spytał Fitz.

- Oto pytanie za milion dolarów!

- Mówiłam mu, żeby zafundował sobie długi urlop, najlepiej na całe lato - powiedziała Freya. - Mógłby pojechać do Włoch i zatrzymać się u swoich rodziców, w ich nowym *palazzo* na wybrzeżu Amalfi...

Oczy Fitza rozbłysły.

- Na wybrzeżu Amalfi? - powtórzył.

- W niewielkim rybackim miasteczku o nazwie Incantel-laria. Pewnie nigdy o nim nie słyszałeś...

- Incantellaria. - Fitz zbladł gwałtownie. - Bill i Romina kupili *palazzo* Montelimone?

- Znasz to miejsce? - zdziwił się Luca. Fitz nerwowo zerknął na żonę.

- Byłem tam kiedyś, dawno temu - odparł. - Pałac był wtedy w ruinie.

- Moi rodzice kupili go mniej więcej trzy lata temu i przez następne dwa cierpliwie remontowali.

- Tworzą doskonały zespół! - zawołała Freya. - Bill jest architektem, Romina dekoratorką wnętrz, trudno o lepszą kombinację! Założę się, że pałac wygląda teraz zachwycająco!

- Zależało im, żeby przywrócić budynkowi stan sprzed pożaru, który niemal doszczętnie zniszczył go w latach sześćdziesiątych. Nie byłem u nich jeszcze, oczywiście wszystko przez pracę. Nie widziałem rodziców od dawna, ale teraz jestem wolny i wreszcie mogę ich odwiedzić. - Luca z zaciekawieniem popatrzył na Fitza. - Co skłoniło cię do wyjazdu do tak mało znanej miejscowości jak Incantellaria?

Fitz utkwił wzrok w talerzu.

- Pewna wyjątkowa kobieta - powiedział powoli.

W jego głosie brzmiało tyle czułości, że Freya poczuła, jak włoski na jej ramionach podnoszą się niczym pod wpływem chłodu.

- Naturalnie, było to jeszcze, zanim poznałem twoją matkę, moja droga - dodał taktownie.

- Najwyraźniej to bardzo tajemnicze miejsce! - zaśmiał się Luca.

- Tajemnicze i pełne tajemnic. - Fitz skinął głową. - Nie sposób przewidzieć, co odkryjesz, kiedy zaczniesz grzebać w przeszłości Incantellarii...

2

Po lunchu Fitz sam poszedł z psami na spacer, ponieważ Miles okazał się niezbędny przy brydżowym stoliku. Fitz przyjął to z ulgą, chciał zostać sam ze swoimi wspomnieniami, tak wyraźnymi i żywymi, jakby przywoływał je co chwilę. Ruszył przed siebie ścieżką prowadzącą do lasu. Digger i Bendico zniknęły na polu, zajęte poszukiwaniem królików. Ciemne deszczowe chmury odpłynęły i teraz z dużych plam błękitu od czasu do czasu świeciło słońce, rozpalając błyski na mokrych liściach.

Incantellaria... Sama ta nazwa sprawiała, że serce boleśnie ściskało mu się z żalu i tęsknoty. Wracał myślami do przeszłości, chociaż w gruncie rzeczy wcale tego nie chciał. Teraz, już jako starszy człowiek, dziękował losowi za wielki cud miłości ale też nie wątpił, że ponieważ dobrowolnie z niej zrezygnował, nigdy więcej nie zazna tego uczucia.

Wspominał Albę taką, jaka była, kiedy zakochał się w niej prawie trzydzieści lat temu - ze zbuntowanym wyrazem twarzy, z przykuwającymi uwagę jasnymi oczami, dziwnie niepasującymi do śródziemnomorskiej, oliwkowej cery i ciemnych włosów, z beztroskim, obojętnym podejściem do innych, pełną zwycięskiego uroku. Przywołał też z pamięci jej wewnętrzną kruchość, potrzebę podziwu, wręcz uwielbienia, jej nieoczekiwaną miłość do małej Cosimy, siostrzenicy, którą napotkała u rodziny matki, gdy zjawiła się w Incantellarii. Pamiętał radość, z jaką przyjęła jego oświadczyny i wróciła z nim do Anglii. I pamiętał dzień, kiedy objęła go i powiedziała, że chce wracać do Włoch, ponieważ mimo wszystko nie potrafi żyć w Anglii. Powtarzała, że go kocha, ale to uczucie okazało się zbyt słabe. „Nie mów, że to koniec - szeptała. - Nie zniosłabym tego. Zobaczmy, co będzie dalej... Jeżeli zmienisz zdanie, będę na ciebie czekała. Z nadzieją, że przyjedziesz, gotowa przyjąć cię z otwartymi ramionami. Moja miłość na pewno nie ostygnie, nie we Włoszech...". Wypuścił ją z ramion i nie pojechał za nią, a jej miłość na pewno jednak ostygła. Alba potrzebowała miłości tak jak motyl potrzebuje słońca.

Fitz wszedł do lasu i ruszył przed siebie wydeptaną ścieżką. Wśród paproci pojawiły się już pierwsze niebieskie dzwonki o jasnozielonych pędach, wyraźnie odbijających od brunatnych zeszłorocznych liści i błota. Łagodne, wilgotne powietrze pachniało wiosną, ptaki świergotały z ożywieniem, pochłonięte budowaniem gniazd. Fitz uświadomił sobie, że nie wie nawet, gdzie teraz mieszka Alba. Może zapuściła korzenie w Incantellarii, a może znudziło ją senne miasteczko i przeniosła się do jakiegoś bardziej ekscytującego miejsca. Może wyszła za mąż i urodziła dzieci... Całkiem niewykluczone, że została już babcią, ostatecznie miała teraz pięćdziesiąt sześć lat. Czy myślała o nim równie często jak on o niej? Nie umiał przegnać żalu, który wciąż czaił się w jego sercu. Och, był szczęśliwy z Rosemary, oczywiście, ale po Albie nie potrafił zakochać się od nowa. Czasami się zastanawiał, jak wyglądałoby jego życie, gdyby wtedy pojechał za nią do Włoch. Obrazy, które podsuwała mu wyobraźnia, były różne, mroczne i jasne, nigdy jednak nie opuszczało go poczucie, że zmarnował cudowną szansę.

- Czy Fitz dobrze się czuje? - zapytała Freya matkę, kiedy usiadły na kanapie w salonie, popijając kawę ze ślicznych różowych filiżanek. - W czasie lunchu nagle zupełnie zamilkł.

- Ma trochę problemów w pracy. Jeden z jego ulubionych autorów przenosi się do wydawnictwa A.P. Watt.

- Biedny Fitz, powinien już przejść na emeryturę!

- Ciągle mu to powtarzam. Haruje jak niewolnik, ale uwielbia to, co robi, i pewnie będzie pracował do śmierci. Tak czy inaczej, strata Kena Durdena to dla niego prawdziwy cios.

- Żałuję, że nie poszłam z nim na spacer.

- Zupełnie niepotrzebnie, skarbie, Fitz kocha samotne spacery! - Rosemary poklepała Freyę po kolanie. - Zaprosiłaś na ten weekend wyjątkowo miłych gości, wiesz? Cieszę się, że odnalazłaś swojego starego przyjaciela Lucę. To dopiero przystojniak, co?

- Ma za sobą koszmarny rozwód.

- Ja też najbardziej lubię karmelowe ciasto. Chociaż w moim wieku muszę już trochę uważać...

Fitz zmierzył Peggy badawczym, choć niewątpliwie przyjaznym wzrokiem. Wciągnęła brzuch, ledwie mogąc oddychać.

- Masz dobrą figurę - ocenił. - Moim zdaniem kawałek karmelowego ciasta wyszedłby ci tylko na dobre.

Peggy zachichotała. , - Przyznam się panu, że rzadko sobie czegoś odmawiam.

- I bardzo dobrze! Życie jest stanowczo za krótkie, żeby się umartwiać! - Uśmiechnął się serdecznie. - Odpocznij, Peggy! Nikt nie zasługuje na chwilę oddechu bardziej niż ty!

Peggy zaczekała, aż wyszedł z kuchni, i z westchnieniem opadła na krzesło. Zrobiło jej się gorąco z podniecenia, chwyciła więc gazetę, żeby się powachlować. Doszła do wniosku, że filiżanka porządnie osłodzonej herbaty pomoże jej odzyskać równowagę. Pan Davenport zawsze budził w niej szczególne uczucia. Z radością upiekłaby karmelowe ciasto tylko dla niego.

Fitz i Rosemary wyjechali zaraz po podwieczorku. Freya i Miles wyszli przed dom, żeby się z nimi pożegnać. Ich czarny labrador usiłował wspiąć się do okienka bagażnika i zajrzeć do Diggera i Bendica, ale ostatecznie zadowolił się obsika-niem tylnej opony. Luca przeciął trawnik do gry w krykieta i wsunął głowę do środka auta od strony kierowcy.

- Dobrze, że cię jeszcze złapałem, Fitz! Powiedz mi, czego mam się spodziewać w Incantellarii...

- Magii, cudów i niespodzianek.

- Nie rozumiem...

- Figura Jezusa w małym kościółku San Pasquale płacze krwawymi łzami. Podobno przypływ w niewyjaśniony sposób nanosi na plażę czerwone goździki...

- Na Morzu Śródziemnym nie ma przypływu!

- No, właśnie... Fitz pokiwał głową. - Incantellaria rządzi się własnymi prawami.

- Południe Włoch to kraina wielu takich przesądów.

- Incantellaria to miejsce jedyne w swoim rodzaju, zobaczysz. A *w palazzo* Montelimone panuje jeszcze inny rodzaj magii.

- Nie wierzę w duchy, jeśli o to ci chodzi!

- Nie chodzi mi o duchy, ale o żywych ludzi. - Fitz spojrzał na Rosemary. - Gotowa do drogi, skarbie?

Luca z mieszanymi uczuciami patrzył za odjeżdżającym samochodem. Nie był do końca przekonany, czy Fitz rzeczywiście tylko żartował.

Wieczorem goście zeszli do salonu w oficjalnych strojach -mężczyźni w smokingach, kobiety w pięknych sukniach i dyskretnej biżuterii. Uroda Frei poraziła Lucę niespodziewanym smutkiem. Freya wysoko upięła włosy, odsłaniając długą szyję i rasową twarz. Cerę miała gładką i jasną, szare oczy wydawały się świetliste jak kryształ w zestawieniu z podkreślonymi ciemnym tuszem rzęsami, sylwetka zachwycała smukłością w kwiecistej portfelowej sukience. Pachniała irysami i zapach ten znowu przypomniał Luce lata cielęcej młodości.

- Nadal jesteś piękna - powiedział cicho, tak aby tylko ona usłyszała jego komplement.

- Dziękuję...

- Żadna kobieta w tym pokoju nie może się z tobą równać!

- A już myślałam, że w końcu dogadaliście się z Annabel!

- To seksowna dziewczyna - przyznał Luca. - Ale brak jej twojej urody i klasy.

- Jest dostępna i chętna, widzę to. - Uśmiechnął się kpiąco.

- Ja także.

- I co?

Popatrzył w jej srebrzyste oczy i nagle spoważniał.

- Mam już dość bezsensownych związków, z których wychodzę z uczuciem przytłaczającej pustki - powiedział.

- Może wpadnie ci w oko jakaś seksowna *signorina* w In-cantellarii. Twoja matka na pewno zaprosi do *palazzo* tłumy zmysłowych południowych piękności.

- Nie chcę żadnej południowej piękności!

- Zawsze chcesz tego, czego nie możesz mieć.

- Tak. - Luca wyjął paczkę papierosów z kieszeni na piersi i postukał nią o kant dłoni. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli zapalę?

- A nie zapalisz, jeśli powiem, że mam coś przeciwko temu?

- Owszem, ale próbuję być uprzejmy.

Wetknął papierosa między wargi i pstryknął zapalniczką. Uśmiechnął się do Frei intensywnie błękitnymi oczami. Drobne zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się i Freya poczuła znajome mrowienie w dole brzucha.

- Niezależnie od tego, co czujesz, jestem szczęśliwa, że znowu możemy być przyjaciółmi - odezwała się. - Żałuję, że na tak długo straciliśmy ze sobą kontakt. Powinnam była zdobyć się na jakiś wysiłek, ale nigdy nie lubiłam Claire i wiem, że ty nie przepadasz za Milesem...

- Miles to przyzwoity człowiek - przerwał jej. Sceptycznie uniosła brwi.

- No, dobrze, jestem o niego zazdrosny, lecz to nie jego wina - dodał. - A ty okazałaś się prawdziwą przyjaciółką, kiedy cię potrzebowałem.

- Ty też nie zawiedziesz mnie w potrzebie! - Uśmiechnęła się. - Ostatecznie właśnie po to są przyjaciele!

Przy kolacji Freya posadziła Annabel obok Luki, próbując zbliżyć ich do siebie. Z nieco złośliwym poczuciem satysfakcji myślała o dręczącym go żalu, o

tym, jak bardzo go kiedyś kochała i jak głęboko ją zawiódł. Teraz malująca się w jego oczach tęsknota wydawała się jej całkowicie wystarczającym zadośćuczynieniem.

Peggy przebrała się w prostą czarną sukienkę, na którą włożyła świeżo wyprasowany biały fartuszek. Freya szczerze jej współczuła. Teraz, gdy przy stolę zabrakło Fitza, który zawsze prawił jej komplementy, twarz starszej kobiety wyglądała mizernie i ponuro w migotliwym blasku świec.

Jedli suflet serowy, rybną zapiekankę i słynne ciasto karmelowe, specjalność Heather. Puste butelki po winie znikały ze stołu, a na ich miejsce pojawiały się nowe. Luca regularnie napełniał kieliszek Annabel. Rozmowa znowu toczyła się na temat seksu, oczywiście z inspiracji towarzyszki Luki.

- Kochanie, wiedziałeś, że Hugo ma zdolności parapsychiczne? - zwróciła się Freya do męża.

- Naprawdę, stary? - zdumiał się Miles.

- Można tak powiedzieć - przyznał skromnie Hugo.

- Jest zupełnie niesamowity - odezwała się Emily. - Stale widuje duchy i często przepowiada przyszłość. Któregoś dnia wyczuł, że nasz stary przyjaciel z Nowego Jorku zamierza nas odwiedzić. Powiedział mi o tym, a pięć minut później odebraliśmy telefon od Bobbyego, który zadzwonił z Manhattanu z pytaniem, czy może się u nas zatrzymać. Takie sytuacje zdarzają się niemal co parę dni.

- Wszyscy posiadamy tego rodzaju zdolności, naturalnie w różnym stopniu - wyjaśnił Hugo. - Większość ludzi lekceważy głos intuicji i twierdzi, że ich życiem rządzi przypadek, ale kiedy ktoś zacznie słuchać tego głosu, szybko odkryje, że świat widzialny to nie wszystko.

- Widujesz zmarłych? - zapytała Annabel, nie kryjąc podniecenia.

- Owszem.

- I zdarza ci się brać ich za osoby żyjące? - zaciekawiła się Sarah.

- Widuję ich tylko czasami - odparł Hugo. - Muszę nastroić się na odpowiednie fale. Nauczyłem się odcinać od kontaktu ze zmarłymi, bo często myliłem ich z żyjącymi.

- Więc nastrój się teraz, bardzo proszę! - zachęcił go Miles.

- Och, postaraj się, Hugo! - przyłączyła się Freya. - Mielibyśmy niezłą zabawę!

- Nie wolno robić tego dla żartu - odpowiedział poważnie Hugo. - To nie zabawa, mówimy o energii świata duchowego. Jeżeli chcesz kontaktować się ze zmarłymi dla rozrywki albo po to, aby zafundować sobie dreszczyk strachu, na pewno przyciągniesz taką samą energię. Nie chcę ściągać tu złośliwych duchów, które będą waliły w stół i zdmuchiwały świece, mogę jednak wziąć jakąś ozdobę od jednej z dziewcząt i powiedzieć wam o niej parę zaskakujących rzeczy.

- Świetnie! - ucieszyła się Freya. - Weź moją obrączkę! Zdjęła ją i podała mężowi Emily. Kiedy przelotnie zerknęła na Lucę, dostrzegła krople potu na jego czole.

Hugo wziął obrączkę i zamknął ją w dłoni.

- Zamknięta jest w niej twoja energia, moja droga -rzekł. - Spróbuję tylko wejść w jej prąd i opisać, co widzę i czuję.

Zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy siedzieli nieruchomo, co jakiś czas spoglądając na siebie w nerwowym wyczekiwaniu. Luca przygryzł policzek. Było mu duszno i czuł się bardzo nieswojo.

- Masz silną energię kobiecą, Freyo... Jesteś jak migdał w cukrze, słodka i śliczna z wierzchu, wewnątrz twarda... Ukrywasz obsesyjną dbałość o porządek i gdy nikt nie widzi, odkurzasz salon. Widzę, jak pośpiesznie chowasz odkurzacz, żeby nie zaskoczył cię wracający ze spaceru Miles...

Freya parsknęła śmiechem.

- Freya rzeczywiście ma lekkiego świra na tym punkcie, to nie tajemnica - przyznał Miles.

- Widzę cię, jak składasz ubrania dzieci i ustawiasz puszki w równych szeregach, z etykietami z przodu - ciągnął Hugo. - Poświęcasz na to dużo czasu... Widzę cię jako małą dziewczynkę w czerwonej sukience, która płacze, bo pantofelki nie pasują kolorem do stroju...

Młoda kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Skąd o tym wiesz?!

- Matka zawńązała czerwone wstążki na twoich czarnych bucikach i teraz uśmiechasz się radośnie i tańczysz po pokoju...

Emily wyprostowała się z dumą. Jej mąż stawał się bardzo atrakcyjny, gdy korzystał ze swego daru.

- Miałaś małego białego pieska imieniem Pongo... Widzę starszą panią w plisowanej tweedowej spódnicy, beżowym swetrze i zielonej kamizelce, takiej pikowanej, wiesz...

- Takie kamizelki nazywają się husky - podpowiedziała Emily. ;;.

- Właśnie! - przytaknął Hugo.

- To moja babcia - odezwała się cicho Freya.

- Przebywa w świecie duchów - ciągnął Hugo. - Jednak cały czas ci towarzyszy, czuwa nad tobą...

- Jak nazywała Freyę? - zapytał Miles z nadzieją, że uda mu się zbić przyjaciela z tropu.

- Dynieczka - odpowiedział Hugo.

- Nieprawda! - wykrzyknął Miles. - Zawsze nazywała ją Frisby!

Hugo zmarszczył brwi.

- Nie, kochanie, Hugo ma rację - powiedziała Freya. -Babcia naprawdę tak się do mnie zwracała...

Hugo skinął głową, nawet na moment nie otwierając oczu.

- Kiedy byłaś nastolatką, poprosiłaś ją, żeby przestała tak do ciebie mówić - dorzucił.

Miles zamilkł.

- Możesz nam powiedzieć, co ją czeka? - spytała Sarah.

- Pojedziesz do Włoch - rzekł Hugo.

- W odwiedziny do ciebie, Luca! - zawołała Freya.

- Mam nadzieję, że ja także zostanę zaproszony - wtrącił Miles.

Twarz Hugona zachmurzyła się na moment.

- Oczywiście - potwierdził.

Miles nadal się uśmiechał, lecz w jego oczach pojawił się wyraz niepewności. Nigdy nie lubił Luki, który jako mąż Claire nie był dla niego szczególnym zagrożeniem, ale teraz, po rozwodzie, znowu miał w oku ten drapieżny błysk. Milesowi nie brakowało poczucia własnej wartości, nie był jednak głupcem. Freya i Luca byli kiedyś parą i ich wzajemna fascynacja chyba nie do końca się wypaliła.

- Źle się czuję w tamtym miejscu. - Hugo otworzył oczy i zwrócił obrączkę Frei.

- Żartujesz sobie. - Freya spojrzała na niego z lekkim zaniepokojeniem.

- Oczywiście, że żartuje! - powiedziała szybko Emily, która z twarzy męża wyczytała wyraźnie, że dostrzegł coś zbyt strasznego, by podzielić się tym z obecnymi.

- Wszystko to kompletne bzdury! - Luca poluzował muszkę i rozpiął górny guzik koszuli.

- Ale skąd Hugo mógł wiedzieć te wszystkie rzeczy o Frei? - zagadnęła Annabel.

- Może słyszał, jak Rosemary opowiadała o jej dzieciństwie w czasie lunchu!

- Wobec tego daj mu jakiś swój drobiazg, Luca - zaproponowała Emily. - Na przykład zegarek! Zobaczymy, co Hugo powie o tobie.

- No właśnie, wielki finansisto z City! - zawołał Miles. -Dlaczego tak naprawdę zrezygnowałeś z pracy i co teraz zamierzasz robić?

- Nie! - szybko odparł Luca. - Mam już dosyć tej zabawy!

- Tak nie wolno! - Emily podniosła głos. - Nie możesz oskarżać mojego męża o kłamstwo, nie pozwalając mu się bronić!

- Nic nie szkodzi. - Hugo się uśmiechnął. - Nie zależy mi, żeby kogokolwiek przekonać, ciągle mam do czynienia z cynikami.

Luca wstał.

- Chodźmy do salonu! - rzucił.

- Dobry pomysł - powiedziała Freya, wychodząc za nim.

- Tak zachowuje się człowiek, który ma coś do ukrycia -rzekł Miles.

W holu Freya chwyciła Lucę za ramię. -!. - Co się dzieje? - spytała.

- Po prostu nie życzę sobie, żeby Hugo wymyślał jakieś głupstwa na mój temat!

- Niczego nie wymyślał! Mówił prawdę i nie mógł wiedzieć żadnej z tych rzeczy! Jak wytłumaczysz to, że podał pieszczotliwe przezwisko, którym zwracała się do mnie babcia, gdy byłam mała?

- Nie mam pojęcia!

- Rozumiem, dlaczego nie chcesz dać mu zegarka. To nie zabawa, nigdy nie wiadomo, co mógłby powiedzieć, ale niepotrzebnie oskarżyłeś go o kłamstwo.

- Ma żonę, która skwapliwie go broni!
Freya ściągnęła brwi.

- Dlaczego tak się denerwujesz, Luca? O co chodzi?

Chwilę patrzył jej prosto w oczy, zupełnie jakby zamierzał wyjawić straszną tajemnicę. Skrzywił się boleśnie, przez twarz przemknął mu wyraz lęku, ale w tej samej chwili z jadalni wyszli do holu Annabel i Miles, rozgadani i roześmiani.

Luca wszedł do łazienki i utkwił wzrok w swoim odbiciu. Spryskał twarz zimną wodą i przemył powieki, nadal jednak wyglądał okropnie. Ogarnęło go znajome uczucie - spadł w otchłań i nie miał się czego chwycić. Nie śmiał zamknąć oczu, ponieważ bał się, że głosy wrócą. Że cienie znowu pojawią się w pokoju. Że przywoła wszystkich tych, od których starał się odgrodzić. Słyszał głos matki, która mówiła mu, że musi wreszcie dorosnąć i przestać wymyślać sobie nieistniejących przyjaciół. Że jeśli rzeczywiście słyszy głosy, to są to duchy z piekła rodem, które próbują sprowadzić go na manowce. Pamiętał lekarza, który kazał mu wziąć się w garść i nie straszyć matki, pamiętał nauczycieli, którzy tłumaczyli jej, że syn zmyśla, aby zwrócić na siebie uwagę dorosłych. Minęło sporo czasu, zanim nauczył się trzymać buzię na kłódkę, ale stopniowo odciął się od głosów i zmusił je do milczenia.

Tej nocy nie chciał być sam. Długo leżał nieruchomo, wpatrzony w sufit, przy zapalonej nocnej lampce, rzucającej cienie w odległe kąty pokoju. W końcu podniósł się i na palcach ruszył korytarzem w stronę sypialni Annabel. Zostawiła drzwi otwarte, zupełnie jakby spodziewała się jego wizyty. Usiadła na łóżku, odsłaniając nagie białe piersi.

- Dlaczego tak długo się zastanawiałeś? - zapytała, zachęcająco odrzucając kołdrę.

Luca rozpiął guzik spodni od piżamy i pozwolił, aby opadły na podłogę. Seks z Annabel był najlepszym sposobem na przegnanie duchów dzieciństwa i odzyskanie poczucia pewności siebie.

Przed snem Miles wziął Sindbada na spacer po ogrodzie. Znowu mżył lekki deszczyk i drobne kropelki osiadały na zielonych pączkach roślin i złocistych żonkilach. Pies zanurzył się w ciemności, obwąchując trawę i machając ogonem. Kiedy znaleźli się dość daleko od domu, aby nikt nie mógł go usłyszeć, Miles wyjął z kieszeni komórkę i nacisnął klawisz ponownego wyboru ostatnio wywoływanego numeru.

- Cześć - powiedział cicho. - To ja.

3

Następnego dnia rano Luca wrócił do Londynu. Obiecał An-nabel, że do niej zadzwoni, wiedział jednak, że tego nie zrobi. A jeśli chodzi o Freyę, szczęśliwą w małżeństwie, piękną Freyę, to uświadomił sobie, że nie ma sensu gonić za mrzonkami. Dostał od losu swoją szansę i dawno temu ją zmarnował. Jadąc autostradą M3, za kierownicą srebrzystego aston martina myślał o tym, że jego życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Czy gdyby ożenił się nie z Claire, lecz z Freyą, teraz także byłby w trakcie rozwodu? A może po prostu to on nie nadawał się na męża. Myślał o swoich córkach, Coco i Juno, i drżał na samą myśl, że może za jakiś czas co rano będą wdrapywać się do łóżka, w którym będzie na nie czekał John Tresco. Miał nadzieję, że Claire zdobędzie się na dość wyczucia i sprowadzi go do domu dopiero po ślubie, i dość rozsądku, aby nie wymuszać na dziewczynkach demonstracyjnie czułych gestów wobec mężczyzny, który nie jest ich ojcem.

Mdłe rysy Johna Tresco bardziej kojarzyły mu się ze sklepowym manekinem niż z człowiekiem z krwi i kości. Luca nie ufał mężczyznom, którzy wyglądali jak ładni chłopcy, przeglądali się w lustrze i codziennie rano poświęcali dużo czasu na wybór stroju. John Tresco był zbyt zakochany w sobie, żeby zdobyć się na obdarzenie uczuciem kogokolwiek innego. Arogancki i nadęty, uważał, że wszystko wie, i uwielbiał się popisywać. Odziedziczył duży majątek, nie przepracował choćby jednego dnia i żył od przyjęcia do przyjęcia, bezustannie jeżdżąc na weekendowe polowania w Szkocji oraz ślubne bankiety w Saint-Tropez i obracając się wyłącznie w towarzystwie bogatych i sławnych. Zainwestował odziedziczone pieniądze i zatrudniał dziesiątki służących, których szkolił całymi godzinami i zwalniał w ciągu paru sekund, jeśli nie spełniali jego wygórowanych oczekiwań. Luca przynajmniej sam zarobił swój majątek.

Zaczął podejrzewać Claire o zdradę na długo przed tym, gdy ktoś ze znajomych zauważył ją w hotelu w Beaulieu w weekend, który jakoby spędzała z matką. Był stale zajęty i nie miał czasu zastanawiać się nad swoim małżeństwem. Iskra, której blask rozświetlał ich związek, wygasła parę lat po przyjściu na świat

dziewczynek. Kiedy ogień namiętności wypalił się na dobre, dostrzegli w sobie obcych ludzi. Na pewien czas połączyła ich obecność dzieci, wczesne poranki, zarwane noce oraz wspólne chwile, spędzane na obserwowaniu cudownych małych istotek, niewinnie śpiących w łóżeczkach. Później zniknęło nawet jakiekolwiek poczucie bliskości i stali się dla siebie dalekimi znajomymi, którzy nie potrafią śmiać się z tych samych rzeczy. Luca nie winił Claire za to, że znalazła kogoś innego, ale ona miała wyrzuty sumienia i postanowiła obarczyć go winą za wepchnięcie jej w objęcia kochanka. Lata frustracji i niechęci trysnęły z jej ust jadowitym strumieniem - Luki nigdy nie było w domu, musiała sama wychowywać dziewczynki, był okropnym ojcem, w ogóle nie zasługiwał na to, żeby mieć dzieci. Luca sprawnie odpierał ataki, lecz w głębi duszy uważał, że Claire ma rację. Rzeczywiście był winny wszystkich tych zarzutów. W orzeczeniu rozwodowym znalazła się formułka o „niemożliwej do pogodzenia różnicy zdań", a podpisanie ugody finansowej było jeszcze przed nimi. Claire mieszkała w ich domu w Kensington, na wakacje i niektóre weekendy woziła dzieci do posiadłości w Gloucestershire. Jej miesięczne uposażenie znacznie przewyższało kwotę, jakiej większość ludzi potrzebuje na cały rok. Była potwornie zepsuta, lecz Luca zdawał sobie sprawę, że sam jest temu winien.

Niechętnie pozwalała mu widywać się z dziewczynkami, chociaż kupił spory dom w Chelsea i wynajął projektanta wnętrz, który urządził dwie dziecięce sypialnie oraz pokój pełen zabawek. Luca nie czuł się tam dobrze i był pewny, że dziewczynki również nie uznają tego miejsca za swój dom. We wspólne weekendy zawsze zwracał się o pomoc do przyjaciół, którzy mieli dzieci w podobnym wieku. Coco, zaledwie siedmioletnia, miała w sobie ducha wiecznego buntu i chyba nikt by się nie zdziwił, gdyby zobaczył ją palącą marlboro i popijającą cappuccino w kawiarni Starbucks. Ubierana w ekskluzywnych sklepach, takich jak Bonpoint czy Marie Chantal, była śliczna i smukła, ciemnowłosa i błękitnooka jak ojciec, lecz jej buzia wydawała się dziwnie pozbawiona radości, zupełnie jakby widziała i robiła już wszystko, i dlatego nic nie sprawiało jej przyjemności. Czteroipółletniej Juno Natura trochę poskąpiła urody, mała była jednak radosna i uśmiechnięta i bardziej zainteresowana swoimi pluszowymi stonogami niż własną garderobą, złożoną z pięknych strojów. Odkąd Luca przestał pracować, zaczął lepiej poznawać córeczki. Dość szybko uświadomił sobie, że Coco nie ma

zbyt wielu cech podbijających serce. Juno była jeszcze zupełnie mała i podatna na wpływy, i można było liczyć, że jej osobowość da się lepiej ukształtować.

Luca długo zastanawiał się nad radą Frei. Myśl o wyjeździe z Londynu bardzo go kusiła. Pobyt w *palazzo* rodziców zapewniłby mu spokój, dzięki niemu miał nadzieję znaleźć punkt zwrotny w swojej pozbawionej teraz sensu i rytmu egzystencji. Zaszyłby się w jakimś kącie pałacu, z dala od matki i jej przyjaciół, z walizką pełną książek, które zawsze chciał przeczytać. Pływałby w morzu, chodził na długie spacery, łapał swobodny oddech po latach napięcia, które powoli zaczęło go dławić. Czuł, że jego obecne życie nie zapewni mu satysfakcji, chociaż nie był pewny, skąd bierze się to przekonanie. Miał pieniądze, dzieci, a także kobiety, jeśli tylko przyszłaby mu na nie ochota, wszystko to jednak wydawało mu się dziwnie puste, a od chwili odejścia z tętniącego emocjonalną gorączką świata bankowości uczucie to zdecydowanie się nasiliło. Cisza w jego sercu była równie głośna jak uderzenie w cymbały.

Do Chelsea dotarł tuż przed porą lunchu. Jego dom do złudzenia przypominał hotel - był piękny, lecz całkowicie pozbawiony osobowości. Gospodyni posprzątała chyba tego ranka, usuwając starannie wszelkie ślady życia. Tylko stos listów na kuchennym stole wskazywał, że ktoś tu mieszka. Światełko w telefonie mrugało imponującą liczbą nagranych na automatycznej sekretarce wiadomości. Szybko je skasował, nie chcąc słuchać narzekań przyjaciół, którzy zapewne oskarżali go o to, że nie zwierzył się im ze swoich planów.

Otworzył lodówkę. Nie było w niej nic poza dwoma butelkami chablis oraz francuskim pasztetem z delikatesów Lid-gates. Zostawił walizkę w holu i poszedł do znajdującej się tuż za rogiem restauracji „Vingt Quatre", gdzie zamówił wędzonego łososia i jajecznicę i zajął się przeglądaniem prasy. Przy stoliku naprzeciwko siedziały jakieś dzieci pod opieką dwóch matek, które z zapałem plotkowały, podczas gdy ich pociechy obrzucały się jedzeniem i co chwilę zrywały się z krzeseł, żeby pobawić się w chowanego. Obie kobiety były ładne, przed czterdziestką, jasnowłose, z wykonanymi w drogich salonach fryzurami, torebkami od najsławniejszych projektantów mody i pięknie pomalowanymi paznokciami. Jedna zauważyła jego spojrzenie i zaczęła nieco teatralnie odrzucać do tyłu włosy. Powiedziała coś do przyjaciółki, która natychmiast się odwróciła, aby popa-

trzeć na Lucę. Kobieta rzuciła mu zalotny uśmiech i wreszcie skupiła uwagę na rozdokazywanych dzieciach. „Czyżby teraz czekało mnie właśnie takie życie - ponuro zastanawiał się Luca. - Będę podrywał atrakcyjne mamusie małych dzieci?". Nagle zrobiło mu się niedobrze.

Kiedy wieczorem brał kąpiel, zadzwonił telefon. Słuchał obojętnie, nie mając najmniejszego zamiaru wyskakiwać z wanny, żeby podnieść słuchawkę. Moczył się w ciepłej, pachnącej wodzie i nie myślał o niczym, ociężały i apatyczny. Gdy w końcu wyszedł z łazienki, odsłuchał wiadomość. Na dźwięk trochę sztucznie radosnego głosu Annabel ogarnęło go przygnębienie. Czy to Freya dała Annabel jego telefon? Niemożliwe.

- Kochany, ostatnia noc była cudowna - powiedziała. - Może umówilibyśmy się na kolejną rundkę? Jeśli chcesz, przyjadę do ciebie i zrobię kolację! Zadzwoń do mnie!

Zostawiła swój numer, lecz Luca nie zamierzał się z nią kontaktować. Myśl o wyjeździe do Włoch stała się nagle jeszcze bardziej kusząca. Z dalszym pobytem w Londynie wiązało się mnóstwo rzeczy, które miał ochotę zostawić za sobą. Szkoda, że nie mógł uciec od samego siebie... Doszedł do wniosku, że musi zadzwonić tylko do jednej osoby - do byłej żony. Jeśli miał zaszyć się na dłuższy czas we Włoszech, powinna wiedzieć, gdzie go szukać.

- A, to ty - powiedziała. - Wszyscy o tobie gadają, pewnie cały czas masz czerwone uszy...

- Wyjeżdżam do Włoch, chcę odwiedzić rodziców.

- Mówisz takim tonem, jakbyś kogoś zamordował!

- Jeszcze nikogo nie zamordowałem.

- Jak długo cię nie będzie? Nie sądzę, że zadzwoniłbyś do mnie, gdyby chodziło o jeden weekend czy coś takiego!

Roześmiał się cicho. Claire zawsze była bardzo bystra.

- Nie wiem. Na razie myślę o lecie.

- Mamy dopiero kwiecień!

- To będzie długie lato...

- Chcesz powiedzieć, że zostawiasz mnie z dziećmi na cztery miesiące?

- Absolutnie nie!

Ale nie poświęcił im nawet przelotnej myśli, taka była naga prawda.

- No, mam nadzieję! Powinieneś zabrać je przynajmniej na jakieś trzy, cztery tygodnie, tak będzie sprawiedliwie! John i ja chcemy gdzieś pojechać. Von Meisterowie znowu zaprosili nas do Saint-Tropez. Będą tam też Elizabeth i Arun, więc dziewczynki mają zapewnione towarzystwo, ale później chciałabym zostawić je z tobą, żebyśmy mogli spędzić trochę czasu tylko we dwoje.

- Doskonale. - Bezskutecznie starał się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

Jeśli z dziewczynkami przyjedzie niania, zagrożenie będzie stosunkowo niewielkie. Jego matka uwielbiała wnuczki.

- Zadzwonię do ciebie na komórkę, dobrze?

- Nie, nie będę odbierał. Zatelefonuję do ciebie z Włoch i podam numer telefonu w *palazzo*.

- Chyba rzeczywiście uciekasz.

- Po prostu muszę zrobić sobie przerwę.

- Gdybyś zrobił sobie przerwę parę lat temu, całkiem możliwe, że uniknęlibyśmy tego bałaganu! - W głosie Claire zabrzmiała nuta goryczy.

- Mocno wątpię. Byliśmy skazani na katastrofę, wcześniej czy później.

- Łatwo ci to mówić! Tak długo byłeś żonaty ze swoją firmą, że teraz nie potrafisz wyobrazić sobie życia bez niej!

- Będę musiał je sobie wyobrazić.

- Trzy lata za późno!

- Jak tam życie z Johnem? - spytał, usiłując zmienić temat.

- Bosko! - odparła, trochę za szybko. - John jest wszystkim, czym ty nigdy nie byłeś. Mam wyliczyć wszystkie jego pozytywne cechy czy jesteś w stanie sam sporządzić listę?

- Zastanowię się i omówię to ze swoim psychoterapeutą. Przy odrobinie pomocy postaram się zostać lepszym człowiekiem.

Nienawidził samego siebie za to, że pozwala jej się tak irytować.

- Och, zamknij się! Nie znoszę tego twojego sarkazmu!

- Zadzwonię z Włoch.

- Jak tam sobie chcesz! - warknęła.

- Ucałuj ode mnie dziewczynki.

- Chyba nie powinnam rozbudzać ich nadziei, skoro nie zobaczą cię przez ładnych parę miesięcy, nie uważasz?

- Wezmę je, kiedy tylko zechcesz mi je dać. Piłeczka jest po twojej stronie kortu, Claire, zresztą jak zwykle!

W nocy leżał wsłuchany w szum myśli, które wirowały mu w głowie niczym wiecznie poruszający się wentylator. Mieszkanie nad Tamizą miało wiele plusów - nie słychać tu było samochodów, wycia syren, ujadania psów, wrzasków podpitych ludzi. Na nabrzeżu panowała martwa cisza. Kiedy Luca pracował w City, przesiadywał w pracy tak długo, że w domu zasypiał w chwili, gdy dotknął głową poduszki, lecz teraz nie mógł zasnąć, czując się co najmniej nieswojo w nowym życiu. Denerwowało go, że nie ma żadnych planów. Żadnych planów, żadnych celów. Cały czas nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zapomniał o czymś ważnym.

Nagle w jego umyśle zupełnie znikąd pojawiła się dziwna myśl. „Ciemność to tylko brak światła". Natychmiast zaczął się zastanawiać, co to właściwie znaczy i skąd wzięła się ta refleksja. Wpatrywał się w ciemny sufit, w pasma światła, przedostające się do pokoju z ulicy ponad karniszem do zasłon. Skupiony na tej myśli, powoli zapadł w głęboki sen.

Rano ogarnął go przyjemny spokój. Drzemał w łóżku, dopóki telefon nie wyrwał go z półsnu, wypychając w objęcia rzeczywistości. Mięśnie brzucha natychmiast stwardniały mu ze zdenerwowania, a cudowną lekkość zastąpiło znajome przygnębienie. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać, ani z Annabel, ani z byłymi współpracownikami z City, ani z dziennikarzami, ani z rozczarowanymi jego milczeniem przyjaciółmi. Freya miała rację, naprawdę musiał wyjechać. Postanowił, że załatwi wszystkie wymagające załatwienia sprawy i wyjedzie z Londynu. I będzie wolny jak ptak.

4

Luca siedział w motorówce pędzącej do Incantellarii i patrzył na wystające z morza poszarpane czerwone skały i tańczące na wietrze ptaki. Wiosna tchnęła nowe życie w roślinność, która lśniła soczystą zielenią pod intensywnie błękitnym niebem, i w małe żółte pączki. Wdychał zapach sosnowej żywicy i czuł, jak jego serce z każdą chwilą staje się coraz mniej ociężałe, zupełnie jakby każdy oddech napełniał je nadzieją.

Matka powiedziała mu, że koniecznie powinien wynająć łódź.

- Incantellarię najlepiej ogląda się od strony morza. - Mówiła z akcentem znacznie wyraźniejszym od czasu, gdy razem z mężem przeprowadziła się do Włoch. - Trudno uwierzyć, jaka jest piękna! Przyjadę po ciebie samochodem. Kochanie, tak się cieszę, że wreszcie się do nas wybrałeś! Zastanawiałeś się po prostu bez końca, myślałam już, że nigdy nie zostawisz Londynu!

Jej głos był pełen radości. Nie zapytała o Claire i dziewczynki, oczywiście nie z delikatności, bo nie było chyba na świecie osoby mniej taktownej niż Romina, ale dlatego, że gorycz rozwodu syna dotknęła także i ją, i teraz nie miała ochoty psuć sobie wspaniałego dnia.

Motorówka szerokim łukiem ominęła skały i znalazła się w zatoce tak pięknej, że Luca podniósł się, żeby lepiej widzieć. Średniowieczne miasteczko skąpane było w słońcu, czerwień dachów migotała w rozgrzanym powietrzu nad białymi i piaskoworóżowymi domami. Delikatne metalowe kraty balkonów zdobiły doniczki z czerwonymi i białymi kwiatami, a wysoko w górze pyszniła się żółtoturkusowa kopuła kościoła. Z bliska dobrze widział szarą kamienistą plażę oraz wyraźnie odcinające się od jej tła błękitne i białe rybackie łodzie. Przypomniał sobie opowiedzianą przez Fitza historię o czerwonych goździkach i uśmiechnął się, rozbawiony jej absurdalną naiwnością. Południe Włoch pełne było takich „cudów". Matka Luki była Włoszką, lecz nawet ona zbywała te rewelacje wzgardliwym prychnięciem. Przybijali już do pomostu. Na nabrzeżu, tam, gdzie nie-

wielkie restauracyjki wypełzały na ulicę między dwoma eleganckimi butikami i kioskiem ze słodyczami i pocztówkami, stało kilka samochodów. Para staruszków w czerni siedziała na ławce, przeżuwając spróchniałe pieńki zębów i wyblakłe wspomnienia, a trójka brudnych dzieci na zmianę skakała z dużego betonowego słupa. Luca od razu dostrzegł matkę. W ogromnych ciemnych okularach, z czarnymi włosami odgarniętymi do tyłu kolorową apaszką, machała do niego jak szalona. Spokojnie pomachał w odpowiedzi, mając nadzieję stłumić trochę jej entuzjazm, lecz ona najwyraźniej nie zrozumiała intencji.

- Kochanie, wreszcie jesteś! - wykrzyknęła radośnie. -Tak się cieszę!

Gdy Luca zbierał swoje rzeczy, jego wzrok padł na ciemnowłosą kobietę z małym chłopcem, która powoli szła plażą. Osłonił oczy od słońca, aby lepiej ją widzieć. Była całkiem atrakcyjna - miała długie brązowe loki, skórę koloru karmelu i zmysłowe ciało, ukryte pod prostą czarną sukienką. Kiedy podeszła bliżej, zauważył poważny wyraz jej twarzy i spuszczone oczy. Chłopiec bez przerwy ją zagadywał, ale ona wydawała się roztargniona, pochłonięta niewesołymi myślami. Ramiona założyła na piersi w obronnym geście, szła powoli, z lekko zwieszoną głową. Mały mówił coś do niej, nie-zrażony brakiem odpowiedzi.

- Och, skarbie! - Matka zarzuciła Luce ramiona na szyję, chociaż głową sięgała mu zaledwie do piersi. - Chyba jeszcze urosłeś! Tak, słowo daję, jesteś jeszcze wyższy!

- Mamo, jeżeli rzeczywiście nadal rosnę, teraz, kiedy mam czterdzieści parę lat, to jako staruszek będę olbrzymem!

- Ale naprawdę... - Uśmiechnęła się, błyskając bielą zębów na tle oliwkowej skóry.

Luca kątem oka zauważył, że ładna dziewczyna weszła do jednej z restauracji.

- Jesteś głodna? - zapytał matkę. - Może zajrzelibyśmy do którejś z tych restauracji?

- Są całkiem niezłe - odparła. - Lecz w *palazzo* czeka już na nas lunch. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz nasz nowy dom! Nie uwierzysz, ile zrobili-

śmy tam razem z ojcem! Szkoda, że nie widziałeś tego miejsca, gdy było w kompletnej ruinie!

Luca był rozczarowany, ale nie mógł odmówić matce. Chwycił torbę i ruszył za nią do małego żółtego fiata, krzywo zaparkowanego na chodniku.

- Tutejsze uliczki są właściwie za wąskie, żeby jeździć po nich samochodem. Dobrze chociaż, że poszerzyli drogę do *palazzo,* to prawdziwe błogosławieństwo. - Romina przekręciła kluczyk w stacyjce. - Tak czy inaczej, być może właśnie dzięki tym wąskim uliczkom miasto nie jest jeszcze zapchane turystami. W rynku mamy cudowny hotel, tuż obok najbardziej uroczego na świecie kościółka pod wezwaniem San Pasquale.

- A, to ten kościół, w którym figura Jezusa płacze krwawymi łzami, tak?

- Więc wiesz już to i owo o Incantellarii?

- Tylko dlatego, że o tym „cudzie" opowiedział mi Fitz Davenport.

- Jak tam nasz kochany Fitz? Nadal pod pantoflem? Nie wiedziałam, że tu był!

- Tak, był, dawno temu.

- Pewnie od tamtego czasu niewiele się tu zmieniło. In-cantellaria pozostaje w ukryciu, jak klejnot, i bardzo mi to odpowiada. Miejscowi trzymają się razem, turyści zjawiają się rzadko. Nie mamy szerokiej piaszczystej plaży ani luksusowych hoteli z basenami, ponieważ miejsca jest raczej mało. Zatoka przyciąga amatorów obserwacji ptaków oraz staruszków, którzy chcą podziwiać jej piękno. Modni ludzie jeżdżą do Portofino i na Capri. *La dolce vita,* sam rozumiesz! Szczerze mówiąc, życie jest o wiele bardziej *dolce bez* całego tego tłumu modelek i gwiazd filmowych.

- Znasz kogoś z miejscowych?

- Tylko kilka osób. Żyjemy w pewnym odosobnieniu na tym naszym wzgórzu. Jak wiesz, nie chodzę na mszę i nie angażuję się w życie społeczne, lecz tubylcy są bardzo przyjaźnie nastawieni, chociaż pewnie trochę się nas boją. Nikt nie chciał kupić *palazzo,* budynek od wielu lat wyglądał jak gruzowisko. Właści-

ciel wyprowadził się i z początku wcale nie miał ochoty nam go sprzedać, ale zaproponowaliśmy mu sumę, której nie mógł się oprzeć. Ludzie z miasteczka uważają nas chyba za lekkich ekscentryków, bo bez przerwy odwiedzają nas przyjaciele z całego świata, całkiem jakbyśmy prowadzili coś w rodzaju hotelu, tyle że bezpłatnego. Po co zarabiać mnóstwo pieniędzy, jeżeli później człowiek nie potrafi się nimi cieszyć! Twoja babka z pewnością by chciała, żebym korzystała z odziedziczonego po niej majątku w taki właśnie sposób, odnawiając piękną rezydencję w jej ojczyźnie, a nie jak ten mój głupi brat, zapijając się na śmierć i żyjąc jak chciwiec! Kochanie, ojciec zbudował basen, więc następnym razem śmiało możesz przywieźć dzieci. Nie widziałam ich od paru miesięcy i strasznie za nimi tęsknię. To moje jedyne wnuczęta i teraz, kiedy nie mam żadnego kontaktu z ich matką, jest mi jeszcze trudniej. - Romina zerknęła na Lucę. - Nie wolno ci dopuścić, żeby spędzały czas wyłącznie z Claire! Potrzebują też ojca, wierz mi.

Jechali wąskimi uliczkami, mijając domy z piaskowca z wysokimi, ozdobnymi oknami i dużymi drewnianymi drzwiami, wychodzącymi na urokliwe, dziedzińce, ogrody i podwórka. Kilka kościstych psów snuło się pod ścianami w poszukiwaniu odpadków, a tubylcy ze szczerym zaciekawieniem obserwowali przejeżdżający samochód. Luca opuścił okno i oparł łokieć na ramie, przyglądając się starym budynkom, kobietom rozwieszającym pranie na cienistych balkonach oraz szpetnym białym talerzom telewizji satelitarnej, przymocowanym do średniowiecznych murów. Z rozkoszą wdychał zapach wiosny, którym przesycone było ciepłe powietrze. Jego myśli wróciły na moment do kobiety na plaży, chociaż niewątpliwie była ona żoną i matką. Nie miał najmniejszego zamiaru komplikować sobie życia flirtem z mężatką, na pewno nie we włoskim miasteczku, gdzie mężczyźni kochali swoje kobiety zaborczą miłością i mieli podejrzliwy stosunek do cudzoziemców. Szybko więc przestał o niej myśleć.

- A więc skończyłeś z pracą w City - odezwała się Romi-na, gdy zostawili za sobą miasteczko i zaczęli wspinać się na zbocze wzgórza. - Całe szczęście! Teraz będziemy cię częściej widywać!

- Znalazłem się na życiowym zakręcie. Muszę się spokojnie zastanowić, w którą stronę chcę teraz pójść.

- Masz świat u stóp, Luca! Zarobiłeś mnóstwo pieniędzy i możesz robić, co tylko zechcesz. Jeżeli nie masz ochoty, nie musisz już w ogóle pracować...

Luca westchnął.

- Mam za dużo możliwości, w tym cały problem. Lepiej jest mieć bardzo konkretne ograniczenia, bo wtedy łatwiej dokonać wyboru. Szczerze mówiąc, na razie nic mnie jakoś nie inspiruje...

- Jesteś wykończony rozwodem, i nic dziwnego! Claire bardzo mnie rozczarowała. Na szczęście jesteś młody, możesz ożenić się jeszcze raz i zacząć nowe życie! Przyjechałeś we właściwe miejsce, kochanie. Pałac Montelimone da ci natchnienie, zobaczysz! No, zaraz będziemy w domu!

Za ostrym zakrętem droga pięła się w górę po bardziej stromej części zbocza. Wydawała się teraz węższa, pokryta cieniem tłoczących się po obu stronach drzew i krzewów. Po chwili skręcili w prawo.

- Już prawie widać bramę - oświadczyła Romina. - Zostawiliśmy tę oryginalną, była zbyt piękna, żeby ją wyrzucić! O, popatrz! Prawdziwe cudo, co?

Skrzydła bramy były czarne i imponujące, jak przystało na bramę wjazdową wspaniałego pałacu. Rodzice Luki włożyli tyle wysiłku i pieniędzy w renowację Montelimone, że dziwił się, dlaczego nie zainstalowali elektrycznej bramy, otwieranej za przyciśnięciem guzika. Musiał wysiąść z samochodu, żeby otworzyć, miał więc okazję przyjrzeć się cyprysowej alei i tworzącemu łagodny łuk podjazdowi, na jego końcu widać było plamę słonecznego światła. Tam, skąpany w magicznym blasku, stał pałac.

Romina nacisnęła klakson.

- Pośpiesz się, kochanie! Jestem potwornie głodna!

- To chyba najpiękniejszy wjazd na teren posiadłości, jaki kiedykolwiek widziałem - rzekł Luca, wracając na miejsce obok matki.

- Aż trudno uwierzyć, że kiedy przyjechaliśmy tu pierwszy raz, zobaczyliśmy jedynie kamienie i pnącza! Ogród przejął kontrolę nad Montelimone, wciskając się do środka budynku i zapuszczając korzenie w każdym pokoju. Stała tylko

jedna z dwóch wież. Robiło to strasznie smutne wrażenie. Wydawało się nam, że zrezygnował z walki, zdał się na łaskę i niełaskę losu jak piękna, pokonana przez wiek kobieta. Zakochałam się w tym pałacu, skarbie!

- Jak go znaleźliście, skoro właściciel nie zamierzał go sprzedawać?

- Przypadkiem. Malowałam inny pałac pod Sorrento i jego właścicielka wspomniała o Montelimone. Powiedziała, że gdyby miała pieniądze, kupiłaby go i odrestaurowała. Miała świetny gust, więc jej uwaga z punktu mnie zaintrygowała.

Przyjechałam tu sama i trochę się rozejrzałam. Oczywiście nikogo nie zastałam. Zadzwoniłam do twojego ojca i powiedziałam mu, że musi przyjechać i obejrzeć ten pałac. Już wcześniej myśleliśmy, żeby na starość osiąść we Włoszech, poza tym wiedziałam, że będzie to dla nas obojga fantastyczne wyzwanie. Całe życie pracowaliśmy dla innych, teraz wreszcie mieliśmy szansę pracować dla siebie, coś wspaniałego!

Romina zaparkowała auto na wysypanym żwirem podjeździe przed *palazzo*. Dom zbudowany był z piaskowca w tym samym odcieniu co całe miasteczko. Okna wieńczyły ozdobne barokowe czapy, metalowe kraty balkonów przypominały koronki. Dach pokryty był różową dachówką, a z dwóch stron stały wyniosłe wieże. Pałac otaczały smukłe sosny i ciemnozielone, prawie granatowe cyprysy.

- Chodź, kochanie, pozwól, że wszystko ci pokażę!

Za ogromnymi, ciężkimi dębowymi drzwiami z łukowatym szczytem znajdowały się drugie, mniejsze, prowadzące do holu wyłożonego kwadratowymi kamiennymi płytami.

- To oryginalna posadzka - oznajmiła Romina, idąc przodem przez piękny dziedziniec. - Znalazłam ją pod grubą warstwą mchu i trawy. Robi wrażenie, prawda?

Na środku dziedzińca pyszniła się kamienna fontanna, słychać było łagodny, monotonny plusk wody. Pod ścianą między oknami stały wielkie ceramiczne donice z cytrynowymi drzewkami. Mozaikowa posadzka z gładkich okrągłych i

kwadratowych kamieni robiła niezwykłe wrażenie. Luca nie był zaskoczony. Matka może i była ekscentryczką, posiadała jednak błyskotliwą inteligencję i wrodzone zdolności estetyczne.

Pokoje *w palazzo* miały wysokie sufity z pięknymi plafonami i ściany pomalowane na przykuwające uwagę kolory -blady błękit, ciepły szary i przyćmiony róż.

- Chciałam przywrócić pałacowi jego dawną urodę - wyjaśniła Romina, wskazując pieczołowicie porozwieszane stare tkaniny oraz marmurowe kominki. - Zachowaliśmy wszystkie oryginalne części, które dało się uratować. Prace trwały dwa lata. Ojciec i ja włożyliśmy w tę renowację duszę i serce, nie wspominając o ogromnych pieniądzach... No, gdzież on jest?

Luca wszedł za matką do salonu, którego francuskie okna wychodziły na taras i rozpościerający się niżej ogród. Zdziwił się nieco na widok starszego mężczyzny w tweedowym garniturze i kamizelce, który siedział w fotelu i czytał „The Times". Staruszek spojrzał na niego znad okularów i uprzejmie skinął głową.

- To mój syn - przedstawiła Lukę Romina. - A to jest nasz drogi przyjaciel, profesor Caradoc Macausland!

Profesor wyciągnął do Luki kościstą dłoń, niemiłosiernie powykręcaną przez artretyzm.

- Nie miej mi za złe, że nie wstaję, aby się z tobą przywitać, młody człowieku - powiedział z akcentem prosto z Oksfordu lat pięćdziesiątych. - Poruszam się tylko z laską, która teraz najwyraźniej wybrała się gdzieś beze mnie... Pewnie wzięło ją to urocze dziewczę.

- Ventura! - Z piersi Rominy wyrwało się melodramatyczne westchnienie. - Uważa, że pomaga profesorowi, stawiając laskę pod ścianą poza jego zasięgiem!

- A więc wreszcie mam przyjemność poznać sławnego Lucę - dodał profesor. - Twoi rodzice wyrażają się o tobie w samych superlatywach.

- Grzeszą brakiem obiektywizmu - odparł Luca, żałując, że musi poświęcać czas na rozmowę ze starym idiotą.

- To dość naturalne. Cudowne miejsce, prawda?

- Tak. - Luca zauważył, że profesor najwyraźniej czuje się w *palazzo* jak w domu. - Dawno pan tu przyjechał?

- Jakieś dwa tygodnie temu, może trochę więcej. W Mon-telimone traci się poczucie upływu czasu, głównie dlatego, że twoja matka jest tak doskonałą gospodynią. Nie widzę wielkiego sensu w powrocie do domu.

- W jakiej dziedzinie się pan specjalizuje?

- W historii. A dokładniej w historii starożytnej. Ten pałac musi mieć bardzo stare korzenie, mówiłem już Rominie, że kiedy tylko znajdę tłumacza, spróbuję odgrzebać jego przeszłość. Nie mówię po włosku i chociaż dobrze znam łacinę, to pomaga mi ona tylko do pewnego stopnia. Tubylcy w ogóle nie władają angielskim, niestety.

- No tak, to poważna przeszkoda - przyznał Luca.

- Każdą przeszkodę można pokonać, wykorzystując zasoby własnej spostrzegawczości. Znalazłeś się w polu mojego widzenia, młody człowieku. Na pewno znasz włoski?

- Owszem.

- Świetnie. Liczę na twoją pomoc. Stworzymy idealny zespół. - Profesor wydął wargi. - Holmes i Watson! Czeka nas wspaniała zabawa, zobaczysz! Uwielbiam tajemnice.

Luca myślał teraz wyłącznie o tym, żeby jak najprędzej zniknąć z pola widzenia profesora.

- Chodźmy, kochanie! - Romina ponaglająco machała do syna z tarasu.

Caradoc wrócił do lektury gazety, a Luca odetchnął z ulgą i wyszedł za matką prosto w słońce.

Tu, przy długim stole, siedziała grupka nieznanych mu ludzi, pochłoniętych rozmową i skubaniem pachnącego chleba. Ogarnęło go przygnębienie. Przyjechał przecież do domu rodziców, aby uciec przed ludźmi.

Romina lekkim krokiem podeszła do stołu.

- Przyjaciele, pozwólcie, że przedstawię wam mojego syna Lucę!

Patrząc na gości matki, wyraźnie zachwyconych, że mogą siedzieć w cieniu, przy szklaneczce wina, Luca zaczął się zastanawiać, czy oni także przebywają tu tak długo jak profesor.

Romina przedstawiała mu wszystkich, zaczynając od drobniutkiej kobietki z kręconymi jasnymi włosami i dużymi niebieskimi oczami, ubranej w jasnoróżową szyfonową bluzkę, zawiązaną pod szyją na kokardę.

- To jest Dizzy, a to jej mąż Maxwell. Mieszkają w Wiedniu. A to słodkie małe stworzenie na kolanach Dizzy nazywa się Smidge...

Dizzy, drobna blondynka długimi, zadbanymi paznokciami drapała za uchem kudłatego białego pieska.

- Witaj, Luca! Dużo o tobie słyszeliśmy!

- Cześć - odezwał się Maxwell, przesuwając dłonią po łysiejącej głowie. - Cieszę się, że w końcu mogę poznać cię osobiście! Gramy przecież w tym samym zespole!

- Maxwell też zajmuje się finansami - wyjaśniła Romina. Luca z trudem stłumił narastającą irytację. Maxwell i Dizzy drażnili go do bólu.

- A to Ma Hemple. - Romina oparła dłonie na miękkich ramionach starszej pani.

Ma była siwa, ale od czoła do upiętego na czubku głowy koka biegły dramatycznie czarne pasma, co upodobniało ją do szopa. Gdy zdjęła duże ciemne szkła w czerwonych oprawkach, okazało się, że jej oczy mają zaskakująco jasny odcień zieleni. Szkarłatne wargi doskonale pasowały do maków na sukni włożonej na luźne czarne spodnie. Była dużą kobietą o sarkastycznym poczuciu humoru, które niektórzy mylili z nieuprzejmością.

- Najwyższy czas! - powiedziała bez uśmiechu. - Zaczynaliśmy już podejrzewać, że twoja matka po prostu wymyśliła sobie syna!

Jej akcent, tak samo jak akcent profesora, wskazywał na pochodzenie z klasy wyższej, głos był niski i soczysty.

- Właśnie dlatego przyjechałem - odparł Luca z całą powagą. - Żeby uratować jej twarz.

- Lepiej późno niż wcale! Dołącz do nas, popatrz, została tu jedna *bruschettà,* specjalnie dla ciebie.

Luca nie miał wyjścia, musiał się przysiąść do tej niezwykłej grupki. Był ciekawy, gdzie matka znalazła ich wszystkich. Jej apetyt na nowych ludzi jak zawsze był niepohamowany.

- Cudownie! - zawołała Romina, zerkając na drzwi z nadzieją, że zobaczy w nich Venture niosącą tacę z przekąskami. - Co za głupia kobieta! Lepiej pójdę po nią, bo przecież potrzebujemy wina! Wina dla mojego syna!

Kiedy Romina zniknęła w salonie, na taras wyszedł profesor, wsparty na ramieniu ojca Luki.

- Ach, jest mój syn! - uśmiechnął się Bill, wysoki i bardzo szczupły, z rzednącymi szpakowatymi włosami częściowo ukrytymi pod sztywną panamą.

Był przystojnym mężczyzną o szerokim, zaraźliwym uśmiechu, spokojnym i łagodnie jowialnym, co miało same dobre strony, biorąc pod uwagę małżeństwo z humorzastą, zmienną Rominą.

- Witaj, tato - rzekł Luca.

Uściskali się, nie kryjąc radości ze spotkania.

- I co myślisz o naszym nowym domu?

- Jest imponujący.

- Nieźle, jak na architekta i malarkę, co?

- Naprawdę nieźle!

- Jak długo zostaniesz?

- Nie wiem. Próbuję żyć z dnia na dzień i niczego nie planować.

- Zupełnie jak my - wtrącił profesor. - Oto przyjemności płynące z przejścia na emeryturę!

- Albo utraty pracy - dorzucił sucho Luca.

- Właśnie. - Ojciec pokiwał głową. - Czas spróbować czegoś innego.

- Ale na razie jeszcze nie wiem czego...

- Na pewno coś wymyślisz. No, siadaj i napij się wina, to na pewno dobrze ci zrobi!

Wróciła Romina, prowadząc Venture, atrakcyjną dziewczynę z długimi kasztanowymi włosami i ciemnymi oczami. Młoda kobieta niosła w jednej ręce laskę profesora, a w drugiej butelkę różowego wina.

- Nie zapomnij zostawić jedzenia dla Porciego. - Romina usiadła przy stole. - Porci to prezent z okazji przeprowadzki do Incantellarii, Luca. Dostałam go od twojego wuja Nanniego.

Luca lekko uniósł brwi. Jego matka nie przepadała za psami, nawet takimi puchatymi białymi kłębuszkami jak Smidge.

- To świnia - dodała Romina, strzepując serwetkę i rozkładając ją na kolanach. - Słodka mała świneczka!

- Która w domu nosi pieluchę - uzupełniła Ma. - To dość niezwykły widok, trzeba jednak przyznać, że Porci ma pewien wieprzowaty wdzięk.

- Jest uroczy! - zaćwierkała Dizzy. - Ale niegrzeczny, bo nie lubi Smidge!

- Trudno mu się dziwić - mruknęła pod nosem Ma.

- Nie został jeszcze przerobiony na pieczeń tylko dlatego, że twoja matka chce pokazać go dziewczynkom - poinformował Lucę ojciec.

- Będą nim zachwycone! - zawołała z przekonaniem Romina.

- A jeśli nie, zjemy go ze smakiem - oświadczyła Ma. Dwóch służących w uniformach wyniosło na taras tace z jedzeniem. Oczy profesora rozbłysły na wi-

dok starannie przygotowanej uczty, natomiast z piersi Ma wyrwało się ciężkie westchnienie.

- I co zrobimy z tymi pysznościami? - spytała. - Przecież i tak jestem już potwornie tłusta! Mała świneczka będzie bardzo szczęśliwa, gdy dostanie resztki z naszego bankietu!

- Pamiętajcie, że ja nie jem węglowodanów. - Dizzy zachichotała przepraszająco. - Tyję po nich w oczach!

- Tym więcej zostanie dla świnki! - rzuciła Ma, zirytowana uwagą Dizzy. - Czy jest coś jeszcze, czego nie jesz?

- O, tak... - zaczęła Dizzy.

Ma uciszyła ją wzgardliwym prychnięciem.

- Wyobrażam sobie, jak przyjemne jest życie z tobą!

- No, moi drodzy, zabierajmy się do jedzenia! - zachęciła gości Romina.

- Wszyscy poza tobą, Dizzy - powiedziała Ma. - Ty możesz tylko patrzeć, jak jemy!

Dizzy surowo popatrzyła na swojego męża, który zignorował jej spojrzenie i nałożył sobie solidną porcję spaghetti. Jedli makaron z sosem pomidorowym z czosnkiem, steki, warzywa, ser i malinowy suflet. Kiedy podano kawę, trochę kręciło im się w głowie od wina i byli przyjemnie ociężali po obfitym posiłku. Luca zapalił papierosa i odchylił się do tyłu na krześle. Romina też zapaliła, z rozkoszą zaciągając się dymem, goście popijali miętową herbatę i czarną kawę na dobre trawienie.

- Utnę sobie teraz krótką drzemkę i wybiorę się do miasteczka - odezwał się profesor. - Chcesz pójść ze mną, Luca? Przydałaby mi się twoja pomoc.

- Dzisiaj chyba zostanę tutaj - odparł Luca, który oczami wyobraźni już widział siebie, wyciągniętego w słońcu nad basenem.

- W okolicy nie brak lokalnych talentów - zauważył Maxwell.

- Włoskie dziewczęta są takie ładne! - entuzjastycznie oświadczyła Dizzy.

- Ale wszystkie kończą z taką tuszą jak ja - dodała Ma.

- To przez ten nadmiar węglowodanów - uśmiechnęła się Dizzy.

- Chcę pokazać ci domek w ogrodzie - wtrąciła Romina.

- Jest to jedyna część Montelimone, której nawet nie tknęliśmy - dorzucił Bill.

- Och, ta słynna chatka Jasia i Małgosi! - westchnęła Dizzy. - Ale moja Smidge trochę się tam zdenerwowała, prawda, skarbeńku?

Pocałowała psa prosto w mordkę. Ma skrzywiła się z obrzydzeniem, widząc, jak różowy język suczki przemyka po wargach pani.

- Miej litość dla swojego męża! - powiedziała. - Przecież psy wylizują sobie tyłki!

- Bo nie przedstawia to dla nich żadnej trudności! - prychnął złośliwie Max.

Mięsiste wargi Ma zadrżały, gdy próbowała powstrzymać rozbawienie.

Romina wstała.

-Chodź, Luca!

- Kim są ci wszyscy ludzie? - zapytał, gdy szli wąską ścieżką przez ogród w stronę nadmorskich skał.

Matka wzruszyła ramionami.

- Spotkaliśmy ich w różnych miejscach i okolicznościach.

- Zawsze macie dom pełen... Pełen takich czubków, co tu dużo mówić.

- Ależ, kochanie! - skarciła go. - Mamy różnych przyjaciół, starych i nowych. Bardzo lubię, kiedy w pałacu zjawiają się interesujący ludzie z całego świata!

- Kiedy wyjeżdżają?

- Nie wiem. Ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają, ale większość ma ochotę zostać. Incantellaria ma niezwykły urok. Gdy już ktoś przyjedzie, trudno jest mu pożegnać się z tym miejscem.

- Myślę, że ma to więcej wspólnego z twoją niezwykłą gościnnością niż z urokiem Incantellarii.

- Jesteś niesprawiedliwy, kochanie. Moi przyjaciele nie są niemile widzianymi pasożytami, lecz ludźmi, których z radością tu witam i goszczę. Mam dar zawierania przyjaźni.

- I to oznacza, że muszę spędzać wakacje z bandą wariatów, tak?

- Gdybyś przyjeżdżał częściej, nie musiałabym zapraszać innych. Wiesz przecież, że ty i dziewczynki jesteście dla mnie najważniejsi! Tak czy inaczej, nie przekreślaj ich tak szybko. Caradoc jest fascynujący, posiada ogromną wiedzę. Powinieneś trochę z nim porozmawiać. Wydaje mi się, że właśnie jego zainteresowania, historia i poezja, pozwalają mu zachować duchową młodość.

- A ci koszmarni Maxwell i Dizzy? Nie powiesz mi chyba, że oni też są bardzo ciekawymi ludźmi!

- Cóż, oni faktycznie są raczej nudni. To przyjaciele twojej kuzynki Costanzy. Rzadko zdarza mi się gościć takich przeciętniaków. Wynika z tego, że po prostu będą musieli wyjechać z Montelimone! Może zaczniemy udawać, że w pałacu straszy, co ty na to?

5

Cyprysową alejką zeszli w dół wzgórza do małego)szarego budyneczku, którego okna wychodziły na morze.

- Uroczy, prawda? - odezwała się Romina.
Domek był idealnie symetryczny, z oknami po oba stronach drzwi.

- Jakie było jego przeznaczenie? - zapytał Luca.

- Nie wiem. - Romina przekręciła klucz w zardzewiałym zamku. - Przypuszczam, że było to miejsce schadzek.

Drzwi zaskrzypiały. Za nimi znajdował się piękny kwadratowy pokój o terakotowych ścianach i kopułowym sklepieniu, ozdobionym freskiem przedstawiającym tłuściutkie cheru-binki na tle jasnobłękitnego nieba. Na środku stało podwójne łóżko z draperiami z grubego jedwabiu, który dawno temu był zielony. Pod jednym oknem ustawiono śliczne orzechowe biurko, pod drugim toaletkę. Ściany pokrywały wizerunki nagich chłopców, półki wypełniały książki o tematyce erotycznej. W małej alkowie wyeksponowano replikę *Dawida* dłuta Donatella.

- Nie ulega wątpliwości, że poprzedni właściciel uwielbiał seks - zauważył z rozbawieniem Luca. - Kto to był?

- Nie wiemy, ponieważ transakcji dokonaliśmy za pośrednictwem prawników. Podobno był bardzo stary. Nic stąd nie zabrał, dosłownie nic! Pałac został zbudowany jakieś czterysta lat temu przez rodzinę Montelimone, słynny, wielki ród.

Podejrzewam, że ostatni *marchese* musiał być niezłym ziółkiem, bo ilekroć o nim wspomnę, miejscowi lekko unoszą brwi. Nie mam pojęcia, kto kupił *palazzo* po jego śmierci, nikt nie chce tu mówić o markizie, może zresztą sami nie wiedzą. Tak czy inaczej, pałac był kompletną ruiną i nie znaleźliśmy w nim nic poza starym skórzanym krzesłem i łóżkiem, które spaliliśmy, lecz ten domek był doskonale zachowany, po prostu w idealnym stanie. Nic nie zmieniliśmy, uznaliśmy, że nie ma potrzeby. Piękny, prawda?

- Sypiasz tu czasami? - Luca wskazał rozrzuconą pościel na łóżku.

- Nie. - Romina z rozdrażnieniem wydęła wargi. - Pewnie ojciec ucina tu sobie drzemkę. To jedyne miejsce, gdzie można spokojnie odetchnąć. Drzwi zawsze są zamknięte na klucz, nie chcemy, żeby nasi goście tu zaglądali.

- Nie dziwię się, że ojciec tu przychodzi! Łóżko wygląda na bardzo wygodne.

- Też tak uważam. - Romina oparła dłonie na biodrach. -Mimo to wolałabym, aby nikt go nie używał, nawet twój ojciec. Ten domek emanuje dziwną atmosferą, wydaje się zapomniany, pełen smutku i tęsknoty. Teraz, kiedy przyjechałeś, mogę spokojnie wysłać profesora do miasteczka, żeby dowiedział się czegoś o poprzednim właścicielu *palazzo.* Staruszek będzie miał coś do roboty, poczuje się jak ryba w wodzie. I muszę przyznać, że sama jestem ciekawa, kto to właściwie był, a ty?

- Ja także. - Luca pokiwał głową. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego odszedł stąd, niczego nie zabierając, naprawdę!

Po południu Luca ułożył się nad basenem z powieścią Wil-bura Smitha w ręku. Słońce grzało mu skórę, łagodny wiatr pieszczotliwie ją chłodził. Zupełnie zapomniał o profesorze. Później pożyczył samochód matki i pojechał do miasteczka. Zaparkował na rynku, nad którym górował kościół San Pasquale, biały, z mozaikową kopułą. Na środku rynku znajdował się mały park z palmami i ławkami, gdzie kobiety plotkowały w cieniu, a dzieci biegały dookoła fontanny, rozbawione i rozchichotane. Luca rozpoznał wśród nich chłopca, którego wcześniej widział na plaży. Mały jako jedyny nie miał na sobie szkolnego mundurka. Luca chwilę szukał wzrokiem jego matki, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

Cieszył się, że nie musi z nikim rozmawiać i tłumaczyć, co tu robi. Wszedł do kawiarni, zamówił espresso, usiadł wygodnie i zapalił. Szybko okazało się, że jednak jest skazany na towarzystwo.

- *Buona sera!*

Kobieta była smukła, o oliwkowej cerze, kręconych brązowych włosach i pewnym siebie spojrzeniu wytrawnej podry-waczki.

- Ma pan ogień?

Jej pełne wargi uśmiechały się, oczy obiecywały więcej.

- Jasne...

Pochyliła się do przodu i przytknęła koniec papierosa do płomyka zapalniczki.

- Nie mieszka pan w Incantellarii.

- Nie, właśnie przyjechałem.

- Turysta?

- Tak.

- Mówi pan jak rodowity Włoch, ale słyszę leciutki akcent. Skąd pan przyjechał?

- Z Londynu.

- Włoch, który mieszka w Londynie! Dlaczego, skoro można całe życie spędzić tu, w ulubionym kraju Boga?

Luca się roześmiał.

- Ja także zaczynam się nad tym zastanawiać! Wypuściła kłębek dymu spomiędzy warg.

- Mogę się przysiąść?

- Oczywiście.

Trudno mu było odmówić kobiecie, która podawała mu samą siebie na talerzu.

- Zamówię espresso... Nazywam się Maria Friscobaldi.

- Luca.

- Mają tu dobrą kawę, ale najlepszą podają w kawiarni Fiorellich, jeśli wolno mi coś podpowiedzieć. Trochę dalej, na nabrzeżu. Powinien pan spróbować.

- Na pewno skorzystam z podpowiedzi.

- Długo pan tu zostanie?

- Nie mam pojęcia.
Uśmiechnęła się.

- Ale chyba dość długo, żeby obejrzeć najlepszy widok wIncantellarii?

- Naturalnie!

- Pokażę go panu po kawie. Zapewniamy tae sfe«wldział pan nic piękniejszego.

Jej oczy lśniły zachęcająco.

Luca przywołał kelnera i zamówił dwie kawy, chociaż wiedział, że za duża ilość kofeiny nie pozwoli mu potem zasnąć. Maria usadowiła się wygodnie i omiotła go badawczym spojrzeniem. Dobrze znał ten wyraz twarzy u kobiet - nieco senne oczy, rumieniec na policzkach, pożądanie pulsujące w powietrzu między nimi. Wiedział, że nowa znajoma zaproponuje mu seks, nie był jednak w nastroju. Maria była piękna, ale przecież nie przyjechał do miasteczka w tym celu.

Gdy kelner przyniósł kawę, zajęli się rozmową. Opowiadała mu o swoim życiu, a on słuchał z zadowoleniem, zmęczony opowiadaniem o sobie. Po godzinie poprosił o rachunek, zapłacił i wstał.

- Nie chce pan obejrzeć tego widoku? - W głosie Marii brzmiało rozczarowanie.

- Może innym razem.

- Nie wie pan, co traci!

- Trudno...

- Dziękuję za kawę!

-Było mi bardzo miło.
Posłała mu sugestywny uśmiech.

- Przeciwnie, cała przyjemność po mojej stronie.

Luca wrócił do *palazzo.* Jego matka rozmawiała w holu z Ventura i inną pokojówką.

- Gdzie byłeś, kochanie?

- W miasteczku.

- Ładne, prawda?

- Ładniejsze, niż oczekiwałem. - Uśmiechnął się.

- Chodź na drinka! Kolacja będzie o dzieifiątej.

- Chyba pójdę wziąć prysznic.

- Ale przyjdź niedługo, dobrze? Profesor pytał o ciebie. Luca przewrócił oczami.

- Czy naprawdę muszę rozmawiać z tym starym durniem? Przyjechałem tu na wakacje!

- Musisz, skarbie, nie masz wyjścia!

Uciekł na górę. Kiedy wreszcie wyszedł na taras, zastał tam matkę pogrążoną w rozmowie z Dizzy. Przyłączył się do nich, czując, jak ogarnia go irytacja.

- Jak udało się popołudnie? - zapytał Dizzy. Uśmiechnęła się słodko i odrzuciła do tyłu jasne włosy.

- Najpierw wylegiwałam się na słońcu i czytałam, a potem oboje z Maxem poszliśmy do naszej króliczej norki.

- Do króliczej norki?

- Tak, bo przytulamy się tam do siebie jak dwa małe króliczki! - Dizzy zrobiła niewinną minkę. - Pozwalamy sobie na takie cudowne lenistwo, a wszystko dla-

tego, że łóżko jest obłędnie wygodne i w ogóle nie chce nam się z niego wstawać.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Romina. - Kupiłam najlepszą pościel!

- Wybieramy się jutro na Capri - oświadczyła Dizzy. -Może pojedziesz z nami, Luca?

- Serdeczne dzięki, ale chyba zostanę tutaj, w swojej króliczej norce.

Matka rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Luca jest bardzo zmęczony, potrzebuje odpoczynku.

Przy kolacji Luca odpowiadał monosylabami. Nie czekał na kawę i Romina znowu uznała, że musi go wytłumaczyć.

- Przechodzi trudny okres. Dopiero co zrezygnował z pracy w City i rozwiódł się, a teraz nie bardzo wie, co chce dalej robić z życiem. Muszę znaleźć mu jakąś miłą dziewczynę!

- W miasteczku jest mnóstwo dziewcząt - podsunął Ca-radoc. - Młode Włoszki są bardzo apetyczne.

- Tylko nie miejscową dziewczynę! - oburzyła się Romina. - Za żadne skarby świata! Chodzi mi o osobę z nieco większą klasą!

- Nie wydaje mi się, żeby nowe małżeństwo było teraz jednym z priorytetów Luki - zauważył Bill.

- Ale jego nowe małżeństwo jest jednym z moich! Mężczyźni starają się być lepsi, gdy żyją w małżeństwie, a popatrz tylko, co wyprawia Nanni, mój brat! Przecież to prawdziwa katastrofa!

- Nikomu nie życzyłbym małżeństwa z Nannim - powiedział Bill.

- Ja chyba też nie - przyznała Romina.

Przez następnych parę dni Luca skutecznie unikał towarzystwa. Zachowywał się uprzejmie, ale trzymał na dystans. Większość czasu spędzał na lekturze nad basenem lub na spacerach po skalistej plaży, pogrążony w myślach. Mimo całego piękna Incantellarii nie zdołał otrząsnąć się z przygnębienia. Z ciężkim sercem wciąż wracał do epizodu z Marią. Ona, podobnie jak wiele innych kobiet, które spotkał, przypominała garnuszek pełen smakowitego miodu. Cóż z tego, skoro po wyjedzeniu miodu zostawał tylko pusty garnek. Dusza Luki pragnęła czegoś więcej, garnka, który zawsze pozostałby pełny miodu, który nigdy by nie znikał. Może nie był stworzony do trwałych związków, może przeznaczenie skazało go na wieczne przelatywanie z kwiatka na kwiatek.

Prawie tydzień udało mu się grzecznie odrzucać zaproszenia profesora do wspólnych wypraw do miasteczka, lecz nie mógł przeciągać tego w nieskończoność. Któregoś dnia podczas lunchu, kiedy Dizzy zaproponowała wycieczkę do Posi-tano, Luca uznał, że towarzystwo profesora będzie jednak mniejszym złem. Nie miał ochoty na spędzanie całego dnia z dwoma króliczkami.

Profesor zrobił sobie długą sjestę i obudził się dopiero o czwartej. Romina pożyczyła Luce samochód i pomachała im na pożegnanie. Powietrze wydawało się gęste od zapachu sosny i eukaliptusa, wśród gałęzi świergotały ptaki.

- Moim zdaniem, *palazzo* ma tragiczną historię - oznajmił Caradoc. - Wyczuwam ją w pokojach. Są piękne, ale emanują melancholią i czymś jeszcze, czymś, czego nie potrafię zdefiniować. Podobne wrażenie miewałem w starożytnych greckich świątyniach i pałacach. Energia wydarzeń, do których doszło w jakimś miejscu, najzupełniej dosłownie pozostawia swój odcisk w kamieniu. Jeżeli te wydarzenia były tragiczne, wydaje się, że ściany obite są smutkiem jak grubą tkaniną. Chcę odkryć przeszłość *palazzo,* koniecznie, a co dwie głowy, to nie jedna! Wchodzisz w to, mój chłopcze?

Luca uśmiechnął się mimo woli, rozbawiony entuzjazmem starszego pana.

- Wchodzę, profesorze! Gdzie chce pan zacząć?

- W centrum miasta. Pójdziemy do kościoła.

- Co spodziewa się pan tam znaleźć? - Luca powątpiewająco uniósł brwi.

Poza figurą płaczącego krwawymi łzami Chrystusa, cynicznie dodał w myśli.

- Starych ludzi - wyjaśnił profesor. - Starzy ludzie spędzają dużo czasu w kościołach. Wiedzą różne rzeczy, no i uwielbiają rozmawiać o przeszłości.

Luca pomógł profesorowi wydobyć się z samochodu i podał mu laskę.

- Daj mi chwilę na rozruszanie nóg. - Caradoc potrząsnął najpierw jedną nogą, potem drugą. - Szczęściarz ze mnie, że w ogóle je mam! W czasie wojny prawie mnie z nich zdmuchnęło!

Zaśmiał się i ruszył w stronę kościoła. Po drodze mijali butiki, aptekę, sklep mięsny, męski zakład fryzjerski i piekarnię, właśnie otwarte po sjeście. Luca zauważył małego chłopca, którego widział kilka dni wcześniej, błąkającego się wśród drzew bez wyraźnego celu, trochę jak zagubiony psiak.

W grubych murach średniowiecznego kościoła panował chłód i półmrok. Jedynym dźwiękiem był cichy szmer odmawianych szeptem modlitw. Pod ołtarzem stały stoły z migoczącymi świeczkami, których niepewny blask wydobywał z mroku marmurową postać ukrzyżowanego Chrystusa. Luca ani przez sekundę nie wierzył, że rzeźba naprawdę płakała krwią. Za „cud" niewątpliwie odpowiadał jakiś spryciarz z pojemnikiem czerwonej farby oraz upodobaniem do teatralnych efektów. Luca ruszył środkiem nawy za Caradokiem, nie mając pojęcia, czego właściwie szukają. Wnętrze pachniało rozgrzanym woskiem i kadzidłem. Przelotnym spojrzeniem omiótł freski przedstawiające sceny Narodzenia Pańskiego i Ukrzyżowania, i połyskujące pozłotą ikony. Uznał, że kaplica jest urocza i z całą pewnością tłumnie uczęszczana, co wcale go nie dziwiło w miejscowości takiej jak ta, gdzie katolicyzm był mocno zakorzeniony w samym sercu społeczności.

W ławkach siedzieli ludzie - odmawiająca różaniec staruszka, zagłębiony w modlitwie starszy mężczyzna, młoda kobieta w czarnej woalce, która przed chwilą zapaliła świecę i przymknęła oczy, skupiając się na niemożliwym do spełnienia pragnieniu. Caradoc przystanął i oparł się na lasce.

- Co teraz? - szepnął Luca, wsuwając ręce do kieszeni. Jak to się stało, że dał się wciągnąć w zwariowane poszukiwania profesora, na miłość boską?!

- Rozglądam się za najstarszą osobą. - Caradoc cicho zachichotał. - Za kimś mniej więcej w moim wieku... O, mam go!

Klęczący w ławce mężczyzna był tak nieruchomy, że śmiało można by uznać go za martwego. Zdradzało go jedynie nerwowe drganie stóp, które Luce skojarzyło się z ruchem ogona drzemiącego kota.

- Nie może pan przerywać mu modlitwy!

- Nie mam takiego zamiaru. Zaczekam, aż skończy.

- A jeśli będzie modlił się tak cały wieczór?

- Nie śpieszy mi się. - Caradoc podszedł do ławki i usiadł niedaleko mężczyzny. - Mam kilka rzeczy, które powinienem powiedzieć dobremu Bogu.

Luca nie miał innego wyjścia, tylko pójść za jego przykładem. Po chwili zobaczył, że kobieta, która zapalała świecę przy ołtarzu, podniosła się z klęczek i ruszyła w stronę drzwi. Natychmiast zorientował się, że to właśnie ją zaraz po swoim przyjeździe widział na plaży z małym chłopcem, tym samym, którego przed wejściem do kościoła dostrzegł wśród drzew. Rozpoznał ją po łagodnym, kołyszącym ruchu bioder przy każdym kroku.

- Zaraz wracam... - szepnął do Caradoca i wyszedł za nią na plac.

Teraz także miała na sobie czarną sukienkę, a jej długa woal-ka sięgała prawie pasa. Zauważył lśniące, sprężyste włosy, kształtny zarys bioder i pośladków, smukłe kostki nóg, szczupłe łydki. I zanim zdążył się zastanowić, co powinien powiedzieć, już przywitał ją po włosku. Odwróciła się, wyraźnie zaskoczona.

- Bardzo przepraszam. - Usiłował dojrzeć jej rysy pod haftowaną czarną koronką. - Nie chciałem pani przestraszyć. Niedawno przyjechałem do Incantellarii z Anglii, moi rodzice mieszkają *wpalazzo* Montelimone.

Wzmianka o pałacu przykuła jej uwagę, sprawiała teraz wrażenie bardziej zaciekawionej niż zaniepokojonej. „Świetnie - pomyślał Luca - załatwię sprawę, zanim staruszek dotrze do połowy modlitwy!".

- Staramy się dowiedzieć czegoś o historii pałacu - podjął. -Kto tam mieszkał, jakim był człowiekiem, no, rozumie pani. Chęć poznania przeszłości miej-

sca, w którym się przebywa, jest dosyć naturalna, na dodatek to taka piękna rezydencja.

- Nic nie wiem - odparła.

Jej głos był łagodny i niski jak dźwięk trzcinowego fletu. Odwróciła się i ruszyła dalej przez placyk.

- Może ma pani babcię, która mogłaby coś wiedzieć? -Luca pośpieszył za nią.

- Nie. - Nawet się nie odwróciła. - Pałac stał pusty od wielu lat, był w ruinie!

- Ale teraz został odbudowany i wygląda wspaniale! Mogłaby mi pani kogoś polecić? Może jakiegoś miejscowego historyka czy kronikarza? Czy w miasteczku jest biblioteka?

- Nie.

Luce zrobiło się głupio, że tak za nią goni.

- Cóż, dziękuję, że poświęciła mi pani trochę czasu!

Uśmiechnęła się uprzejmie. Jej drobne stopy szybko kroczyły po okrągłych kamieniach, którymi wybrukowano plac. Chłopiec wybiegł spomiędzy cienistych drzew i dołączył do niej. Luca uśmiechnął się i pomachał małemu. W dużych, brązowych oczach chłopca odmalowało się zdumienie. Zawahał się chwilę, z szeroko otwartymi ustami, a potem pobiegł za matką, która właśnie skręciła z placu w małą uliczkę.

Luca wrócił do kościoła. Sprawa nie była tak łatwa, jak mu się wydawało. Nic dziwnego, że matka nie zdołała dowiedzieć się czegokolwiek, skoro nikt nie chciał rozmawiać z nią na temat historii *palazzo.* Usiadł obok profesora.

- Założę się, że niczego się nie dowiedziałeś! - szepnął Caradoc.

- Ma pan rację. Nie chciała rozmawiać.

- Oczywiście! Pewnie pomyślała, że próbujesz ją poderwać!

- Jakże mogłaby dojść do tak absurdalnego wniosku! - zakpił Luca.

- Lepiej uważaj na mężczyzn z jej rodziny. Z Włochami nie należy zadzierać!

- Doprawdy?

- Ty jesteś tylko półkrwi Włochem, mój chłopcze, a ci południowcy mają naprawdę wrzącą krew. Na pewno niejeden stracił tu już życie z mniej istotnego powodu.

Stary Włoch zakończył wreszcie modlitwy, schował książeczkę do nabożeństwa i powoli podniósł się z ławki. Caradoc dotknął jego ramienia.

- Dzień dobry - odezwał się po łacinie. Staruszek popatrzył na niego niepewnie.

- *Buona sera* - szepnął Luca. - Proszę nam wybaczyć, że panu przeszkadzamy. Przyjechaliśmy tutaj niedawno, mieszkamy w *palazzo* Montelimone na wzgórzu. Czy moglibyśmy zadać panu parę pytań na temat historii pałacu? Pomyśleliśmy sobie, że pan może coś wie o tym miejscu.

Włoch głośno pociągnął nosem.

- Wyjdźmy na zewnątrz! - mruknął.

Sztywnym krokiem ruszył do drzwi. Caradoc i Luca wyszli za nim na plac, gdzie we trzech usiedli na ławce. Rozplot-kowane matki zabrały już swoje pociechy do domów i na skwerze panował spokój i cisza.

- Profesor Caradoc Macausland. - Profesor potrząsnął dłonią Włocha.

- Tancredi Lattarullo. A więc to wy mieszkacie w Montelimone. - Uśmiechnął się do profesora, odsłaniając czarne dziury między nielicznymi długimi, brązowymi zębami.

Ogorzała twarz Tancrediego wyglądała jak mapa radości i smutków życia, pocięta głębokimi bruzdami, przypominającymi koryta wyschniętych rzek na pustyni. Znowu pociągnął nosem.

- Zamieszkali tam moi rodzice - wtrącił po włosku Luca. - Mam na imię Luca.

- Tak, wiem, kto zamieszkał w *palazzo!* Nikt z miejscowych nigdy by się na to nie zdecydował. Pańscy rodzice muszą być bardzo odważni! - Śmiech Włocha warkotał w jego klatce piersiowej niczym stary silnik.

- Zawsze pan tu mieszkał? - zagadnął Luca.

Tancredi nie miał nic przeciwko temu, aby opowiedzieć im trochę o sobie. Luca poczęstował go papierosem i sam także zapalił.

- Mieszkam w Incantellarii od urodzenia - zaczął, wypuszczając z ust kłąb dymu. - Przeżyłem wojnę. Walczyłem za mój kraj. Widziałem rzeczy, od których krew stygnie w żyłach, ale nigdy nie brakowało mi odwagi. Byłem bohaterem. Powinni byli dać mi garść medali za to, co zrobiłem na Monte Cassino. A teraz? Popatrzcie na mnie! Nikogo nie obchodzę, nikt nie dba, co się ze mną dzieje. W tamtych czasach życie było lepsze, ludzie interesowali się sobą nawzajem, dbali jeden o drugiego. Nie to, co teraz. Dziś każdy myśli tylko o sobie, a młodzi mają gdzieś to, o co ich starsi rodacy walczyli na śmierć i życie.

- Kto mieszkał w *palazzo* podczas wojny? Kwaterowali tam Niemcy?

Tancredi potrząsnął głową.

- Pałac należał do *marchese* Ovidio di Montelimone. Markiz zachowywał się jak dumne książątko, nie zniżał się do obcowania z plebsem. Codziennie uczestniczył w odprawianej specjalnie dla niego mszy. Ojciec Dino musiał jeździć na rowerze na to wzgórze nawet w najgorszy upał, chociaż *marchese* miał szofera i lśniącą białą lagondę. Ach, jakie to było piękne auto! Mruczało zupełnie jak pantera, słowo daję! Pamiętam to wszystko tak dokładnie, jakby lagonda *marchese* przejeżdżała uliczkami zaledwie wczoraj... Poza markizem samochód miał tu tylko *sindacco,* burmistrz. Teraz samochody mają wszyscy, a ja duszę się od oparów benzyny! - Tancredi donośnie pociągnął nosem na potwierdzenie słów. - Za kierownicą ludzie przemieniają się w zwierzęta, uważają, że nic ich nie pokona! W tamtych czasach jeździło się konno albo wozem i życie było o wiele lepsze.

- Co stało się z *marchese*[7].

- Zamordowano go w *palazzo.* - Tancredi przeciągnął palcem po chudej szyi.

Luca szybko przetłumaczył szokującą informację profesorowi.

- Czy było to morderstwo w imię honoru? - zapytał Cara-doc, podekscytowany i nagle odmłodniały.

Tancredi wzruszył ramionami i zrobił tajemniczą minę.

- *Bo!* Któż to może wiedzieć? Ale mój stryj był wtedy miejscowym *carabiniere,* słyszałem więc, że *marchese* zabił Valentine, swoją kochankę, a brat Valentiny zabił jego...

- Honorowe zabójstwo - powtórzył Luca. - Nic dziwnego, że nikt nie chce rozmawiać na ten temat.

- O śmierci Valentiny pisały wszystkie gazety, ponieważ znaleziono ją w samochodzie z osławionym *mafioso* Lupo Bianco. Oboje zostali zamordowani - szef lokalnej mafii i miasteczkowa piękność w brylantach i futrze, w drodze do Neapolu, w samym środku nocy. - Tancredi uniósł brwi, rozkoszując się odkopywaniem starych plotek. - Możecie sobie chyba wyobrazić, jaka to była sensacja! Córka Valentiny, Alba, mieszka w Incantellarii. Jest Angielką, tak jak wy, ale przyjechała tu trzydzieści lat temu i już nie wróciła do Anglii. Tak to już bywa z ludźmi, którzy tu przyjeżdżają... Tak czy inaczej, na pewno nie uda się wam skłonić ją do rozmowy o Valenti-nie i *marchese.* Nikt nie lubi babrać się w brudach przeszłości. *Marchese* dostał, na co zasłużył. Valentina była światłem Incantellarii, światłem, które rozmyślnie zgasił.

- I to wszystko? - Luca wymownie rozłożył ręce. - To dlatego nikt nie chciał kupić *palazzo?*

Tancredi rzucił mu niepewne spojrzenie.

- W pałacu straszy... - wymamrotał.

- Straszy? Duch *marchese?*

- Jakżeby inaczej.

- Skąd pan wie?

- Wszyscy o tym wiedzą. Pałac stał pusty przez długie lata. *Marchese* zostawił go człowiekowi imieniem Nero, który pozwolił rezydencji zgnić, jakby było to niechciane ciastko. Po pewnym czasie Nero wyjechał. Myślę, że po prostu zabrakło mu pieniędzy. Nikt nie chciał kupić posiadłości. Nie wiem, co się stało z Nerem, ale w ciemne noce czasami widać było migotanie świecy, przesuwającej

się z jednego pokoju do drugiego. Policja kilka razy przeszukała pałac, lecz nic nie znaleziono. - Tancredi wziął głęboki oddech i na moment zawiesił głos dla lepszego efektu. - Oczywiście po miasteczku krążyły historie o krzykach, hałasach, rozmaitych postaciach. Nikt nie wątpi, że *marchese* nadal mieszka na tym wzgórzu.

- No to mama wreszcie ma swoją historię! - rzucił Luca, gdy wracali z profesorem do samochodu.

- Morderstwo! - wykrzyknął Caradoc. - I na dodatek duch! Cóż, ostatecznie jesteśmy na południu Włoch, czego innego można się spodziewać. Odwaliliśmy kawał solidnej detektywistycznej roboty, mój chłopcze! Brawo!

- Z tej Valentiny musiał być niezły numer.

- Interesująca dziewczyna! - Caradoc się roześmiał. -Wojna zmuszała ludzi do ekstremalnych zachowań. Przekraczali wszelkie granice, ponieważ nie mieli nic do stracenia. Walczyłem za króla i ojczyznę, życie było brutalne i romantyczne. Śmierć na każdym kroku, w każdym porcie inna dziewczyna. Potem wróciłem i poślubiłem ukochaną z dzieciństwa, Myrtle...

- Co się z nią stało?

- Umarła. Na raka.

- Bardzo mi przykro...

- Najlepsi umierają młodo.

- Mieliście dzieci?

- Czworo. Wszystkie są już dorosłe. A ja, odkąd przeszedłem na emeryturę, stale podróżuję. Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż oglądanie świata, myślę jednak, że zatrzymam się tu na jakiś czas. Słyszałeś, co powiedział Tancredi, prawda? Ludzie przyjeżdżają do Incantellarii i już stąd nie wyjeżdżają.

- Może napilibyśmy się czegoś na nabrzeżu? - zaproponował Luca.

- Świetny pomysł, młody człowieku! Jest tu bardzo przyjemna mała trattoria, „U Fiorellich". Można wypić espresso na tarasie, a kelnerki są piękne jak marzenie.

- To z pewnością coś dla mnie - oświadczył Luca, biorąc profesora pod ramię.

6

Alba stała z córką w cieniu, przyglądając się dwóm mężczyznom, którzy zajęli stolik na tarasie.

- To ten! - Jasne oczy Rosy rozbłysły. - Cosima mówiła, że jest wysoki, ciemnowłosy i przystojny!

- Cieszę się, że to zauważyła - westchnęła Alba. - Czas, żeby wróciła do normalnego życia. Minęły już trzy lata...

- Fantastyczny! Gdybym nie była mężatką...

- To prawdziwy cud, że twoje małżeństwo jeszcze się nie rozpadło! Oboje z Eugeniem bez przerwy się kłócicie!

- Ale po kłótni tak słodko jest się godzić... - Rosa się uśmiechnęła.

- Ciekawe, z kim on przyszedł? Z ojcem?

- Ten staruszek jest Anglikiem. Zaglądał tu już wcześniej, mieszka *wpalazzo.*

- Sama ich obsłuż, dobrze? Chcę dowiedzieć się o nich czegoś konkretnego!

Alba wycofała się do kuchni, gdzie Alfonso pocił się nad ogromnym garnkiem zupy, a jego syn Romano, ubrany w czyściutki biały fartuch i kucharską czapkę, siekał warzywa na blacie do dzielenia mięsa na środku dużego pomieszczenia. Usiadła przy małym drewnianym stoliku w kącie i zmęczonym gestem potarła czoło. Niedawno skończyła pięćdziesiąt sześć lat i nadal była piękna. Lśniące włosy opadały gęstą falą na plecy, skóra miała barwę dojrzałego miodu, chociaż promienny blask młodości ustąpił miejsca bardziej przyziemnym odcieniom. Jasnoszare oczy nadał urzekały, tak zaskakujące w twarzy kobiety Południa, a ciało było kuszące niczym apetyczna brzoskwinia. Dawniej zawsze mówiła to, co myślała i niczego nie owijała w bawełnę, ale lata i dzieci złagodziły ostre kanty jej osobowości i obdarzyły wyrozumiałością, za którą kochano ją i szanowano w tym zakątku Włoch.

Westchnęła. Sytuacja *w palazzo* bardzo ją niepokoiła. Alba lubiła Incantellarię taką, jaką była - cichą, tajemniczą, niego-niącą za rozwojem i nowoczesnością. Nie wątpiła, że przybysze wcześniej czy później sprowadzą na miasteczko kłopoty. Od czasu, gdy się pojawili, przez Incantellarię przepływał strumień gości. Starzy i młodzi, wszyscy szukali tu rozrywki. Garść przybyszów oznaczała większe pieniądze, lecz tłum niósł zagrożenie dla dotychczasowego stylu życia Alby. Czy zamierzali urządzić hotel w pałacu *marchese?* Wyobraźnia podsunęła jej widok nocnych klubów i hałaśliwych imprez na plaży, developerów i powstającego na wzgórzu osiedla dla bogaczy. Dlaczego ci ludzie nie kupili sobie posiadłości w jakimś modniejszym mieście, które miało już odpowiadającą ich wymaganiom infrastrukturę?

- Po moim trupie! - wymamrotała. - Gdzie jest ten duch, kiedy go potrzebuję?

Rosa tanecznym krokiem wyszła na taras, zalotnie kołysząc biodrami. Wypinała pupę, aby podkreślić piękną linię pleców, jej czerwona sukienka była obcisła i mocno wydekoltowana, lśniące brązowe włosy ciemnymi falami opadały na ramiona. Odziedziczyła jasne oczy, czarne rzęsy i kapryśnie wygięty łuk warg matki, po ojcu wzięła zdecydowany zarys podbródka oraz szeroką, kwadratową twarz. Doskonale zdawała sobie sprawę ze swojej urody. Większość małżeńskich kłótni, które sama prowokowała, wynikało z jej potrzeby flirtu - Eugenio był taki przystojny, kiedy wpadał w gniew, a życie byłoby potwornie nudne bez ognia ich potyczek i słodyczy zawieranych później porozumień.

Luca podniósł oczy i serce Rosy zabiło szybciej. Był piekielnie przystojny.

- Dzień dobry! - odezwała się pogodnie.

Jej pozbawiony włoskiego akcentu angielski całkowicie zaskoczył obu mężczyzn.

- Mój Boże! - wykrzyknął Caradoc. - Południowa piękność, która mówi po angielsku jak sama królowa!

- Bardzo mi miło, że tak pan uważa. Moja matka jest Angielką, ojciec Włochem.

- No tak, to wszystko tłumaczy. - Profesor pokiwał głową. - A nie mówiłem ci, Luca? Mają tu bardzo piękne dziewczyny, może nie?

- Mój przyjaciel twierdzi, że podajecie dobrą kawę.

- To nie pana ojciec? - zdziwiła się Rosa.

- Jesteśmy braćmi - zażartował Caradoc. - Nie widzi pani podobieństwa?

Rosa zachichotała.

- Faktycznie, jaka jestem głupia! Dwie kawy dla dwóch braci, tak?

- Mocne, z wrzącym mlekiem w dzbanuszku - dodał Luca. - Naprawdę wrzącym!

- Nie przyjechał pan z żoną? - zagadnęła niewinnie.

- Nie mam żony. - Luca był przyzwyczajony do takich kobiet, tyle że ta wyglądała najwyżej na dwadzieścia pięć lat.

- Jaka szkoda! - uśmiechnęła się ze współczuciem. -Mieszkają panowie w *palazzo,* prawda?

Profesor przytaknął.

- Duchy jeszcze nas nie wystraszyły!

- Och, to zwyczajne bzdury! - Rosa przewróciła oczami. -Zaraz przyniosę wam kawę i powiem wszystko, co chcielibyście wiedzieć o tym miejscu! Valentina była moją rodzoną babką.

Zauważyła, że w oczach młodszego gościa pojawił się błysk zainteresowania.

Alba wyszła do niej z kuchni.

- Kim są? - spytała.

- Młodszy ma na imię Luca, a ten starszy to jego przyjaciel. - Rosa uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Luca nie ma żony.

- Rozwodnik - rzuciła Alba.

- Skąd wiesz?

- Głos instynktu. Ma wygląd człowieka, którego niedawno włóczyła po sądach chciwa kobieta.

- Jest cudowny! - westchnęła Rosa, stawiając dwie filiżanki pod ekspresem do kawy. - Mogłabym go uszczęśliwić!

- Lepiej uważaj - ostrzegła ją Alba. - Rozwścieczysz tylko Eugenia, a ja mam już powyżej uszu waszych sprzeczek!

- Jeśli chcesz, możemy się wyprowadzić - nadąsała się Rosa.

- Och, daj spokój! Zostawiłabyś mnie samą z Cosimą?

- W tej czerni wygląda jak czarownica.

- Nosi żałobę. To jej wybór i jej prawo.

- I śmiertelna nuda dla tych, którzy muszą z nią mieszkać! Moje dzieci nazywają ją *la strega,* kiedy nie słyszy, wiesz, mamo?

- Nazywają ją wiedźmą tylko dlatego, skarbie, że słyszą, jak ty to robisz! Miej dla niej trochę współczucia!

- Powoli zaczyna mi go brakować. Sama powiedziałaś, że minęły już trzy lata...

- Ból po takiej stracie towarzyszy człowiekowi do końca życia. - Alba rzuciła córce ostre spojrzenie. - Daj Boże, żeby ciebie nigdy to nie spotkało! A teraz zanieś im kawę! I pamiętaj, że masz pracować, nie flirtować!

- Ciekawe, po kim mam te skłonności.

- Nie bądź bezczelna!

- *Papa* mówi, że musiał się z tobą trochę namęczyć.

- Co za głupstwa, byłam jego od chwili, kiedy zobaczyłam go na molo!

Alba patrzyła, jak jej córka z prowokacyjnym wdziękiem idzie przez taras. Zobaczyła, że oczy młodego mężczyzny zatrzymały się na moment na głęboko

wyciętym dekolcie Rosy i dopiero po paru sekundach przeniosły się na jej twarz. Z rezygnacją pokręciła głową. Rzeczywiście był uderzająco przystojny. Przypomniała sobie Fitzroya Davenporta, za którego prawie wyszła za mąż. Za którego mogła wyjść, gdyby miał odwagę zostać tu z nią. Dobrze pamiętała ich przygodę *wpa-lazzo.* Przekradali się przez ruiny w poszukiwaniu tajemnicy otaczającej śmierć jej matki. Jak wspaniale się bawili, wypatrując wskazówek w wilgotnych pokojach, zarośniętych pnączami i pleśnią. Później spotkali wynędzniałego, cuchnącego alkoholem i rozkładem Nera, który gnił za życia w zapisanym mu przez *marchese* pałacu. Dlaczego Nero ostatecznie zdecydował się sprzedać posiadłość? Alba miała mu to za złe. Pałac powinien pozostać ruiną - przyroda pożarłaby go z czasem, pochłonęłaby przeszłość i ciemność spowijającą wizyty matki Alby, która przychodziła tu i pozwalała, aby markiz kochał się z nią w małym domku w ogrodzie. Sama myśl o obcych spokojnie budujących nowe na przeszłości i wymazujących historię farbą i tapetą stanowiła obelgę dla pamięci Valentiny. Nero powinien był pozwolić, aby pałac rozpadł się powoli, nawiedzany przez ducha *marchese,* który niewątpliwie przechadzał się korytarzami, płonąc piekielnym ogniem własnej podłości.

A Fitz? Kiedyś naprawdę go kochała, lecz mocniejszym uczuciem obdarzyła Cosimę i Włochy. Często o nim myślała, zastanawiała się, co się z nim dzieje i czy nadal ją pamięta. Złamała mu serce. Wyjechała z Anglii i rozpoczęła nowe życie. Dwoje jej dzieci przeniosło się na północ, do Mediolanu, ale Rosa została w Incantellarii z trójką własnych maluchów, których obecność była dla Alby wielką radością. Gdyby nie Cosima i jej tragiczna przeszłość, Alba mogłaby śmiało powiedzieć, że niczego nie brakuje jej do szczęścia. Pamiętała swoją babkę, Immacolatę, oraz ołtarzyki, którymi stara kobieta czciła pamięć Valentiny i straconego na wojnie syna. Alba wciąż czuła zapach woskowych świec, którym przesycone były tkaniny w odziedziczonym przez nią domu. Immacolata prawie umarła z rozpaczy, a teraz to samo groziło Cosimie. Alba starała się zająć bratanicę prowadzeniem księgowości trattorii, za wszelką cenę oderwać jej myśli od tragedii, która ją spotkała, lecz Francesco był dla Cosimy całym światem, słońcem, księżycem, gwiazdami. Bez niego dni Cosimy naznaczone były smutkiem i poczuciem winy. Młoda kobieta nie mogła przestać myśleć o tym, że gdyby nie chwila jej nieuwagi, może by nie utonął.

Rosa chętnie usiadła na krześle, które wysunął dla niej profesor.

- Profesor Caradoc Macausland - przedstawił się. Podał jej powykręcaną dłoń, którą ujęła czubkami palców,

zupełnie jakby artretyzm był chorobą zakaźną.

- Rosa Amato - odparła.

Luca nie wyciągnął do niej ręki. Nie chciał jej zachęcać, chociaż była naprawdę śliczna. Sądząc po pierścionku i obrączce na palcu, musiała być mężatką, a lekko zaokrąglony brzuch świadczył, że była też matką.

- Luca - powiedział po prostu i dolał gorącego mleka do kawy.

- Więc jak tam teraz jest, panowie? - Rosa szeroko otworzyła oczy z zaciekawienia.

- Pięknie! - Caradoc się uśmiechnął. - Matka Luki ma doskonały gust.

- Brat mojej babki, Falco, znał *marchese* - oświadczyła Rosa. - Markiz często przyjmował w pałacu swoich kochanków, kobiety i mężczyzn, stary zboczeniec.

Ich uwagę rozproszył nagły powiew wiatru. Smuga czerni gniewnie przemknęła obok stolika i zniknęła we wnętrzu trattorii.

- O, Boże, to moja kuzynka Cosima! Nie wygląda na zadowoloną...

Luca bez trudu rozpoznał tajemniczą kobietę z kościoła.

- To pani krewna?

- Tak. Moja babka i jej dziadek byli rodzeństwem. Nie jesteśmy do siebie podobne? Może dlatego, że czarny to nie mój kolor.

Rosa wstała.

- Lepiej pójdę dowiedzieć się, co się stało... Pewnie znowu zrobiłam coś nie tak!

Zostawiła mężczyzn przy stoliku, zmuszając ich do nadstawienia uszu, ponieważ bardzo chcieli usłyszeć, co dzieje się w trattorii.

- Ciekawe, czy jest mężatką - odezwał się Luca.

- Rosa niewątpliwie jest mężatką - zaśmiał się profesor. -„Idź, piękna Różo! Powiedz jej, tej, która marnuje swój czas i moje siły, że teraz już wie, że gdy porównuję ją do tamtej, stała się w moich oczach słodka i piękna...".

- Nie Rosa! Jej kuzynka, ta w czerni!

- Ach, ten Edmund Waller! - westchnął Caradoc. - Znasz jego wiersze? Co za geniusz! Tajemnicza kobieta w czerni, tak? Pewnie wdowa. Dlatego nosi żałobę!

Luca spojrzał na niego z nadzieją.

- Naprawdę pan tak myśli?

- Myślę, że szukasz okazji, mój chłopcze.

- Jest fascynująca.

- Tylko dlatego, że nie chce z tobą rozmawiać.

- Ale zechce!

Profesor potrząsnął głową.

- Właśnie przez tę arogancj ę nigdy nie zdobędziesz kobiety, na której naprawdę będzie ci zależało!

W kuchni słowa wylatywały z ust Cosimy z prędkością karabinu maszynowego.

- Znowu wzięli jego rzeczy i porozrzucali je po całym domu! - Gestykulowała gwałtownie. - Czy muszę zamykać drzwi na klucz przed własnymi krewnymi?! Ile razy mam im powtarzać, żeby nie wchodzili do mojego pokoju?! Żeby nie ruszali jego rzeczy?! Przecież one są wszystkim, co mi po nim zostało! Pogubią je, a wtedy ze mnie też nic nie zostanie, nie rozumiecie? Czy naprawdę nikt tego nie rozumie? - Rozpłakała się.

- Usiądź, kochanie - powiedziała łagodnie Alba, pomagając jej usiąść.

Do kuchni wpadła Rosa, spięta i zirytowana.

- O co chodzi? - spytała, starając się nadać pytaniu ton szczerego zainteresowania.

- Dzieci znowu zabrały rzeczy Francesca!

Twarz Rosy natychmiast spochmurniała.

- To nieprawda! Wiedzą, że nie wolno im wchodzić do twojego pokoju!

- Więc kto to zrobił, jeżeli nie one?

- Nie wiem! - Rosa skrzyżowała ramiona na piersi. - Ale przysięgam, że moje dzieci nie są winne!

- Zapytamy je, kiedy wrócimy do domu - powiedziała dyplomatycznie Alba.

- Dobrze, pytajcie sobie! Wiem, że mam rację! Nie możesz obwiniać moich dzieci za każdym razem, gdy jedna z zabawek Francesca nagle znajdzie się w salonie!

- Trudno byłoby przecież obwiniać twojego ojca, Eugenia czy Tota, kochanie...

- Nie podoba mi się, że bez przerwy mnie o coś oskarżasz! - Oczy Rosy zabłysły twardo. - Chodzę po domu na palcach, wiecznie przerażona, że zaraz zrobię lub powiem coś, co nie przypadnie ci do gustu! Drżę, żeby moje dzieci cię nie uraziły, nie sprawiły ci przykrości albo nie zrobiły czegoś jeszcze gorszego, żeby przypadkiem nie zdmuchnęły świeczki, której płomyk cały czas podtrzymujesz! To już trzy lata, na miłość boską!

Cosima zmierzyła kuzynkę chłodnym spojrzeniem.

- Trzy lata? - powtórzyła powoli. - Twoim zdaniem trzy lata to dość długo jak na żałobę? Uważasz, że po tak długim czasie nie powinnam już cierpieć? Cóż, muszę cię zawieść... Przeżycie każdego dnia wymaga ode mnie nieludzkiego wysiłku, każda sekunda jest torturą! W każdym momencie mojego żałosnego życia odczuwam jego stratę z taką siłą, jakby ktoś pozbawił mnie kończyn! Codziennie mam ochotę skończyć ze sobą i dołączyć do niego, gdziekolwiek jest, ale boję się, boję się, bo nie wiem, czy po śmierci jest jeszcze coś...

- Och, kochanie. - Alba westchnęła, przytulając głowę Cosimy do swojego brzucha. - Francesco przebywa teraz z Bogiem.

- Mam tego po dziurki w nosie! - warknęła Rosa. - Mam dosyć tych wiecznych oskarżeń! Wyprowadzimy się i znajdziemy sobie własny dom! To śmieszne, że wszyscy tłoczymy się tutaj, ściśnięci jak sardynki w puszce!

- Nie bądź głupia - zaczęła Alba, lecz Rosa wybiegła już, z rozmachem trzaskając drzwiami.

- Przykro mi. - Cosima pociągnęła nosem. - Ale ona nie rozumie...

- Jest jeszcze bardzo młoda, skarbie! Nie doświadczyła śmierci, w przeciwieństwie do ciebie czy do mnie. Wszyscy odchodzimy i przysięgam ci, że odchodzimy do lepszego świata, naprawdę. Twój Francesco żyje w innym wymiarze.

Cosima objęła Albę w pasie i rozpłakała się gorzko.

- Gdybym tylko miała dość odwagi, żeby skończyć to wszystko.

- Znacznie więcej odwagi wymaga codzienne życie - powiedziała Alba.

Luca i profesor siedzieli na tarasie do późnego popołudnia. Przy stolikach przybywało ludzi. Z kuchni wyszła Rosa, wyraźnie zdenerwowana. Wyglądało na to, że straciła całą ochotę na rozmowę o *palazzo*. Kiedy przyniosła im rachunek, Luca uśmiechnął się do niej ze współczuciem i dał jej hojny napiwek. Z wdzięcznością skinęła głową i wróciła do nowych klientów. Zaraz potem przez salę przeszła Cosima. Twarz miała zaczerwienioną i opuchniętą od płaczu, bladą jak mgła w zestawieniu z twardą czernią sukni. Jeżeli nawet zauważyła Lucę, to udała, że go nie widzi.

- Oto i twoja piękna wdowa - rzekł Caradoc. - „Rozpacz przez pewien czas jest ślepa, i moja też taka była... Żadnemu żywemu stworzeniu nie życzę takiego cierpienia". Słowa Per-cy Bysshe Shelleya, mój drogi!

Gdy podnieśli się od stolika, Luca zauważył małego chłopca, stojącego w drzwiach kuchni i rozglądającego się dookoła oczami wielkimi jak spodki. Luca podał Caradocowi laskę i zaczekał chwilę, dając starszemu panu czas na rozpro-

stowanie nóg. Kiedy znowu podniósł wzrok, mały powoli wyjął rękę z kieszeni, rozluźnił palce i odsłonił siedzącego na jego otwartej dłoni pięknego błękitnego motyla. Luca uśmiechnął się z zachwytem. Zaskoczyło to chłopca, który jednocześnie jakby pragnął jakiejś reakcji, ale i był zdziwiony, że udało mu się ją wywołać. Luca chciał odezwać się do niego, lecz dzieciak zniknął w mrocznym kącie, robiąc przejście dla Rosy, która właśnie wyłoniła się z kuchni z tacą zastawioną parującymi talerzami.

Chłopiec zachowywał się dziwnie; sprawiał wrażenie bardzo samotnego, albo może raczej osamotnionego. Luca nie mógł przestać myśleć o nim przez całą drogę do *palazzo*.

- I co pan odkrył, profesorze? - zagadnęła Ma, odkładając igłę do haftu i przyglądając się im obu znad okularów przeciwsłonecznych. - A może powinnam zwracać się do pana per „Holmes", co?

Profesor usiadł przy nakrytym już do kolacji stole. Na tarasie nie było nikogo poza prosiakiem Porcim, który przy-truchtał po kamiennych płytach w poszukiwaniu chłodnego miejsca.

- Nie dowiedziałem się niczego, co by mnie zaskoczyło -odparł Caradoc.

- Co za nuda! - rzuciła Ma. - Uwielbiam niespodzianki. Caradoc uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Odkryłem tylko dwa morderstwa, zakazany romans oraz istnienie ducha.

- Ach, więc jednak nie było tak nudno! Proszę mówić dalej!

Profesor opowiedział jej, czego się dowiedzieli. Ma słuchała jak zaczarowana. Gdy skończył, lekko pociągnęła nosem.

- Chyba nie powinniście mówić tego Rominie. I tak jest już mocno podekscytowana, odkąd odkryła, że ktoś sypia w domku w ogrodzie! Oskarżyła o to Billa, ale on z uporem powtarza, że jest niewinny. Jeżeli teraz jeszcze usłyszy, że być może w pałacu mieszka duch, umrze na serce.

Caradoc zaśmiał się cicho.

- Byłoby to wyjątkowo niedogodne, biorąc pod uwagę, że powoli zaczynam się tu czuć jak we własnym domu!

- Ja również. - Ma usadowiła się wygodniej na leżaku, jej długi błyszczący żakiet spłynął na kamienie jak woda. - Niech pan jednak pamięta, że Romina jest Włoszką i chociaż pozornie gardzi prymitywnymi przesądami miejscowych ludzi, to przecież sama ma je we krwi. A przy okazji, Romina mówi, że w przyszłym tygodniu odbędzie się tu słynne święto, Festa di Santa Benedetta. W tutejszym kościele znajduje się figura Chrystusa, która podobno dawniej płakała krwawymi łzami, co stanowiło zapowiedź obfitych plonów. Od pięćdziesięciu siedmiu lat rzeźba nie płacze, lecz najwyraźniej nie wywarło to żadnego wpływu na zbiory oliwek czy cytryn. Wybieram się na obchody, naturalnie wyłącznie po to, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Mógłby się pan ze mną wybrać, profesorze, oczywiście z czystej ciekawości.

- Będę zaszczycony - rzekł Caradoc. - I zabiorę młodego Lucę w charakterze naszego tłumacza!

- Tylko nikomu o tym nie wspominajcie, dobrze? Niedobrze mi się robi na sam widok tego okropnego psiaka Dizzy! Wygląda jak puszek do pudru i imię ma też beznadziejne, w przeciwieństwie do swojej pani, którą trudno byłoby trafniej nazwać. Następnym razem powiem jej, gdzie może sobie wsadzić wszystkie te węglowodany, o których tyle gada! Jeżeli jeszcze trochę schudnie, po prostu zniknie, i tyle! - Ma popadła w krótkie zamyślenie. - Z drugiej strony, może byłoby to wcale niezłe rozwiązanie. Zupełnie nie rozumiem, co Romina widzi w tej parze. Ludzie, których rozmowy obracają się wokół pierwszej klasy w samolotach i jak najkrótszych przelotów, zasługują na medal za opowiadanie banałów! Tak, wybierzemy się do miasteczka tylko we trójkę. Nikomu ani słowa, pamiętajcie!

- No, które z was zabrało rzeczy Francesca z pokoju Cosimy? - Alba surowo popatrzyła na trzy małe buzie.

Stali przed nią: siedmioletni Alessandro o włosach koloru ciemnej czekolady i gładkiej jak jedwab oliwkowej skórze, pięcioletnia Olivia, która odziedziczyła urodę matki, włącznie z jej jasnoszarymi oczami, oraz trzyletnia Domenica, brązowa jak brat i psotna jak mała wiewiórka. Wszyscy troje wpatrywali się w babkę szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

- Sama widzisz! - odezwała się Rosa. - Są niewinni!

- Więc kto wziął te zabawki?

- Skąd mam wiedzieć? Może sama Cosima, tyle że teraz już tego nie pamięta.

- Wiecie, że nie wolno wam wchodzić do pokoju Cosimy, prawda? - Alba znowu skupiła uwagę na dzieciach.

Cała trójka zgodnie kiwnęła głowami i wybiegła na dwór.

- Będziesz musiała wybrać - albo ja, albo Cosima - powiedziała poważnie Rosa.

- O co ci chodzi?

- Nie mogę dalej mieszkać z nią w tym samym domu! Ona jest jak duch! Ogarnia mnie przygnębienie, kiedy widzę ją taką półżywą.

- Nie mów takich rzeczy! - przerwała córce Alba.

- Daj spokój, *mammal* Naprawdę chcesz, żeby twoje wnuki dorastały w tej zupie rozpaczy i żalu?

Alba podeszła do okna i popatrzyła na ogród. Słońce powoli zapadało w morze, do pokoju wpadał niesiony lekkim wiatrem aromat eukaliptusa i jaśminu.

- Kiedy pierwszy raz tu przyjechałam, byłam tylko trochę starsza od ciebie. - Westchnęła. - Twoja prababka Immacolata do złudzenia przypominała Cosimę, zawsze w czerni, z twarzą ściągniętą cierpieniem. W czasie wojny straciła córkę, a moją matkę, no i jednego z synów. Żyła w stanie zawieszenia między życiem i śmiercią, zupełnie jak twoja kuzynka. Miała dwa ołtarzyki, przed którymi codziennie się modliła i bez przerwy paliła świece, a w domu panowała ciężka, przesycona smutkiem atmosfera. Jednak Immacolata nie była sama. Miała syna

Falca, jego żonę Beatę, ich synka Tota, miała też prawnuczkę, Cosimę. - Alba odwróciła się do córki i ujęła jej dłonie w swoje. - Sęk w tym, kochanie, że Cosima nas potrzebuje! Jesteśmy jej rodziną, siłą, której jej brakuje. Jeżeli każdy dzień jest dla niej walką, to musimy ułatwić jej te zmagania. Któregoś dnia Cosima zrobi krok naprzód, może nawet się zakocha, kto wie. Jest jeszcze dość młoda, aby urodzić więcej dzieci. Nie zawsze będzie taka jak teraz, musisz tylko zdobyć się na cierpliwość. Wyobraź sobie, jak sama czułabyś się na jej miejscu.

Rosa spuściła głowę. **,i** - Wyobraź sobie, że to ciebie dotknęła ta strata.

- To zbyt straszne... Nie chcę sobie tego wyobrażać!

7

Na farmie na wzgórzu, która kiedyś należała do jej prababki, Cosima starannie odstawiała na miejsce wszystkie drobiazgi Francesca. Unosiła każdy przedmiot do nosa i wąchała go jak stęskniony pies. Czasami wydawało jej się, że znajdzie go śpiącego w łóżku, zupełnie jakby ostatnich trzech lat w ogóle nie było. Prawie słyszała jego oddech i czuła wypełniającą pokój obecność, ale widziała tylko wspomnienia, które trwały przy niej niczym duchy. Czuła się samotna i opuszczona. Zamykała oczy i powtarzała sobie, że chce umrzeć.

Alba siedziała na tarasie z Beatą, swoją ciotką, i obserwowała powoli tonące w morzu słońce. Od czasów Immacolaty na farmie niewiele się zmieniło. Wtedy do domu nie prowadziła wytyczona droga - trzeba było zostawić samochód pod eukaliptusem na wyższym wzgórzu i wąską ścieżką zejść na farmę. Alba i jej mąż Panfilo zrobili podjazd i rozbudowali dom, aby pomieścić w nim coraz większą rodzinę. Toto, ojciec Cosimy, ożenił się drugi raz i zamieszkał z żoną u swoich rodziców, w znajdującym się za oliwnym gajem domu swojego dzieciństwa, zostawiając Cosimę u Alby, ponieważ dziewczyna tu czuła się najlepiej. Przyrodnie rodzeństwo Cosimy, brat i siostry, założyli z czasem własne rodziny i kupili domy w pobliżu, dzięki czemu ciche dawniej zbocze rozbrzmiewało wesołym śmiechem młodych ludzi. Wszystko nadal pachniało tu po staremu, jaśminem, eukaliptusem i gardenią. Wiatr od morza niósł aromat sosnowej żywicy i dzikiego tymianku, a wieczorami, kiedy powietrze stawało się chłodniejsze, cykady i wijące gniazda ptaki próbowały zagłuszyć się nawzajem.

- Martwię się o Cosimę - odezwała się Alba, patrząc na tarzające się w trawie dzieci. - Ma trzydzieści siedem lat, powinna być szczęśliwą żoną i matką, myśleć o tych, którzy żyją i ją kochają...

- Wiem. - Beata pokiwała głową. - Dookoła niej bawią się dzieci, ale ona praktycznie ich nie zauważa. Mały Alessandro chodzi za nią wszędzie jak piesek, jakby znał przyczynę jej smutku i próbował ją pocieszyć, tymczasem ona kompletnie go ignoruje. Wiem, że dręczą ją wyrzuty sumienia, bo nie przestaje obwiniać się za śmierć Francesca. . . .

- Podobno ludzie, którzy toną, nie cierpią...

- Skąd można to wiedzieć?

- Mam tylko nadzieję, że to prawda.

- Szkoda, że Cosima nie może odwołać się do religii. - Beata odłożyła koszulę, na której naszywała łatę, i zmarszczyła gładkie czoło. - Gdyby wierzyła w Boga, wiedziałaby, że Francesco jest pod jego opieką, tak samo jak Immacolata i mój najdroższy Falco.

- I Valentina - łagodnie dorzuciła Alba.

Jej rodzina nadal miała trudności z wypowiadaniem imienia jej matki, zupełnie jakby było bluźnierstwem.

- Niestety, Cosima straciła wiarę - podjęła po chwili. -Śmierć często zbliża człowieka do Boga, ale odejście Francesca oddaliło Cosimę od Stwórcy...

- Musimy przyjmować to, co nam się przydarza. Kto może twierdzić, że zna Boże plany?

- Wiesz, co powiedziała mi dziś Rosa?

- Że chce się wyprowadzić? Nie słuchaj jej, Albo! Rosa jest uparta i pełna namiętności, całkiem jak ty w jej wieku. Ma trudny charakter i nic dziwnego, że nie jest zachwycona, że jej kuzynka znajduje się w centrum uwagi. Ostatecznie to właśnie Rosa stanowiła zawsze temat rozmów całej rodziny. Była hałaśliwa, gadatliwa, pełna życia i emocji, no i o wiele młodsza od Cosimy, więc wszyscy psuliśmy ją bez umiaru. Teraz musi patrzeć, jak troszczymy się o Cosimę, która chodzi w czerni, zapłakana i cierpiąca.

- Sądzisz, że Cosima zanadto sobie pobłaża?

- Nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego o mojej wnuczce! Jak mogłabym osądzać młodą kobietę, której runął cały świat? Współczuję jej z całego serca! - Beata przeżegnała się pośpiesznie.

- W przyszłym tygodniu przypada uroczystość świętej Benedetty. Muszę namówić ją, żeby z nami poszła!

Beata znowu sięgnęła po szycie.

- Figura nie płakała krwawymi łzami od ponad pięćdziesięciu lat. Ostatni raz zdarzyło się to, gdy poznali się twoi rodzice. Twój ojciec wspaniale wyglądał w mundurze brytyjskiej marynarki wojennej. Ach, tworzyli tak piękną parę!

- Ale już rok później, w dzień przed ich planowanym ślubem, figura nie zapłakała... Tego samego dnia zamordowaną Valentine znaleziono na drodze do Neapolu, ubraną w futro, z brylantami na szyi, u boku Lupa Bianco.

- I chociaż figura już nie płacze, nadal obchodzimy rocznicę cudu.

- Bo nigdy nie wiadomo, czy cud jednak się nie powtórzy!

- Bóg chadza tajemniczymi ścieżkami. Tak czy inaczej, musisz zająć swoje miejsce w czasie obchodów, tak samo jak robiła to twoja babka. Jesteś potomkinią świętej Benedetty.

- Trudno mi będzie zachować powagę, Beato! Oni wszyscy traktują to tak poważnie. Przeżywają gorzkie rozczarowanie, kiedy oczy Chrystusa pozostają suche. Moim zdaniem, cały ten cud był niezłą sztuczką, i tyle! Ojciec Dino posłużył się odrobiną keczupu.

- Niech Bóg ci przebaczy! - Beata stłumiła uśmiech, lecz kąciki jej ust uniosły się lekko.

- O, jesteś, Cosimo! - zawołała Alba na widok bratanicy. -Wszystko wróciło już na swoje miejsce?

- Tak, dziękuję. - Cosima usiadła w wiklinowym fotelu, który dawniej należał do Immacolaty. - Wszystko jest tam, gdzie być powinno.

Alessandro przerwał zabawę i znieruchomiał z poważną buzią, nie odrywając wzroku od ciotki. Potem, poruszony uczuciem, którego nie rozumiał, zerwał różę i podszedł do niej.

- Dla ciebie... Cosima ściągnęła brwi.

- Dla mnie?

- Tak. Od Francesca.

Oczy Cosimy wezbrały łzami. Przez chwilę nie była w stanie wydobyć głosu. Alba rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Beacie. Obie wstrzymały oddech, czekając na reakcję Cosimy i spodziewając się najgorszego, lecz ona przyjęła różę z bladym uśmiechem. Kwiat był żółty, w ulubionym kolorze Francesca. Cosima popatrzyła na Alessandra z tak wielką czułością, że jego serce zadrżało, i musnęła policzek chłopca czubkami palców.

- Dziękuję, *carino*...

Alessandro zaczerwienił się gwałtownie i zerknął na babkę, szukając u niej aprobaty.

- To bardzo miły gest, kochanie - powiedziała zachęcająco Alba.

- Kochany z ciebie chłopiec - przytaknęła Beata, szczęśliwa, że Cosima przyjęła kwiat w tak łagodny sposób.

Alessandro wrócił do swojego rodzeństwa i kuzynów, zajętych zabawą w oliwnym gaju.

- Naprawdę mnie wzruszył... - Cosima ujęła kwiat kciukiem i palcem wskazującym. - Miło, że chciał mnie przeprosić.

Alba cieszyła się, że Rosa tego nie słyszy. Zdaniem Rosy jej dzieci nigdy nie miały za co przepraszać.

- Żółty to jeden z twoich kolorów. - Była zmęczona oglądaniem bladej i mizernej siostrzenicy wyłącznie w czerni. -Pamiętasz tę ładną sukienkę w drobne żółte kwiatki?

- Wisi w szafie - odparła Cosima.

- Nie wydaje ci się, że już dość długo nosisz czarne ubrania?

Twarz Cosimy przybrała twardy wyraz.

- Nigdy więcej nie włożę kolorowych rzeczy - oświadczyła. - Byłoby to obelgą dla pamięci Francesca. Do końca życia nie przestanę go opłakiwać!

Cosima emanowała tak wielkim napięciem i rozpaczą, że ludzie bali się do niej zbliżyć. Wszystko mogło wydać jej się obraźliwe, wszystko mogło ją zranić. Beata miała słuszność -pozwolili jej na nadmierną pobłażliwość wobec samej siebie i teraz należało położyć temu kres, w przeciwnym razie ponury nastrój młodej kobiety może zaszkodzić całej rodzinie.

Dobrze, że właśnie w tej chwili furgonetka Panfila zatrzymała się pod eukaliptusem, powstrzymując Albę przed wypowiedzeniem na głos tych obaw. Wszystkie trzy usłyszały warkot silnika i ujadanie Garibaldiego, psa Panfila.

- Och, jaka miła niespodzianka! - Alba wstała. - Myślałam, że przyjedzie znacznie później!

Zostawiła Cosimę i Beatę na tarasie i obeszła dom dookoła, aby przywitać męża.

Garibaldi zeskoczył z tyłu furgonetki i popędził ścieżką w dół tak szybko, jak pozwalały mu na to krótkie nóżki, z zapałem merdając obciętym ogonem. Alba schyliła się i poklepała swoje kolana, wołając psa, który rzucił się na nią z radosnym skowytem. Roześmiała się, patrząc jak podniecony Garibaldi biega dokoła niej.

- Witaj, żono! - zawołał Panfilo, idąc ku niej ścieżką razem z Totem. - Spójrz, kogo zabrałem po drodze!

- Cześć, Toto! - Alba pomachała gościowi.

Potem jej wzrok spoczął na mężu i natychmiast poczuła, że całe jej ciało ogarniają ciepłe promienie miłości, zupełnie jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Panfilo, mimo sześćdziesięciu siedmiu lat nadal był niezwykle przystojny. Miał srebrzyste włosy do ramion, szerokie, poorane głębokimi zmarszczkami czoło i długi rzymski nos nad dużymi, zmysłowymi wargami. Jego oczy były turkusowe, otoczone siecią zmarszczek wypełzających aż na skronie, pogodnie roześmiane. Był wysoki i solidnie zbudowany, o wysmaganej wiatrem, zbrązowiałej od słońca skórze i dużych, czułych dłoniach. Alba uśmiechnęła się promiennie do męża, który szedł do niej z torbą na aparat fotograficzny przewieszo-

ną przez ramię. Drugim ramieniem objął ją w talii i pocałował, starając się przedłużyć pieszczotę.

- Tęskniłem za tobą - zamruczał, ogarniając wzrokiem jej twarz.

- Praca to praca! - rzuciła lekko. - Ja też tęskniłam.

- Co słychać? - Panfilo miał na myśli przede wszystkim Cosimę.

- Bez zmian. - Alba zrobiła minę bardziej wymowną niż słowa, którymi mogłaby się posłużyć. - Co z twoim samochodem, Toto? - zwróciła się do kuzyna.

- Zostawiłem go u Gianniego. Hamulec znowu nawala.

- To część, którą rzeczywiście warto naprawić! - Roześmiała się. - Nie chcielibyśmy, żebyś spadł z klifu do morza!

- Słyszałem, że ci ludzie *zpalazzo* przyszli na kawę - powiedział Toto. - Rosa była tym okropnie podekscytowana!

- Na pewno o wiele bardziej niż ja - odparła Alba. - Moim zdaniem z tej znajomości nie wyniknie nic dobrego!

- Nie jesteś ich choćby odrobinę ciekawa? - drażnił się z żoną Panfilo, mocniej obejmując ją w pasie. - Nie kusi cię, żeby zobaczyć, co zrobili?

- Niby dlaczego? Mój własny wuj popełnił tam morderstwo. Pałac powinien zostać zniszczony, a nie odbudowany przez ludzi, którzy mają za dużo pieniędzy i zero taktu!

- Pewnie nie znają tej historii - zauważył Toto.

- Więc ktoś powinien im opowiedzieć!

- Ja tam jestem naprawdę ciekawy, jak teraz wygląda pałac - przyznał się Panfilo.

- To dlatego, że specjalizujesz się w fotografowaniu wnętrz - oceniła Alba. - Podejrzewam, że ciągnie cię tam właśnie w tym celu...

Panfilo milczał. Alba odwróciła się i spojrzała na niego.

- Panfilo?

Wzruszył ramionami, przyznając się do winy.

- Praca to praca.

- O, nie! Po moim trupie!

- Nie musisz wybierać się tam ze mną. Myślałem, że będziesz zadowolona, skoro mogę pracować w pobliżu domu zamiast podróżować po świecie...

- Ale przecież tu chodzi o *palazzo* Montelimone!

- To nie to samo miejsce, które znałaś trzydzieści lat temu, kochanie. Nie wiesz nawet, czy Nero miał coś wspólnego ze sprzedażą posiadłości. Całkiem możliwe, że umarł dawno temu albo wyprowadził się na drugi koniec świata. Ta historia należy do przeszłości, i tyle!

- Jednak ty masz zamiar znowu ją odgrzebać!

- Mam zamiar wykonać zdjęcia, nic więcej.

- A kto napisze artykuł, który ukaże się razem ze zdjęciami?

- Co za różnica? Tak czy inaczej, będzie to dotyczyło pałacowych wnętrz...

- Więc przyjąłeś zlecenie od magazynu „House and Gar-dens"?

Panfilo odwrócił wzrok.

- Nie - odparł.

- I dobrze wiesz, że tematem tekstu nie będzie wystrój wnętrz, prawda?

- To nie moja sprawa. Ja robię tylko fotografie.

- Co to za gazeta?

Panfilo zerknął na Tota, który uśmiechnął się z rozbawieniem i pokręcił głową, a potem wsunął ręce do kieszeni i taktownie ruszył przodem, zostawiając małżonków samych.

- „Sunday Times".

- „Sunday Times"! - Alba cofnęła się gwałtownie. - Chyba masz świadomość, że to oznacza współpracę z bardzo dociekliwymi reporterami?

- I co z tego? Jeżeli ja nie zrobię tych zdjęć, zrobi je ktoś inny!

Alba podniosła rękę i położyła dłoń w zagłębieniu pod obojczykiem.

- Boże, przecież oni znajdą wszystkie informacje, wykopią je spod ziemi! Może nawet dowiedzą się, że Falco nie działał sam, kiedy postanowił zabić markiza!

- Nie ma żadnych dowodów świadczących o winie Falca, a cóż dopiero o współudziale kogoś jeszcze! Nie martw się, twój ojciec jest zupełnie bezpieczny, daję ci słowo!

Rosa liczyła, że przystojny Luca wróci do trattorii, ale mimo jej ładnej czerwonej sukienki i perfum Yves'a Saint Laurenta, które dostała od Eugenia na ostatnią Gwiazdkę, atrakcyjny przybysz nie pokazał się więcej. Rosa była tym szczerze zdziwiona. Ostatecznie była przecież miejscową pięknością i stale porównywano ją do babki, legendarnej Valentiny. Zostawała nawet po godzinach, wiedziona nadzieją spotkania z Lucą. Powtarzała sobie, że niewinny flirt to absolutnie zdrowa rozrywka, nie miała jednak zamiaru ryzykować przyszłości małżeństwa po raz drugi, po tym, jak wcześniej zdołała uniknąć konsekwencji pierwszej zdrady. Jeden kęs zakazanego owocu to sama przyjemność, ale przesada nie służy nikomu.

Odkąd jej dzieci zostały oskarżone o „przestępstwo", którego nie popełniły, Rosa prawie nie odzywała się do Cosimy. Obie jadły śniadanie na tarasie, pod baldachimem z pnączy, razem z Albą, Panfilem, Eugeniem i dziećmi, zgodnie zachowując się tak, jakby się nawzajem nie widziały. Rosa miała już po dziurki w nosie chodzenia na paluszkach dookoła kuzynki, zdawała też sobie sprawę, że sama obecność jej dzieci musi sprawiać Cosimie dotkliwy ból. Ale czy przypadkiem nie nadszedł już czas, aby Cosima włożyła ładną sukienkę, upięła włosy, podkreśliła kosmetykami policzki i wargi i znowu rzuciła się w otwarte ramiona

świata? Jeśli Cosima będzie ciągle odkładać powrót do normalnego życia, żaden mężczyzna nie zechce się z nią związać. Francesco leżał w grobie i nie było najmniejszych szans, aby celebrowanie żałoby po nim mogło coś w tej kwestii zmienić.

Wydawało się, że Alba nie dostrzega coraz większej przepaści, dzielącej obie młode kobiety. Była potwornie zdenerwowana rozmową z Panfilem na temat zdjęć *palazzo,* a przecież Panfilo tylko drażnił się z nią, bo wiedział, że w końcu i tak zrobi, co zechce. Rosa nie miała pojęcia, dlaczego jej matka w tak emocjonalny sposób podchodzi do tej sprawy. Ostatecznie tamte zdarzenia miały miejsce przed trzydziestu laty i Rosa nie mogła się nadziwić, że Alba sięga pamięcią aż tak daleko.

Rosa powiedziała mężowi, że chce się wyprowadzić, chociaż świetnie wiedziała, że nie jest to możliwe. Nie mieli pieniędzy na zakup własnego dużego domu, a tylko duży dom mógł usatysfakcjonować Rosę. Eugenio zarzucił jej brak wyczucia i wrażliwości, natomiast ona jemu brak lojalności i miłości. Sprzeczka szybko przerodziła się w gwałtowną kłótnię. Jeżeli Rosa obawiała się, że jej małżeństwo stanie się nudne i przewidywalne, to z pewnością ożywiała je scenami pojednania, zadowolona, że namiętność nadal żarzy się w jej związku i często bucha gorącym płomieniem. Nie zastanawiała się, jaką cenę płaci jej mąż za konieczność bezustannego zapewniania o swoim uczuciu i kompletnie nie zdawała sobie sprawy, że te wybuchy pretensji i namiętności mocno go męczą. Pensja policjanta była niewielka, a Rosa, niczym sroka, uwielbiała błyszczące drobiazgi. Eugenio doskonale znał upodobanie żony do pięknych rzeczy i dobrze wiedział, że nie jest w stanie go zaspokoić.

8

Luca siedział na plaży i wpatrywał się w morze. Rozkoszował się samotnością i nowym uczuciem wolności, jakie dała mu Incantellaria. Wszystko, co wiązało się z tym miejscem, sprawiało mu przyjemność, od głośnego świergotu ptaków po cudowny aromat płodności, unoszący się z ziemi razem z zapachami rosnących wśród wysokiej trawy leczniczych ziół. Radość czerpał nawet z widoku wpływających do portu i opuszczających go małych niebieskich rybackich łodzi. Jego skóra chciwie chłonęła promienie słońca, gdy wylegiwał się nad basenem, i szybko straciła blady miejski odcień. Sypiał dłużej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwudziestu lat i jego sny stopniowo stawały się coraz spokojniejsze, aż wreszcie w ogóle przestały go nawiedzać.

O zmierzchu wybrał się na spacer po kamienistej plaży, na którą prowadziła biegnąca w dół zbocza kręta ścieżka. Cykady grały w zaroślach, a rozlegający się od czasu do czasu szelest trawy zdradzał obecność królika lub węża. Luca czuł się naprawdę dobrze w samotności, otulony miękkim pledem nocy. Zmęczony długim spacerem, usiadł na płaskim kamieniu i oparł głowę na kolanach.

Myślał o Frei z tęsknotą, jaką budzi brak tego, co znajome i wygodne. Żałował, że wiele lat temu był zbyt młody i głupi, aby zatrzymać ją przy sobie. Myślał również o Annabel, pozbawionych uczucia chwilach namiętności, które z nią przeżył, i nudnym strumieniu podobnych, bezsensownych związków. Myślał o Claire i dziewczynkach, i o tym, jak bardzo je zawiódł.

Kiedy nie pracował, jego życie przypominało karuzelę imprez, kolacji w drogich restauracjach, koktajlowych przyjęć w modnych klubach, weekendów w Saint-Tropez i w szwajcarskich Alpach oraz związków budowanych na kruchych fundamentach bogactwa i statusu. Karuzela wirowała coraz szybciej, przy narastającym hałasie i gwarze, aż wreszcie rozwód zatrzymał ją gwałtownie. W ciszy, która teraz go otaczała, miał w końcu możliwość przyjrzeć się swojemu życiu. Ekstrawagancja i marnotrawstwo budziły w nim obrzydzenie. Jego przyjaciele podzielili się na dwa obozy, tych, którzy popierali Claire, oraz tych, którzy przyznawali słuszność jemu, lecz większość po prostu się ulotniła, pochłonięta pla-

nowaniem przyjęć oraz innych towarzyskich zajęć. Kiedy raz w tygodniu odbierał dziewczynki ze szkoły, widział swoje odbicie w oczach pełnych dezaprobaty matek. Dopiero tutaj, w Incan-tellarii, zrozumiał, że nie chce dłużej być człowiekiem, którego zostawił w Londynie.

Gdy wrócił do rzeczywistości, był wczesny ranek. Zamrugał i podniósł się sztywno. Spojrzał na zegarek. Była piąta. Przeciągnął się i poczuł, jak krew zaczyna szybciej krążyć w ciele. Długą chwilę stał nieruchomo, obserwując wschód słońca, którego piękno napełniło mu duszę tęsknotą. Nagle zapragnął zanurzyć dłonie w ziemi, zakopać w niej jakieś nasionko i patrzeć, jak kiełkuje i rośnie. Chciał stworzyć coś namacalnego i trwałego, nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić i od czego zacząć.

Kiedy wrócił do *palazzo,* matka wykonywała ćwiczenia jogi na tarasie.

- Co robisz o takiej porze, na miłość boską? - zapytała, nie zakłócając pozycji lotosu.

Miała na sobie długą białą koszulę i białe lniane spodnie. Była boso, pomalowane szkarłatnym lakierem paznokcie ostro odbijały od białego tła.

- Mógłbym zadać ci to samo pytanie.

- Codziennie rano ćwiczę jogę. Oczyszczam w ten sposób myśli i uspokajam emocje, przygotowuję się na czekający mnie dzień.

- Myślałem, że nie wierzysz w takie bzdury!

- Przecież to taka sama forma aktywności fizycznej jak każda inna!

- Chyba że zaczniesz kwitować.

- Nie wydaje mi się, żebym miała pogwałcić prawo grawitacji, jestem chyba zbyt przyziemna.

Luca parsknął śmiechem.

- Byłem na plaży.

- Jest przepiękna, prawda? - Romina się rozpromieniła. -Incantellaria to magiczne miejsce! Nigdy więcej nie chcę wracać do tego ponurego, szarego Londynu!

- Doskonale cię rozumiem. Mieszkasz teraz w raju, mamo.

- W raju, który ma zostać sfotografowany dla „Sunday Ti-mesa"! - oznajmiła z dumą. - Leyton Hughes przyjechał tu niedawno na weekend i zakochał się w Incantellarii oraz w naszym *palazzo.* I wiesz co?

Zbyt podekscytowana, by kontynuować ćwiczenia, pod- niosła się, rzuciła matę pod ścianę i usiadła na krześle obok syna.

- Zgadnij, kto będzie robił zdjęcia!

- Nie mam pojęcia... Kto taki?

Romina wzięła głęboki oddech.

-Panfilo Pallavicini! - powiedziała, dobitnie artykułując każdą sylabę imienia i nazwiska.

Luca spojrzał na nią niepewnie.

- Nie wiesz, kim jest Pallavicini, skarbie? - Ze zgorszeniem klasnęła językiem o podniebienie. - To najsławniejszy fotograf wnętrz w całych Włoszech! Nie ma nikogo, kto mógłby się z nim równać! Na dodatek Pallavicini jest zabójczo atrakcyjny. Leyton obiecał, że załatwi mi sesję zdjęciową właśnie z nim!

- Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowana.

- Mam całkowite zaufanie do Leytona, dałam mu najlepszą sypialnię z widokiem na morze! Uwielbia mnie, a jego żona po prostu oszalała na punkcie Porciego. Bawiła się z nim cały weekend, prosiak chodził za nią jak piesek.

- Kiedy czeka nas ta sesja zdjęciowa?

- Zaplanowana jest na czerwiec, ponieważ fotografie muszą ukazać się we wrześniowym wydaniu. Przygotowują magazyn z dużym wyprzedzeniem, materiały do grudniowego robią w lecie. Wyobrażasz sobie, jak trudno jest stworzyć gwiazdkową atmosferę w upale? Tak czy inaczej, dziennikarka „Sunday Timesa"

przyjedzie za parę tygodni i spędzi u nas cały weekend, żeby dobrze uchwycić ducha Montelimone. Może ty i Caradoc moglibyście pomóc jej trochę w gromadzeniu informacji. Dowiedziałeś się już czegoś o przeszłości *palazzo*[7]

Luca wzruszył ramionami.

- Tylko tyle, ile sama wiesz...

- Och, jesteś bezużyteczny! Co robiłeś? Przez całe popołudnie piłeś kawę?

- Coś w tym rodzaju. Profesor jest bardzo miłym kompanem.

- A nie mówiłam? Może i jesteś dorosły, ale czasami matka naprawdę wie najlepiej, wierz mi! No, nie szkodzi, dziennikarka może sama poszukać informacji, ostatecznie za to jej płacą, prawda? Niech zapracuje na pensję!

- Może odkryje, kto sypia w domku w ogrodzie.

- Nie wspominaj o tym miejscu! To ojciec, rzecz jasna, tyle że za nic nie chce się przyznać! Woli udawać, że wcale się nie starzeje i nie potrzebuje drzemki w ciągu dnia! - Romina roześmiała się głośno. - Przyłapię go tam na gorącym uczynku i wtedy dopiero będzie mu wstyd!

- A jeśli to duch? - zakpił Luca.

- Dajże spokój, wszyscy uparliście się, że mamy tu ducha! Dizzy mówi, że widziała jakiegoś mężczyznę idącego przez ogród w środku nocy, a ta głupia Ventura cały czas skarży się, że w pałacu straszy!

- Nie wierzysz w duchy?

- Oczywiście że nie! Nie chcę wierzyć! Twoja babka... -Zawahała się. - Och, nie mówmy o niej! Gdyby ktoś miał wrócić jako duch, to właśnie moja matka, a przecież od swojej śmierci nie dała najmniejszego znaku, że tu jest! Wierz mi, jeżeli byłaby po drugiej stronie, całe Włochy słyszałyby jej głos. Wiara w duchy to coś dla prostaczków, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko rozglądanie się za istotami nie z tego świata.

Luca się podniósł.

- Gdzie idziesz? - spytała z niezadowoleniem Romina, bo miała nadzieję na towarzystwo przy wczesnej kawie.

- Do łóżka! - ziewnął szeroko.

- Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie spałeś? Co robiłeś na plaży, na miłość boską?!

- Medytowałem.
Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Czy bankierzy w wolnym czasie zajmują się medytowaniem?

- Nie jestem już bankierem.
Romina pokręciła głową i zwinęła matę do jogi.

- Można pozbawić bankiera pracy w banku, ale nie da się pozbawić go cech bankiera!

Na taras przy odgłosach prychania wybiegł Porci, skutecz- jnie rozpraszając uwagę pani domu. Luca wykorzystał ten moment i wymknął się, zostawiając matkę z ukochanym prosiakiem na kolanach. Uciekł do swojego pokoju i wskoczył do łóżka. Zasnął natychmiast, ledwo dotknął głową poduszki.

Kiedy się obudził, był już środek dnia. Z tarasu niósł się ostry głos Ma i piskliwy chichot Dizzy, przerywane mądrymi wtrętami profesora. Chwilę leżał nieruchomo, rozkoszując się ciepłym wiatrem, który wpadał do pokoju przez Lucę między żaluzjami, oraz świadomością, że nie musi wstawać o świcie, żeby pędzić do pracy. Wcale nie brakowało mu gęstych chmur spalin, warkotu silników i sygnału klaksonów, składających się na gorączkowy rytm serca City. Czuł się znacznie młodszy. W spokojnej atmosferze nowego życia zaczynał odnajdywać te zakątki swojego „ja", o których istnieniu zdążył już zupełnie zapomnieć.

Pomyślał o Cosimie i przywołał z pamięci obraz jej mokrej od łez, rozzłoszczonej twarzy w chwili, gdy wpadła do tratto-rii. Magnetyzm jej żałoby i oczywistej furii sprawił, że mimo woli spróbował wczuć się w jej sytuację. Była zbyt młoda, aby przez cały czas chodzić w czerni i zbyt atrakcyjna, by ignorować kręcących się wokół niej mężczyzn. Fakt, że odrzuciła go bez chwili wahania, gdy

usiłował nawiązać z nią rozmowę, napełnił go silnym pożądaniem. Nie przywykł do kobiet, które nie zwracały na niego najmniejszej uwagi.

Wstał z łóżka, wziął prysznic i wyruszył na poszukiwanie matki.

- Mogę pożyczyć twój samochód? - spytał. - Chcę pojechać na kawę do miasteczka.

- Nie musisz jechać do miasteczka, kochanie, sama zaraz zaparzę ci kawę! - Romina nie była w stanie wyobrazić sobie, dlaczego ktokolwiek miałby chcieć opuszczać *palazzo.*

- Lubię posiedzieć tam nad morzem. : Rzuciła mu domyślne spojrzenie.

- Ładne dziewczyny. - Mrugnęła do Ventury. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami! No to jedź, skarbie! Możesz zatankować benzynę, skoro już tam będziesz.

Patrzyła za nim chwilę z uczuciem ogromnej dumy. Był taki wysoki i przystojny, miał takie szerokie ramiona i proste plecy... Przydałaby mu się tylko ładna Włoszka, która kochałaby go i opiekowała się nim. Claire przeistoczyła się w chciwą, samolubną i niewdzięczną istotę.

- Słuchaj, moja droga! - zwróciła się do Ventury, wyrzucając z głowy obraz Claire. - Musisz przezwyciężyć swój lęk przed wchodzeniem na piętro! Duchy istnieją wyłącznie w twojej wyobraźni. Musisz nad nią zapanować albo poszukać sobie innej pracy! Nie życzę sobie, żebyś straszyła pokojówki, więc weź się w garść, chyba że wolisz odejść! Ventura popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Ale ja wiem, że ktoś tam jest!

- Dom jest pełen gości, nic dziwnego, że słyszysz kroki!

- Ludzie mówią, że tu straszy...

- Kto tak mówi?

- Wszyscy.

- To plotki! W pałacu przez wiele lat nikt nie mieszkał! Nie wierz w gadaninę wieśniaków, którzy nie mają do roboty nic poza rozsiewaniem głupich pogłosek!

Ventura próbowała się odezwać, lecz Romina uciszyła ją machnięciem dłoni.

- Dosyć tego! - oświadczyła władczo. - Idź już i posprzątaj w pokojach! I nie chcę słyszeć ani słowa więcej o duchach!

Przez całe dzieciństwo bez przerwy słuchałam opowieści o duchach - pomyślała gniewnie. - I więcej nie chcę!

Luca zaparkował samochód na *piazza*. Na małym placyku panował ogromny ruch. Kawiarnia, gdzie poznał Marię, pełna była klientów, którzy siedzieli przy okrągłych stolikach pod zielonymi parasolami. Kelnerzy w białych koszulach, czarnych spodniach i kamizelkach przyjmowali zamówienia i rozlewali wino do dużych kieliszków. Z hotelu wyszła grupka starszych turystów, na trawniku bawiły się dzieci, a ich matki i babki plotkowały na ławkach. Wszędzie dawało się wyczuć odświętną atmosferę i Luca zastanawiał się, co było tego powodem.

Prowadząca na nabrzeże wąska uliczka zapchana była samochodami i skuterami, których właściciele z furią naciskali klaksony, ponaglając blokującego wylot kierowcę. Dzieci biegały po plaży, oglądając łodzie i zaczepiając kręcących się przy nich ludzi. W restauracjach przybywało gości, zwłaszcza na tarasach, ponieważ wszyscy chcieli siedzieć na zewnątrz. Luca zobaczył, jak do portu wpływa wyładowana turystami łódź, i postanowił zająć miejsce w trattorii, zanim wszystkie będą zajęte.

Kiedy wszedł, Rosa przyjmowała właśnie zamówienie. Drżącym z podniecenia głosem natychmiast przywołała Tota.

- Zaprowadź Lucę do jakiegoś przyzwoitego stolika! To nasz specjalny gość!

Mrugnęła do niego zalotnie. Luca uśmiechnął się w odpowiedzi, bo radość życia Rosy była zaraźliwa. Toto wskazał mu stolik na brzegu tarasu, obok dużej kamiennej donicy z czerwonym geranium.

- Stąd można spokojnie się przyglądać, jak świat mija nas powoli - powiedział.

- Co się dziś dzieje? - zapytał Luca. - Macie jakieś święto? Toto wzruszył ramionami.

- Nic szczególnego, zwyczajna sobota...

- Oczywiście, przecież to weekend! Żyję na innej planecie.

Luca usiadł, rozbawiony, że aż do tego stopnia stracił poczucie upływu czasu. Odkąd nie miał nic do roboty, wszystkie dni wydawały mu się identyczne.

- Nie jest pan stąd? - zagadnął Toto, któremu trudno było zlokalizować włoski akcent gościa.

- Nie, mieszkam w Londynie - odparł Luca.

- I tak dobrze mówi pan po włosku?

- Moja matka jest Włoszką. Mieszka w *palazzo.*

- W *palazzo* Montelimone! - Toto gwizdnął cicho. - To dopiero miejsce!

Słowa Luki zupełnie zbiły go z tropu i teraz bezskutecznie szukał w myśli czegoś do powiedzenia.

- Co chce pan zamówić? - zapytał w końcu.

Obok stolika jak spod ziemi wyrosła Rosa w szkarłatnej sukience.

- Ja przyjmę zamówienie! - rzuciła, odprawiając Tota lekkim szturchnięciem bioder.

Toto wycofał się potulnie, aby zaprowadzić do stolików grupę, która właśnie przybyła z Sorrento.

- Co pan zamawia? - Uśmiechnęła się promiennie. - Polecam karmazyna! Świeżutki, dziś złowiony!

- Chciałem tylko napić się kawy.

- Nie może pan nic nie zjeść! Taki duży mężczyzna, który jeszcze rośnie! Poza tym trattoria Fiorellich słynie z dobrej kuchni, chyba pan słyszał! Moja prababka przekazała przepisy mojej matce, a ona nauczyła mnie, jak gotować. Pilnie

strzeżemy naszych tajemnic, nie bez przyczyny! Może ja coś dla pana wybiorę? No, proszę, niech pan nie odmawia.

Luca zrezygnował z walki, nie miał zresztą nic szczególnego do roboty.

- Dobrze! - zgodził się, oddając jej menu. - Proszę coś dla mnie wybrać. Napiję się też wina. Kieliszek greco di tufo, dobrze schłodzonego!

- Świetnie! - Posłała mu długie, znaczące spojrzenie. Luca usadowił się wygodnie. Lubił obserwować innych, głównie dlatego, że wcześniej nigdy nie miał na to czasu. Teraz zwracał uwagę na otaczających go ludzi, poczynając od ubioru po drobne gesty, którymi się porozumiewali. Usiłował odgadnąć łączące ich relacje, nastroje i dynamikę związków.

Gdy Rosa przyniosła wino, z przyjemnością pociągnął mały łyk.

- Smakuje panu? - spytała.

- Jest doskonałe. - Zdjął przeciwsłoneczne okulary, odsłaniając błękitne oczy barwy odpoczywających na piasku rybackich łodzi. - Nadal tkwi pani w tarapatach? - Uśmiechnął się, spragniony informacji o jej tajemniczej kuzynce.

- Cosima zawsze ma do mnie o coś pretensje.

- Od dawna jest w żałobie?

- Od bardzo dawna! Minęły już trzy lata... Najwyższy czas, żeby wreszcie włożyła ładną sukienkę i poszukała sobie męża! - Rosa pociągnęła nosem. - Jeśli trochę się postara, czasami całkiem ładnie wygląda!

Lucę rozbawiła niepohamowana złośliwość młodej kobiety.

- Czym ona się zajmuje?

- Praktycznie niczym, ponieważ moja matka ciągle się nad nią lituje. Powinna prowadzić księgowość firmy i kiedyś pracowała tu na pełny etat, ale od trzech lat tylko rozczula się nad sobą. A przecież to takie ładne miejsce. Nie potrzeba nam tu czarnej wdowy, która wszędzie rozsnuwa sieć rozpaczy.

- Ale chyba nie zjadła swojego męża, co? Rosa parsknęła śmiechem.

- Czasami mam ochotę zjeść mojego - wymamrotała. Luce od razu przyszło do głowy, że nie raz zdradziła męża.

Zdawał sobie sprawę, że flirtuje z nim z wielką wprawą.

Rosa odeszła obsłużyć innych klientów. Poruszała się z wciągniętym brzuchem i lekko wypiętą pupą niespiesznym, zmysłowym krokiem, świadoma, że Luca jej się przygląda, ale on przeniósł uwagę na nabrzeże, gdzie mały synek Cosimy zeskakiwał właśnie z kamiennego słupka. Wyprostował się i rozejrzał dookoła - skoro chłopiec był w pobliżu, z pewnością powinna pojawić się tu i jego matka.

I rzeczywiście, Cosima wyszła na taras, niosła bukiet pięknych białych i żółtych kwiatków. Minęła Lucę bez jednego spojrzenia, roztaczając wokół zapach cytryn. Luca przyglądał się, jak z wdziękiem przechodzi między stolikami i jego pożądanie jeszcze się nasiliło. Cosima nie była tak uderzająco seksowna jak Rosa, nie miała też tak dramatycznej urody, lecz jej urok nie przestawał go fascynować. Poza tym nie przywykł do wyniosłych kobiet. Wiedział, że pod lodowatą powierzchnią Cosima skrywa gorący ogień, ponieważ widział to już wcześniej, na tym samym tarasie. Pociągnął łyk wina, patrząc, jak Włoszka znika w prowadzących do kuchni drzwiach. Stanowiła nie lada wyzwanie, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Rosa przyniosła mu karmazyna z pieczonymi warzywami i ziemniakami. Uparła się, żeby zaczekać, aż Luca spróbuje ryby.

- Bardzo dobra - pochwalił szczerze.

- Na oliwie, z ziołami i przyprawami...

- Doskonała!

- Bardzo się cieszę... Podać coś jeszcze?

- Nie, dziękuję. Pani kuzynka jest chyba dziś w trochę lepszym nastroju, prawda?

- Ma lepsze i gorsze dni. Dobrze, chociaż, że dzisiaj przyszła pomóc! Mam nadzieję, że pozmywa.

- Nie obsługuje klientów? Pani jest taka zajęta.

- Nie, ona raczej odstrasza klientów! Do ludzi trzeba się uśmiechać, a Cosima rzadko to robi!

- Nic ją nie bawi?

- Ja uśmiecham się za nas obie! - Znowu sprowadziła rozmowę na niezwykle interesujący temat własnej osoby.

Luca zauważył, że zanim przyniosła mu danie, pociągnęła usta świeżą warstwą szminki, szkarłatnej jak sukienka.

- Ma pani bardzo ładny uśmiech.

- Dziękuję, *signore* - odparła. - Gdyby czegoś pan jednak potrzebował, wystarczy zawołać!

Luca obserwował synka Cosimy i myślał o swoich córeczkach. Miał wyrzuty sumienia. Nie był szczególnie troskliwym ojcem. Tak, dziewczynki otrzymywały najlepszą edukację, jaką można zapewnić za pieniądze, mieszkały w pięknych domach i spędzały wakacje w najbardziej ekskluzywnych miejscach, a on rozpieszczał je prezentami i rozrywkami, kiedy przyjeżdżały do niego w co drugi weekend, lecz dopiero teraz uświadomił sobie, że kupuje ich tolerancję wobec wszystkich swoich niedociągnięć. Uznał, że musi jakoś naprawić tę sytuację.

Mały chłopiec znowu wdrapał się na słupek, rzucił białe piórko w powietrze, zeskoczył i złapał je, zanim dotknęło ziemi. Była to zabawa dla samotnika. Inne dzieci bawiły się w pobliżu, lecz wyglądało na to, że malec nie chce się do nich przyłączyć. W końcu przerwał zabawę i ruszył w stronę trattorii. Luca poszukał wzrokiem jego matki, ale Cosimy nigdzie nie było, więc znowu skupił uwagę na małym. Ten przystanął pod tarasem, bez reszty pochłonięty obserwacją dużego niebieskiego motyla, który przysiadł na jego ręce, grzejąc rozłożone skrzydełka w blasku słońca. Chłopiec podniósł głowę, zobaczył Lucę i znieruchomiał ze zdziwienia, patrząc na dorosłego dużymi brązowymi oczami.

Luca pomachał do chłopca, który zbliżył się ostrożnie.

- Cześć - odezwał się Luca cicho, aby nie przestraszyć dziecka. - To bardzo piękny motyl.

Mały zatrzymał się kilka kroków od niego i z zastanowieniem ściągnął brwi. Potem leciutko dmuchnął na motyla, który poderwał się w powietrze, okrążył kępę geranium i usiadł na ręce zaskoczonego Luki.

- Powinieneś dać go swojej matce - powiedział, ale chłopiec odbiegł już na nabrzeże.

Długą chwilę wpatrywał się w niezwykłego motyla, którego skrzydełka mieniły się wszystkimi barwami tęczy, zupełnie jak plama rozlanej benzyny.

Skończył lunch i wypił drugi kieliszek greco di tufo, a potem zamówił jeszcze espresso. Motyl ukrył się wśród kwiatów geranium, natomiast chłopca znudziła samotna zabawa, bo jednak dołączył do innych dzieci, które skakały dookoła łodzi, przepychając się jak łobuziaki. Po pewnym czasie Cosima wyszła z kuchni i zaczęła rozmawiać z Totem, który patrzył na nią z czułością. Luca pomyślał, że może Toto jest jej ojcem. Nagle Toto powiedział coś, co wywołało uśmiech na twarzy Cosimy. Luca drgnął, poruszony widokiem łagodnego piękna.

Kiedy odwróciła się i zrobiła parę kroków w kierunku stolika Luki, motyl poderwał się z gałązki geranium i uniósł w powietrze tuż przed nią. Cosima przystanęła i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Nadal miała uśmiech na twarzy, więc Luca ośmielił się do niej odezwać.

- To bardzo przyjaźnie nastawiony motyl.

Zwróciła na niego spojrzenie ciemnych oczu. Motyl usadowił się na jej ramieniu, tworząc piękną barwną plamę na czarnym tle sukienki.

- Polubił panią.

- Chyba tak - odparła. - Będę nosić go jako broszkę. Odwróciła się, zamierzając wrócić do kuchni.

- Pani syn ma prawdziwy dar - ciągnął Luca. - Umie rozmawiać z owadami!

Ramiona Cosimy zesztywniały gwałtownie. Rzuciła Luce spojrzenie pełne absolutnego zaskoczenia.

- Co pan powiedział?

- To pani synek przyniósł mi tego motyla - wyjaśnił. Kobieta zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, jakby jego

słowa sprawiły jej ból. Serce Luki ścisnęło się na widok takiej reakcji. Zaczął zastanawiać się gorączkowo, czym ją uraził. Zamierzał się odezwać, lecz ona zbyła go wzgardliwym prych-nięciem.

- Cudzoziemcy! - mruknęła pod nosem.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Jej syn oderwał się od grupki dzieci i pośpieszył za nią. Motyl wciąż tkwił na ramieniu kobiety.

Luca dopił kawę. Jego dobry nastrój zniknął bez śladu. Podniósł rękę, dając do zrozumienia, że chciałby zapłacić. Rachunek przyniosła mu Rosa.

- Wygląda na to, że obraziłem pani kuzynkę - rzekł, wręczając jej kilka banknotów. - Proszę zatrzymać resztę.

Rosa lekceważąco machnęła ręką.

- Łatwo ją obrazić, proszę się nie przejmować!

- Nie chciałem jej zdenerwować.

- Można do tego przywyknąć, ja stale ją czymś denerwuję! Witamy w klubie, jest naprawdę liczny.

- Proszę jej powiedzieć... - zaczął Luca, lecz zaraz przerwał. Nie widział sensu w zostawianiu wiadomości dla Cosimy.

Był dla niej nikim, w najlepszym razie mocno nietaktownym cudzoziemcem. Może nie powinien był wspominać o synku. Miał nadzieję, że nie wpakował chłopca w kłopoty.

- Niech pan nie stara się jej przepraszać, *signore.* - Rosa się uśmiechnęła. - Jeżeli ją pan obraził, i tak nigdy panu nie wybaczy!

9

Luca wrócił do *palazzo* i wyciągnął się nad basenem, tak głęboko niezadowolony z siebie, że ledwo mógł skupić się na książce. Dizzy i Maxwell postanowili przyłączyć się do niego, co tylko bardziej go zirytowało. W końcu, pragnąc uciec przed nimi i poprawić sobie nastrój, zatelefonował do Frei.

Freya siedziała przy biurku, zajęta pisaniem listów. Średnio zachwycona, podniosła słuchawkę, wsunęła ją pod brodę i przytrzymała ramieniem. O szesnastej miała spotkanie w sprawie pikniku dla mieszkańców miasteczka i chciała do tego czasu załatwić całą papierkową robotę.

- Halo! - rzuciła.

- Czyżbym dzwonił w nieodpowiednim momencie?

- Luca! - Odłożyła długopis i wyprostowała się. - W ogóle nie odpowiadasz na telefony!

- Wyrzucam wszystkie nagrane wiadomości, wcale ich nie odsłuchuję!

- Czy to rozsądne?

- Muszę trochę odetchnąć, odciąć się od świata, przynajmniej na jakiś czas.

- I jak się czujesz? Jest cudownie?

- Cóż, leżę w tej chwili nad basenem, w gorącym słońcu... Życie jest całkiem przyjemne.

- Tak się cieszę! Odpoczynek naprawdę był ci bardzo potrzebny. Jakie wrażenie robi pałac?

- Moi rodzice odwalili kawał dobrej roboty i stworzyli tu prawdziwe cudo. Mama postarała się odtworzyć pierwotny stan rezydencji w najdrobniejszych szczegółach, na pewno możesz to sobie wyobrazić. Zdjęcia pałacu mają ukazać się w „Sunday Timesie", ich dziennikarka przyjedzie tu za parę tygodni. Bóg jeden wie, jakich informacji się dokopie, bo okazuje się, że to miejsce ma dość krwawą historię.

- Opowiadaj!

Freya w jednej chwili zapomniała o listach i dokumentach, którymi miała się zająć. Błyskawicznie doszła też do wniosku, że nawet jeżeli spóźni się na spotkanie, wymyśli przecież jakąś wiarygodną wymówkę.

- Podczas wojny mieszkał tu stary markiz, który miał kochankę, miejscową piękność o imieniu Valentina. Dziewczyna pieprzyła się jednak nie tylko z nim, ale również z osławionym szefem mafii oraz jakimś Anglikiem, za którego zamierzała wyjść za mąż. Markiz zamordował ją w szale zazdrości.

- O, mój Boże! Co za straszna historia!

- Później brat Valentiny zabił markiza *w palazzo...i*

- Waszym *palazzo?*

- Tak jest. Pokojówka rodziców, niejaka Ventura, boi się i sprzątać pokoje na piętrze, bo twierdzi, że tam straszy.

- A straszy?

- Jasne, że nie!

- Niezła opowieść!

- Dalszy ciąg jest jeszcze ciekawszy. - Luca się roześmiał. -Valentina miała z tym Anglikiem córkę Albę, która mieszka tutaj, w Incantellarii...

- Wszystko to razem brzmi jak streszczenie mrożącego krew w żyłach filmu sensacyjnego!

- To miejsce jest oszałamiająco piękne, możesz mi wierzyć. - W głosie Luki zabrzmiała nagle poważna nuta. - Bardzo chciałbym ci je pokazać.
Freya zawahała się lekko.

- Chciałabym je zobaczyć.

- Gdzie podziewa się cudowny Miles?

- Wyjeżdża, wraca, kręci się w pobliżu. Nie wiem, gdzie jest w tej chwili.

- Jesteś nim trochę znudzona?

- Nie! - Parsknęła śmiechem. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jestem urodzonym optymistą.

- Nie znalazłeś sobie jeszcze jakiejś ładnej Włoszki?

- Nie chcę Włoszki! - odparł, świeżo urażony reakcją Cosimy.

- Co z Annabel? Często o ciebie pyta. Na jej telefony też nie odpowiadasz.

Luca jęknął.

- Przespałeś się z nią, prawda?

- To był błąd.

Freya uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Postaram się jakoś ją zbyć. Najwyraźniej wykazałeś się imponującymi umiejętnościami.

- Pamiętasz?

- Nie! To było dawno temu!

- Ja wciąż pamiętam każdy skrawek twojego ciała.

- Och, Luca, nie powinieneś mówić mi takich rzeczy - zaprotestowała, chociaż jego słowa sprawiły, że poczuła się godna pożądania.

- Było nam dobrze razem. Może przyjechałabyś do Incantellarii?

- Nie mogę!

- Masz przecież opiekunkę do dzieci.

- Co pomyślałby Miles?

- Zabierz go ze sobą. Znajdę mu jakieś ciekawe zajęcia.

- Nie żartuj sobie!

- Przyjedź z dziećmi w czasie wakacji. Dziewczynki na pewno będą tu przez parę tygodni, ponieważ Claire chce mieć wolne, żeby poprawić swoją pozycję społeczną. Dzieci mogłyby bawić się razem, a ja pokazałbym ci Incantellarię.

- Miles nigdy się na to nie zgodzi. Ma do ciebie podejrzliwy stosunek.

- To bardzo nierozsądne i całkowicie nieuzasadnione! Zaproś swoją matkę.

- Mama uważa, że Incantellaria to nudna prowincjonalna dziura.

- Tylko dlatego, że Fitz miał tu kiedyś dziewczynę! Incantellaria wcale nie jest nudna, przeciwnie, wydaje się aż nazbyt barwna. Zastanów się, czy nie mogłabyś przyjechać. To cudowne miejsce, prawie idealne - powiedział z naciskiem. -Z tobą byłoby mi tu j ak w raju.

Freya znowu się zawahała. Luca prawie całkiem odzyskał już dobry humor.

- Chyba jednak nie powinnam - odezwała się w końcu. ; - Dlaczego? Przecież cię nie zjem!

_ - Jesteś niebezpiecznym podrywaczem i Miles dobrze fltym wie.

- Więc jestem skazany na życie wspomnieniami!

- Najlepiej zapracuj na nowe wspomnienia, z kim innym. Nie zapominaj, że jesteśmy teraz tylko przyjaciółmi.

Z piersi Luki wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Staram się o tym pamiętać, wierz mi! Gem, set i mecz dla Milesa.

Ożywiony rozmową z Freyą przepłynął kilka długości basenu. Myślał o ich dawnym romansie i niemożliwości odnowienia tego związku, lecz parokrotnie

musiał skupić się na tym, aby wyrzucić z głowy wspomnienie twarzy Cosimy. Drażniło go, że wciąż ma ją przed oczami, chociaż wcale nie ma ochoty jej oglądać.

Dizzy odsunęła swój leżak od brzegu basenu, ponieważ Luca ochlapał ją wodą. Maxwell pochłonięty był rozmowami z biznesmenami z Wiednia i głośno mówił po niemiecku, co jakiś czas z pretensjonalną emfazą wtrącając angielskie słowa. Kiedy Luca wyszedł z basenu, z salonu wyłonił się Caradoc. Profesor usadowił się w cieniu i otworzył książkę.

- Witam, profesorze! - odezwał się Luca, owijając się ręcznikiem w pasie.

- Naprawdę nie brak ci energii, mój chłopcze - zauważył staruszek.

- Byłem w trattorii.

- Spotkałeś tę apetyczną dziewczynę? Tę w czerwonej sukience?

- Ma na imię Rosa.

- Ach, piękna Rosa! Spotkałeś ją?

- Ona pracuje w trattorii, profesorze, więc pewnie zawsze tam jest.

- W takim razie powinienem odbywać codzienne pielgrzymki do tego lokalu.

Luca się roześmiał.

- Nie wątpię, że byłaby tym zachwycona!

- Najlepsze lata mam już za sobą, ale niezły był kiedyś ze mnie kogucik, między nami mówiąc.

- Na pewno nadal dobrze pan sobie radzi w tej dziedzinie.

- Cóż, trochę się posunąłem i teraz mogę tylko wspominać dawne dobre czasy.

- Spotkałem też tę wdowę - dorzucił Luca z niechętnym grymasem.

- Znowu cię odrzuciła? To musiał być bolesny cios dla twojej dumy!

- Nie wiem, co takiego powiedziałem, ale bardzo się zdenerwowała.

- Najlepiej opowiedz mi, jak to było!

- To długa historia, ale jej synek był tam i podarował mi motyla. Później, kiedy Cosima przechodziła, motyl usiadł na jej sukience. Powiedziałem, że ładnie wygląda na czarnym tle, a ona prawie się uśmiechnęła...

- Pewnie pomyślałeś, że już ją masz, co? - zauważył chytrze profesor. - Że już złowiłeś tę śliczną rybkę.

- Powiedzmy, że popatrzyła na mnie z odrobinę cieplejszym wyrazem twarzy!

- I co?

- Wspomniałem o jej synu i wtedy rzuciła mi spojrzenie pełne tak głębokiej niechęci, że aż zrobiło mi się zimno.

Caradoc zmarszczył brwi.

- Co ją tak rozzłościło?

- Nie mam pojęcia. „Cudzoziemcy" wymamrotała pod nosem i odeszła.

- Nie jesteś przecież cudzoziemcem! Rozmawiałeś z nią po włosku, prawda?

- Oczywiście! Chodziło jej pewnie o to, że nie jestem stąd...

- Nie ufa ci, w tym cały problem.

- Nie zna mnie - mruknął Luca.

- Kobiety potrafią wyczuć takich mężczyzn jak ty. Nie zaprzeczaj, mój chłopcze, bo zdążyłem cię całkiem nieźle poznać! Trafił swój na swego. Jak myślisz, dlaczego tak dobrze się rozumiemy? Ponieważ jesteśmy do siebie bardzo podobni! Obaj lubimy ładne dziewczyny. Dawniej one też bardzo lubiły moje towarzystwo. Nieraz byłem w poważnych kłopotach, ale w końcu dorosłem.

- Dlaczego? Jak to się stało, że pan dorósł?

- Zakochałem się i miłość wszystko zmieniła! , - Myrtle...

- Tak, moja Myrtle... Nigdy więcej się już nie zakocham. -Caradoc popatrzył na Lucę z pełnym sympatii zrozumieniem. - Kiedyś zrozumiesz, o co mi chodzi.

Luca wzruszył ramionami.

- Chyba nie jestem stworzony do miłości!

- Ona dopada cię właśnie wtedy, gdy zaczynasz tak myśleć. Powtarzasz sobie, że wcale jej nie potrzebujesz i nagle nie możesz uwierzyć, że przeżyłeś bez niej tyle czasu. A wracając do tej apetycznej dziewczyny...

- Imieniem Rosa...

- Piękna jak majowa róża... Masz ochotę wybrać się ze mną na herbatę do trattorii?

Luca potrząsnął głową.

- Mam dosyć tego miejsca jak na jeden dzień.

Zawód, który odmalował się na twarzy starszego pana, szybko skłonił go do kapitulacji.

- No, dobrze, pojedziemy tam w poniedziałek na lunch. Podają pysznego karmazyna, szczerze polecam.

Wieczorem usiedli do kolacji na tarasie. Blask świec przyciągał ćmy i komary, w zaroślach grały cykady. Ociężały księżyc wisiał nisko na usianym gwiazdami niebie.

Luca nie mógł przestać myśleć o Cosimie. Jak śmiała go odrzucać, kiedy on tak się starał?

- Przeczytałam w przewodniku, że w przyszłym tygodniu obchodzą tu uroczystość świętej Benedetty - oznajmiła Diz-zy. - Oboje z Maxwellem bardzo chcielibyśmy wziąć w nim udział.

Ma pochwyciła spojrzenie profesora i zrobiła zabawnie < przerażoną minę.

- To nic ciekawego - powiedziała Romina. - Figura nigdy nie płacze i wszyscy rozchodzą się do domów, mocno zawiedzeni.

- Nie wydaje ci się, że jest to ciekawe z kulturowego punktu widzenia? Że warto zobaczyć, jak tubylcy celebrują święta religijne?

- Nic z tych rzeczy - odparła Romina. - To bardzo prymitywni ludzie, i tyle!

- Moim zdaniem to bardzo interesujące - wtrącił się Bill. - Romina nie wie, o czym mówi, nie zwracajcie na nią uwagi!

- Kochanie, sam powiedziałeś, że to nudziarstwo!

- Byłem rozczarowany, nie znudzony. Mieszkańcy Incan-tellarii obchodzą rocznicę cudu, który wydarzył się kilkaset lat temu. Potomkowie Benedetty nadal tu mieszkają i co roku przewodniczą procesji.

- A później, mimo całego rozczarowania, urządzają sobie całkiem wesołą imprezę! - dorzuciła pogardliwie Romina.

- Świętują rocznicę cudu, jak już mówiłem - sprostował cierpliwie Bill.

Romina przewróciła oczami.

- Włosi uwielbiają huczne imprezy, a my kochamy sztuczne ognie! Wszyscy potwornie hałasują i robią straszne zamieszanie...

- Mówisz jak stara kobieta! - zakpił łagodnie Bill.

- Bo jestem starą kobietą! Właśnie dlatego lubię ciszę i spokój!

- Tak czy inaczej, powinniśmy to obejrzeć - powiedział Maxwell.

- To niebezpieczne - oświadczyła Ma. - Wspaniała okazja dla kieszonkowców!

- Tutaj? - zdziwiła się Dizzy.

- Tylko czekają na takich jak wy, ludzi, którzy wyróżniają się z tłumu. Jesteś jasną blondynką i rzucasz się w oczy!

Dizzy spojrzała na męża.

- Maxwell na pewno mnie obroni. - Rzuciła mu uśmiech małej dziewczynki.

Maxwell ujął ją za rękę.

- Ale po co ryzykować? - zapytała ponuro Ma.

- Właśnie! - profesor pokiwał głową.

- Zastanowimy się jeszcze - powiedział Maxwell. Może gdybyśmy poszli wszyscy razem...

Ma skrzywiła się i pociągnęła łyk wina.

Tej nocy Luca spał niespokojnie, nękany sprzecznymi myślami o Cosimie. Z jednej strony, młoda kobieta zraniła jego dumę, ponieważ on uznał ją za atrakcyjną, a ona odrzuciła jego starania, z drugiej - okazała się najzwyczajniej w świecie nieuprzejma, a on nie gustował w źle wychowanych kobietach. Żałował, że nie może po prostu o niej zapomnieć, lecz najwidoczniej Cosima dotknęła wrażliwego punktu jego „ja".

Obudził się z resztką nieprzyjemnego uczucia. Początkowo nie potrafił uświadomić sobie jego przyczyny, lecz powoli wydarzenia poprzedniego dnia napłynęły obfitą falą. Zaczął się zastanawiać, jak spędzić dzień, kiedy przez otwarte okno do pokoju wpadł motyl taki jak tamten, który w jakiś sposób przyczynił się do dziwnego nieporozumienia z Cosimą, nieprzeciętnie duży i intensywnie niebieski. Chwilę fruwał po pokoju, a potem przysiadł na dłoni Luki, zupełnie jakby go znał. Luca uniósł rękę, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Motyl złożył skrzydła i trąbką smakował jego skórę. Luca podszedł do okna i szeroko otworzył okiennice. Podświadomie spodziewał się, że na tarasie niżej zobaczy małego chłopca, wpatrzonego w niego dużymi brązowymi oczami, nie było tam jednak żywej duszy, nie licząc szarego ptaka, który szukał robaków w trawie.

Wyciągnął rękę, próbując nakłonić motyla, by odleciał, ale ten pozostał w pokoju przez cały czas, gdy on mył zęby i brał prysznic. Wreszcie Luca postanowił pójść za przykładem małego chłopca i dmuchnął na niebieskiego gościa. Motyl posłuchał podpowiedzi zdrowego rozsądku i zniknął w ogrodzie.

Po śniadaniu Luca wziął książkę i zajął miejsce nad basenem. Tym razem potrafił się skoncentrować, co bardzo go ucieszyło. Obiecał Caradocowi, że następnego dnia pojedzie z nim na lunch do trattorii. Początkowo spisał profesora i Ma na straty jako dwoje starych dziwaków, niewartych jego czasu i zachodu, lecz ku własnemu zaskoczeniu szczerze ich polubił. Oboje nadawali wyrazisty smaczek jego nowemu życiu. Postanowił, że jeśli Cosima będzie w restauracji, nie da po-

znać, że zauważa jej obecność. Dwa razy podjął już wysiłek i nie zamierzał narażać się na przykrość po raz trzeci.

Caradoc siedział w cieniu, zaczytany w poezji, Dizzy się opalała, miała słuchawki od walkmana w uszach, prawą stopą wybijała rytm jakiejś piosenki, a Smidge spokojnie spała w jej torbie. Ma nie znosiła basenów. Sama była zbyt gruba, żeby pływać i zazdrościła pięknych ciał kobietom takim jak Dizzy. Wolała zostać na tarasie razem z Porcim, wyszywając kapcie dla swojego siostrzeńca i próbując wymyślić, jak wymknąć się na festyn bez Dizzy i Maxwella.

Po lunchu profesor udał się na sjestę, a Ma zaproponowała Luce partyjkę garibaldki. Dizzy i Maxwell wrócili nad basen, żeby wylegiwać się w upale i „smażyć jak dwa ślimaki na patelni", jak zjadliwie ujęła to Ma.

- Nie rozumiem, o co chodzi tej całej Dizzy - powiedziała, tasując talię kart.

- A musi jej o coś chodzić? - Luca zapalił papierosa.

- Osoba, której o nic nie chodzi w życiu, jest kompletnie bez sensu, całkiem bezużyteczna. Dobrze chociaż, że jest ładna, bo to przynajmniej jakiś plus.

- Nie jest taka zła.

- Ani razu nie słyszałam, żeby powiedziała coś ciekawego!

- Niektórzy mężczyźni lubią takie kobiety.

- A jakie ty lubisz, Luca? Luca zaciągnął się dymem.

- Ładne...

' Ma z pogardą przewróciła oczami.

- No, dobrze, lubię inteligentne, dowcipne kobiety, chcę, żeby mnie bawiły i stawiały mi wyzwania... Lubię kobiety niezależne i pewne siebie.

Starsza pani prychnęła lekceważąco.

- To przecież straszne nudziarstwo, mój drogi! Powinieneś szukać kobiety, która zafascynuje cię i nie przestanie fascynować aż do śmierci. Takiej, która pokaże ci coś, czego wcześniej nie widziałeś, w chwili gdy dojdziesz do wniosku,

że już ją dobrze znasz. Tego ci potrzeba, w przeciwnym razie szybko się znudzisz! - Ma rozdała karty. - Tak, znajdź kogoś, kto bezustannie będzie ci stawiał wyzwania.

Grali w garibaldkę przez całe popołudnie. Ma była przebiegłą przeciwniczką, która powoli rozgrywała każdą partię, lecz jakimś cudem zawsze kończyła pierwsza.

- Prawdziwy czarny koń z pani, Ma! Na czym polega pani sekret?

Ma postukała się palcem w skroń. Mój sekret kryje się tutaj i nie zamierzam go zdradzać. Gdybyśmy grali na pieniądze, byłabym już bardzo zamożną kobietą!

- Gdybyśmy grali na pieniądze, już dawno dałbym sobie spokój. Nie należę do ludzi, którzy lubią trwonić majątek!

- No, tak, ty miałeś żonę, która robiła to za ciebie. Co cię podkusiło, żeby ożenić się z Claire?

- Była wyzwaniem.

- Fascynującym?

- Nie dosyć.

- Co się stało?

- Zepsułem ją.

- Kobiety się zmieniają, kiedy włożysz im obrączkę na palec... Gdybym była mężczyzną, nigdy nie zdecydowałabym się na ślub.

- Jest pani kobietą, która nigdy nie wyszła za mąż!

- Bo nie wiem, o co chodzi w małżeństwie. - Ma pochyliła się nad stołem. - To instytucja bez sensu, mój drogi! -prychnęła z nieukrywaną satysfakcją.

O czwartej profesor wrócił nad basen i namówił Billa na brydża. Usiedli do stolika razem z Ma i Lucą i grali do kolacji. Romina i Dizzy wróciły z krótkiego wypadu do miasteczka. Trochę później wszyscy usłyszeli, jak Dizzy kłóci się z

Maxwellem w ich pokoju, bo okna były szeroko otwarte. Gdy zeszli na kolację, usiedli daleko od siebie i udawali, że się nie widzą. Ma uznała to za dość zabawne i miała wielką ochotę dowiedzieć się, o co im poszło, ale się powstrzymała.

Następnego dnia niebo było zupełnie szare. Luca zgodnie z obietnicą pojechał z profesorem do miasteczka. Uliczki były ciche, powietrze chłodniejsze, a na horyzoncie, niczym szykująca się do ataku armia, gromadziły się fioletowe chmury. Marna pogoda w najmniejszym stopniu nie osłabiła entuzjazmu starszego pana.

- Zjedzmy w sali - zaproponował Luca, kiedy zaparkował samochód jak najbliżej nabrzeża.

Od razu zauważył małego chłopca, bawiącego się wśród łodzi, co oznaczało, że Cosima musi być w trattorii.

- Ten biedny dzieciak zawsze błąka się sam - zauważył z dezaprobatą.

- Jaki dzieciak?

- Syn Cosimy. Wszędzie za nią chodzi, a ona praktycznie nie zwraca na niego uwagi. Rozumiem, że opłakuje męża, wszystko w porządku, ale nie wolno przecież zapominać o żywych!

- Na twoim miejscu nie serwowałbym jej tych pouczeń -powiedział Caradoc, powoli idąc przez taras do restauracji.

- Niech się pan nie obawia, nie mam takiego zamiaru. Gdzie śliczna Rosa?

Utrzymana w dawnym stylu sala, zastawiona małymi stolikami i prostymi krzesłami, miała posadzkę ułożoną z kamiennych płyt. Powietrze przesycone było aromatem suszonej lawendy i innych ziół, których pęki wisiały na ścianach nad rzędami oprawionych fotografii. Na blacie pod oknem stały misy z cytrynami i stojaki z butelkami wina. Kilka stolików było zajętych, lecz pogoda najwyraźniej odstraszyła klientów.

Rosa zjawiła się w sali w zielonej sukience, która przylegała do jej ciała niczym mokre wodorosty. Wysoko upięte włosy podkreślały długą linię szyi, wargi pomalowała szkarłatną szminką w takim samym odcieniu jak lakier, którym pociągnęła paznokcie. Luca zwrócił uwagę na paznokcie jej stóp, także polakiero-

wane i wystające z sandałów na bardzo wysokich obcasach. Nie miał pojęcia, jakim cudem Rosa wytrzymuje w nich przez cały dzień.

- Wróciliśmy ze względu na wspaniałego karmazyna -uśmiechnął się do niej.

Odpowiedziała uśmiechem.

- **A** ja myślałam, że ze względu na mnie!

- Ja na pewno wróciłem ze względu na panią - wtrącił się profesor.

- Cóż, jeden z dwóch to nie najgorszy wynik... Napijecie się wina?

- Greco di tufo, dobrze schłodzonego - odparł Luca. - Zanosi się na burzę, prawda?

- I to bardzo dramatyczną! - przytaknęła. - Możliwe, że utkniecie tu na całe popołudnie!

- Nie przychodzi mi do głowy żadne miejsce, w którym chętniej bym utknął - oznajmił profesor.

- Kim są ludzie na tych wszystkich fotografiach? - zagadnął Luca.

- To moja rodzina. - Rosa wskazała szkic przedstawiający leżącą nagą dziewczynę, zawieszony nad zdjęciami. - A to portret mojej babki Valentiny, narysowany przez mojego dziadka! Piękna, co? - Oczy Rosy zalśniły. - Podobno jestem do niej bardzo podobna. Szkoda, że w porównaniu z nią mam takie nudne życie!

- Mam nadzieję, że za to pożyje pani dłużej, moja droga -powiedział Caradoc. - I lepiej zakończy swoją ziemską wędrówkę.

W środku lunchu niebo otworzyło się, potężny grzmot zatrząsł wzgórzami i z chmur lunął deszcz. Cosima, jeśli rzeczywiście była w kuchni, nie pojawiła się w sali. Luca miał jej za złe, że nie dała mu szansy, aby ją zignorował. Patrzył na szalejącą za oknem burzę i niespokojne morze i miał nadzieję, że mały chłopiec zdążył schronić się w domu.

10

Luca nie wybrał się więcej do trattorii. Zaczął odwiedzać kawiarnię na placu, gdzie podawano dobrą mocną kawę z briosz-kami, i starał się nie myśleć o Cosimie. Profesor i Ma spiskowali przeciwko Dizzy i Maxwellowi i zdołali namówić Rominę, aby przekonała ich do pozostania w*palazzo* w czasie świątecznego festynu.

- Zrobię im dobrą kolację - powiedziała Romina. - Szczerze mówiąc, sama mam już trochę dosyć Maxa i Dizzy! Nie wnoszą nic ciekawego, są po prostu nudni. Mają chyba do czego wracać, nie rozumiem zresztą, jak on może przeprowadzać te wszystkie transakcje tylko przez internet i telefon.

Los zrządził, że w dniu święta Maxwell dostał migreny i spędził całe popołudnie w łóżku, podczas gdy Dizzy, znudzona i rozdrażniona brakiem jego towarzystwa, czytała książkę w cieniu. Ma nie kryła satysfakcji, natomiast Luca czekał na wieczór z pewnym niepokojem. Był pewny, że nie uniknie spotkania z Cosimą.

O zmierzchu we troje wyruszyli do miasteczka. Ma z największym trudem zdołała wcisnąć swoją wielką pupę przez drzwiczki samochodu Rominy i przysiadła drążek zmiany biegów, więc Luca musiał ciągle prosić, żeby się przesunęła.

- Gdybym wiedziała, że mamy jechać ściśnięci jak sardynki w puszce, nie zdecydowałabym się na tę wyprawę - narzekała.

- Odwagi, droga pani - odezwał się z tylnego siedzenia Caradoc. - „Wezwij cnego rycerza, hojne serce i uwolnij szczodrą rękę!".

- Uwolnij zabłąkaną rękę, duży tyłku... - mruknęła Ma, kiedy Luca wsunął rękę pod jej spodnie, żeby zmienić biegi. - Nie czas na poezję, profesorze! Nikt nie powinien produkować tak małych samochodów, to naprawdę obraza boska!

- Dlaczego nie wypożyczysz dużego wozu, Luca?

- Chyba z lenistwa, a może z potrzeby uwolnienia się od wszystkich dóbr materialnych.

- Poczucie wolności daje duży samochód, w którym można się spokojnie usadowić - powiedziała Ma. - Wypożyczenie auta nie utrudni ci duchowych poszukiwań, wierz mi! A mnie z całą pewnością zagwarantuje wygodę.

- Rozwój duchowy nie polega na całkowitej rezygnacji z rzeczy materialnych, ale na nieprzypisywaniu im nadmiernego znaczenia. Nie pozwól, żeby pieniądz stał się twoim bożkiem, uczyń go swoim niewolnikiem!

- Mam nadzieję, że nie dasz się nabrać na te piękne hasła, Luca - powiedziała Ma. - Caradoc jest trochę zwariowany, ale to sprytny ptaszek, w przeciwieństwie do mnie, bo ja nie jestem szczególnie sprytna. Możesz nam zdradzić, czego mamy się spodziewać dziś wieczorem?

- Rozrywki - odparł Luca. - Ja w każdym razie liczę na coś interesującego!

- Na widok płaczącej krwawymi łzami figury, która nie płacze już od pół wieku? - prychnęła Ma. - Nie postawiłabym na to ani grosza!

- Miasteczko jest pewnie w stanie religijnego szaleństwa -zauważył Caradoc. - W stanie masowej histerii...

- Dzięki Bogu, że jedziemy tylko we troje! - Ma pokiwała głową. - Ty mówisz po włosku tak płynnie, Luca, że może uda nam się wtopić w tło.

Luca zerknął na nią szybko, aby sprawdzić, czy nie żartuje. Ma nie należała do kobiet, które w jakichkolwiek okolicznościach wtapiają się w tło.

Zaparkowali niedaleko nabrzeża i poszli uliczkami na plac San Pasquale, gdzie mieszkańcy Incantellarii zgromadzili się przed kaplicą ze świecami w rękach. Pachnące woskiem i kadzidłem powietrze wibrowało wielkim napięciem,

gdy wszyscy niecierpliwie czekali na otwarcie dużych drzwi. Luca od razu dostrzegł Rosę - czerwona sukienka i szal wyróżniały ją z tłumu, zupełnie jakby na głos domagała się uwagi. Wokół niej tłoczyły się dzieci, a towarzyszący jej mężczyzna z pewnością był jej mężem. Chwilę później zauważył Cosimę, ubraną na czarno, z twarzą zasłoniętą koronkową woalką. Stała u boku wysokiego mężczyzny o długich siwych włosach i sympatycznej twarzy. Była za daleko, żeby Luca mógł się zorientować, w jakim jest nastroju. Starszy mężczyzna co jakiś czas obejmował ją i przytulał, schylając się, aby szepnąć jej coś do ucha. Gniew Luki stopniał w jednej chwili, ustępując miejsca współczuciu i żalowi, że tak ładna i młoda kobieta usycha z tęsknoty za utraconą miłością.

Rosa nie mogła spokojnie ustać z podniecenia. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż uroczystość kościel- na, a po niej festyn. Wiedziała, że nawet jeżeli figura Chrystusa nie zapłacze, i tak będą świętować rocznicę pierwszego cudu. Rozglądała się dookoła, ogarniając wzrokiem znajome twarze. Nagle spostrzegła Lucę wpatrzonego w jej kuzynkę i Panfila i natychmiast ochłonęła. Cosima świetnie wyglądała w żałobnej sukni i woalce. Luca poczuł na sobie spojrzenie Rosy i odwrócił się. Młoda kobieta uśmiechnęła się triumfalnie i pomachała mu. Odpowiedział takim samym gestem.

- Komu machasz? - zapytała Ma.

- Kelnerce z trattorii.

- Ładna?

- Mężatka.

- To nie jest żadna przeszkoda, o ile mi wiadomo!

- Luca jest człowiekiem honoru! - oburzył się Caradoc. -Chociaż jej uroda z pewnością warta jest tysiąca okrętów...

Ma zmrużyła powieki i oszacowała Rosę badawczym wzrokiem.

- Sądząc po wyrazie jej twarzy, niewątpliwie niejeden okręt wypłynął już dla niej w morze.

Duże drzwi otworzyły się ze zgrzytem i ludzie ruszyli do środka, chcąc zająć jak najlepsze miejsca. Ma ujęła pod ramię profesora, który wsparł się na niej z wdzięcznością. Caradoc lubił kobiety o obfitym ciele. Luca zorientował się, że ludzie zaczęli zwracać na nich uwagę. Wyczuł, że miejscowi wiedzą, iż mają do czynienia z gośćmi z *palazzo* i przyglądają im się z zaciekawieniem i pewną obawą. Dzieci zachowywały się mniej dyskretnie, pokazując sobie całą trójkę palcami i wymieniając szeptem uwagi na ich temat.

Mały kościółek jaśniał wielkim blaskiem. Na wszystkich parapetach i półkach stały kremowe świece, których żółtawe płomyki migotały w półmroku. Powietrze przesycone było aromatem kadzidła. Złocenia lśniły, a figura Chrystusa otoczona była aureolą światła, jakby ktoś zapalił lampę w jej wnętrzu. Luca znalazł trzy krzesła nieco z tyłu i pomógł usiąść Ma oraz Caradocowi. Cosima siedziała z przodu, razem z Rosą i resztą rodziny. Dzieci kręciły się na swoich miejscach, rozglądały się i machały do kolegów i koleżanek. Wyjątek stanowił synek Cosimy, który bawił się przed ołtarzem białym piórkiem, dźgając nim powietrze jak mieczem. Wyglądało na to, że zachowanie chłopca nikomu nie przeszkadza. Ludzie wchodzili do kościoła, wykonywali znak krzyża przed ołtarzem i całkowicie ignorowali małego.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali, wstrzymując oddech. Synek Cosimy usiadł u stóp ołtarza, muskając wargi gładkim piórkiem. Nagle drzwi znowu się otworzyły i do kościoła wkroczyły trzy kobiety w czerni, ich twarze podświetlały płomyki trzymanych w rękach świec. Luca pomyślał, że trochę przypominają czarownice. Jedna szła parę kroków z przodu, z wysoko uniesionym podbródkiem i oczyma utkwionymi w ołtarzu. Za kobietami szedł ksiądz, który niskim głosem odmawiał modlitwy, i mały chłopiec z chóru, w czerwonej szacie, z kadzielnicą w ręce.

Luca zwrócił uwagę na oczy pierwszej kobiety, rozbrajająco jasne w zestawieniu z brązową skórą i włosami. Jej spojrzenie na sekundę zmieniło kierunek i spoczęło na Luce; ogorzała twarz nawet w najmniejszym stopniu nie zmieniła wyrazu i tylko górna część policzków zarumieniła się, zdradzając zaskoczenie. Luca skinął głową, naśladując stojących obok ludzi, którzy niewątpliwie znali

rytuał na pamięć. Kobieta natychmiast przeniosła wzrok na figurę, z którą obecni wiązali tyle nadziei i oczekiwań.

Trzy kobiety zajęły miejsca w pierwszej ławce, ksiądz i mały chórzysta przystanęli przed ołtarzem. W ciszy słychać było tylko szmer modlitw wiernych, którzy co roku wracali tu, aby obchodzić święto z nową porcją optymizmu.

Ma zmrużyła powieki, nadal widziała jednak tylko mglisty zarys figury.

- Krwawi już? - wyszeptała Caradocowi do ucha. Starszy pan potrząsnął głową.

- Moja duszo, bądź cierpliwym obserwatorem - wyrecytował - i nie osądzaj sztuki przed jej zakończeniem.

- Och, dobremu Bogu z pewnością się nie śpieszy! - jęknęła Ma.

- Wystawia na próbę naszą wiarę - dodał Caradoc.

Czekali dwadzieścia minut. Potem z piersi zebranych wyrwało się zbiorowe westchnienie. Cud się nie zdarzył, oczy Chrystusa pozostały suche. Rozległo się bicie dzwonu, ktoś wzruszył ramionami, kilkoro starszych ludzi otarło łzy, dzieci zaczęły chichotać i przestępować z nogi na nogę.

Nagle ogólne milczenie przerwał głośny szloch, szybki stukot obcasów na kamiennej posadzce i szelest tkaniny. Cosima przebiegła środkiem nawy i wypadła na zewnątrz. Ludzie odwracali głowy, aby na nią popatrzeć, nad ławkami poniósł się chóralny szept. Luca zobaczył, jak mały chłopiec biegnie za matką z buzią napiętą z niepokoju, mocno ściskając w dłoni białe piórko. Mijając Lucę, spojrzał mu w oczy z takim przejęciem, jakby próbował mu coś przekazać. Luca miał wrażenie, że słyszy wołanie o pomoc.

- Ojej - westchnęła ponuro Ma. - Dziewczyna strasznie to przeżyła!

- To ta wdowa - wyjaśnił Caradoc. - Luca ma na nią oko.

- Nie uda mu się zdobyć jej serca!

- Mężczyźni uwielbiają wyzwania.

- I nienawidzą przegrywać - uzupełniła pesymistycznym tonem Ma. - Co teraz robimy?

- Chyba wrócimy do domu na kolację - odparł profesor.

- Ciekawe, co dostaniemy.

Złożona z trzech kobiet procesja powoli opuściła kościół. Ksiądz i chłopiec z chóru szli tuż za nimi. Dzwon bił żałośnie, lecz muzykanci gotowi byli sięgnąć po instrumenty i zagrać na placu. Rosa nie zamierzała pozwolić, aby Cosima zepsuła jej festyn, wiedziała jednak, że Alba jak zwykle pobiegnie za jej kuzynką. Zastanawiała się, czy przystojny Anglik zostanie na tańcach, czy uda się jej zamienić z nim choć parę słów w obecności Eugenia.

Luca był zmęczony oczekiwaniem na domniemany cud i mimo wszystko dziwnie rozczarowany. Chciał właśnie zapytać profesora, czy woli zostać na placu, czy wracać do *palazzo,* gdy mocny powiew lodowatego wiatru przemknął środkiem kościoła i w drzwiach stanął chłopiec z piórkiem, czerwony jak burak i zdyszany, szukając kogoś w morzu twarzy. Wreszcie dostrzegł Lucę.

- Pomocy! - krzyknął głośno. - *Mamma* jest w wodzie! Pomocy, proszę!

Luca w jednej sekundzie znalazł się tuż obok synka Cosimy.

- Zaprowadź mnie do niej! - zawołał.

Przebiegli przez plac, ignorując zdumione spojrzenia księdza oraz trzech *parenti di Santa Benedetta.* Mały pędził po kamieniach ku nabrzeżu, za którym, już w morzu, Luca ujrzał brnącą wśród fal postać, dobrze widoczną w blasku księżyca. Błyskawicznie zrzucił buty i marynarkę, i pognał za nią, zmagając się z coraz głębszą wodą. - Cosima! - krzyknął.

Początkowo nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, zupełnie jakby była w transie, lecz gdy zawołał ją głośniej, przyśpieszyła i po paru sekundach jej głowa zniknęła pod wodą. Teraz Luca już płynął, starając się zlokalizować miejsce, gdzie się zanurzyła. I wtedy zobaczył uniesione nad falami ramię - instynkt kazał Cosimie walczyć o życie, chociaż serce podpowiadało, aby zaniechała tej walki.

Luca z ogromnym wysiłkiem zdołał chwycić ją za rękę. Chwilę próbowała się wyrywać, lecz jej ciało szybko stało się bezwładne.

Podciągnął ją wyżej i przewrócił na plecy, opierając głowę na swoim ramieniu. Płynął w kierunku brzegu, dopóki nie poczuł pod stopami kamieni. Wziął Cosimę na ręce i wyniósł z wody. Mimo błagań chłopca nikt za nim nie pobiegł. Pośpiesznie ułożył nieprzytomną kobietę na kamienistej plaży i przyłożył ucho do piersi, aby sprawdzić, czy jej serce wciąż bije. Usłyszał nierównomierny stukot, lecz Cosima nie oddychała. Luca wykonał masaż klatki piersiowej i sztuczne oddychanie, pompując powietrze do płuc. Wargi miała zimne i słone, nie ruszała się jednak i nie dawała żadnych oznak życia. Luca pomyślał, że nigdy sobie nie wybaczy, jeżeli chłopiec straci matkę dlatego, że on nie zdołał jej uratować.

W końcu Cosima drgnęła i z jej ust trysnęła fontanna wody. Krztusząc się, wciągnęła powietrze, otworzyła oczy i utkwiła przerażone spojrzenie w twarzy Luki, który ciężko dyszał i starał się ją uspokoić. Zdawał sobie sprawę, że Cosima musi jak najprędzej znaleźć się w cieple. Szybko przykrył ją swoją marynarką i znowu chwycił na ręce. Starał się nie wypuścić z ramion mokrego ciała, nadal prawie bezwładnego, chociaż przytomność wracała jej co jakiś czas. Zacisnął zęby i ruszył w kierunku placu. Poszukał wzrokiem chłopca, ale nigdzie go nie było. Luca słyszał dobiegającą ze skweru muzykę i wesołe głosy mieszkańców Incantellarii, którzy w zabawie szukali rekompensaty po rozczarowaniu w kaplicy.

Przyciskał Cosimę do piersi, za wszelką cenę próbując zapewnić jej chociaż minimum ciepła. Jej oddech dodawał mu sił, aby iść dalej. Wreszcie dotarł do placu.

- Pomóżcie mi! - zawołał.

Ludzie zaczęli się odwracać w jego stronę, na ich twarzach odmalowywało się zdumienie i przestrach. Luca szedł ku nim, niosąc kobietę, która całe życie spędziła wśród nich, ociekającą wodą i nieprzytomną. Muzyka umilkła jak nożem uciął, Lucę otoczył tłum podobny do stada zaciekawionych zwierząt. Ci, których mijał, pośpiesznie kreślili znak krzyża na piersi, przekonani, że Cosima nie żyje.

Alba przedarła się do Luki, gdy ostrożnie kładł Cosimę na ziemi.

- Cosima! - krzyknęła. - Czy ona...

- Żyje - odparł Luca, z trudem łapiąc oddech. - Ale usiłowała się utopić.

- O, mój Boże! Panfilo!

Panfilo, który jakimś cudem natychmiast znalazł się obok żony, zdjął kurtkę i przykrył nieprzytomną Cosimę.

- Powinnam była wiedzieć, że wcześniej czy później to zrobi - jęknęła Alba.

- Musimy jak najszybciej zawieźć ją do domu. - Panfilo przejął kontrolę nad sytuacją. - Do samochodu!

Dźwignął młodą kobietę silnymi ramionami i ruszył przez rozstępujący się z przejęciem tłum. Alba chwyciła Lucę za rękaw.

- Uratował jej pan życie! Skąd pan wiedział?

- To ten mały chłopiec...

- Jaki chłopiec?

- Nie widziała pani w kościele tego małego, który rozpacz^ liwie wzywał pomocy?

- Nie...

- Sądziłem, że to jej syn!

Alba wpatrywała się w niego długą chwilę.

- Cosima nie ma syna - powiedziała wreszcie. - Francesco umarł trzy lata temu. Utonął... Miał sześć lat.

11

Luca długą chwilę patrzył za znikającą w tłumie Albą. Był oszołomiony. Mały chłopiec chodził wszędzie za Cosimą jak piesek, więc jak to możliwe, że Alba nie słyszała jego rozpaczliwego błagania o pomoc. Cały kościół musiał słyszeć jego krzyki. Luca zaczął się rozglądać za Ma i Caradokiem, zupełnie nie zwracając uwagi na ludzi, którzy gapili się na niego jak na kosmitę.

- Ach, tu jesteś! - Z morza twarzy wyłoniła się Ma. - Co się dzieje, na miłość boską? Jesteś kompletnie mokry!

- Prawdziwy bohater z ciebie, młody człowieku - powiedział Caradoc.

- Wygląda na to, że powinieneś napić się czegoś mocniejszego - zauważyła Ma. - Nic ci nie jest?

- Widzieliście tego małego chłopca?

- Którego?

- Tego, który był z Cosimą! Wzywał pomocy!

Ma obrzuciła go niepewnym spojrzeniem, Caradoc się zaśmiał.

- Chyba rzeczywiście musisz się czegoś napić i wziąć gorącą kąpiel - rzekł profesor.

- Chwileczkę! - Luce zakręciło się nagle w głowie. - Chcecie powiedzieć, że nie widzieliście chłopca, który wpadł do kościoła i głośno wzywał pomocy?

Oboje potrząsnęli głowami, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- I nie widzieliście, jak wcześniej pobiegł za kobietą, która nagle uciekła z kościoła? Przecież to niemożliwe! Musieliście go widzieć! - Odwrócił się do profesora. - Czyja oszalałem? Mały chłopiec błagał, żebym ratował jego matkę, więc pobiegłem na plażę i zobaczyłem, jak ona zanurza się w morzu. Popłynąłem za

nią i wyciągnąłem z wody. Skąd mógłbym wiedzieć, że grozi jej niebezpieczeństwo, gdyby nie powiedział mi o tym ten mały?

- To rzeczywiście zdumiewające! - Caradoc oparł się na lasce. - Obawiam się jednak, że tylko ty widziałeś tego chłopca.

- Myślałem, że to syn Cosimy - dodał cicho Luca. - Może ona wcale nie jest wdową.

Na nabrzeżu, gdzie wrócili po buty Luki oraz samochód, znalazła ich Rosa, poruszona i prawie we łzach.

- Luca! - zawołała. Przystanął.

- Przykro mi - wymamrotał niepewnie, kiedy zaczęła płakać.

- Ona żyje! - wyszlochała Rosa. - Tylko to ma znaczenie! Chcę ci podziękować! Uratowałeś ją!

- Dlaczego chciała popełnić samobójstwo?

- Czuję się tak okropnie! Byłam dla niej niedobra, nie zdawałam sobie sprawy, jaka jest nieszczęśliwa. Nie wierzyłam jej, podejrzewałam, że chce tylko zwrócić na siebie uwagę. -Rosa wzięła głęboki oddech. - Jej syn Francesco utonął trzy lata temu. Cosima obwinia się za jego śmierć, ponieważ była z nim wtedy. W jednej sekundzie był przy niej, a w następnej już tonął. Cosima nie umie pływać, nic nie mogła zrobić. Nie potrafi tego przeboleć.

- Gdzie jest jej mąż?

- Nigdy nie wyszła za mąż. - Rosa zadrżała. - Nie ma nikogo poza nami...

- Więc kim jest mały chłopiec, który wszędzie za nią chodzi?

- To mój synek Alessandro...

- Ten, który najpierw bawił się białym piórkiem, a później wzywał pomocy? - upewnił się Luca, szczęśliwy, że mimo wszystko nie padł ofiarą ataku dziwacznego szaleństwa.

Rosa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie. Mój syn cały czas był obok mnie, nie widziałam zresztą nikogo, kto wołałby o pomoc.

- Na miłość boską, chłopak krzyczał tak głośno, że pewnie słyszeli go w Neapolu!

Skrzywiła się, trochę przestraszona jego podniesionym głosem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie przejmuj się, najwyraźniej jestem jedyną osobą, która go widziała! To początki szaleństwa, nic więcej.

- Tak czy inaczej, dziękuję. W imieniu całej naszej rodziny dziękuję, że uratowałeś jej życie.

Znowu wcisnęli się do małego samochodu i ruszyli w drogę powrotną do *palazzo*. Ma i Caradoc byli ogromnie podekscytowani bohaterskim wyczynem Luki. Wieczór byłby zwyczajnie nudny, gdyby Cosima nie postanowiła rzucić się w morze. Dramatyzm sytuacji był dla obojga starszych ludzi niczym zastrzyk świeżej energii i teraz nie mogli się już doczekać, kiedy opowiedzą wszystko innym. Podczas gdy oni gawędzili z ożywieniem, Luca błądził myślami zupełnie gdzie indziej. Czy naprawdę popadał w szaleństwo? A może działo się tu coś innego, o wiele bardziej tajemniczego?

Pod pałacem pomógł staruszkom wydobyć się z auta.

- Kto by pomyślał, że okażesz się rycerzem w lśniącej zbroi! W dzisiejszych czasach bohaterów jest jak na lekarstwo, a ty bez wątpienia zasługujesz na medal za to, co zrobiłeś! -Ma poklepała go po ramieniu. - Sama opowiem o tym twojej matce! No, idź i przebierz się, bo zaraz się przeziębisz!

- „Patrzcie, oto bohater powraca! Dmijcie w trąby, bijcie w bębny!" - wyrecytował profesor, kiedy Luca podał mu laskę.

Ma podsunęła Caradocowi ramię i zaczekała, aż rozprostuje nogi, a potem oboje weszli do środka. Luca szybko poszedł do swojego pokoju.

Długo stał pod prysznicem, rozkoszując się bijącymi w jego ciało strumieniami gorącej wody i próbując uciszyć obawy. Starał się nie myśleć o swoim dzieciństwie i głosach, które przemawiały do niego nocami, o postaciach, które widywał w ciemnym pokoju. Matka powiedziała mu, że duchy nie istnieją i że jeśli dalej będzie o nich mówił, wyśle go do szpitala dla umysłowo chorych dzieci. Później Luca już nigdy nie wspominał o swoich przeżyciach. Uwierzył, że wszystko to działo się wyłącznie w jego głowie i odciął się od głosów i postaci, aż wreszcie przestały go odwiedzać. Jednak teraz wszystko wskazywało na to, że tylko on widział małego chłopca. Czy to oznaczało, że duchy postanowiły wrócić?

Ubierał się powoli, jak we śnie. Czy czterdziestoletni mężczyzna może odczuwać lęk dziecka? Wyszedł na balkon i utkwił wzrok w oceanie. W świetle księżyca woda srebrzyła się jak rtęć. Pomyślał o Cosimie i jej synku, i jego przerażenie w jednej chwili ustąpiło miejsca współczuciu. Ból Cosimy był tak wielki, że wolała skończyć ze wszystkim niż nadal żyć. Wiedział, że młoda kobieta nie będzie mu wdzięczna. Pragnęła być z synem, ale jeżeli chłopiec, którego widział, faktycznie był jej dzieckiem, to najwyraźniej on także chciał ją ratować. Luca miał świadomość, że nie może powiedzieć Cosimie o tym, co widział, ponieważ wzięłaby go za wariata. Cóż, nie było osoby, która nie uznałaby go za szaleńca.

Z dołu, gdzie matka prezydowała przy nakrytym do kolacji stole na tarasie, dobiegł go śmiech. Caradoc i Ma opowiadali pewnie, co zdarzyło się w Incantellarii. Wszyscy słuchali z zapartym tchem, ich twarze wydobywało z mroku migotliwe światło latarni. Luca miał nadzieję, że starsi państwo pominą w swojej opowieści małego chłopca. A jeśli nie? Trudno, będzie musiał coś wymyślić. Raz udało mu się już przegnać duchy i teraz nie pozwoli, aby wróciły.

W brzuchu zaburczało mu z głodu. Powinien coś zjeść, przydałby się też porządny drink. Niestety, w *palazzo* nie podawano posiłków do pokojów. Niechętnie zszedł na dół. Kiedy zjawił się na tarasie, wszyscy zaczęli bić brawo i unieśli kieliszki.

- Kochanie, jestem z ciebie taka dumna! - zawołała Romi-na, nie kryjąc łez.

- Wypij kieliszek taurasi - powiedział ojciec, sięgając po butelkę wina.

- No, wyglądasz już trochę lepiej! - Ma odwróciła się do pozostałych. - Był blady jak ściana, myślałam, że zemdleje! Jako jedyny wybiegł z kościoła na ratunek tej kobiecie!

- Kim ona jest? - spytał Bill.

- Ładna? - zainteresowała się Dizzy.
Ma przewróciła oczami.

- Tragiczna i piękna! - odparła. - Gdyby była brzydka, Luca w ogóle nie przejąłby się jej losem!

Roześmiali się wszyscy, z wyjątkiem Luki.

- Ma na imię Cosima - powiedział, czując, jak wino zaczyna go rozgrzewać. - Jej syn utonął w morzu trzy lata temu. Próbowała popełnić samobójstwo.

Dizzy głośno wciągnęła powietrze.

- O, mój Boże! Nie rozumiem, jak ktoś może chcieć zrobić coś takiego! I dlaczego?

- Żeby znaleźć ratunek w ramionach przystojnego nieznajomego, rzecz jasna - wyjaśniła sarkastycznie Ma.

- Powinieneś złożyć wizytę jej rodzinie - podsunął Cara-doc, myśląc o ładnej kuzynce Cosimy.

- Oczywiście! - przytaknęła Romina. - Musisz ich odwiedzić, skarbie! Będą chcieli ci podziękować!

- Już mi podziękowali. Jestem pewny, że ona znienawidzi mnie za to, że pokrzyżowałem jej plany. Wcześniej czy później znowu spróbuje, to tylko kwestia czasu!

- W takim razie musisz powiedzieć jej o tym chłopcu - odezwała się Ma.

Wszyscy spojrzeli na Lucę.

- O jakim chłopcu? - zapytała Romina. - Nie mówiliście o żadnym chłopcu, pierwsze słyszę.

- Nie było żadnego chłopca. - Luca dopił wino. - Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, byłem mokry i zmarznięty.

Profesor rozsądnie nie podjął tematu.

- Jeżeli zechcą ci podziękować, sami pewnie się tu zjawią -oświadczył. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości!

Kiedy wszyscy rozeszli się do łóżek, Luca wybrał się na spacer po plaży. Gdy wracając, zbliżał się do domku w ogrodzie, usłyszał nagle szelest kroków w trawie. Wiedział, że nie jest to jego ojciec, a już na pewno nie Ma czy Caradoc. Uśmiechnął się na myśl o Maxwellu i Dizzy - może postanowili pogodzić się tutaj po kłótni i zaszyć w króliczą norkę w ogromnym podwójnym łożu, wśród erotycznych obrazów na ścianach i książek. Szybko porzucił ten pomysł. Dizzy i Maxwell nie zrobili na nim wrażenia namiętnych kochanków, przypominali raczej parę zimnych meduz.

Chociaż księżyc stał wysoko na niebie, cienie były gęste i nieprzeniknione. Uszu Luki dobiegł głośny trzask, potem zapadła cisza. Stał nieruchomo, z mocno bijącym sercem. Może było to jakieś zwierzę, na przykład sarna. Wytężył słuch, ale nie usłyszał już nic poza szelestem poruszanych lekkim wiatrem liści i graniem cykad. A jednak czuł, że jest obserwowany i że istota, która mu się przygląda, czeka na jego ruch.

W końcu nie pozostało mu nic innego, jak zrobić krok. Kiedy nic się nie stało, zrozumiał, że wszystko to musiało być dziełem jego wyobraźni, i ruszył dalej ścieżką. Ostatecznie miał przecież metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie bary, ciało przygotowane do wysiłku w rezultacie codziennego treningu na siłowni i naprawdę nie musiał się niczego obawiać.

Był już przy małym domku, kiedy z zarośli wyskoczył na ścieżkę spłoszony królik i natychmiast zniknął w krzakach po drugiej stronie. Luca odetchnął z ulgą. Jednym krokiem pokonał dwa stopnie i nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się, zaskoczony własną głupotą. Jedyny klucz do domku miała matka. Zdarzenia w czasie festynu najwyraźniej wstrząsnęły

nim mocniej, niż przypuszczał, skoro zaczął sobie wyobrażać kryjące się w mroku duchy... Włożył ręce do kieszeni i wrócił do *palazzo*.

Tej nocy spał głęboko i mocno. Kiedy obudził się w łagodnym blasku świtu, powoli zalewającym wszystkie zakamarki pokoju, przyszło mu do głowy, że może wieczór w Incantella-rii tylko mu się przyśnił. Wstał i przeciągnął się, patrząc na spokojne morze. Na niebie nie było ani jednej chmurki, powietrze pachniało jaśminem i lawendą, ptaki wesoło ćwierkały w ogrodzie. Zobaczył, jak jego matka wykonuje ćwiczenia jogi na tarasie, a ogrodnik podlewa wężem rośliny w glinianych donicach i kwietne rabaty. Odsunął myśli o małym chłopcu i Cosimie, jakby stanowiły część koszmaru, z którego właśnie się ocknął.

Usiadł do śniadania w towarzystwie matki, Dizzy i Porcie-go leżącego na kamieniach. Brzuch prosiaka podnosił się i opadał, poruszany głębokim sennym oddechem. Smidge biegała dookoła na maleńkich nóżkach, starannie omijając Porciego, którego uważała za gorszego od siebie pod każdym względem. Ventura przyniosła na taras świeżo upieczony, jeszcze ciepły chleb, kawę i drożdżowe brioszki. Na środku stołu stała misa z granatami i brzoskwiniami. Dizzy wzięła parę owoców, unikając jak ognia smakowitego pieczywa, tak zabójczego dla jej figury. Luca konał z głodu i posłał Venture po jajecznicę, którą miał ochotę zjeść z *chlebem i prosciutto.*

Na taras wyszedł profesor w marynarce z kremowego lnu i panamie na głowie. Ma szła krok za nim, ubrana w długi fioletowy kaftan.

- Dzień dobry, przyjaciele! - przywitał się profesor jowialnie. - Coś tu cudownie pachnie...

- Proszę siadać do stołu, kochany profesorze. - Romina poklepała krzesło obok siebie. - Dobrze pan spał?

- Jak zabity.

- Zabici nie śpią tu chyba zbyt dobrze! - mruknęła Ma. -Mogłabym przysiąc, że ktoś przez całą noc chodził po korytarzu! Słyszałam kroki i nawet na chwilę nie zmrużyłam oka.

Romina cmoknęła z irytacją.

- To pewnie Bill! On zawsze spaceruje, kiedy nie może zasnąć!

- Cóż, ma bardzo ciężki krok - poskarżyła się Ma. Luca przypomniał sobie kroki w pobliżu domku. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może jednak w nocy rzeczywiście kręcił się tam jakiś nieproszony gość.

- W Incantellarii zdarzają się dziwne rzeczy - powiedział, kiedy Ventura postawiła przed nim talerz z jajecznicą.

- Przecież na marmurowej twarzy Jezusa nie było wczoraj ani śladu krwi - zauważył profesor.

- Ale miejscowi i tak trochę sobie poskakali! - rzuciła Ma. - Nie mogłam zasnąć także i przez te ich sztuczne ognie!

Kiedy pojawił się Bill, który wcześniej pojechał do miasteczka po angielskie gazety, wszyscy odwrócili się i popatrzyli na niego wyczekująco.

- Dzień dobry! - powiedział.

- Kochanie, czy to ty skradałeś się po korytarzu w środku nocy?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A byłeś może w domku w ogrodzie koło pierwszej? -spytał Luca.

- Ktoś był w domku? - zapytała Romina.

- Słyszałem kroki.

- O, Boże, ty też! - jęknęła. .

- Jestem niewinny. - Bill położył zwinięte gazety na stole i nalał sobie kawy. - Wygląda na to, że muszę się wzmocnić.

- W takim razie mógł to być tylko duch - oznajmił spokojnie profesor.

- Chyba pan, posiadacz błyskotliwego umysłu, nie wierzy w takie rzeczy, co?!

- Nawet najsprawniejszy umysł nie zawsze przyjmuje do wiadomości to, co nienamacalne. Proszę pomyśleć chociażby o falach radiowych czy promieniowaniu ultrafioletowym, moja droga! Na tej planecie istnieje mnóstwo rzeczy, któ-

rych nie można doświadczyć pięcioma zmysłami. *Marchese* został zamordowany w tym domu - któż może nas zapewnić, że jego duchowa i emocjonalna energia nie pozostała w miejscu jego śmierci.

Dizzy otworzyła usta z przerażenia.

- Został tu zamordowany? - Romina spojrzała na Lucę. -Mówiłeś, że niczego się nie dowiedziałeś!

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś, kochanie! To ja wysłałam was obu z tą misją, więc chyba mogę oczekiwać, że po powrocie opowiecie, co odkryliście!

- No, skoro cię to interesuje... Markiz Ovidio di Monteli-mone miał romans z tutejszą dziewczyną imieniem Valentina, która zakochała się w Angliku, niejakim Thomasie Arbuckle'u. *Marchese* zamordował ją w ataku zazdrości, a jej brat postanowił się zemścić i zabił Ovidia tutaj, w pałacu.

- Honorowe zabójstwo. - Profesor pokiwał głową. - Dość często spotykane zjawisko w tych gorącokrwistych krajach.

- Och, co za ponura historia! - zachwyciła się Romina. -Ludzie z „Sunday Timesa" będą zachwyceni!

- No tak, czeka nas przecież spotkanie z dziennikarką z „Sunday Timesa" - westchnął Bill.

- Cóż, to wyjaśnia rozmaite dziwne zjawiska, które mają tu miejsce - powiedziała Ma. - Powinniście sprowadzić księdza, żeby odprawił egzorcyzmy.

- Głupstwa! - żachnęła się Romina. - Ksiądz nie zechciałby tu zresztą przyjechać, bo raczej nie zaglądam do kościoła. Religia nie bardzo mi pasuje. W dzieciństwie miałam jej trochę za dużo i teraz nie mogę zmusić się do uczestniczenia w nabożeństwach i tak dalej... Krótko mówiąc, nie sądzę, aby tutejszy ksiądz pośpieszył mi z pomocą!

Na taras wyszła Ventura z telefonem w ręku.

- Ktoś do *signore* Luki - oświadczyła, podając mu słuchawkę.

Luca wstał i przeszedł na drugi koniec, żeby spokojnie odbyć rozmowę. Claire była jedyną osobą, która miała numer *palazzo*.

- Halo? - odezwał się.

- Dobrze się bawisz? - spytała.

- Oczywiście. Jak dzieci?

Przyjazny ton jej głosu od razu wzbudził w nim podejrzenia.

- W porządku. Nikt cię jeszcze nie znalazł?

- Nie.

- Szukają cię jak szaleni! Niektórzy zaczęli nawet wydzwaniać do mnie.

- Kto?

- Paru dziennikarzy.

- Powiedz im, że wyjechałem za granicę. W końcu się poddadzą.

- Nie jestem twoją sekretarką! Powiedziałam twoim znajomym, żeby zostawiali wiadomości na komórce, bo wtedy oddzwonisz, kiedy będziesz gotowy...

- Brzmi to tak, jakbym był chory!

- No, przecież to jest swoista choroba, prawda?

- Kiedy dziewczynki będą mogły do mnie przyjechać? -zmienił temat.

- Właśnie dlatego dzwonię... Widzisz, zostaliśmy zaproszeni na Barbados na czas przerwy między semestrami i przyszło mi do głowy, że może wtedy zająłbyś się dziewczynkami. Wysłałabym je do ciebie z Sammy, tylko na tydzień...

- Naturalnie - odparł. - Bardzo chętnie się nimi zajmę.

- Och, cudownie! Przyjaciele Johna mają dom w Sandy Lane-Luca nie dał się sprowokować.

- Kiedy przyjadą?

- W przyszły piątek. Możesz odesłać je w następny...

- Świetnie.

- Mam chyba prawo zrobić sobie krótki urlop, ostatecznie od początku jestem z nimi cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę! Ty zawsze podróżowałeś albo pracowałeś, więc byłoby dobrze, gdybyś spędzał z nimi trochę więcej czasu, nie tylko co drugi weekend. Powinieneś je lepiej poznać, to urocze dzieci.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać, Claire! Powiedziałem przecież, że z radością się nimi zajmę i wcale nie winię cię za to, że chcesz na krótko wyjechać. Szczerze mówiąc, jestem zachwycony, że będę miał szansę trochę z nimi pobyć.

- To dobrze! - W głosie Claire zabrzmiała nuta ulgi. - Nie chciałabym, żebyś zaczął uważać mnie za złą matkę.

- Niby dlaczego miałoby cię obchodzić, co o tobie pomyślę?

- Nie bądź taki! - warknęła. - Zależy mi tylko na odrobinie uznania za to, co od lat robię!

- Masz moje uznanie, Claire.

- Wobec tego wysyłam je w piątek. Zadzwonię jeszcze, żeby podać ci numer lotu i inne szczegóły. Sam je odbierzesz, prawda?

- Oczywiście.

- Wolałabym, żeby nie był to jakiś nieznajomy szofer.

- Baw się dobrze w Sandy Lane!

- Na pewno się nie rozczaruję. John wszystkich tam zna...

12

- Nie chce jeść - powiedziała z rozpaczą Alba. - Cały czas leży w łóżku, patrzy w sufit i czeka na śmierć. - Pozwoliła, żeby Panfilo objął ją i przytulił. - Naprawdę nie wiem już, co robić.

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, kochanie! - Zanurzył usta w jej gęstych włosach. - Resztę musi zrobić sama.

- Ale ona umrze!

- Wtedy będzie tam, gdzie chce być. Razem z France-skiem.

- Nie mów tak! Ma trzydzieści siedem lat i całe życie przed sobą! A ja jestem za nią odpowiedzialna!

- Jej ojcem jest Toto, i to on za nią odpowiada.

- Ale to ja jestem matką, której nigdy nie miała! Byłam przy niej, gdy dorastała, i kocham ją jak własną córkę!

- Lepiej by było, żeby Rosa tego nie słyszała.

- Rosa dobrze o tym wie. Miłość ma wiele odcieni!

- Cosimie potrzeba czegoś więcej niż miłości, żeby otrząsnęła się z przygnębienia, w które wpadła. Potrzebna jej siła woli i pragnienie dokonania zmiany. Może Rosa ma rację, może rzeczywiście nadmierna wyrozumiałość zachęca ją tylko do rozczulania się nad sobą. W gruncie rzeczy, nie musi przecież robić niczego, aby stawić czoło życiu.

- Chodzi ci o to, że boi się wyjść z depresji?

- Nie inaczej...

Rosa przysiadła w nogach łóżka Cosimy. Jej kuzynka była blada, wachlarz ciemnych włosów dramatycznie odcinał się od poduszki. Wyglądała mizernie, jak krucha figurka z porcelany.

- Przykro mi, że nie mogłyśmy się dogadać - odezwała się Rosa, z trudem zdobywając się na przeprosiny. - Nie rozumiałam, co czujesz.

Kiedy Cosima nie zareagowała, Rosa wstała i podeszła do malutkiego ołtarzyka, przed którym wciąż płonęła świeca. Francesco szeroko uśmiechał się do niej z fotografii.

- Wiesz, ten mężczyzna, który cię uratował, ma na imię Luca - powiedziała. - Jest bardzo przystojny. Chyba powinnaś mu podziękować.

- Wcale nie chcę mu dziękować! - Cosima odwróciła twarz do ściany. - Nie mam za co...

- Zaryzykował dla ciebie własne życie.

- Szkoda, że nie zostawił mnie w spokoju!

- Co za mężczyzna patrzyłby spokojnie, jak kobieta się topi?

- Niepotrzebnie się wtrącił!

Rosa doszła do wniosku, że czas postawić wszystko na jedną kartę.

- Mówił, że jakiś mały chłopiec wpadł do kościoła i zaczął wzywać pomocy.

- I co z tego?

- Ten chłopiec miał w ręku piórko...

- Piórko? - Cosima wreszcie spojrzała na nią błyszczącymi oczami.

- Tak, piórko.

- Kim był ten chłopiec?

- Nie widział go nikt poza mężczyzną, który przyszedł ci z pomocą...

- Kłamiesz! - Na policzki Cosimy wypełzł krwawy rumieniec. - Albo on kłamie!

- Sama go zapytaj.

- Nie chcę go widzieć!

- Więc nigdy się nie dowiesz!

- Przecież to niemożliwe...

Rosa widziała jednak, że rozbudziła ciekawość kuzynki. Serce zabiło jej mocniej na myśl, że to ona pomoże jej wyjść z żałoby.

- W porządku, rób sobie, co chcesz, ale ja na twoim miejscu chciałabym się dowiedzieć, co naprawdę się zdarzyło!

Wyszła z pokoju, mijając wchodzącego po schodach Tota.

- Jak ona się czuje?

Rosa wzruszyła ramionami.

- Myślę, że niedługo wstanie.

Luca leżał na swoim zwykłym miejscu przy basenie, kiedy z pałacu wybiegła zdenerwowana matka.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła tragicznym tonem. -W domku w ogrodzie znowu ktoś był! Twój ojciec przysięga, że to nie on! Mówiłeś chyba, że wczoraj w nocy słyszałeś jakieś kroki, prawda?

- Tylko żartowałem, mamo. - Przypomniał sobie spłoszonego królika.

- To nie temat do żartów! Tam naprawdę ktoś był! Widać, że ktoś spał w łóżku!

- Dlaczego nie zmienisz zamka?

- Duchy umieją przechodzić przez ściany!

- Wydawało mi się, że nie wierzysz w duchy. - Podniósł się i podsunął Romi-nie krzesło.

- Może się mylę, któż to może wiedzieć... - mruknęła cicho, żeby nikt jej nie usłyszał.

Nie znosiła przyznawać się do błędu.

- Twoja babka ciągle widywała duchy - ciągnęła. - Czasami mówiła sama do siebie, lecz upierała się, że rozmawia z duchami. Kładła na stole dodatkowe nakrycia dla zmarłych krewnych. Nanni uważał to za bardzo zabawne, ale mnie wydawało się raczej smutne. Matka traktowała to jako zupełnie naturalną rzecz. Ja miałam jej za złe to szaleństwo, lecz może jednak się myliłam.

- Nie myliłaś się wtedy i nie mylisz się teraz! Jesteś rozsądną, inteligentną kobietą, a Ventura to przesądna wieśniaczka. Jeśli chodzi o twoich gości, to pewnie podoba im się myśl, że po domu kręci się duch, ale żadne z nich tak naprawdę w to nie wierzy. Duchów po prostu nie ma, mamo!

Mówił te słowa z pełną świadomością, że kłamie. Myślał o małym chłopcu, którego widział w kościele, i postaciach, które w dzieciństwie pojawiały się w nocy w jego pokoju. W najgłębszym zakamarku jego serca pogrzebana była pewność, że istnieje coś więcej niż ten trójwymiarowy świat.

- Dotrzemy do sedna tej sprawy, zobaczysz - rzekł. - Osoba, która odwiedza domek w ogrodzie, zbudowana jest ze znacznie solidniejszej substancji niż duchy Ventury, możesz mi wierzyć!

Po południu Caradoc zaprosił go do miasteczka na kawę.

- Mam ochotę jeszcze raz przyjrzeć się tej apetycznej dziewczynie - wyjaśnił, mając na myśli Rosę. - Takie jak ona dodają barw marzeniom starego człowieka.

- Nie puszczę was nigdzie samych! - zawołała Ma, doganiając ich w holu. - Chyba nie zdążyliście jeszcze zapomnieć o naszej wspólnej przygodzie, co?

- Skądże znowu, droga pani! Ta przygoda połączyła nas przecież raz na zawsze.

- Dizzy rozmawia przez telefon z jakąś zbolałą przyjaciółką. To świetny moment na ucieczkę! Nie mogę już słuchać tych jej egzaltowanych wynurzeń... - Spojrzała na Lucę. - Ach tak, zabieramy też ze sobą tłumacza! Mam silne uczucie *déjà vu*\

- Mam nadzieję, że uda nam się uniknąć drugiego takiego przeżycia - odparł Luca. - Wolałbym nie kąpać się ponownie w morzu.

Ma przystanęła przed lustrem i poprawiła czerwony kapelusz ze słomki, ozdobiony barwnymi drewnianymi owocami. Nie lubiła wystawiać jasnej skóry na działanie słońca.

- Na twoim miejscu omijałabym port z daleka, młody człowieku - oznajmiła. - Jeżeli ta dama bardzo chce się utopić, nic jej nie powstrzyma. - Posłała mu w lustrze uśmiech, który zupełnie odmienił jej twarz. - No, chyba że ty zdołasz na nią wpłynąć! Widziałam niewielu przystojniejszych od ciebie mężczyzn. Pobyt we Włoszech dobrze ci robi, słowo daję!

- Ach, Luca, kiedyś też byłem przystojny, ale upływający czas wszystkich równa - westchnął Caradoc. - „I znowu kwiaty niosą piękną porę roku, lecz zblakłe piękno nie zna drugiej wiosny". Ciesz się, póki masz to, co masz.

Wyszli na oślepiające słońce. Znowu pożyczyli samochód Rominy, ale tym razem Ma wcisnęła się do tyłu, gdzie mogła swobodnie rozsiąść się na całej kanapie. Wnętrze wozu pachniało rozgrzaną skórą. Caradoc opuścił okno, żeby do środka wpadł świeży powiew i poruszał nosem niczym pies, który zwietrzył coś ciekawego. Kiedy pędzili w dół wzgórza, Luca poczuł, jak nastrój poprawia mu się w towarzystwie dwojga starszych ludzi, o których nigdy wcześniej nie pomyślałby jako o swoich przyjaciołach. Jego życie całkowicie się odmieniło i on sam powoli zaczynał czuć się zupełnie inaczej.

Przyjechali do trattorii i wybrali stolik na tarasie, z widokiem na nabrzeże. Łodzie wpływały do małego portu i opuszczały go, dzieci bawiły się na pomostach, wychudzony pies truchtał powoli po chodniku, dopóki nie zobaczył przyczajonego w cieniu czarnego kota i nie wystrzelił za nim jak z procy. Dwóch starszych mężczyzn w czapkach spierało się o wynik partii w *scopa,* którą rozegrali poprzedniego wieczoru.

Ma przez chwilę oceniała, które krzesło znajduje się w najgłębszym cieniu, a Caradoc o mały włos nie potknął się o własne stopy, gdy ujrzał wychodzącą z restauracji Rosę w szkarłatnej sukience. Przywitała ich serdecznie i zaczekała, aż

wszyscy usiądą. Luca miał nadzieję, że nie będzie znowu dziękowała mu za jego „bohaterstwo", ponieważ chciał jak najszybciej zapomnieć o całym zdarzeniu.

- Kawa dla pana, *signore*? - Rosa zwróciła się do profesora głosem słodkim jak gęsta czekolada na gorąco.

- Zapamiętała pani? - rozpromienił się Caradoc.

- Oczywiście! Jak mogłabym zapomnieć?

- Czarna. I coś słodkiego, zdaję się na pani wybór... Na pewno znajdzie pani dla mnie jakiś wyjątkowy przysmak!

- Niech pan się wstydzi, profesorze! - Ma z dezaprobatą pokręciła głową. - Niemądry z pana staruszek!

- W dniu, kiedy przestanę być niemądrym staruszkiem, stanę się zwyczajnym, nieciekawym staruchem, na dodatek smutnym!

Ma prychnęła głośno.

- Poproszę filiżankę earl greya, z odrobiną miodu i mleka! - rzuciła.

Spodziewała się, że dziewczyna wzruszy ramionami i powie, że nie podają czegoś takiego, jak to mieli w zwyczaju Włosi, lecz ta uprzejmie skinęła głową i odwróciła się do Luki.

- Kawa z wrzącym mlekiem w dzbanuszku? - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Tak, dziękuję.

Oczy Rosy zatrzymały się na jego twarzy trochę dłużej, niż przystało mężatce.

- Coś słodkiego? - zagadnęła.

- Tak! - wtrąciła surowym tonem Ma. - To samo, co dla profesora!

Rosa zniknęła w prowadzących do sali drzwiach, a Luca wreszcie odetchnął z ulgą.

- Ładna dziewczyna - mruknął Caradoc. - Gdybym był w twoim wieku, Luca, poszedłbym do łóżka z taką soczystą Włoszką jak Rosa! Takie dziewczyny są jak dojrzałe owoce, gotowe do zerwania i posmakowania.

- Na miłość boską, profesorze! - warknęła Ma. - Co w pana wstąpiło?!

- To pewnie przez ten upał... - pośpieszył z pomocą Luca.

- To przez Incantellarię - sprostował Caradoc. - Czuję się tu o dwadzieścia lat młodszy!

- Cóż, ja tam wcale się tak nie czuję - powiedziała Ma. -Nigdy zresztą nie przeceniałam znaczenia seksu! Robi mi się niedobrze na samą myśl, że jakiś facet miałby włazić na mnie, sapiąc i dysząc jak parowóz! Jest tyle bardziej interesujących rzeczy, którymi można się zająć!

Profesor rzucił jej pełne zawodu i lekkiej urazy spojrzenie.

- A ty, Luca?

- Zgadzam się z panem, profesorze! Ten upał rzeczywiście zachęca, aby myśleć o dziewczynach!

- Natomiast rozwód działa chyba jak zimny prysznic, prawda? - Ma lekko poklepała Lucę po ręce. - Nie martw się, następnym razem będziesz miał więcej szczęścia! Jesteś wystarczająco młody i głupi, żeby dać małżeństwu drugą szansę... Na twoim miejscu poszukałabym sobie jakiejś ładnej Włoszki, która dobrze by się tobą zajęła!

- Takiej jak Rosa! - rzekł Caradoc.

- Nie takiej jak Rosa! - powiedziała Ma. - Wyobrażam sobie, że jej mąż ma do niej tyle zaufania, ile brudu za paznokciem. Ta dziewczyna ma w oku błysk, który zapowiada kłopoty, i tyle! Biedak musi mieć z nią same problemy, wierzcie mi!

Rosa wróciła z napojami i trzema kawałkami cytrynowej babki.

- Pieczona według przepisu mojej babki - oświadczyła z uśmiechem. - Rozpływa się w ustach!

- Jak soczysty owoc - rzekł Caradoc, patrząc na nią z zachwytem.

Luca zobaczył, że twarz Rosy przybrała poważny wyraz, i zorientował się, że nie uniknie rozmowy o Cosimie.

- Moi rodzice chcieliby należycie podziękować panu za uratowanie Cosimy.

- Nie trzeba, naprawdę!

Rosa nawet nie starała się ukryć rozczarowania.

- Na pewno przechodzicie teraz przez trudne chwile - dorzucił Luca. - W żadnym razie nie chciałbym się narzucać...

- Narzucać?! Gdyby nie wykazał się pan taką odwagą, Co-sima by utonęła! Przynajmniej w taki sposób chcielibyśmy okazać wdzięczność, Cosima także...

- Lepiej nie odmawiaj - powiedziała Ma. - Przyjmij zaproszenie choćby po to, aby upewnić się, że biedna dziewczyna nie spróbuje utopić się raz jeszcze.

- Nie czas na skromność! - zachęcił Lucę Caradoc. - Skoro odegrałeś rolę bohatera, nie powinieneś wzdragać się przed przyjęciem wyrazów wdzięczności!

- Proszę! - Rosa błagalnie złożyła dłonie. - Jest pan pierwszym promykiem światła, jaki od trzech lat ośmieliła się dostrzec! Ona chce tylko podziękować, tak samo jak my wszyscy!

- W takim razie z przyjemnością przyjdę - zgodził się Luca, chociaż nadal miał poważne wątpliwości.

- Doskonale! Będę czekała tu o siódmej wieczorem i sama zaprowadzę pana do naszego domu. Niełatwo go znaleźć, a ja jestem po prostu beznadziejna, jeśli chodzi o udzielanie wskazówek. Może pan przyjechać samochodem! Och, wszyscy będą tacy szczęśliwi! - Klasnęła w ręce, sama uszczęśliwiona jak małe dziecko na widok zabawki.

- Ten uśmiech jest wart milion dolarów - powiedział Caradoc, nie spuszczając wzroku z pośladków podchodzącej do innego stolika Rosy. - Chcesz zabrać mnie ze sobą, Luca?

- Nie, pojadę sam. Jestem już dużym chłopcem.

Wieczorem Cosima czekała z całą rodziną na ocienionym winoroślą tarasie. Zgodnie z oczekiwaniami Rosy, ciekawość przezwyciężyła jej przygnębienie. Beata siedziała przy stole razem z Totem i Albą, a Panfilo i jego pies gonili dzieci między drzewami, wywołując głośne wybuchy śmiechu i radosne piski. Dzieci zupełnie nie zdawały sobie sprawy z napięcia, które świetnie wyczuwali czekający na Rosę i Lucę dorośli.

Wreszcie warkot silnika zasygnalizował ich przybycie. Alba poszła do drzwi, aby przywitać gościa, natomiast Cosi-ma została przy stole, niepewna, jak poradzić sobie z sytuacją. Miała za złe Luce, że zniweczył jej plany, ale też na dnie jej serca pełgał płomyk nadziei, rozpalony słowami przybysza o chłopcu z białym piórkiem.

Alba obserwowała, jak Rosa schodzi po zboczu u boku Luki. Mężczyzna był bardzo wysoki i atletycznie zbudowany, ubrany w dżinsy i rozpiętą pod szyją błękitną koszulę. Słońce nadało jego skórze ciepły odcień brązu, włosy miał gęste i ciemne, oczy niebieskie jak niezapominajki. Przywitała go serdecznie, starannie maskując niepokój, jaki budziła w niej świadomość jego związków z *palazzo*.

- Witamy. - Wyciągnęła do niego rękę.

Luca od razu rozpoznał ją jako kobietę, która trzymała świecę na obchodach rocznicy cudu.

- Bardzo się cieszymy, że zgodził się pan przyjść. Jestem Alba, matka Rosy. Cosima jest moją siostrzenicą.

- Nie zrobiłem nic ponad to, co każdy zrobiłby w takich okolicznościach - odparł skromnie.

- Proszę do środka! Wszyscy czekają na tarasie. Rosa zaraz przyniesie panu drinka...

Rosa weszła do domu lekkim, tanecznym krokiem, absolutnie pewna, że Luca na nią patrzy. Wcześniej wysoko upięła włosy, aby pokazać piękną linię szyi, i

poprawiła makijaż, żeby czerwień szminki idealnie pasowała do czerwonego lakieru, jakim pomalowała paznokcie. Żałowała tylko, że nie ma kolczyków z prawdziwymi brylantami, które pięknie błyszczałyby w jej uszach.

Dom był bardzo ładny, zbudowany z jasnego piaskowca, podobnie jak wiele innych domów na farmach w tym regionie, kryty szarą dachówką. Niebiesko-szare okiennice stanowiły miłą dla oka ozdobę okien, dodatkowo chronionych ozdobnymi metalowymi kratami, z których zwisały małe doniczki z geranium. Otoczony ciemnozielonymi cyprysami i wielkimi, pełnymi lilii urnami, dom emanował spokojnym urokiem.

Luca z mocno bijącym sercem ruszył za Albą, ponieważ on także się zastanawiał, jak poradzić sobie z tą sytuacją. W końcu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie ograniczyć wizytę do niezbędnego minimum i wyjść jak najprędzej się da.

Alba przedstawiła go wszystkim członkom rodziny, zostawiając Cosimę na koniec. Dopiero teraz, kiedy twarzy młodej kobiety nie przesłaniała czarna woalka, mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Uścisnął jej rękę, lecz ona nie podniosła wzroku. Wargi miała bardzo blade, kości policzkowe wyraźnie zaznaczone, skórę prawie przejrzystą. Nie była klasyczną pięknością, ale jej rysy tworzyły piękną całość, na której widok serce Luki na moment zamarło.

- Proszę usiąść... - Panfilo wysunął krzesło. - Bardzo to miłe, że zechciał pan nas odwiedzić.

Rosa podała Luce szklankę, otaczając go obłokiem intensywnego zapachu perfum. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Luca przełknął odrobinę wina, sztywny z zażenowania. Co można powiedzieć kobiecie, która próbowała popełnić samobójstwo?

- Jak jest teraz *wpalazzo?* - Toto pierwszy zdecydował się przełamać lody.

Alba ściągnęła brwi, lecz ze względu na Cosimę pośpiesznie stłumiła swoje uczucia.

- Wspaniale - odparł Luca. - Ze wzgórza roztacza się przepiękny widok.

- Podobno stary *marchese* podglądał mieszkańców miasteczka przez teleskop - rzuciła Rosa z błyskiem w oku.

Luca uśmiechnął się, wdzięczny za zmianę poważnego tonu rozmowy.

- Muszę pójść w jego ślady i też kupić sobie teleskop! Markiz niewątpliwie wiedział, co robi.

- Panfilo będzie robił zdjęcia pałacu dla „Sunday Timesa".

Luce zupełnie wyleciało z głowy nazwisko sławnego fotografa, o którym mówiła Romina.

- Ach tak - powiedział. - Matka opowiadała mi o panu. Twierdzi, że jest pan najlepszym włoskim fotografem.

- To gruba przesada. - Panfilo lekko wzruszył ramionami.

- Wcale nie! - zaprotestowała Alba. - To prawda, jesteś najlepszy we Włoszech!

- Matka jest zachwycona, że będzie mogła pochwalić się pałacem - podjął Luca. - Kiedy rodzice go kupili, był w zupełnej ruinie.

Alba nie zdołała zapanować nad ciekawością.

- Dlaczego go kupili? - zapytała.

- Mój ojciec jest architektem, a matka zajmuje się wystrojem wnętrz. Oboje są już na emeryturze, ale renowację pałacu uznali za wspólny, ambitny projekt. Mama zakochała się w pałacu od pierwszego wejrzenia, natomiast ojciec potraktował go jako wielkie wyzwanie. Teraz przyjmują tam gości zupełnie jak średniowieczna para królewska, chociaż nie mam pojęcia, gdzie znajdują niektórych z tych ludzi. Nie wszyscy mi się podobają.

Luca miał świadomość, że mówi do córki Valentiny, tej samej Valentiny, która padła ofiarą morderstwa na drodze do Neapolu i której brat zemścił się na *marchese.* Przyglądał się jej z zaciekawieniem. Pociągnął jeszcze łyk wytrawnego wina i poczuł przyjemne rozluźnienie mięśni.

Rozmawiali i patrzyli na zachodzące słońce, na długie cienie na trawie. Cosima obserwowała Lucę oczami pełnymi podejrzliwości. Pozostali członkowie jej rodziny skutecznie maskowali jej wrogie nastawienie gładką rutyną, którą praktykowali od trzech lat, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Zmienne nastroje Cosimy były częścią ich rodzinnego domu, tak samo jak kryjące się w cieniu sprzęty.

Nagle Luca zobaczył chłopca z kościoła. Mały stał nieruchomo w łagodnym, bursztynowym świetle, podczas gdy inne dzieci biegały dookoła, bawiąc się w berka. W ręce trzymał duże białe pióro. Na widok Luki jego buzię rozjaśnił uśmiech, pełen wdzięczności i aż zbyt dojrzały jak na wiek malca. Chłopiec nie sprawiał wrażenia, jakby należał do innego świata, ale trzymał się nieco z daleka.

- To pani dzieci? - spytał cicho Rosę Luca.

- Troje z nich, reszta to kuzyni.

- Miałam syna - odezwała się wreszcie Cosima. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Patrzyła na Luce, jej głos brzmiał najzupełniej spokojnie. Przez głowę Luki przemknęła myśl, że chciałby utonąć w jej oczach.

- Miał na imię Francesco - ciągnęła. - Skończył sześć lat... Prawie codziennie bawił się z kuzynami tutaj, w oliwnym gaju. Uwielbiał samochodziki i łódki, ale najbardziej interesowały go motyle, owady i ptaki. Zawsze rozglądał się za nimi wśród drzew i w trawie, i próbował łapać cykady... - Głos młodej kobiety załamał się, na jej bladych policzkach wykwitły dwie czerwone plamy. - Zbierał białe piórka...

Mały chłopiec zniknął. Dzieci pobiegły gdzieś dalej, ich okrzyki słychać było z głębi gaju.

- Nosił je w kieszeniach, bo lubił ich miękki dotyk na swoich wargach - mówiła Cosima. - Układał je na dywanie i zostawiał we wszystkich możliwych miejscach w domu... Ale kiedyś jedno z nich porwał wiatr i...

Luca siedział bez ruchu, zahipnotyzowany jej głębokim spojrzeniem.

- Chce pan go zobaczyć?

- Oczywiście...

- Więc chodźmy! - powiedziała, podnosząc się z miejsca. -Pokażę panu mojego syna...

13

Luca ruszył za Cosimą wyłożonym glinianymi płytkami holem i po schodach na piętro. Cały czas czuł na skórze chłodny powiew. Zadrżał, ocierając pot, który zgromadził się w płytkim zagłębieniu nad jego nosem i na czole. Cosima otworzyła drzwi do swojej sypialni. Pod przeciwległą ścianą znajdował się mały ołtarzyk. W szklanej osłonie płonęła świeca, wydobywając z półmroku fotografię Francesca.

Luca powoli wszedł do środka, na wpół obawiając się twarzy w ramce. Tak czy inaczej, musiał ją zobaczyć, musiał wiedzieć. Przykucnął i uważnie popatrzył na zdjęcie. Tak, z całą pewnością był to ten sam chłopiec, ten z plaży, z trattorii, ze skweru i kościoła... Chłopiec, który bawił się w słońcu białym piórkiem... Jak to możliwe? Wyglądał przecież równie realnie jak wszystkie inne dzieci w Incantellarii.

- Teraz rozumie pan, dlaczego chcę umrzeć. - Cosima przystanęła między Lucą i drzwiami. - Nie mogę żyć z tak ogromnym poczuciem winy! Dlaczego mnie pan uratował?

Jej głos był jak lodowaty wiatr.

- Musiałem...

- Skąd pan wiedział, gdzie jestem?

- Widziałem, jak pani wybiegła.

- Ale nie poszedł pan za mną, został pan w kościele!

- Tak.

- Więc skąd pan wiedział? Od kogo?

Stała za jego plecami, bez słów żądając, aby odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

Potarł czoło, zupełnie zagubiony.

- Mam wrażenie, że tracę rozum - mruknął.

- Widział pan małego chłopca, tak? - ponagliła go Cosima. - Małego chłopca z piórkiem.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Nie chciał dawać jej fałszywej nadziei, ale nie mógł kłamać.

- Widziałem Francesca.

Oczy Cosimy wezbrały łzami, jej usta zadrżały.

- O, mój Boże - wyszeptała, robiąc pośpiesznie znak krzyża na swojej piersi. - Chcę panu wierzyć, ale skąd mogę wiedzieć, że pan nie kłamie.

- Skąd ja mogę wiedzieć, że nie cierpię na przywidzenia?

- Nikt inny nie widział go w kościele, tylko pan!

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Moim zdaniem, chłopiec wyglądał jak żywe dziecko.

- Ale mój syn nie żyje! Nie może pan mnie tak zwodzić! Proszę mu się przyjrzeć! Jest pan pewny, że to on?

- Wiem, co widziałem! Jeszcze nie zwariowałem... Boże, dlaczego właśnie ja?

- Stale ich pan widzi? Chodzi mi o zmarłych.

- Duchy?

- Tak...

Wziął głęboki oddech. Nigdy nie rozmawiał z nikim na ten temat, nawet z Freyą, widział jednak, że Cosimie potrzebne jest jakieś wyjaśnienie.

- Jako dziecko widywałem duchy, chociaż nie zdawałem sobie sprawy, kim są. Słyszałem głosy, które budziły we mnie lęk. Matka powiedziała mi, że oszalałem i że wyśle mnie do miejsca dla chorych na głowę dzieci, więc w jakiś sposób

zablokowałem kontakt ze światem duchów. Przychodziły coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu przestały mnie odwiedzać.

- Dlaczego zobaczył pan Francesca?

- Nie wiem i nie umiem tego wytłumaczyć. Pierwszy raz zobaczyłem go nad morzem, w dniu mojego przyjazdu. Szła pani plażą, a on biegł obok. Mówił coś, ale pani wydawała się go nie słuchać. Pomyślałem, że po prostu nie zwraca pani na niego uwagi.

Na rękę Cosimy spadła duża łza, którą natychmiast wytarła.

- Później widziałem go w trattorii z Rosą i w kościele, kiedy zapalała pani świeczkę. Pamięta pani, że usiłowałem z panią porozmawiać?

- Tak, pamiętam.

- On bawił się na skwerze, a potem pobiegł za panią.

- Ale ja byłam sama! - Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - Zawsze jestem sama.

Luca przykrył jej dłoń swoją. Zdawał sobie sprawę, że Co-sima może uznać to za zbyt śmiały gest, lecz ona go nie odepchnęła.

- Nie, nie jest pani sama.

Na tarasie czekała Alba i reszta rodziny.

- Co oni tam robią? - zapytała Rosa z zazdrością. - Jak długo można pokazywać komuś jedną fotografię?

- Przestań, kochanie! - skarciła ją matka. - Jeżeli rozmawiają o Francescu, to bardzo, bardzo dobrze... Mam nadzieję, że nie będą się śpieszyć.

- Co to za historia z piórkiem, Roso? - zagadnął Panfilo, który od razu zauważył, że Luca pobladł na wzmiankę o piórku.

- Nic szczególnego - Rosa wzruszyła ramionami. - Luca mówi, że w czasie nabożeństwa widział w kościele małego chłopca z piórkiem. Tego samego, który trochę później wezwał go na pomoc.

Alba zmrużyła oczy, usiłując przypomnieć sobie słowa Luki.

- Tak, rzeczywiście mówił coś o małym chłopcu.

- Dlaczego miałoby to być takie ważne? - Panfilo zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że nikt inny go nie widział - odparła Rosa.

- Chcesz powiedzieć, że tym dzieckiem był Francesco? -spytała Beata.

- Sama nie wiem... Nie, oczywiście, że nie. Ale jeśli Cosima tak myśli, to chyba dobrze, prawda?

- Dobry Boże! - zawołała Alba. - Więc Luca ma niezwykłe zdolności? Jest medium?

Panfilo uśmiechnął się szeroko.

- To nieważne! - powiedział. - Jeżeli zdoła pomóc Cosi-mie, może sobie być medium czy czymkolwiek innym!

- Ale on naprawdę jest medium! - upierała się Alba. Zza rogu domu wyszedł Eugenio, zmęczony po jeździe rowerem pod górę.

- Co się dzieje? - zapytał ze zdziwieniem. - O co chodzi? Dzieci dopadły go w jednej chwili i otoczyły, mocno obejmując brązowymi łapkami.

- Halo, moje małpki! Nie powinnyście przypadkiem być już w łóżku? - Eugenio spojrzał na Rosę spod uniesionych brwi.

- Zaprosiliśmy Lucę, żeby mu podziękować,

- Kogo?

- Tego, który uratował Cosimę - wyjaśnił Toto.

- Są na górze, siedzą tam i siedzą - mruknęła Rosa i ostrożnie spojrzała na matkę. - Nie sądzisz, że może powinnam zajrzeć, sprawdzić, czy wszystko w porządku?

- Nie - odparła Alba. - Zostawmy ich w spokoju. To naprawdę dobrze, że Cosima może porozmawiać z kimś, kto nie należy do rodziny.

Cosima nie zamierzała otwierać się przed obcym. Zapamiętała Lucę od pierwszego spotkania, kiedy odezwał się do niej na skwerze, uznała go jednak za atrakcyjnego cudzoziemca, któremu nie można ufać. A teraz nagle poczuła, że ma ochotę opowiedzieć mu o Francescu i Riccardzie, ojcu swojego synka.

Luca słuchał i obserwował ją, zaintrygowany i poruszony. Cosima z ożywieniem opowiadała, jak zakochała się w mężczyźnie, który bynajmniej nie zamierzał porzucić dla niej żony, i śmiała się z własnej głupoty. Była odmieniona. Jej twarz odzyskała naturalny koloryt, a czerń sukienki nagle przestała wysysać z niej życie.

- Widzisz, Francesco był częścią Riccarda, lecz jednocześnie należał wyłącznie do mnie. Wypełnił w moim sercu pustkę po Riccardzie, który oświadczył, że nie uzna naszego dziecka i nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Byłam głęboko zraniona, ale wiedziałam, że w moim ciele rośnie dziecko, które będzie tylko moje. Francesco mnie kochał, miał mnie nigdy nie opuścić.

- I nie opuścił cię, Cosimo! Nie widzisz go, ale on jest przy tobie!

Młoda kobieta ogarnęła pokój wzrokiem.

- Czy teraz też tu jest?

- Nie.

- Próbowałeś mówić do niego?

- Tak, ale nie odpowiada.

Uśmiechnęła się ostrożnie.

- Spróbujesz znowu, kiedy go zobaczysz?

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Dziękuję...

Długą chwilę siedzieli w ciszy, która wcale im nie przeszkadzała. Łączyło ich coś, co całkowicie było poza ich kontrolą.

- Co miałeś na myśli, gdy powiedziałeś, że tamten motyl należał do Francesca? - zapytała w końcu.

- Francesco był wtedy w trattorii. Bawił się piórkiem i zeskakiwał z kamiennego słupka. Nagle zobaczyłem na jego ręce tego przepięknego niebieskiego motyla. Francesco podszedł do mnie i motyl przysiadł na mojej dłoni. Siedział tam, dopóki się nie pojawiłaś. Wtedy usiadł na twojej sukience...

Cosima podniosła się i podeszła do toaletki.

- Brazylijski błękitny morfeusz - powiedziała, pokazując Luce motyla w owalnej kasetce ze szkła. - Jego ulubiony... Ten gatunek motyli żyje w Brazylii, we Włoszech w ogóle nie występuje.

Luca wrócił do pałacu pełen nowej energii. Przed oczami ciągle miał małego Francesca. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wcześniej nigdy nie widział, aby inni ludzie w jakikolwiek sposób reagowali na widok tego dziecka. Francesco zawsze był odizolowany, zupełnie jakby szklana tafla oddzielała go od matki i dzieci, wśród których się bawił. Nie widział go nikt poza Lucą. Było oczywiste, że Francesco chciał, aby jego matka wiedziała o jego obecności. Czy teraz, kiedy już to wiedziała, chłopiec jeszcze się pojawi?

Caradoc i Ma siedzieli na tarasie z rodzicami Luki i popijali wino w słabnącym wieczornym świetle. Drobne ćmy i muchy unosiły się wokół lamp, muskając szkło zakurzonymi skrzydełkami. Ventura postawiła na murku wokół tarasu niskie świeczki, które migotały wśród zmierzchu jak świętojańskie robaczki.

- No, jak było? - zagadnęła wyczekująco Ma.

Luca usiadł w jednym z wygodnych foteli i zapalił papierosa.

- Dobrze, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu. - Nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Uratowałeś damę?

- Może... - odparł ostrożnie.

Ojciec podał mu kieliszek z winem.

- Nie trzymaj nas w napięciu, kochanie! - zawołała Romina,

- Jaki jest ich dom? - spytał Bill. Romina przewróciła oczami.

- Taki, jak wszystkie inne domy na włoskich farmach, skarbie! Nie przerywaj Luce, jestem z niego taka dumna!

- Dom jest prosty, ale ładny, z widokiem na morze - odpowiedział Luca na pytanie ojca i przeniósł wzrok na matkę. -Poznałem wielkiego Panfila Pallaviciniego...

- Niemożliwe!

- A jednak! To wuj Cosimy, mąż sławnej Alby.

- Ach, tak... - Profesor westchnął. - Wychowanej w Anglii córki Valentiny. Nie ulega wątpliwości, że trafiłeś we właściwe miejsce.

- Jaki on jest? - dopytywała się Romina.

- Panfilo? - Luca wzruszył ramionami. - Przystojny, o ile ja mogę to ocenić. Długie szpakowate włosy, ogorzała twarz, no, wszystko, czego można się spodziewać.

- Kiedy tu się zjawi?

- Nie powiedział.

- Ale zjawi się, prawda?

- Tak, mamo. Na pewno się zjawi.

- Opowiedz nam lepiej o Cosimie - odezwała się Ma. -Jak się z nią porozumiałeś?

- Powiedzmy, że teraz ze mną rozmawia.

- Świetnie, mój chłopcze! - pochwalił profesor. - Wytrwałość i dyplomacja, oto, co się liczy!

Kąciki ust Ma zadrżały leciutko.

- Więc na razie nie zamierza znowu rzucać się w fale?

- Wydaje mi się, że nie - odparł Luca.

- Uważaj! - ostrzegł go profesor. - Historia jej rodziny pełna jest gwałtownych zdarzeń.

- Gwałtownych i nieszczęśliwych - uzupełniła Ma.

- Sam buduję moją historię, dziękuję bardzo! - Luca pociągnął łyk wina.

Romina nie słuchała.

- Zacznij od początku, kochanie - powiedziała. - Jak to możliwe, że najsławniejszy włoski fotograf mieszka w zwyczajnym domu na zwyczajnej farmie?

Rosa była wściekła. Położyła dzieci do łóżka i poszła do swojej sypialni, żeby dokładnie przypomnieć sobie przebieg wieczoru.

Cosima i Luca w końcu zeszli na dół. Jak na kobietę, która ostatnie trzy lata spędziła pogrążona w czarnej rozpaczy, Cosima niewątpliwie dość szybko odzyskała równowagę ducha. Jej policzki były zarumienione, oczy błyszczące, wargi pełne i różowe. Czarna sukienka nagle przestała przytłaczać ją jak całun i przeistoczyła się w całkiem atrakcyjne tło dla niezwykłej urody. Rosa od razu dostrzegła, że Luca patrzy na Co-simę z czułością godną kochanka. W głosie Cosimy brzmiała tak intymna nuta, jakby dziękowała mu za pełną namiętności noc. Wszystko wskazywało na to, że Luca stał się dobrym przyjacielem całej rodziny, tyle że nikt nie pamiętał już, że to Rosa go znalazła...

- Kochanie? - Eugenio zamknął za sobą drzwi. - Dobrze się czujesz?

- A wyglądam na taką, która dobrze się czuje?! - warknęła.

- Co się stało?

- Cosima!

Eugenio westchnął, czując w powietrzu następną kłótnię.

- Co znowu zrobiła ta nieszczęsna dziewczyna?

- Wcale nie jest nieszczęsna! Zakochała się w Luce!

- Powinnaś życzyć jej szczęścia.

- Och, więc jestem podłą suką, tak?

- Czy Cosimie nie wolno się zakochać?

- Ależ wolno, oczywiście! Mówię tylko, że stało się to dość szybko, nie uważasz? Przez ostatnie trzy lata rozstawiała nas wszystkich po kątach, chyba też to widziałeś! Mam nadzieję, że nie tylko ja nie jestem ślepa w tym domu! Haruję jak wół w trattorii, dniami i nocami, gdy tymczasem ona zajmuje się księgowością, tak? To urlop w porównaniu z tym, co ja robię! Minęły całe trzy lata, trzy lata, powtarzam, a ona nadal gra rolę heroiny tragicznego romansu!

- Przecież robi też wiele innych rzeczy, jest nie tylko księgową.

- Nie masz pojęcia, jak to wygląda! - Rosa oparła dłonie na swoich kusząco zaokrąglonych biodrach. - Cosima wchodzi do trattorii z rozpaczą wypisaną na twarzy, och, taka smutna i biedna, i *mamma* już jest przy niej, już nad nią czuwa, już rozpościera skrzydła jak kwoka! Wystarczy, że Cosi-ma poskarży się, że nasze dzieci wynoszą zabawki Francesca z jej pokoju, a już mam się czuć winna, mam ją przepraszać! Nasze dzieci są niewinne, przysięgam! Czuję się w tym domu jak obca, Cosima wypycha mnie z mojego własnego gniazda, ona jest jak wielka czarna kukułka! Jeżeli ktoś powinien się stąd wyprowadzić, to właśnie ona! Dlaczego nie zamieszka z Beatą, Totem i Paolą, do diabła?! Przecież to oni są jej rodziną!

Eugenio usiadł na łóżku i zdjął buty.

- Dobrze wiesz, że Alba jest dla niej jak rodzona matka.

- To moja matka!

- Alba nie urodziła Cosimy, ale wychowała ją i dała jej poczucie bezpieczeństwa.

- Dlaczego Cosima nie może przywiązać się do Paoli?!

- A ty byś mogła?

- Ja nie muszę!

- Cosima też nie musi. Posłuchaj, przecież ta biedna dziewczyna dorastała w tym domu i właśnie tu czuje się najlepiej. Tu wychowywała Francesca. Pogódź się z tym, bo i tak nic się nie zmieni.

Rosa zaczęła płakać. Eugenio zrozumiał, że raczej nie uniknie kłótni.

- Nie kochasz mnie już, tak? - wybuchnęła Rosa.

- *Madonna!* Dobrze wiesz, że cię kocham!

- Więc pokaż mi, jak bardzo! - Usiadła mu na kolanach i przyciągnęła jego głowę do piersi. - Powiedz mi, że jestem piękniejsza od Cosimy! Ona jest wyschnięta i stara, a ja młoda i soczysta!

Zasypała go gradem gwałtownych pocałunków. Dotyk jej ciepłych, wilgotnych ust obudził w nim pożądanie.

- Jesteś piękniejsza od Cosimy - powtórzył posłusznie. -Jesteś najpiękniejszą kobietą w całej Incantellarii...

Poczuł, jak jej usta uśmiechnęły się, zanim przywarły do jego warg. Paroma ruchami rozpięła mu koszulę i zsunęła ją z ramion. Odrzuciła głowę do tyłu i pozwoliła mu pieścić językiem sutki, stwardniałe i wyczekujące. Zaczęła wiercić się na nim, drażniła go ciałem tak długo, aż wreszcie nie mógł tego znieść. Rzucił ją na łóżko, rozpiął spodnie i wszedł w nią z głuchym jękiem.

Jej szkarłatne paznokcie orały jego plecy. Nagle wyobraziła sobie, że drapie skórę Luki, że to jego zarost ociera się o jej szyję, jego usta całują jej dekolt, jego dłonie z zachwytem suną po jej ciele. Płonęła podnieceniem. Tak bardzo pragnęła wieść dzikie, pełne przygód życie, takie jak życie jej babki Valenti-ny! Wznieść się ponad wszechogarniającą nudę Incantellarii, tak jak zrobiła to Valentina, czuć na sobie dłonie bogatych i niebezpiecznych mężczyzn, którzy zostawiali brylanty na jej ciele... Rosa pocałowała męża i pozwoliła, aby wyobraźnia przeniosła ją w znacznie bardziej ekscytujące miejsca.

Cosima stała przed starą kamienną wieżą, z której kiedyś mieszkańcy Incantellarii wypatrywali wrogów, i ze wzrokiem utkwionym w morze myślała o tym, co ją spotkało. Może jednak Francesco nie spoczywał na dnie, może jego duch nadal żył, jak wierzył w to Luca... A jeżeli Francesco żył, to co myślał o tym, że ona opłakuje go z tak wielką rozpaczą? Jeśli rzeczywiście zwrócił się do Luki o pomoc, to najwyraźniej wcale nie chciał, aby połączyła się z nim poprzez śmierć, lecz pragnął, żeby żyła.

Uśmiechnęła się na myśl o Luce, jego dobrych niebieskich oczach, lekko kpiącym uśmiechu, czułości, z jaką przykrył jej dłoń swoją, by dać jej do zrozumienia, że naprawdę nie jest sama. Ogarnął ją lęk i podniecenie, poczuła ostrożne, nieśmiałe drgnienie dawno zapomnianego szczęścia. Łzy, które spływały teraz po jej twarzy, nie były łzami rozpaczy, ale wodą życia, uwolnioną z powoli rozmarzającego serca. Patrzyła na ciemny horyzont i nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że ma na co czekać. Może jednak za zasłoną ciemności był inny świat...

Niżej, pod oliwnym drzewem, znajdował się grób Valenti-ny. Alba bardzo o niego dbała, regularnie wyrywała pieniące się chwasty i przynosiła kwiaty ze swojego ogrodu. Alba wierzyła, że jej matka nie leży w ziemi, lecz przebywa w świecie znajdującym się poza zasięgiem zmysłów ludzi żyjących, miała pewność, której Cosima szczerze jej zazdrościła. Alba starała się przekonać Cosimę, ale ta nie chciała wierzyć w to, co niewidzialne. Religia, która stanowiła ważną część jej dzieciństwa i dorastania, przeistoczyła się w ponurą farsę w obliczu śmierci jej syna, podobną do kuszącej warstwy lukru na spleśniałym, gnijącym cieście.

Kiedy Cosima wróciła do domu, wszystkie światła były wyłączone, poza lampą w holu. Jej najbliżsi już spali, w każdym razie tak jej się wydawało. Była przy drzwiach, gdy nagle za plecami usłyszała jakiś szmer.

- Wróciłaś - odezwała się Alba od stolika pod baldachimem z pnączy. - Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

- Myślałam, że poszłaś do łóżka!

- Przez ostatnie trzy lata bez przerwy się o ciebie martwię. Za każdym razem, kiedy idziesz tą ścieżką w stronę klifów, ogarnia mnie lęk, że nie wrócisz. Zanim zasnę, muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

- Przykro mi, że wszyscy musieliście tyle przeze mnie wycierpieć.

- Siadaj! - Alba pochyliła się, opierając łokcie na stole. -Co powiedział ci Luca?

- Że widział Francesca... Od niego się dowiedział, że chciałam się utopić.

- Wierzysz mu?

- Chcę mu wierzyć.

- Ja też chciałabym, żebyś mu uwierzyła. Kiedy próbujemy wytłumaczyć, czym jest wiara, komuś, kto wierzy tylko w świat namacalny, to tak, jakbyśmy starali się opisać obraz niewidomemu. Wiara to jedyna rzecz, która obdarzy cię chęcią życia, Cosimo. Pójdziesz dalej dopiero wtedy, gdy uświadomisz sobie, że twój syn jest przy tobie obecny duchem. Życie to prawdziwy tor przeszkód. Przeszkód jest wiele i pokonywanie niektórych da ci wielkie szczęście, wierz mi. Francesco pokonał wszystkie przeszkody, jakie znalazły się na trasie jego wyścigu, i nadszedł czas, aby przeciął linię mety. Teraz odpoczywa i opiekuje się tobą, dodaje ci sił, abyś ukończyła swój wyścig.

- Mam już trochę bardziej pozytywny stosunek do życia. -Cosima się uśmiechnęła.

- W takim razie włóż jakąś ładną sukienkę. - Alba pogłaskała ją po dłoni. - W tej czarnej nie jest ci do twarzy. Kupię ci coś nowego, może w słonecznym odcieniu żółtego.

- Żółty to ulubiony kolor Francesca...

- Właśnie!

Cosima zdobyła się na ostrożny uśmiech.

- Pamiętasz pokazy mody, które urządzałyśmy, gdy byłam mała?

- Twój ojciec był z ciebie okropnie dumny, a ty zawsze tak się świetnie bawiłaś, wirowałaś wokół własnej osi jak balerina...

- Kupowałaś mi mnóstwo sukienek w sklepie karłów.

- Bo nie potrafiłaś wybierać, wszystkie ci się podobały! I płakałaś, ponieważ wcześniej nikt nie kupował ci tylu rzeczy.

- Nie mieliśmy zbyt dużo pieniędzy.

- Ale ja miałam i wtedy pierwszy raz w życiu pomyślałam o kimś innym poza sobą. Byłaś chyba pierwszą osobą, która nauczyła mnie radości dawania, kochanie.

- Co stało się z karłami?

- Urosły.

Cosima spojrzała na Albę z nieudawanym rozbawieniem.

- Żartujesz!

- Mówię najzupełniej poważnie! Urosły, słowo daję. In-cantellaria nie jest już taka sama bez nich, ale znajdę jakąś ładną sukienkę w butiku Gaia Rabolliniego.

- To bardzo drogi sklep.

- Możesz potraktować to jako prezent z okazji wkroczenia na nową drogę życia. Najwyższy czas, żeby cała Incantellaria zobaczyła, jaka jesteś śliczna!

14

Pod koniec następnego tygodnia Luca pojechał do Neapolu odebrać z lotniska swoje córki oraz ich nianię Sammy. Pędząc krętymi drogami wzdłuż czerwonych klifów *costiera,* myślał o Valentinie, zamordowanej gdzieś na tej trasie, o małomiasteczkowej piękności, pochłoniętej wielką i niebezpieczną grą. Zastanawiał się, czy zabity w *palazzo* markiz nawiedza to miejsce tak samo jak Francesco, który wciąż starał się trzymać jak najbliżej matki. Luca nie próbował tłumić tych myśli, wręcz przeciwnie. Niezależnie od tego, czy mu się to podobało, czy nie, świat duchów otaczał go ze wszystkich stron. Nie miał pojęcia, dlaczego w dzieciństwie został obdarowany wrażliwością, która pozwalała mu widzieć duchy, ani dlaczego niewidoczne dla innych istoty teraz powróciły. Może zresztą nigdy nie odeszły na dobre, może tylko on, Luca, wmówił sobie, że nie wolno mu ich widzieć...

Te refleksje w nieunikniony sposób naprowadziły go na rozważania o Cosimie. Nie była piękna w takim znaczeniu tego słowa jak jej kuzynka Rosa, posiadała jednak szczególny urok, niemający nic wspólnego ze szminką i kuszącymi sukienkami, natomiast bardzo wiele z ogromną zdolnością do kochania innych. Przypomniał sobie, jak rozbłysły jej brązowe oczy, kiedy mówiła o Francescu i roli, jaką odegrał w jej życiu. Miłość Cosimy do synka nie znała granic, a jego odejście sprawiło, że to uczucie stało się jeszcze większe. Cosima była jak migoczący na wietrze płomień i Luca pragnął otoczyć ją ramionami. Chciał też zdobyć ją dla siebie i wcale tego przed sobą nie ukrywał.

Nie miał najmniejszej ochoty wracać do Londynu. Nie brakowało mu kolegów i przyjaciół, nie tęsknił za uderzeniem adrenaliny, gdy zdobywał nowych klientów, ani uczucia triumfu, gdy dzięki niemu stawali się bogatsi. Uciekł z młyna do cichego zakątka i wreszcie mógł usłyszeć własne myśli. Nie mógł się już doczekać, kiedy oprowadzi Coco i Juno po Incantellarii, ale jego radość mieszała się z niepokojem - w gruncie rzeczy nie znał swoich córek i ich upodobań. Widywał je rzadko i w pamięci zachował tylko pojedyncze obrazy: dziewczynki w trakcie zabawy, na plaży, w ogrodzie, a najczęściej już śpiące, kiedy wracał z

pracy późnym wieczorem. Ich krótkie weekendowe wizyty w jego nowym domu były tak sztuczne jak piękna, wypełniona zabawkami wystawa sklepowa. Nie był to prawdziwy dom i Luca też nie zachowywał się jak prawdziwy ojciec. Nigdy nie zadał sobie nawet tyle trudu, aby pomóc córeczkom w odrabianiu lekcji. Sammy zawsze była pod ręką, gotowa wypełnić pustkę i nadać życiu dziewczynek pozory normalności. Za to teraz miał mnóstwo czasu do dyspozycji, ale nie bardzo wiedział, co robić z dziećmi. Zaparkował pod lotniskiem i poszedł do hali przylotów. Czekał, obserwując ludzi wychodzących z walizkami na wózkach, wśród tłumu szukających przyjaciół i krewnych. Widział, jak ich twarze rozjaśnia radosny uśmiech rozpoznania, jak przybyli i oczekujący obejmują się serdecznie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś witał go z taką radością, ani kiedy sam tak entuzjastycznie całował ukochaną. Wsunął ręce do kieszeni i odwrócił wzrok.

Wreszcie z korytarza wyszła Sammy z dwiema dziewczynkami. Wyglądała bardzo ładnie z jasnymi włosami wymykającymi się spod spinki i policzkami zarumienionymi od upału. Juno uśmiechnęła się szeroko na widok ojca, lecz Coco sprawiała wrażenie znudzonej i zmęczonej.

- Witajcie, dziewczęta! - zawołał Luca, chwytając Juno w ramiona i całując jej delikatny policzek.

Mała przytknęła mu do twarzy pluszową gąsienicę.

- Zabrałam ze sobą Obżarciuszka - oświadczyła. - Ładnie pachnie, prawda?

Luca odsunął zabawkę.

- Cudownie, ciasteczkami, ale ciebie na pewno lubi bardziej niż mnie! - Odwrócił się do opiekunki. - Cześć, Sammy! Wszystko w porządku?

- Choćby nie wiem jak często latały samolotem, i tak zawsze są ogromnie podekscytowane - powiedziała Sammy.

Coco oparła się o nią i ziewnęła.

- Chyba czas do łóżka, skarbie! - zażartował Luca, chcąc trochę ożywić córkę.

- Czy mamusia też przyleci? - spytała Coco.

Luca spojrzał na Sammy, która przewróciła oczami, dając wyraz swojej reakcji na tak oczywistą próbę manipulacji.

- Macie tatę wyłącznie dla siebie - powiedziała pogodnie, z wyraźnym australijskim akcentem.

- Dokąd jedziemy? - dopytywała się Juno, zachwycona, że ojciec ją niesie.

- Do pałacu - odparł Luca.

Poprowadził je przez lotnisko do wyjścia. Sammy pchała wózek z bagażami.

- Czy to prawdziwy pałac?

- Jak najbardziej! Ty i Coco możecie być prawdziwymi księżniczkami!

- Nie przywiozłam swojego kostiumu księżniczki! - rozżaliła się Coco. - John kupił mi nowy, różowy, błyszczący, najładniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam!

- Babcia na pewno coś wymyśli.

- Babcia jest tutaj? - W głosie Coco zabrzmiała pogodniejsza nuta.

- Babcia Romina - sprostowała Sammy.

- Ach, tak. - Coco zdążyła już prawie zapomnieć, jak wygląda babcia Romina.

Sammy pomogła dziewczynkom usadowić się na tylnym siedzeniu, zapięła im pasy i zajęła miejsce obok Luki.

- Całe szczęście, że nie zabrałyśmy więcej rzeczy - zauważyła, ogarniając spojrzeniem niewielki pojazd.

- To samochód mojej matki. Idealnie sprawdza się na tutejszych krętych drogach!

- Wierzę na słowo.

Juno zaczęła z ożywieniem opowiadać coś Obżarciusz-kowi, a Coco z lekko nadąsaną miną wyglądała przez okno. Wiele razy była we Włoszech, ale nigdy jeszcze nie mieszkała w pałacu i jej ciekawość została mimo wszystko rozbudzona.

- Jak tam Claire? - zagadnął Luca.

- Bardzo dobrze, ogromnie cieszy się na podróż na Barbados, chociaż oczywiście będzie tęsknić za dziećmi. Za to my będziemy się świetnie bawić, prawda, dziewczynki?

Romina nie posiadała się z radości, że może gościć wnuczki. Juno chętnie zanurzyła się w obłoku perfum i cieniutkiego płóciennego stroju babci, natomiast Coco zesztywniała i skrzywiła się, czekając, aż trudne chwile powitania wreszcie się skończą.

- Jakie one cudowne! - rozpływała się w zachwytach Romina. - Zaraz poproszę Venture, żeby pokazała im pokoje!

Coco patrzyła na pałac szeroko otwartymi oczami. ,i - Czy tu straszy? - spytała.

- Skądże znowu! - odparła Romina. - Nie ma czegoś takiego jak duchy!

- Duchy istnieją - nie ustępowała Coco. - Każdy pałac ma swojego ducha!

- Idźcie już, dziewczęta! - zachęciła Sammy, widząc, że Ventura zniknęła w domu. - Rozpakujcie swoje rzeczy, a potem wybierzemy się na wyprawę badawczą po pałacu!

Romina rzuciła Luce nieco zdumione spojrzenie.

- Powinieneś uważać na Coco - ostrzegła. - Nie wydaje mi się, aby Claire wiedziała, co chodzi jej po głowie...

- Coco ma po prostu żywą wyobraźnię. - Luca natychmiast wziął pierworodną córkę w obronę.

- Nie życzę sobie słuchać tych wszystkich bzdur o duchach! Wystarczy, że muszę radzić sobie z Venturą!

Luca wyszedł za matką na taras, gdzie profesor czytał wiersze zajętej haftowaniem Ma. Dizzy leżała nad basenem, natomiast Maxwell prowadził rozmowy biznesowe z partnerami w Wiedniu i Londynie.

- Co będziesz robił z dziewczynkami? - zapytała Romina.

- Nie wiem. Na razie chyba pozwolę im się trochę rozejrzeć. Może będą miały ochotę popływać.

- Bill bardzo się ucieszy! Zbudował basen specjalnie dla nich!

- Później zabiorę je może na podwieczorek do miasteczka.

Romina uniosła brwi, podejrzewając, co kryje się za tym pomysłem.

- Świetnie, kochanie! Może pojadę z wami. Chciałabym pokazać dziewczynkom port i te śliczne łódki, na pewno będą zachwycone!

- Nie sądzę, żeby Coco potrafiła się czymkolwiek zachwycić.

- Daj jej trochę czasu, Incantellaria ją zauroczy, zobaczysz. Jest jeszcze czas, żeby zrobić z niej normalną, niezepsutą osobę, nawet jeżeli jej matce nic już nie pomoże. - Romina z zaniepokojeniem zerknęła na Porciego, który spał pod stołem. -Dziwne, naprawdę! Porci od kilku dni nie ma apetytu, a mimo to wcale nie chudnie. Ciekawe, czym służba podkarmia go za moimi plecami.

- Po każdym posiłku zostaje dość jedzenia, żeby wykar-mić całą świńską farmę! - odparł Luca.

- Powtarzam im, żeby nie karmili go między posiłkami, ale popatrz tylko, jaki ma pełny brzuch.

Sammy wyszła na taras z dziewczynkami, na ramieniu miała plażową torbę z kostiumami do pływania i ręcznikami. Zdążyła już zmienić dżinsy na ładną niebieską sukienkę bez rękawów i klapki. Była opalona, jej gładka skóra dosłownie lśniła. Nawet Maxwell dwa razy zmierzył ją zachwyconym spojrzeniem.

- Cudownie, dziewczęta, prawda? - zawołała.

- Chodźcie się czegoś napić, na pewno jesteście spragnione - powiedziała Romina. - Juno, skarbie, pokaż babci swoją gąsienicę! Jak ona się nazywa?

Juno bez wahania zbliżyła się do babki. Coco nie odkleiła się od boku Sammy.

Romina przedstawiła wnuczki oraz ich opiekunkę.

- To jest Maxwell... Sammy wyciągnęła rękę.

- Miło mi pana poznać! - Jej uśmiech był cudownie biały i pełen uroku.

Maxwell w jednej chwili przeistoczył się w osobnika innego gatunku. Zrzucił nudną, beżową skórę i ukazał nowe oblicze, zupełnie jakby wcześniej znajdował się w stanie hibernacji, a teraz nagle ożył.

- Witam serdecznie! Coś do picia?

- Najpierw dzieciom. - Sammy usiadła. - Biedne owieczki, mają za sobą długą podróż.

Coco nagle dostrzegła drzemiącego pod stołem Porciego. Szybko przywołała siostrę i obie zniknęły, spadając jak jastrzębie na niczego niespodziewającą się świnkę, która obudziła się z przerażonym kwiknięciem.

Maxwell napełnił dwie szklanki lemoniadą.

- A dla ciebie? - zapytał.

- To samo, bardzo proszę.

- Na jak długo przyjechałyście?

- Na cały tydzień.

- Będziecie bardzo zadowolone. Romina i Bill to wyjątkowi gospodarze.

- Jak długo tu jesteście? - spytała Sammy.

- Za długo! Od paru tygodni korzystamy z gościnności P.ominy, traktując *palazzo* jako bazę wypadową do wycieczek po całych południowych Włoszech.

Ma obserwowała z rozbawieniem, jak Maxwell flirtuje z Sammy, która wydawała się w ogóle nie zwracać na to uwagi.

- Bardzo ładna dziewczyna - zauważyła. - Maxwell zrobi z siebie głupka, założę się!

Skrzywiła się lekko, kiedy z domu wyszła Dizzy w przezroczystej różowej bluzce, ledwo przykrywającej figi bikini.

- Zapowiada się niezła zabawa. - Caradoc odłożył tomik poezji.

- Dizzy! - wykrzyknął Maxwell. - Poznaj dzieci Luki! Dizzy omiotła dziewczynki przelotnym spojrzeniem i zatrzymała wzrok na Sammy.

- Witam - powiedziała sztywno.

Nie miała najmniejszego zamiaru wyciągać ręki do wynajętej opiekunki do dzieci.

- Miło mi. - Sammy się uśmiechnęła. - No, dziewczęta, czas popływać, co?

Dizzy stanęła za plecami męża, wzięła jego szklankę z lemoniadą i upiła łyk. Potem z miną właścicielki położyła rękę na jego ramieniu.

- Ładny poranek, prawda?

- Idealny - odparł Maxwell, nie odrywając oczu od Sammy. Ma wydobyła z siebie pełne satysfakcji prychnięcie.

- Dizzy powinna jednak jeść węglowodany - zauważyła, nawet nie próbując zniżyć głosu. - Sammy jest promienna i pełna energii, zupełnie jak obfite śniadanie!

- Przewiduję kłopoty - rzekł Caradoc.

- Maxwell już ma kłopoty. - Luca usiadł na krześle obok Ma i uśmiechnął się szeroko.

Podczas lunchu napięcie stopniowo narastało. Dizzy siedziała naprzeciwko Sammy i Maxwella. Luca rzucał porozumiewawcze spojrzenia Ma i oboje przyglądali się, jak Maxwell flirtuje ponad głowami dzieci, które oddzielały go od obiektu pożądania. Co jakiś czas przyciszał głos i zerkał na żonę, chcąc się upewnić, czy Dizzy akurat nie podsłuchuje. Z uśmiechem zrobił z serwetki nenufar dla Coco i gąsienicę dla Juno. Nieoczekiwane zainteresowanie dziećmi zupełnie nie pasowało do jego wcześniejszego wizerunku.

- Nie rozumiem, dlaczego sam nie ma dzieci - mruknęła Romina.

- Założę się, że Dizzy nie chce zepsuć sobie figury - powiedziała Ma. - Każdy, kto poświęca tyle uwagi roztrząsaniu, co powinien jeść, a czego nie, musi mieć obsesję na punkcie własnego ciała. Sammy to okaz zdrowia i rozsądku, czapki z głów!

Im więcej uwagi Maxwell poświęcał Sammy, tym bardziej wściekała się jego żona. Jedyną osobą, która wydawała się niczego nie zauważać, była Sammy. W końcu Dizzy podniosła głos.

- Wielka szkoda, że musimy już wracać do Wiednia -odezwała się przez stół do Rominy.

Nieszczęsny Maxwell natychmiast chwycił przynętę.

- Och, kochanie, nie będziemy chyba omawiać swoich planów podróży przy lunchu!

- Nie możemy przecież dłużej wykorzystywać gościnności naszych wspaniałych gospodarzy! - Dizzy wydęła wargi.

Romina nie próbowała namawiać ich do przedłużenia pobytu.

- Problem z twoją gościnnością, Romino, polega na tym, że wszyscy goście najchętniej zostaliby tu na zawsze! - Maxwell zaśmiał się nerwowo.

- Mamy mnóstwo spraw do załatwienia w Wiedniu, kochanie. - W głosie Dizzy zabrzmiała ostra nuta.

- Goszczenie was było prawdziwą przyjemnością. - Bill uniósł kieliszek z winem. - Wypijmy za wasze zdrowie i bezpieczną podróż do domu!

Maxwell skinął głową, uznając swoją porażkę.

- Dziękuję, Bill...

Po lunchu Maxwell i Dizzy poszli do siebie, a Caradoc, Ma i Luca z zaciekawieniem wysłuchali ognistej kłótni, której odgłosy dobiegały przez otwarte okno na piętrze.

Ma uśmiechnęła się lekko.

- Zdrowie Dizzy! - powiedziała. - Okazuje się, że jednak wcale nie jest tak cholernie nudna!

Luca przebrał się w jasnoniebieskie szorty do pływania i wskoczył do basenu razem z córkami. Juno, która jeszcze nosiła rękawki, piszczała radośnie, gdy ojciec gonił ją, udając groźnego krokodyla. Podniósł ją i rzucił wysoko w górę, aż wylądowała w wodzie z wielkim pluskiem, zanosząc się głośnym śmiechem. Coco trudniej było zachęcić do zabawy. Siedziała na brzegu w eleganckim kostiumie kąpielowym, machała nogami w wodzie i podziwiała swój pedicure. Wreszcie Luca zignorował protesty córki, wziął ją na barana i zaczął podskakiwać, wywołując coraz szerszy uśmiech na jej nadą-sanej buzi.

Dizzy zjawiła się nad basenem dopiero późnym popołudniem, w dużych okularach przeciwsłonecznych, które zasłaniały połowę jej twarzy, i bez słowa wyciągnęła się na leżaku. W uszach miała słuchawki. Sammy obserwowała dziewczynki, leżąc na brzuchu. Jej kuszące ciało okrywał dyskretny jednoczęściowy żółty kostium.

Luca zawiózł matkę i dziewczynki do miasteczka. Dla Sammy zabrakło miejsca w ciasnym samochodzie, została więc nad basenem, pochłonięta lekturą książki Sophie Kinsel-li. Dzieci chichotały na tylnym siedzeniu, a Luca i Romina rozmawiali o Dizzy i Maxwellu.

- Chyba najwyższy czas, żeby wrócili do domu - oświadczyła Romina. - Dla dobra swojego małżeństwa.

- Nie przeszkadza ci, że ludzie siedzą u ciebie tak długo i wykorzystują cię jak najgorsze pasożyty?

- Jeśli ich lubię, to nie. Caradoc i Ma są teraz dla mnie jak rodzina i byłabym zrozpaczona, gdyby wyjechali, ale nie zrobią tego, dopóki będę stawiać przed nimi miski pełne makaronu!

Luca zaparkował na placyku i wszyscy czworo poszli na nabrzeże. Juno trzymała go za rękę, natomiast Coco szła obok babki, szukając wzrokiem interesujących sklepów. W Saint--Tropez było ich zatrzęsienie.

Kiedy dotarli do trattorii, na tarasie przywitała ich Rosa.

- *Buona sera, ragazze!* - uśmiechnęła się do dziewczynek.

- To moje córki, Coco i Juno - przedstawił Luca. -**1** moja matka...

- Witam serdecznie! - Rosa zaprowadziła ich do stolika tuż obok wielkiej donicy z geranium. - Kiedy przyjechały?

- Dziś rano.

Rosa miała na sobie różową sukienkę, w takim samym odcieniu jak lakier na paznokciach Coco.

- Co podać? - mrugnęła do Luki i znacząco zniżyła głos. -Wiem, na co ty masz ochotę...

Romina rzuciła synowi pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Lody i świeży sok pomarańczowy dla dziewczynek - powiedziała. - Czarną kawę dla mnie i...

- Kawę dla pani syna, z gorącym mlekiem w dzbanuszku -dokończyła Rosa.

- Jest bardzo miła - oświadczyła Juno, kiedy Rosa zniknęła za drzwiami kuchni.

- Zachowuje się trochę wyzywająco - skomentowała Romina po włosku, żeby dziewczynki nie zrozumiały.

- Nie zwracam na to uwagi - odparł Luca.

Miał nadzieję, że zamówienie przyniesie im Cosima.

W drugim końcu tarasu zmysłowa kobieta o szkarłatnych wargach paliła papierosa, siedząc przy stoliku z siwowłosym mężczyzną. Luca od razu rozpoznał Marię Friscobaldi. Wyczuła jego spojrzenie, podniosła wzrok, uśmiechnęła się kusząco i na moment przerwała prowadzoną rozmowę. Juno pociągnęła ojca za rękaw.

- Tatusiu... - zaczęła.

Maria lekko wzruszyła ramionami, zaciągnęła się dymem i znowu skupiła uwagę na swoim admiratorze. Luca odwrócił się do córki.

Zaraz potem Rosa postawiła przed nimi tacę z lodami, sokiem i kawą. Zaczęła rozmawiać z dziewczynkami po angielsku, opowiadając im o swoich dzieciach i zapraszając je do siebie, gdyby znudziło je towarzystwo ojca. Coco podziwiała różowy lakier na paznokciach Rosy, a Juno z wyraźną przyjemnością wdychała zapach jej perfum.

- To Yves Saint Laurent - uśmiechnęła się Rosa. - Kiedy będziesz duża, może tata kupi ci takie perfumy...

- Jak czuje się kuzynka? - zagadnął Luca, z roztargnieniem stukając łyżeczką o krawędź stołu i starając się nie sprawiać wrażenia nadmiernie zainteresowanego.

- Lepiej - odparła krótko Rosa. - Miło nam, że nas odwiedziłeś.

- Musieliście przeżyć straszne chwile - ze współczuciem wtrąciła Romina. - Mam nadzieję, że ta biedna dziewczyna powoli wraca do siebie.

- Tak, dziękuję! - Rosa uprzejmie skinęła głową. - Pani syn to bohater!

Uśmiech Rominy był najzupełniej szczery.

- Wiem, jestem z niego bardzo dumna. Szczerze mówiąc, w takiej sytuacji spodziewałabym się, że właśnie tak się zachowa! Luca ma wyjątkowy instynkt, raczej niespotykany u mężczyzn.

- Czy Cosima będzie tu dzisiaj? - Luca pociągnął łyk kawy.

- Nie. Czuje się lepiej, ale nie jest jeszcze dość silna, aby przyjść do pracy. Ciekawe, dlaczego w ogóle mnie to nie dziwi!

Kiedy Rosa odeszła, Romina spojrzała na syna spod znacząco uniesionych brwi.

- Wyczuwam nutę zazdrości! Uważaj, mój drogi, *stare attentol*

Luca z rozczarowaniem zastanawiał się właśnie, kiedy zobaczy Cosimę, gdy jego wzrok przyciągnął jakiś ruch pod jednym ze sklepów. Stał tam Francesco.

- Przepraszam na chwilę, mamo... Muszę zamienić z kimś parę słów.

Powoli podszedł do chłopca, który bawił się jojo, i już miał się do niego odezwać, ale w tym momencie ze sklepu wyszła Cosima. W pierwszej chwili Luca prawie jej nie poznał, ponieważ miała na sobie sukienkę w drobne żółte kwiatki.

- Luca! - zawołała ze zdziwieniem, przechodząc przez Francesca.

- Witaj, Cosimo.

Chłopiec rozpłynął się w powietrzu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Tak, tak... Wyglądasz... Wyglądasz pięknie...

- Dziękuję...

Spuściła oczy i Luca zauważył, że ma bardzo długie rzęsy.

- Czuję się trochę dziwnie w sukience, która nie jest czarna - wyznała. - Mam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. Siądźmy lepiej na tamtej ławce, dobrze?

Usiedli w słońcu, patrząc na podskakujące na falach małe niebieskie łódki.

- Francesco na pewno by nie chciał, żebym ciągle chodziła w czerni. - Lekko uniosła palcami fałdę spódnicy. - Kochał żółty kolor, ta sukienka bardzo by mu się podobała.

- To zupełnie zrozumiałe.

Luca chciał powiedzieć, że przyszedł pod butik z powodu Francesca, ale się zawahał.

- Jesteś tu z profesorem? - spytała Cosima.

- Nie, z moimi córkami - Luca wskazał stolik, przy którym siedziała Romina z dziewczynkami.

- Masz córki?

- Dwie.

- Ile mają lat?

- Cztery i siedem.

- Jesteś żonaty?

- Rozwiedziony.

- Powinnam powiedzieć, że jest mi przykro, ale wcale nie czuję żalu.

- Ja też nie - rzekł Luca. - Ani trochę tego nie żałuję!

15

Luca przyprowadził Cosimę do trattorii. Dzieci prawie skończyły lody, a Romina opowiadała im jakąś historię, której słuchały j ak zaczarowane.

- Mamo, to jest Cosima.

Na twarzy Rominy pojawił się wyraz głębokiego współczucia.

- Mam nadzieję, że czujesz się już trochę lepiej, moja droga - powiedziała. - Jesteś tak piękna i młoda. Co za tragedia, profesor wszystko mi opowiedział. Straszne, po prostu straszne.

- Popełniłam błąd - rzekła Cosima.

- Błędów nie popełniają jedynie ci, którzy nic nie robią! -zawołała Romina. - Powtarzam to za profesorem.

Z restauracji wyszła na taras Rosa, która najwidoczniej wyczuła, że coś się dzieje.

- Co tu robisz, Cosimo?

- Zupełnie przypadkiem wpadłam na Luce. Rosa zmierzyła ją kamiennym spojrzeniem.

- Nawet nie tknąłeś kawy - rzekła do Luki. - Zdążyła kompletnie wystygnąć!

- Więc może przyniesiesz mu świeżą? - zasugerowała Cosima.

- Powinnyście obie przyjechać do *palazzo* - odezwała się Romina, starając się rozładować atmosferę.

- Bardzo chętnie - powiedziała Cosima. - Jestem ogromnie ciekawa, jak wygląda.

- Czy twój ojciec to Panfilo Pallavicini? - zwróciła się Romina do Rosy

- Tak jest - odparła Rosa z dumą.

Przynajmniej do tego faktu Cosima nie mogła rościć sobie żadnych pretensji.

- Może usiądziesz na chwilę z nami?

- Niektórzy muszą tu pracować! - Rosa zrobiła minę do kuzynki.

- W takim razie sama przyniosę Luce świeżą kawę - odrzekła spokojnie Cosima. - Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. Ma pani ochotę na coś jeszcze, *signora?*

- Nie, dziękuję - odrzekła Romina.

Romina i Rosa gawędziły prawie godzinę, uśmiechnięte i wyraźnie zadowolone ze swojego towarzystwa. Dziewczynki biegały po nabrzeżu z dziećmi, które się tam akurat bawiły. Luca zastanawiał się, co pomyślałaby Claire, widząc, jak jej córki przekomarzają się z miejscowymi dzieciakami. Cosima przyniosła mu kawę, nie mogła jednak usiąść z nimi przy stoliku, ponieważ w trattorii zaroiło się od klientów. Rosa celowo zostawiła kuzynkę samą, aby przyjmowała zamówienia; doszła do wniosku, że nadszedł już czas, żeby zdecydowanie tupnąć nogą. Na wieczorną zmianę przyszedł Toto, szczęśliwy, że wreszcie odzyskał córkę. Jego oczy chłonęły emanującą z jej twarzy pogodę z takim zachwytem, jakby nigdy nie widział nic równie pięknego.

Dziewczęta znalazły dwa chude kundle i teraz biegały za nimi w tę i z powrotem po nabrzeżu. Cosima z gracją lawirowała między stolikami, uśmiechając się do miejscowych i z godnością przyjmując ich komplementy. Wszyscy powtarzali jej, że wygląda prześlicznie w kolorowej sukience. Co jakiś czas odwracała się, aby pochwycić spojrzenie Luki i wyraz jej twarzy od razu stawał się łagodniejszy. Luca był zadowolony, że Rosa zajmuje uwagę jego matki, bo dzięki temu mógł cieszyć się tymi szczególnymi chwilami.

- Przyjdź do pałacu, kiedy twój ojciec będzie go fotografował - namawiała Rosę Romina. - Z wielką przyjemnością cię oprowadzę. I oczywiście weź ze sobą matkę, bo bardzo chciałabym ją poznać.

- Nie sądzę, żeby *mamma* chciała jeszcze kiedyś postawić nogę w tym miejscu. Często mówiła, że dreszcz przebiega jej po plecach, gdy myśli o *palazzo*.

- Och, tamte wydarzenia miały miejsce dawno temu! Przekaż jej moje zaproszenie, bardzo proszę!

Romina zawołała dziewczynki i wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Luca zatrzymał na moment wzrok na Cosimie i ruszył za rodziną do samochodu, zabierając ze sobą uśmiech młodej kobiety.

Następnego dnia rano Cosima poszła na mszę do kościółka. Znalazła pociechę w murach kaplicy i w niewidzialnej obecności Boga, w niezwykłej atmosferze, na którą składał się migotliwy blask świec i patrzące ze ścian wizerunki świętych. Czy Francesco był tu i teraz, tak jak w czasie nabożeństwa z okazji uroczystości ku czci świętej Benedetty? Dziś miałby już prawie dziesięć lat, nie byłby tym samym małym chłopcem, którego zabrało morze. Cosima nie umiała wyobrazić sobie swojego synka z wielkimi stopami, długimi nogami i głębokim, nieco zachrypniętym głosem. W jej wspomnieniach jego skóra na zawsze pozostała gładka jak jedwab, o dotyku lepiej znanym jej niż jemu, włosy pachnące wanilią, a oczy wpatrzone w nią z takim zachwytem i czułością, jakby była najpiękniejszą kobietą na całym świecie. Francesco często głaskał ją po twarzy. „Ślicznie pachniesz, *mamma",* mawiał, zarzucał jej ramiona na szyję i wtulał się w nią jak szczeniaczek. Aż do bólu pragnęła chwycić go w objęcia, poczuć zapach jego włosów, usłyszeć rodzący się gdzieś w brzuchu gardłowy śmiech. Doskonale pamiętała białe piórko, którym bawił się na plaży, oraz ostry powiew wiatru. Pamiętała, jak Francesco pobiegł w morze za unoszonym wiatrem piórkiem i aż zbyt dobrze wiedziała, że nigdy nie zapomni chwili, w której jej synek stracił równowagę...

Otworzyła modlitewnik i spróbowała skupić wzrok na ledwo widocznych przez mgłę łez słowach. Kościół był wypełniony ludźmi, ksiądz śpiewał modli-

twę po łacinie, z kadzielnicy wznosił się ku górze gęsty, aromatyczny dym. W dniu świętej Benedetty Cosima zawarła umowę z Bogiem - obiecała, że jeśli figura Jezusa zapłacze krwawymi łzami, ona przyjmie do wiadomości, że jej syn jest w Niebie, w ramionach Pana, natomiast jeżeli krwawych łez zabraknie, rzuci się w morze, ponieważ nie zdoła żyć ze świadomością, że nigdy więcej nie zobaczy Francesca. Jakie to dziwne, że suche oczy Jezusa przyniosły jej Lucę i wiadomość od synka... Bóg naprawdę chadza tajemniczymi ścieżkami.

Po mszy zaczekała, aż kościół opustoszał, i powoli zbliżyła się do stołu z boku ołtarza, na którym migotały szeregi świeczek. Kiedy sięgnęła po nową świecę, zauważyła długie białe pióro, leżące z tyłu. W kościele nie było już nikogo poza nią. Ujęła pióro w palce i obróciła je raz i drugi. Czy ktoś robił sobie okrutne żarty? A może jednak był to dowód, że Francesco próbuje się z nią porozumieć.

Ksiądz podszedł do niej, wyraźnie zaskoczony widokiem ładnej kremowej sukienki pod czarnym szalem.

- Witaj, Cosimo. Dobrze się czujesz? Podniosła drżącą rękę i zaciśnięte w palcach pióro.

- Znalazł je tu ksiądz po nabożeństwie ku czci świętej Benedetty?

Ksiądz Felippo ściągnął krzaczaste siwe brwi.

- Nie, nie widziałem go wcześniej. Nie zauważyłem żadnego ptaka w kościele, zresztą to raczej duże pióro, prawda?

- Francesco uwielbiał ptasie pióra.

- Więc możesz chyba uznać je za wiadomość od Boga -rzekł ksiądz. - Cuda zdarzają się każdego dnia, moje dziecko, lecz my zwykle uznajemy je za zbieg okoliczności albo łut szczęścia.

- Naprawdę ksiądz w to wierzy?

- Oczywiście! Skoro Chrystus potrafił przemienić wodę w wino i nakarmić pięćset osób paroma rybami i kilkoma bochenkami chleba, to pozostawienie piórka dla opłakującej dziecko matki na pewno nie sprawiło mu trudności.

- Dziękuję. - Przytknęła pióro do ust, tak jak robił to Francesco. - Chciałabym zapalić teraz świecę...

Duchowny zostawił ją samą, przekonany, że udało mu się odzyskać zagubioną owieczkę.

Rosa sama już nie wiedziała, czy wolała Cosimę w żałobie, czy taką, jak teraz. Kiedy jej kuzynka nosiła wyłącznie czerń i chodziła po domu jak duch, co prawda raczej rzucający się w oczy, ale jednak duch, była pokorna i nieobecna myślami, tymczasem teraz, w ładnych sukienkach, uśmiechnięta, czasami nawet nucąca coś cicho, drażniła Rosę do nieprzytomności. Rosa szczerze żałowała, że przyprowadziła Lucę do domu. Nie wiedziała, co wydarzyło się w pokoju Cosimy, nie ulegało jednak wątpliwości, że radykalnie odmieniło to pogrążoną w żałobie kobietę. Rosa powtarzała sobie, że gdyby kuzynka zakochała się w Luce, ona po prostu by tego nie zniosła. Oczywiście Luca był poza jej zasięgiem, ale nie zamierzała dopuścić, aby zdobyła go Cosima. Gdyby Cosima nie była taką idiotką i nie uwikłała się w romans z żonatym mężczyzną, Francesco w ogóle by się nie urodził i wszyscy uniknęliby całego tego dramatu. Cosima mogła mieć pretensje wyłącznie do siebie, a poza tym z pewnością nie zasługiwała na Lucę...

W nocy Rosa wymknęła się z domu. Uwielbiała miękki koc ciemności, milczenie klifów i łagodny szum morza w dole. W takich warunkach potrafiła wyobrazić sobie, że jej życie jest zupełnie inne. Valentina ukształtowała swoje życie tak, jak chciała. Pozornie prosta wiejska dziewczyna, była kochanką *marchese* i osławionego Lupa Bianco. To dopiero było życie na krawędzi, barwne i pełne napięcia! Valentina zgarnęła całą pulę. Rosa czuła, że ona też mogłaby tak żyć. Co z tego, że czasy były inne, skoro miała we krwi lisi spryt. Alba również, ale Alba zakochała się w Panfilu, który oczarował ją mieszanką skłonności do ryzyka i uroku. Może gdyby Rosa spotkała mężczyznę podobnego do ojca, nie marzyłaby o podwójnym, sekretnym życiu...

Problem polegał na tym, że jej życie w Incantellarii było zbyt ograniczone. Poznała Eugenia, który wydawał się wcieleniem wszystkich zalet. Był męski,

silny, przystojny, odpowiedzialny jako policjant i jako głowa rodziny, nie miał jednak najmniejszych szans na zrobienie majątku. Powinna była poczekać na kogoś, kto umiałby zapewnić jej odpowiedni poziom życia, ale teraz była już matką, nieodwracalnie przywiązaną do dzieci i domu. Przelotny romans był bardzo przyjemny i fascynujący, miała też szczęście, że nie została przyłapana na gorącym uczynku. Luca sprawiał wrażenie mężczyzny, który wie, jak zadowolić kobietę, poza tym jego rodzice niewątpliwie mieli pieniądze. Rosa żałowała, że nie poczekała na kogoś takiego jak on, że zbyt pochopnie zdecydowała się na miejscowego policjanta z prowincjonalną pen-syjką. U boku bogatego człowieka mogłaby podróżować i zwiedzać świat, zasiadać w pierwszych rzędach krzeseł na wielkich pokazach mody, nosić najnowsze kolekcje wielkich kreatorów, dostarczać natchnienia Karlowi Lagerfeldowi czy firmie Dolce & Gabbana... Teraz mogła obserwować modę tylko na fotografiach na stronach „Vogue" i „Harpers Bazaar".

Kiedy wróciła do domu, Eugenio nadal spał jak zabity. Wślizgnęła się do łóżka i odwróciła twarzą do okna. Miała dwadzieścia sześć lat i przerażająco nudne życie. Na co mogła liczyć, czego miała się spodziewać...

Eugenio otworzył oczy i patrzył, jak oddech Rosy staje się coraz głębszy i wolniejszy. Zastanawiał się, gdzie chodzi w nocy, czy tylko idzie zaczerpnąć świeżego powietrza, czy może spotyka się z innym mężczyzną. Nagle ogarnęła go zazdrość. Cóż, mógł powiedzieć jej, że wie o wszystkim, i wywołać kolejną kłótnię, narażając się na gorzkie oskarżenia 6 brak zaufania, albo zapomnieć o konfrontacji i żyć nadzieją, że romans Rosy szybko się wypali. Zamknął oczy i zaczął się modlić, aby jego podejrzenia okazały się nieuzasadnione. Dowodów nie miał, wszystko razem mogło okazać się owocem jego zazdrości. Rola męża Rosy była niełatwa, ale Eugenio nie miał wyboru - bardzo kochał żonę.

Chociaż Maxwell chciał przedłużyć pobyt *w palazzo,* Diz-zy uparła się, że muszą wyjechać. Miała dosyć przyglądania się jego flirtowi z Sammy. Romina

cieszyła się z ich wyjazdu. Od dawna uważała w głębi duszy, że Maxwell i Dizzy za długo przebywali w pałacu.

- Prawie mi przykro, że wyjechali - powiedziała Ma, patrząc na znikający za zakrętem samochód. - Ostatnio stali się całkiem interesujący...

- Jeszcze trochę i musiałbym stanąć na straży pod drzwiami Sammy! - rzucił Luca.

- Dizzy na pewno wbiłaby nóż w plecy tej biednej dziewczynie. - Jego matka pokiwała głową. - Gdyby mogła, zabiłaby Sammy wzrokiem!

Romina nigdy nie była zmęczona towarzystwem. Ledwo pożegnała Maxwella i Dizzy, a już do *palazzo* przyjechał jej brat Giovanni. Nanni był tęgi, owalny jak jajo, utuczony na makaronie z serem, ze szczupłymi kostkami nóg, które świadomie podkreślał, nosząc za krótkie spodnie i kolorowe skarpetki. Parę lat wcześniej nowotwór zaatakował gardło Nan-niego i po terapii jego głos stał się wysoki i piskliwy. Mimo choroby brat Rominy zapalał jednego papierosa od drugiego 5 bynajmniej nie zamierzał rezygnować zjedzenia rzeczy, które uwielbiał. Nic nie było w stanie przytłumić jego życiowej energii.

- Moja kochana Romino! - wykrzyknął, wychodząc na taras w za krótkich beżowych spodniach i wygniecionej niebieskiej koszuli. - Za każdym razem, gdy przyjeżdżam, pałac jest bardziej imponujący i zachwycający! Dobrze jest mieć świetny gust i dużo pieniędzy.

Nanni nie miał ani jednego, ani drugiego, rzecz jasna. Luca nie widział wuja od wielu lat. Ten objął go tak, jakby miał do czynienia z małym chłopcem.

- *Madonna,* ależ ty urosłeś!

- Jakbym słyszał mamę - mruknął Luca.

- Nie ma w tym nic dziwnego, ostatecznie wychynęliśmy na świat z tego samego łona! - Nanni usiadł i sięgnął po bułkę. - Mógłbym dostać trochę masła? - zwrócił się do Ventu-ry. -1 duży kieliszek wina...

Znał już Ma i Caradoca. Luca pomyślał, że gdy patrzy na nich troje, czuje się jak w cyrku.

Na tarasie pojawiły się dziewczynki w asyście Sammy, która narzuciła sarong na kostium do opalania. Nanni uwielbiał dzieci, lecz w towarzystwie młodych kobiet czuł się znacznie mniej swobodnie. Ogarnął wzrokiem zachwycającą figurę Sammy i poczuł, jak jego czoło pokrywają duże krople potu. Aby zamaskować zażenowanie, skupił uwagę na dziewczynkach, które wkrótce zaśmiewały się do łez z odgrywanych przez niego zabawnych scenek. Porci, który od razu polubił dzieci Luki, trącał je ryjkiem i chrząkał kusząco, zabiegając o ich względy. Sammy poszła przebrać się przed lunchem i po paru chwilach wróciła w sukience na ra-miączkach. Nanni zdołał już odzyskać równowagę i pochłonąwszy cztery dania, usadowił się w cieniu ze szklaneczką *li-moncello* i papierosem, zajęty rozwiązywanie krzyżówki z „Timesa".

- Mój kochany braciszek ma błyskotliwy umysł, ale także wielką słabość do alkoholu i jedzenia - powiedziała Romina do Ma, kiedy obie popijały miętową herbatkę. - Mógł zrobić prawdziwą karierę, pisząc scenariusze filmowe dla najlepszych włoskich reżyserów, lecz zawsze za bardzo rozczulał się nad sobą. Teraz jest już stary i jego czas minął. Spójrz, jak nudzi go ta krzyżówka! Jest dla niego za łatwa, a przecież angielski nie jest jego ojczystym językiem. Starożytną greką i łaciną posługuje się tak samo płynnie jak włoskim, hiszpańskim, francuskim i angielskim, a mimo to nie ma złamanego grosza przy duszy.

- Założę się, że kiedyś był bardzo przystojny - powiedziała Ma.

- Zachwycający, jak grecki bóg! Teraz jest gruby i łysieje. Dobiega siedemdziesiątki, ale jeżeli nie będzie ostrożny, nie dożyje siedemdziesiątych pierwszych urodzin.

- Czym się zajmuje?

- Kolekcjonuje stare gry. Ma największą na świecie kolekcję kart do gier z okresu panowania Tudorów. Są warte majątek, ale nie chce ich sprzedać. Trzyma je w jakimś sekretnym miejscu i powoli wpada w paranoję, ponieważ wmawia sobie, że ktoś włamie się do jego domu i go obrabuje - Romina dopiła herbatkę. - No, gdzie podziewa się mój ukochany Porci, co? Jest okrągły jak piłka, chociaż wciąż w jego miseczce zostaje jedzenie. Zupełnie tego nie rozumiem.

- Chodźmy do domku w ogrodzie! - zaproponował Nan-ni, odkładając gazetę.

- Skończył pan krzyżówkę czy może przyda się panu moja pomoc? - zagadnęła Ma.

- Skończyłem, niestety! Może zechciałaby pani sprawdzić, czy nie zrobiłem jakichś błędów?

W oku Nanniego pojawił się figlarny błysk. Doskonale wiedział, że nie robi błędów.

- Z przyjemnością - odparła Ma. - Ale wcześniej przejdę się z wami po ogrodzie! Nie mogę cały dzień siedzieć na tyłku, bo szybko straci formę.

Cała trójka ruszyła ścieżką w kierunku kamiennego domku. Nanni z przyjemnością wdychał zapach kwiatów.

- Mieszkasz w raju, Romino - westchnął. - Chętnie ułożyłbym się tu w trawie któregoś dnia i zasnął na zawsze, napawając się spokojem i pięknem tego miejsca.

- Proszę bardzo, zrób nam tylko uprzejmość i ułóż się na czymś, co będziemy mogli unieść! - Romina przekręciła klucz w zamku.

Ma i Nanni weszli za nią do środka. Ich oczy powoli przyzwyczajały się do panującego w domku mroku.

- Może położę się tutaj - rzekł Nanni. - Chociaż wydaje mi się, że ktoś już wcześniej wpadł na ten pomysł.

Romina wygładziła dłonią narzutę, na której wyraźnie rysował się odcisk ciała nieproszonego gościa.

- Znowu?! - wykrzyknęła. - Nie do wiary!

- Trochę jak w bajce o Złotowłosej - zauważyła Ma. Romina wyrzuciła ręce w górę.

- Przestaje to być zabawne, słowo daję! Ktoś ma kluczudft domku albo podkrada mój, tylko kto?!

Nanni podsunął jej jedwabny szal.

- Skąd się to tutaj wzięło?

Jedwab pachniał perfumami. Romina chwyciteaézalï podniosła do światła.

- Na pewno nie jest mój! - oświadczyła.

- Ani mój - dorzuciła Ma. - Blady róż i błękit to nie moje kolory.

- Pachnie kobietą. - Romina zmrużyła oczy. - Może to Dizzy?

- Dizzy i Maxwell wyjechali dziś rano. Jeżeli więcej się to nie powtórzy, zyskamy pewność, że to oni!

- Czy mogliby być tak przebiegli i podstępni? - Romina rozłożyła szal, szukając metki. - Jest, szal został wyprodukowany we Włoszech. MOM...

Ma wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie miałam głowy do nazw firm - powiedziała.

- MOM, nic mi to nie mówi - zastanawiała się Romina. -Trafniejsza byłaby nazwa SOS!

Jej twarz nagle pociemniała, w oczach pojawił się lęk.

- *Marchese* Ovidio di Montelimone - wyszeptała.

16

Romina siedziała w cieniu z Porcim na kolanach, powoli wracając do siebie po znalezieniu tajemniczego jedwabnego szala. Ventura przyniosła jej filiżankę kawy, a Luca, Ma i Nanni głośno rozważali, kim mógł być intruz.

- To damski szal, na dodatek pachnie damskimi perfumami!

Luca przytknął materiał do nosa.

- Bardzo słodki zapach... Łatwy do zidentyfikowania, na pewno bym go nie zapomniał.

- Kto jeszcze ma klucz? - zapytał Nanni.

- Tylko ja! - jęknęła Romina.

- Może ta kobieta wchodzi do domku przez okno - zasugerowała Ma.

- Nie, w oknach są kraty, zresztą i tak nigdy ich nie otwieramy. - Romina przełknęła łzy. - Dlaczego komuś zależy, żeby tu spać, na miłość boską?!

- Zmień zamek - rzucił Nanni, zdumiony, że jego siostra jeszcze tego nie zrobiła.

- Nie! - zaprotestował Luca. - Lepiej spróbujmy ją złapać! Nie wyrządziła tu żadnej szkody, więc możemy spokojnie zastawić na nią pułapkę. Ten stary, z którym rozmawialiśmy z Caradokiem w kościele, mówił, że pogłoski o wizytach duchów narastały na przestrzeni lat, bo mimo że to miejsce stało puste, widywano tu światło. Może teraz przychodzi tu ta sama osoba, która wcześniej odwiedzała je ze świecą czy lampą.

- Na pewno jest to ktoś, komu nie podoba się nasza obecność - zauważyła niespokojnie Romina.

- Może jakiś bezdomny - rzekła Ma. - Nie znoszę włóczęgów! Nigdy się nie myją!

- Przyłapię tę osobę, niezależnie od tego, kim jest - zapewnił Luca i nagle pomyślał o Cosimie. - Znam kogoś, kto może potrafiłby rzucić trochę światła na tę dziwną sprawę.

Luca chętnie skorzystał z wymówki i pojechał do miasteczka. Znalazł Rosę w trattorii, razem z Totem. W restauracji panował spokój, tylko jakaś starsza para piła kawę na tarasie. Luca chciał zapytać o Cosimę, ale widok rozradowanej twarzy Rosy ostrzegł go, by nie prowokować jej zazdrości. Młoda kobieta szybko pobiegła do kuchni zaparzyć świeżą kawę i usiadła przy stoliku obok niego.

- Jak tam dzieci? - spytała.

- Świetnie się bawią.

A sprawy w*palazzo*[7].

- Kiedy zamierzasz nas odwiedzić? - odpowiedział pytaniem.

- Kiedy ojciec zabierze się do robienia zdjęć. W tej chwili pracuje w Positano.

- Zabierz ze sobą swoje dzieci. Może będą miały ochotę popływać.

- Ja bardzo chętnie popływam!

- Powiedz mi coś, Roso. Co wiesz o starym *marchese?*

- Tyle, ile powiedziała mi mama, albo ile wymknęło jej się przez te wszystkie lata. Matka nie lubi rozmawiać na ten temat. Tata mówił mi, że w czasie wojny ludzie nie cofali się przed niczym, żeby przetrwać, niektórzy jedli nawet psy! *Mar-chese* był bogaty. Zakochał się w Valentinie, a że czasy były bardzo ciężkie, stał się jej przepustką do lepszego życia. Co parę dni uciekała do ich miłosnego gniazdka w*palazzo*...

- Miłosnego gniazdka?

- Tak, na szczycie wzgórza jest tam mały domek, którego okna wychodzą na morze.

- Byłaś tam?

Rosa się zarumieniła.

- Tak...

- Jak weszłaś do środka?

Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie słucha.

- *Mamma* ma klucz, który kiedyś należał do Valentiny. Moja babka wchodziła do domku i czekała na markiza. Czyż to nie romantyczne?

- Twoja mama wie, że tam byłaś?

- Nie zaglądałam do domku od lat! I nie mów jej o tym, bo chyba by mnie zamordowała!

- A ona sama? Chodzi tam?

- Nie, w ogóle nie zbliża się do tego miejsca. Widzisz, kiedy tu przyjechała, była mniej więcej w moim wieku. Chciała odszukać rodzinę, bo jej ojciec nigdy nie opowiadał jej o matce z powodów, których wtedy nie znała. Myślała, że to przez zazdrość jej macochy o Valentine, ale prawda okazała się zupełnie inna. Rodzice mojej mamy nie wzięli ślubu, a Valentina prowadziła podwójne życie. *Marchese* nie potrafił znieść myśli, że Valentina zabierze Albę do Londynu, ponieważ był przekonany, że to on jest ojcem dziecka, więc zamordował moją babkę. Skoro sam nie mógł jej mieć, wolał pewność, że nikt inny też jej nie dostanie.

- Później markiza zamordował brat Valentiny...

- Tak, w waszym *palazzo*. Moja matka miała angielskiego narzeczonego, który przyjechał tu z nadzieją, że uda mu się ją odzyskać i oboje poszli obejrzeć tę ówczesną ruinę.

Luca pomyślał o Fitzroyu i fragmenty układanki zaczęły tworzyć w jego głowie spójną całość. Gdyby Rosemary miała jakiekolwiek pojęcie o wielkiej urodzie Alby, dostałaby ataku serca.

- Znaleźli tam Nera, tego dziwaka, którego *marchese* adoptował jako małego chłopca, czy coś w tym rodzaju. To od niego się dowiedzieli, że markiz padł ofiarą morderstwa, ponieważ zabił Valentine. Dla mojej mamy był to ogromny szok. Pałac wydał jej się tak złowrogim i ponurym miejscem, że nigdy więcej tam nie wróciła.

- Jak zareagowała na wiadomość, że twój ojciec ma fotografować *palazzo* dla „Sunday Timesa"?

- Nie chce o tym rozmawiać. Tata ciągle trochę z niej pokpiwa, a ona tylko wzrusza ramionami, widzę jednak, że jej się to nie podoba. Sęk w tym, że ojciec zawsze potrafi postawić na swoim. Mama niczego nie umie mu odmówić. - Rosa przerwała na moment. - Chciałabym, aby moje małżeństwo było tak trwałe jak ich.

Luca dopił kawę i wrócił do samochodu, głęboko rozczarowany nieobecnością Cosimy, która stopniowo zajmowała coraz więcej miejsca w jego myślach i sercu. Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby pojechać do niej do domu. Nie było przecież najmniejszego sensu, aby kręcił się koło trattorii, licząc, że przypadkiem na nią wpadnie. Nie chciał jej się narzucać, ale był pewny, że ona także darzy go sympatią. Możliwe, że polubiła go dlatego, że był jedynym widzialnym ogniwem, jakie łączyło ją z synem, lecz miał jednak nadzieję, że chodzi o coś więcej. Zdawał sobie sprawę, że musi posuwać się naprzód ostrożnie i powoli. Cosima była bardzo krucha i właśnie ta jej cecha rozbudziła w Luce chęć chronienia jej przed ciemnymi stronami życia.

Dojechał na miejsce i zaparkował pod eukaliptusem o powykręcanym pniu. Czuł się dziwnie, jak nastolatek na pierwszej randce, spięty i niepewny. Lekki wiatr niósł śmiech dzieci, szczekanie psa i przeraźliwe porykiwanie osła. Postanowił sprawdzić, czy ktoś jest w domu, i uprzedzić o swojej obecności.

- Halo! - zawołał. - Jest tam ktoś?

Ku jego zaskoczeniu zza rogu wyszła Cosima, wycierając dłonie w ściereczkę do naczyń. Miała na sobie jasnożółtą sukienkę, krótki kremowy rozpinany sweterek i klapki. Ciemne włosy spięła z tyłu głowy, pozostawiając kilka luźnych pasemek, które łagodnymi lokami opadały po bokach na szyję. Nosiła srebrne bransoletki i mały srebrny krzyżyk, wyraźnie widoczny na skórze barwy toffi. Gdy zbliżyła się, Luca poczuł cytrusową nutę zapachu, który otaczał ją niewidocznym obłokiem. Ogarnęło go gwałtowne pragnienie, aby jej dotknąć, i musiał wsunąć ręce do kieszeni, ponieważ nie był pewny, czy zdoła się powstrzymać.

- Co za niespodzianka! - uśmiechnęła się. - Piekłam właśnie ciasto.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie, w żadnym razie! Możesz pomóc mi posmarować je kremem.

- Ktoś ma urodziny?

- Panfilo. On sam nie dba o takie uroczystości, ale dzieci je uwielbiają. Narobiły takiego bałaganu przy pieczeniu, że przygotowaniem kremu zajmę się raczej sama. Potrafisz dekorować ciasta?

- Ostatni raz robiłem coś takiego całe wieki temu.

- A kiedy ostatni raz jadłeś tort?

- Niedawno. Nigdy nie odmawiam sobie kawałka dobrego ciasta.

Okrążyli dom i weszli na taras. Beata spała w cieniu, z robótką na kolanach.

- Babcia nie bardzo może mi pomóc. - Cosima się roześmiała. - Mam szczęście, że akurat przyjechałeś, bo inaczej musiałabym zrobić wszystko sama.

- Gdzie twoja ciotka?

- Alba chadza własnymi ścieżkami. Gdy nie ma jej w trat-torii, spaceruje wzdłuż klifów albo po plaży. Lubi samotność.

Luca zastanawiał się, czy niechęć Alby do poruszania tematu *palazzo* nie skrywa przypadkiem fascynacji tym miejscem. Alba miała klucz do domku w ogrodzie. Może tajemniczym intruzem była córka Valentiny?

W kuchni pachniało ciastem i Luce natychmiast ślina napłynęła do ust. Cosima nalała mu szklankę lemoniady.

- Niedaleko stąd jest przepiękna stara farma z cytrynowym gajem, który pokrywa całe zbocze. Te cytryny pochodzą właśnie stamtąd. - Patrzyła, jak Luca pociąga pierwszy łyk. -Dobre, prawda?

- Bardzo dobre.

Zdjęła fartuch z klamki i zawiązała go w pasie.

- Właścicielką farmy jest cudowna staruszka, która ma na imię Manfreda. Naturalnie nie zbiera już cytryn sama, bo zwyczajnie brakuje jej sił, ale zawsze każe chłopcom zostawić koszyk dla nas. Znała Immacolate i bardzo lubi Albę. To, czego Manfreda nie wie o Incantellarii i okresie wojny, nie jest warte zapamiętania. Jej farmę otacza jakaś magiczna aura, ponieważ niezależnie od pogody cytryny zawsze są tam duże, żółte i soczyste.

- Powoli zaczynam myśleć, że cała Incantellaria jest magiczna.

- Wiesz o goździkach, tak?

- Tak. Rano cała plaża była nimi pokryta.

- Powinieneś porozmawiać z Manfreda. Wydarzyło się tu dużo dziwnych rzeczy. Można w to wierzyć lub nie, ale to już inna sprawa... Powiedz mi lepiej, czym właściwie się zajmujesz.

- Przez dwadzieścia lat byłem finansistą i któregoś dnia obudziłem się z przekonaniem, że życie upływa mi na czymś, co nie daje mi żadnej satysfakcji. Zarobiłem ogromne pieniądze, to prawda, ale majątek nie zaspokoił twórczej strony mojej osobowości. - Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Nadal szukam czegoś, co pozwoli mi zrealizować te pragnienia.

Słuchała go uważnie, dodając masło do kremu i ubijając mieszankę drewnianą łyżką.

- Co byś wybrał, gdybyś mógł robić wszystko, co zechcesz? - spytała.

- Dobre pytanie! Nie jestem pewny.

- Malujesz? -Nie.

- Piszesz?

- Nie, chociaż bardzo tego żałuję. Incantellaria idealnie nadaje się do pisania powieści.

Przerwała ucieranie kremu i popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Czego brakowało ci w bankowości?

- Nie miałem w ręku nic konkretnego...

- Tylko cyfry na ekranie komputera, tak? Nic, co można zabrać ze sobą do domu pod koniec dnia, jak na przykład te cytryny...

Luca wziął jeden owoc z misy i ścisnął go lekko.

- Te cytryny nie mają w sobie nic konkretnego. Z czego się śmiejesz?

- Z ciebie - odparła, zdrapując łyżką krem z palca i wkładając ją do ust.

- Dlaczego?

Dosypała do kremu trochę cukru pudru i znowu zaczęła mieszać.

- Ponieważ wyraźnie widzę, co powinieneś robić.

- Powiedz mi, proszę! Od paru tygodni staram się rozwiązać ten problem!

- Musisz coś zasadzić i patrzeć, jak rośnie.

Luca nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Cosima doskonałe rozumie jego najgłębsze pragnienia. Podsunęła mu drewnianą łyżkę.

- Spróbuj. Smaczne?

Krem najzupełniej dosłownie rozpływał się w ustach.

- Pyszne...

- Trzeba jeszcze dodać odrobinę soku z cytryny. - Przecięła złocisty owoc na pół i wycisnęła sok do miski.

Sok spływał jej po palcach.

- Pachniesz sokiem cytrynowym - odezwał się Luca. -Rozpylasz go na sobie czy kąpiesz się w nim?

- Ani jedno, ani drugie! - parsknęła śmiechem. – Piję go!

Wytarła dłonie w fartuch i wyjęła z szuflady dwie szpa-tułki.

- Jedna dla mnie i jedna dla ciebie... Musisz tylko przenieść krem na ciasto, nie do ust!

Postawiła paterę z biszkoptem na środku stołu, nabrała szpatułką sporą porcję kremu i zaczęła rozsmarowywać go na cieście. Luca poszedł za jej przykładem.

- Nieźle ci idzie - zauważyła. - Oczywiście jak na początkującego.

Zrobił obrażoną minę.

- Chcesz powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, jak posmarować ciasto kremem?

- Masz pojęcie o cyfrach. To, co robisz teraz, jest naprawdę twórczym zajęciem!

- Nie zapominaj, że drzemią we mnie głęboko uśpione zdolności twórcze!

- Więc je obudź. - Otworzyła puszkę z małymi kolorowymi cukierkami. - Ożyw swoją wyobraźnię.

- Mam ułożyć te cukierki na cieście?

- Tak. To tort dla dzieci, niczego nie zepsujesz.

- Nie boję się garści cukierków! - prychnął.

Pragnął ją pocałować. Tak bardzo różniła się od kobiety, za którą wybiegł z kościoła w Incantellarii. Pieczołowicie ułożył cukierki na krawędzi biszkoptu.

- Masz metodyczny umysł - skomentowała, opierając podbródek na splecionych dłoniach.

- A to dowód na co? - Zanurzył czerwony cukierek w kremie i bardzo delikatnie umieścił go na czubku jej nosa. - Teraz będę musiał zdjąć go pocałunkiem - rzekł cicho.

Cosima nawet nie drgnęła. Luca pochylił się i pocałował ją w czubek nosa, ostrożnie zlizując krem. Cofnął się trochę, starając się ocenić jej reakcję.

- Nie przyjechałem tu specjalnie po to - powiedział. - Po prostu jesteś tak piękna, że nie mogę oprzeć się pragnieniu...

Zbliżył usta do jej warg i znowu ją pocałował.

Za ich plecami rozległy się kroki. Odskoczyli od siebie i zajęli się ozdabianiem ciasta tak spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło. Cosima szybko otarła nos wierzchem dłoni.

- Witaj, Luca! - Beata przed chwilą ocknęła się z drzemki. - Nie zauważyłam, że przyjechałeś.

- Bo spałaś, *nonnina.* - Cosima się uśmiechnęła. - Chcesz pomóc nam z tortem na urodziny Panfila?

Beata nachyliła się i popatrzyła na ciasto.

- Wydaje mi się, że sami świetnie sobie radzicie... Jak się masz, Luca?

- Doskonale, dziękuję.

- To dobrze... Zostawię was przy tym ważnym zajęciu. Dzieci będą zachwycone!

Kiedy wyszła z kuchni, Cosima zachichotała.

- Zachowujemy się jak dzieci z podstawówki!

- W szkole nigdy nie całowałem dziewczyn. Ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Ani trochę ci nie wierzę!

- Może poszukalibyśmy jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym pocałować cię jak należy, bez ryzyka, że lada chwila przyłapie nas pani dyrektor, co ty na to?

Cosima wstawiła tort do lodówki, zdjęła fartuch i wyprowadziła Lucę z kuchni drugimi drzwiami.

- Pokażę ci moje ulubione miejsce w Incantellarii - powiedziała.

Kiedy szli przez oliwny gaj, Luca wziął ją za rękę, a ona nie cofnęła dłoni.

- Często bawiłam się tutaj jako dziecko - dodała. - Nie miałam rodzeństwa, więc grałam w rozmaite gry z ojcem lub z Albą. Przychodziliśmy tu na spacer i skakałam dookoła drzew. Słyszysz ten rytmiczny szum morza i granie cykad? Uwielbiam też zapach sosnowej żywicy i tymianku.

- Czuję go! I zapach cytryn.

Popatrzył na nią uważnie i długo. Odpowiedziała spojrzeniem tak czułym, że żołądek skurczył mu się z podniecenia.

Dotarli do stóp starej wieży wartowniczej, teraz niepotrzebnej i powoli obracającej się w gruzy.

- Tu zawsze ogarnia mnie niczym niezakłócony spokój i dlatego przychodzę tu wspominać Francesca... Kiedy ogarniam wzrokiem naprawdę niezmierzony horyzont i mgły, które zacierają linię między morzem a niebem, trudno jest mi nie wierzyć w życie po śmierci.

Luca wziął ją w ramiona, pragnąc wygładzić pocałunkami zmarszczkę między jej brwiami.

- Nie smuć się - powiedział. - Francesco znalazł mnie po to, żebym przekazał ci wiadomość od niego. Zależało mu, żebyś wiedziała, że jest przy tobie duchem i że nigdy cię nie opuści.

Delikatnie wsunął luźne pasma włosów za uszy Cosimy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - wyszeptała.

- Albo się nie mylę, albo oszalałem.

- Nie oszalałeś, prawda?

- Szaleję za tobą - odparł cicho.

Pocałował jej wargi, które rozchyliły się pod pieszczotą. Całował w życiu wiele kobiet, większości z nich nawet nie pamiętał, ale żadna nie obudziła w nim tak wielkiej czułości. Cosima wniknęła w jego serce tak mocno, że czuł prawie ból. Pragnął otoczyć ją ramionami i osłonić przed lękami, które ją dręczyły, sca-

łować jej rozpacz i patrzeć, jak płacze nie z żalu, lecz z radości. A najmocniej pragnął, aby odwzajemniła jego uczucie.

17

Kiedy Rosa wróciła do domu, zastała Cosimę w kuchni. Jej starsza kuzynka podśpiewywała jakąś pogodną melodię, opłukując w zlewie miskę i dwie drewniane szpatułki. Powietrze przesycone było zapachem ciasta, na podłodze leżało kilka cukierków.

- Cześć. - Rosa otworzyła lodówkę. - No, widzę, że dzieci miały niezłą zabawę z ozdabianiem ciasta! - Roześmiała się na widok tortu.

Cosima nie skomentowała jej uwagi.

- Jak dzieciaki? - spytała Rosa.

- Są bardzo podekscytowane przyjęciem.

- A przede wszystkim świadomością, że będą mogły pójść spać później niż zwykle! - Rosa usiadła przy stole ze szklanką soku w ręku. - W trattorii panował dziś martwy spokój, strasznie się wynudziłam. Gdzie *mamma*[7].

- Jeszcze nie wróciła. Beata poszła do domu i zostawiła dzieci ze mną. Wróci na przyjęcie.

- Co jeszcze mamy?

- Baloniki, oczywiście.

- Tata nie znosi urodzinowych imprez.

- Ale dzieci je uwielbiają!

- A on zawsze chce sprawić im przyjemność.

Cosima poruszała się z nową energią i świeżością, co szybko wzbudziło podejrzliwość Rosy. Była zdecydowanie zbyt szczęśliwa jak na osobę, która zaledwie tydzień wcześniej usiłowała się utopić.

- Dlaczego jesteś w takim doskonałym nastroju? - zagadnęła zaczepnie.

- Mamy bardzo piękny dzień.

- Każdy dzień jest piękny!

- Dziś pogoda wydaje mi się piękniejsza niż zwykle.

- No, skoro tak uważasz. Moim zdaniem, dziś jest całkiem zwyczajnie. - Popatrzyła na popękany lakier na paznokciach. -Idę na dwór poszukać dzieci!

Luca wrócił do *palazzo* i od razu poszedł popływać. Było gorąco, a on musiał trochę ochłonąć. Pokonując kolejne długości basenu, wspominał pocałunek pod wieżą - słodki, czuły, namiętny i zdecydowanie za krótki. Gdyby Cosima zechciała, zostałby tam z nią do rana. Z ogromnym wysiłkiem zapanował nad obezwładniającym pragnieniem, by rozpiąć guziki jej sukienki i zsunąć cienki materiał z gładkich ramion. Postanowił zrezygnować z pośpiechu; był teraz we Włoszech, nie w Anglii, gdzie dziewczyny aż zbyt chętnie wskakiwały do łóżka.

Kiedy wypłynął, aby złapać oddech, usłyszał głosy swoich córek oraz Sammy.

- Tatusiu! - zawołała Juno, przykucając na brzegu basenu. - Gdzie byłeś?

- W miasteczku. - Oparł łokcie na obramowaniu, uniósł się i pocałował ją w policzek.

- Jesteś cały mokry! - Dziewczynka wytarła twarz pluszową gąsienicą.

- Wchodzisz do wody?

- A pobawimy się w Niegrzecznego Krokodyla?

Luca paroma wyrzutami ramion odpłynął na środek basenu.

- Niegrzeczny Krokodyl jest dziś okropnie głodny - zawarczał.

Juno pośpiesznie zrzuciła sukienkę i wciągnęła kostium. Coco uważnie obserwowała scenę z boku.

- Chodź, Coco! - zachęcił ją ojciec. - Woda nie zepsuje ci manicure, nie bój się! Jeżeli sama nie wskoczysz do basenu, Niegrzeczny Krokodyl będzie musiał wyleźć na brzeg i cię złapać!

- Nie możesz wyłazić z basenu - zaprotestowała Coco. -Taka jest zasada!

- Kto ustala zasady?

- Ja - odparła Coco, czekając, aż Sammy rozepnie jej sukienkę na plecach. - Babcia uszyje mi krynolinkę - dorzuciła wyniośle. - I wyszyje ją cekinami!

Luca pytająco spojrzał na Sammy.

- Obiecała, prawda, Coco? - odezwała się Sammy.

- Biedna Ventura będzie miała jeszcze więcej pracy!

Tej nocy Luca leżał z rękami splecionymi pod głową, wpatrzony w cienie rzucane na sufit i ściany przez srebrzysty księżyc, i delektował się myślami o Cosimie. Okiennice zostawił otwarte, by do pokoju przedostawały się łagodne odgłosy nocy - koncerty cykad, szelest trawy pod naporem ciał małych zwierząt, szmer poruszanych wiatrem liści drzew. Pragnął opowiedzieć o wszystkim Caradocowi, ale nie był przecież nastolatkiem, który przechwala się najświeższym podbojem. Był czterdziestoletnim mężczyzną, który zakochał się pierwszy raz w życiu. Wcześniejsze związki, od romansu z Freyą po małżeństwo z Claire, dotknęły tylko wierzchniej warstwy jego serca. Cosima otworzyła je jednym spojrzeniem i weszła w nie jak celnie wypuszczona z łuku strzała, i z każdym niepewnym uśmiechem zanurzała się w nim coraz głębiej. Fascynowało go wszystko, co się z nią wiązało. Dotykał jej, lecz ona pozostawała poza zasięgiem jego ramion; całował ją, ale nie oddała mu się bez reszty. Mimo to czuł, że z każdym uśmiechem dawała mu coś niepowtarzalnego, coś, czym nie obdarzyła nikogo innego.

Musiał zasnąć, bo o trzeciej nad ranem obudził go płacz jednej z córek. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to sen, ponieważ dziewczynki nigdy nie wołały go w nocy, ale szloch stawał się coraz głośniejszy i bardziej rozpaczliwy. Wyskoczył z łóżka i narzucił szlafrok na nagie ramiona. Kiedy wpadł do dziecinnego pokoju, Coco pocieszała Juno. Luca chwycił córeczkę w ramiona.

- Co się stało, kochanie? - spytał łagodnie, głaszcząc jej czoło.

- Tatusiu - wyszlochała Juno. - Boję się!

- Miała zły sen - oświadczyła z powagą Coco.

- Już dobrze, skarbie. Tata jest z tobą.

- To chyba znowu był ten niedźwiedź.

W drzwiach stanęła Sammy. Włosy miała rozczochrane, oczy zaspane.

- Wszystko w porządku? - zapytała, splatając ręce na kusej koszulce bez rękawów, którą nosiła do kwiecistych szortów.

- Tak, dziękuję! Możesz wracać do łóżka, naprawdę! Sammy rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie i znikła.

- Teraz opowiedz mi, co ci się śniło, serduszko - poprosił Luca.

Juno mocno przytuliła do piersi pluszową gąsienicę.

- Gonił mnie taki wielki niedźwiedź!

- We Włoszech nie ma niedźwiedzi.

- To nie jest normalny niedźwiedź, tylko potwór, tatusiu -wyjaśniła Coco, wracając do łóżka.

- Niedźwiedzie-potwory w ogóle nie istnieją. Myślisz, że babcia Romina pozwoliłaby, żeby po jej pałacu pętał się jakiś potworny niedźwiedź?

Juno uśmiechnęła się nieśmiało i potrząsnęła głową.

- Gdybyś mnie potrzebowała, jestem niedaleko, skarbie... Ale założę się, że jeśli chwilę pomyślisz o czymś przyjemnym, będziesz miała miłe sny.

- Przyśni ci się Obżartuszek, na przykład - uśmiechnęła się Coco.

- I zabawa w Niegrzecznego Krokodyla - szepnęła Juno, zamykając oczy.

Luca otulił córeczkę kołdrą i pocałował ją w czoło. Potem przykucnął przy łóżku Coco.

- Przykro mi, że Juno cię obudziła, kochanie.

- Nic nie szkodzi, tato, jestem do tego przyzwyczajona!

- Może wolałabyś mieć inny pokój, tylko dla siebie? Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Juno mnie potrzebuje.

- Jesteś dobrą siostrą, malutka! Juno ma szczęście!

- Mnie też przytulisz na dobranoc?

Luca nie krył wzruszenia. Serce Coco było trudne do zdobycia. Wrócił do łóżka z nieznanym dotąd uczuciem - świadomością, że jest komuś potrzebny.

Następnego dnia rano, po zabawie w basenie z dziewczynkami, wymknął się do trattorii na spotkanie z Cosimą. Czekała na niego w zielonej sukience, z rozpuszczonymi włosami.

- Witaj, piękna! - powiedział, obejmując ją w pasie i całując w policzek.

Aromat cytryn kazał mu wrócić myślami do poprzedniego wieczoru. Cosima rozejrzała się czujnie.

- Uważaj, Luca! Nie jestem w najlepszych stosunkach z Rosą, więc nie pogarszajmy sprawy.

Popatrzył na nią ze szczerym zdziwieniem.

- Podobasz się jej - wyjaśniła, przekrzywiając głowę na bok. - Zdziwiony?

- Niezupełnie - przyznał. - Muszę powiedzieć, że trochę ją zachęcałem.

- Podrywacz z ciebie!

- Nie chciałaś ze mną rozmawiać! - zaprotestował. - Ale przecież od pierwszej chwili przykułaś moją uwagę!

- Od chwili, kiedy zobaczyłeś mnie na plaży z Franceskiem?

- Byłaś taka smutna. Serce mi pękało, gdy na ciebie patrzyłem.

- Czy on jest tu teraz?

Luca ogarnął wzrokiem plażę i nabrzeże.

- Nie, zwykle bawi się koło tego słupa. Kiedy go tu widzę, wiem, że jesteś w pobliżu!

- Wierzę ci, bo pragnę, żeby to była prawda.

- Chciałbym dowieść ci tego w jakiś sposób!

- Muszę ci zaufać.

- Wiesz, że możesz mi ufać. - Wziął ją za rękę. - Możesz mieć do mnie całkowite zaufanie.

Ruszyli brzegiem morza na ustronną kamienistą plażę i usiedli w cieniu dużej skały, zapatrzeni w potężny ocean.

- Jesteś wyjątkową kobietą, Cosimo.

- Już od dawna nie czuję się wyjątkową osobą.

- Od czasów Riccarda?

- Tak.

Luca przeniósł wzrok na jej poważną twarz.

- Z każdą chwilą jestem coraz bardziej w tebie.zakochany.

- Prawie mnie nie znasz!

- To nieistotne. Czuję, że znam cię od wieków. Ufam swojemu instynktowi, jesteś tak wyjątkowa, jak mi się wydaje!

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła, kiedy wtulił twarz w jej szyję.

- Musimy teraz rozmawiać?

- Ja też ufam swojemu instynktowi, Luca, ale chcę także poznać fakty.

- Pocałujesz mnie, kiedy je poznasz? Pogładziła palcem jego szorstki od zarostu policzek.

- Będę cię całowała aż do lunchu.

W południe pod *palazzo* lśniącym czterodrzwiowym ma-serati zajechał Dennis Mendoros z córką Stephanie. Grek z pochodzenia, urodził się w Sudanie, a wychował w Yorkshire, nigdy jednak nie zgubił wyraźnego obcego akcentu, dzięki któremu zdobywał szturmem serca Angielek. Matka Natura obdarowała go oliwkową cerą i inteligentnymi brązowymi oczami oraz olśniewającym uśmiechem, którym mógł by oświetlić niewielki kontynent. Romina, która zawsze uważała Dennisa za bardzo atrakcyjnego, otoczyła go ramionami jak białego motyla o najdelikatniejszych skrzydłach.

- Stephanie! - rozpromieniła się, niechętnie odrywając się od ojca dziewczyny. - Tak się cieszę, że ty też mogłaś do nas przyjechać!

Krótkim spojrzeniem oszacowała długonogą młodą kobietę i natychmiast pomyślała, że może udałoby się połączyć ją i Lucę w szczęśliwą parę. Stephanie, posiadaczka lśniących kasztanowych włosów oraz oliwkowej skóry i brązowych oczu ojca, była prawdziwą pięknością.

- Ile masz lat, moja droga?

- Dwadzieścia jeden.

Romina z trudem ukryła rozczarowanie.

- Ach, jesteś jeszcze taka młoda - westchnęła.

Za młoda, doszła do wniosku. *Chepeccato,* szkoda...

Przeprowadziła gości przez pałac na taras, z dumą pokazując im wewnętrzny dziedziniec z szemrzącą fontanną i cytrynowymi drzewkami. Stephanie szczerze podziwiała urokliwe pastelowe kolory i elegancki wystrój *palazzo.*

- Bardzo chciałabym mieszkać w takim miejscu - oświadczyła. - Panuje tu taki cudowny spokój...

- Najpierw musisz znaleźć swojego księcia, Stephanoula! -zauważył jej ojciec.

- W Incantellarii nie brak przystojnych młodych Włochów - zasugerowała Romina.

- Jeżeli któryś z nich choć raz spojrzy na moją córkę, zmiażdżę jego kości na proch!

Caradoc i Nanni siedzieli na tarasie, czekając na lunch i dyskutując o starożytnych filozofach. Ma sączyła lemoniadę w cieniu i dyskretnie podsłuchiwała, Bill pracował w ogrodzie i starał się znaleźć najbardziej odpowiednie miejsce dla planowanej romantycznej groty, natomiast Sammy i dziewczynki przebierały się w swoich pokojach po kąpieli w basenie.

Bill przyszedł przywitać się z Dennisem.

- Bardzo się cieszę, że zdecydowałeś się nas odwiedzić, mój drogi! - powiedział, serdecznie potrząsając ręką Greka.

- Macie piękny dom - rzekł Dennis z podziwem. - Jesteś ogromnie utalentowanym człowiekiem, Bill!

- Nie zrobiłbym tego wszystkiego bez mojej żony.

- Macie przed sobą najprawdziwszy owoc miłości! - zaśmiała się Romina. - No, dobrze, kogo tu znacie?

Zaczęła przedstawiać gości, ciesząc się w duchu, że udało jej się zgromadzić grupę tak wybitnych osobowości.

- Dennis to nasz stary przyjaciel - wyjaśniła bratu i profesorowi. - Buduje własne samoloty.

- Drobna przesada, moja droga! - sprostował Dennis. -Jestem inżynierem lotnictwa.

- Który od najwcześniejszej młodości pilotuje helikoptery i samoloty! Jesteś zbyt skromny, skarbie!

- Jest pan Grekiem - rzekł profesor, mrużąc oczy jak iguana. - Z domieszką czegoś jeszcze.

- Urodziłem się w Sudanie.

- A dorastał w Kelbrook, w Yorkshire - dodała Stephanie.

- Niezwykła mieszanka! - zawołała Romina.

- Której lepiej nie przyglądać się zbyt uważnie. - Dennis uśmiechnął się kpiąco. - Tak jak osiołkowi, gdy przynosi prezent.

- Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, mówiąc krótko i używając angielskiego przysłowia - uzupełniła Stephanie.

Nanni ryknął gromkim śmiechem.

- Podobasz mi się, Dennis!

- Jeśli pani pozwoli, Stephanie. - Profesor ujął dziewczynę pod ramię. - Proszę opowiedzieć mi coś o sobie... Jest pani bardzo piękną młodą kobietą! Jestem już za stary, żeby zabiegać o pani względy, ale mogę admirować panią z daleka. I muszę przyznać, że pani uroda zasługuje na najwyższy podziw.

Luca zjawił się trochę spóźniony, ale szczęśliwy.

- Co za piękny dzień! - zawołał, wychodząc na taras.

Coco i Juno zerwały się od stołu jak małpki i przywarły do nóg ojca, mocno obejmując go w pasie.

- Gdzie byłeś? - zapytała Romina.

- Podejrzewam, że oddawał się jakiemuś nieprzyzwoitemu zajęciu - odezwała się Ma. - Wygląda na strasznie zadowolonego z siebie.

- Przeglądałem gazety w miasteczku - odparł chłodno Luca.

- Po co ciągle jeździsz do miasta, skoro i tak najlepszą kawę dostaniesz tutaj, podobnie jak gazety, które ojciec codziennie specjalnie kupuje?

- Bo tu nie może liczyć na zbyt wiele przygód - rzekł Nan-ni, poruszając palcami u stóp, które przed chwilą przygniótł mu Porci.

- Znasz Dennisa i Stephanie? - Zapytał Bill. Dennis wyciągnął rękę.

- Dawno się nie widzieliśmy!

- Nie mów mi tylko, że urosłem! - roześmiał się Luca.

- Ty też mi tego nie mów - uśmiechnęła się Stephanie.

- Ale ty naprawdę urosłaś! - Luca podszedł do stołu, żeby ucałować dziewczynę, którą zapamiętał jako nastolatkę.

- Poczekaj, aż Stephanie wstanie - dorzuciła Romina. -Ma najdłuższe nogi, jakie kiedykolwiek widziałam!

Może jednak warto spróbować, pomyślała.

Po chwili rozmowa skupiła się wokół tematu nieproszonego gościa w domku w ogrodzie i Bill z przyjemnością opowiedział Dennisowi, jak to żona oskarżyła go o potajemne ucinanie sobie drzemek w tym ustronnym zakątku.

- Bardzo żałuję, że nie mam na to czasu - rzekł na koniec.

- Każdy ma czas, jeśli tylko chce go mieć! - odpaliła Romina.

- Byłeś dziś w domku? - zwrócił się Nanni do siostrzeńca.

- Jeszcze nie.

- Przecież obiecałeś, że zaczaisz się na intruza i go schwytasz! - wykrzyknęła Romina. - Z tego wszystkiego boję się tam zaglądać, a to moje ukochane miejsce!

- Może warto byłoby powiadomić policję - podsunęła Ste-phanie.

- Ale co właściwie mieliby zrobić? - zapytała Romina. -Pilnować domku? Tutejsi policjanci są beznadziejni! Nie, Luca, musisz złapać tę osobę, tę kobietę, bo najprawdopodobniej jest to kobieta! Nie masz w tej chwili nic szczególnego do roboty, więc musisz stawić czoło wyzwaniu! Chcę, żeby osoba, która zostawiła tam szal, przestała wdzierać się na teren naszej posiadłości, wszystko jedno, kim jest!

Po lunchu Luca zabrał Dennisa i Stephanie na spacer do domku, a Coco i Juno usiadły razem z babcią przy stole w cieniu, żeby coś narysować. Luca streścił

gościom historię pałacu i opowiedział o tajemniczej osobie, która regularnie zostawiała ślady swoich wizyt.

- Wydaje mi się, że wiem, kto to może być, ale dopóki nie zyskam pewności, wolę nic nie mówić - rzekł.

- Więc co masz zamiar zrobić? - spytała Stephanie.

- Chyba będę musiał zastawić pułapkę.

- Pułapkę na niezwykłego szczura - odezwał się Dennis. -Będzie ci potrzebny wyjątkowo duży kawałek sera.

- Właśnie! - Luca przekręcił klucz w zamku i z rozczarowaniem spostrzegł, że łóżko było tak gładko zasłane jak poprzedniego dnia. - Nikt nie spał w moim łóżeczku - wyrecytował głębokim basem, nawiązując do bajki o Złotowłosej.

- O, mój Boże, to najbardziej urokliwe miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam! - wykrzyknęła Stephanie, obchodząc dookoła pokój i podziwiając detale. - Prawdziwe miłosne gniazdko! Teraz rozumiem, dlaczego ten ktoś chętnie wpada tutaj na drzemkę! Bardzo tu pięknie.

- *Marchese* był mordercą - zauważył Dennis.

- Mordercą z miłości! - Stephanie lekko dotknęła marmurowej kopii *Dawida* dłuta Donatella. - Wyobraź sobie, tato, że dowiadujesz się, że kobieta, którą kochasz i uważasz za niewinną wiejską dziewczynę, ma romans z.niebezpiecznym szefem mafii... Jakie to romantyczne.

- Dlaczego nie zabił tylko szefa mafii?

- „Zawsze ranimy naszych ukochanych - zaśpiewał Luca. -Tych, których w ogóle nie powinniśmy ranić".

Nagle uświadomił sobie, że zachowuje się trochę jak profesor.

- Cóż, nie winiłabym kobiety, która tu przychodzi. - Ste-phanie westchnęła. - Współczuję jej, że zasypia tutaj sama. To naprawdę smutne.

- Tak, naprawdę smutne - powtórzył powoli Luca, drapiąc się po brodzie. - Masz rację. Kobieta, która tu przychodzi, nosi w sercu ogromny smutek. Przychodzi, żeby poczuć czyjąś bliskość albo może dlatego, że kogoś opłakuje...

Serce zabiło mu mocno z wrażenia. „Alba".

18

Rominę tak wystraszyła myśl o intruzie zakradającym się do jej domku, że w końcu zdecydowała się zgłosić włamanie policji. Komisariat znalazła na placyku; był to zaniedbany, odrapany budynek z trzema schodkami, prowadzącymi do solidnych drewnianych drzwi. Powietrze wewnątrz przesycone było zapachem dymu tytoniowego oraz potu. Podeszła do blatu, zarzuconego papierami i gazetami. W biurze nie było nikogo, lecz przy wejściu kręciło się dwóch *carabinieri,* którzy ze śmiechem wymieniali uwagi na temat swoich teściowych i strząsali popiół z papierosów wprost na podłogę.

Romina nie należała do osób, które cierpliwie znoszą czekanie. Ze zniecierpliwieniem postukała palcami w blat i rozejrzała się dookoła.

- Ktoś mi pomoże, czy mam zacząć wrzeszczeć? - odezwała się donośnym głosem.

Dwaj policjanci przerwali rozmowę i odwrócili się do niej. Zmierzyli ją bacznym spojrzeniem, zauważyli drogą biżuterię i ubranie i doszli do wniosku, że mają do czynienia z damą, która przywykła stawiać na swoim.

- Idę - mruknął do przyjaciela Eugenio.

Drugi karabinier zrobił wymowną minę, z której jasno wynikało, że kolega wiele ryzykuje, i pośpiesznie zniknął.

- *Signora,* bardzo przepraszam, że musiała pani czekać -rzekł Eugenio, starając się odzyskać wiarygodność.

Romina oszacowała krytycznym wzrokiem jego wygnieciony niebieski mundur i ozdobne epolety.

- W Incantellarii najwyraźniej zdarza się niewiele przestępstw - rzuciła pogardliwie.

- Dzisiaj panuje tu spokój, dzięki Bogu - odparł Eugenio. -Zechce pani usiąść...

- Dziękuję! - Podeszła za nim do wytartej skórzanej kanapy i usiadła.

Eugenio zajął miejsce w stojącym naprzeciwko fotelu.

- W czym mogę pomóc?

- Jestem *signora* Chancellor, właścicielka *palazzo* - *zaczęła* Romina.

Eugenio się wyprostował.

- Widzę, że to pana trochę obudziło!

- Chodzi o *palazzo* Montelimone, czy tak?

- Tak jest.

- Od lat tam nie byłem - wymamrotał.

- Wyklucza to pana z grona podejrzanych! -Podejrzanych?

- Mamy do czynienia z intruzem, inspektorze.

- Inspektor Amato - przedstawił się szybko Eugenio, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że rozmowa wymyka się spod kontroli. - Jakim intruzem?

- Sądzę, że jest to kobieta, ponieważ zostawiła pachnący perfumami szal. Sama nigdy nie wybrałabym takich perfum ani takiego szala, jeśli już o tym mówimy.

- Zostawiła go *w palazzo?*

- Nie, w domku w ogrodzie. Jak dobrze zna pan pałac, inspektorze?

- Dosyć dobrze. W przeszłości byłem tam wiele razy.

- Naprawdę?

- Pałac był w ruinie, ale w pogodne noce widać było światło, przesuwające się z pokoju do pokoju.

Romina bezskutecznie próbowała stłumić zniecierpliwienie.

- Jest pan przesądny? - spytała.

- Raczej nie, lecz nie brak tu ludzi, którzy wierzą w rozmaite rzeczy.

- Wiem. Nasi służący ciągle mówią o duchach, to po prostu śmieszne!

Eugenio wzruszył ramionami.

- Miasteczko takie jak to nigdy nie zapomina historii splamionej krwią.

- Co za melodramatyczne sformułowania! I co pan wtedy odkrył?

- Nic nie znaleźliśmy.

- Cóż, teraz światło znowu zaczęło się pojawiać i chcę, żeby zajął się pan tą sprawą!

Eugenio postanowił potraktować przybyłą z całym szacunkiem. Wyglądała na kobietę, która może narobić kłopotów, jeśli uzna, że nie bierze się jej poważnie.

- Domek jest zamknięty? - zapytał.

- Tak, zawsze. Jedyny klucz jest u mnie, więc albo ktoś otwiera zamek wytrychem, albo istnieje drugi klucz, ale ja nic o tym nie wiem.

- Myślała pani o wymianie zamka?

- Oczywiście, lecz mój syn chce schwytać intruza.

- Rozumiem...

A więc bohater Luca musi ratować także i pałac, nie tylko Gosimę, pomyślał Eugenio.

- Czy intruz wyrządził jakieś szkody? - podjął.

- Raczej nie... Tak czy inaczej, nie podoba mi się, że w łóżku śpi ktoś obcy. To bardzo niehigieniczne!

- Nie ma żadnych śladów włamania?

- Nie.

- Czyli państwa bezpieczeństwo nie jest zagrożone?

- Nie, na razie nie. - Romina zmrużyła oczy. - Jednak w miejscu takim jak to, miejscu z taką przeszłością, niczego nie można być pewnym.

- Nie przypuszcza pani, że może to być osoba zatrudniona *w palazzo*[7] Na przykład gospodyni albo ogrodnik? Ktoś, kto ma do państwa jakieś pretensje?

- Jestem nie najgorszym sędzią ludzkich charakterów, inspektorze, i ufam tym, którzy dla mnie pracują. Poza tym dlaczego ktoś miałby mieć do nas pretensje? O co? Nie zrobiliśmy nic złego. Kupiliśmy ruinę i przywróciliśmy ją do dawnego stami. Co mogłoby kogoś w tym razić?

- Mimo wszystko wydaje mi się, że robi to ktoś z państwa najbliższego otoczenia.

- Ale tak nie jest! Znam ludzi, wśród których się obracam, mają oni zresztą zbyt dobry gust, aby nosić taki szal!

- Przyjadę się rozejrzeć, jeśli pani na tym zależy, ale podejrzewam, że niewiele mogę w tej sprawie zdziałać. Nie mamy wystarczających środków, aby całą dobę strzec jakiegoś budynku.

- To znaczy, że muszę zdać się na mojego syna, czy tak?

- Z tego, co słyszałem, powinien doskonale poradzić sobie z taką sytuacją.

- Chciałabym, żeby pan jednak przyjechał. Pańska obecność na pewno podziała na nas uspokajająco!

Romina wiedziała, że są to puste słowa - inspektor Amato nie miał wystarczająco silnej osobowości, aby kogokolwiek naprawdę uspokoić.

Luca spędził część popołudnia na zabawie w chowanego z córkami, a potem zabrał je razem z Sammy na podwieczorek do trattorii Fiorellich. Cosima siedziała przy jednym z okrągłych stolików, pogrążona w rozmowie z Albą. Na jego widok uśmiechnęła się i pomachała małej grupce.

- Co dzisiaj zamawiacie? - zapytała dziewczynki. - Znowu lody?

Coco i Juno radośnie pokiwały głowami.

- I jedną porcję dla Obżarciuszka! - zachichotała Juno, przytulając gąsienicę do twarzy Cosimy.

Luca przez chwilę spod oka obserwował Albę. Czyżby to właśnie ona była tajemniczym intruzem? Czy to ona po kryjomu zakradała się do domku w ogr dzie, żeby poczuć, że jest bliżej swojej tragicznie zmarłej matki? Podobnie jak Rosa, Alba także przyciągała spojrzenia swoimi ciemnymi włosami, jasnoszarymi oczami i szerokim, zaraźliwym uśmiechem, lecz w przeciwieństwie do córki miała w sobie dojrzałość, która nadawała jej wielkiej urodzie głębszy wymiar. Gdy usiadł przy stoliku, Cosima poprosiła Fiera o zaparzenie kawy, a sama zajęła miejsce obok niego. Luca zapalił i zniżył głos, żeby nikt ich nie podsłuchał.

- Zobaczymy się dzisiaj wieczorem?- spytał.

- Bardzo bym chciała.

- Nie mogę tak po prostu patrzeć na ciebie i nie dotykać cię.

- Założę się, że powtarzasz to wszystkim dziewczynom! -zakpiła.

- Kiedyś faktycznie powtarzałem to wszystkim dziewczynom, ale nigdy nie byłem przy tym szczery. Teraz naprawdę tak myślę!

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

- Jesteś w połowie Włochem!

- Ale ta druga połowa to odpowiedzialny, poważny, godny zaufania Brytyjczyk.

- Dokąd pójdziemy?

- Ponieważ zależy ci na utrzymaniu naszej przyjaźni w tajemnicy, mógłbym przyjechać po ciebie o siódmej, a potem pojedziemy wzdłuż wybrzeża, znajdziemy jakąś przytulną restauracyjkę i po kolacji wybierzemy się na spacer plażą. Czy to ci odpowiada?

- Brzmi wspaniale!

- Uda ci się stąd wyrwać?

Kiwnęła głową.

- Wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić, że znikam na całe godziny. Lubię samotność, to żadna tajemnica.

Fiero przyniósł kawę. Wydmuchując kółka dymu, Luca przyglądał się, jak dziewczynki bawią się z miejscowymi dziećmi pod czujnym okiem Sammy. Obie małe śmiały się i zachowywały tak swobodnie, jakby przebywały wśród najlepszych przyjaciół. Po chwili Juno zaczęła skakać z kamiennego słupka z Obżarciuszkiem w ramionach, wyrzucała go wysoko w powietrze i łapała.

- Twoje dzieci świetnie się tu bawią - zauważyła Alba. -Jak długo zostaną w Incantellarii?

- Do piątku - odparł Luca.

- Pod koniec tygodnia będą dobrze znały wszystkie tutejsze dzieciaki - uśmiechnęła się Cosima. - I nie zechcą wyjechać.

- Gdzie jest ich matka? - spytała Alba.

- Wybrała się na wakacje ze swoim chłopakiem.

- Jest miły?

- Dosyć. - Luca bardzo się starał, aby wjego głosieaie zabrzmiała gorzka nuta.

- Myślisz, że się pobiorą?

- Taką mam nadzieję. Moja była żona z pewnością zasługuje na szczęście.

- Jesteś bardzo wielkoduszny!

- Hodowanie pretensji nie ma sensu. - Wzruszył ramionami. - Oboje musimy myśleć o córkach, ich szczęście jest ważniejsze od naszego.

- Mam macochę - powiedziała Alba. - Nienawidziłam jej, kiedy dorastałam. Była osobą nie w moim stylu, zdecydowanie zbyt rozważną, pragmatyczną i pogodną, ale w końcu ją zaakceptowałam. Nie była taka zła. Usłyszałam od niej najlepszą radę, jakiej kiedykolwiek mi udzielono, i właśnie dzięki niej ostatecznie wróciłam do Włoch. I nigdy tego nie żałowałam.

Luca pomyślał o Fitzroyu i nagle ogarnęła go ciekawość.

- Czy coś trzymało cię w Anglii? - zagadnął ostrożnie.

- O, tak. Nosiłam się z zamiarem wyjścia za mąż za wspaniałego człowieka. Był cudowny, ale nie dla mnie, niestety. -Alba wzięła Cosimę za rękę. - Widzisz, we Włoszech całym sercem pokochałam małą dziewczynkę, która nie miała matki i stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Kiedy wyjechałam, tęskniłam za nią tak bardzo, że czułam wręcz namacalną pustkę. I nikt nie mógł wypełnić tego miejsca, bo miało kształt tej konkretnej dziewczynki.

Cosima roześmiała się, słuchając dobrze jej znanej opowieści. Luca powoli zaczynał rozumieć, dlaczego Rosa była zazdrosna o kuzynkę.

- Krótko mówiąc, zostawiłam go dla ciebie, Cosimo, i nigdy nie oglądałam się za siebie.

Przyniesiono lody i dziewczynki wróciły do stołu, aby je pochłonąć. Rosa przyprowadziła Alessandra, który wcześniej był u lekarza z powodu bólu brzucha. Oczy chłopca zabłysły na widok dziewczynek, a chory żołądek w cudowny sposób ozdrowiał, gdy Alba zaproponowała mu lody. Rosa nie była zachwycona widokiem Cosimy siedzącej obok Luki i jej zdaniem zachowującej się tak, jakby należała do jego rodziny, odzyskała jednak lepszy nastrój, kiedy Luca posłał jej uśmiech i zapytał o zdrowie Alessandra.

- Ach, te dzieci! - Wzruszyła ramionami. - Zawsze coś im dolega!

Cosima wstała.

- Lepiej już pójdę... Smacznego! - Uśmiechnęła się do dzieci.

Nie spojrzała na Lucę, żeby nie prowokować Rosy. Patrzył za nią chwilę, ukradkiem podziwiając pełen gracji, kołyszący ruch bioder.

Francesco pojawił się znikąd i pobiegł za matką lekkim krokiem, zupełnie innym niż z początku. Byli tak blisko siebie, że prawie dotykali się ramionami, rozdzieleni jedynie cieniutką ścianą wibracji, ale Cosima w najmniejszym stopniu nie zdawała sobie sprawy, że dziecko, które opłakuje, jest tuż obok niej. Jak-

by czytając w myślach Luki, Francesco odwrócił się, posłał mu szeroki uśmiech i pomachał ręką.

Gdy Luca parsknął śmiechem, Rosa zmarszczyła brwi.

- Z czego się śmiejesz?

- Z niczego konkretnego, po prostu coś akurat przyszło mi do głowy.

- Nie podzielisz się ze mną tą myślą? - Teraz, gdy Cosima zniknęła, Rosa poczuła się znacznie pewniej.

- Nie sądzę, aby wydało ci się to tak zabawne jak mnie.

- Może jednak spróbujesz, co?

- Innym razem. - Luca zerknął na zegarek. - Musimy się już zbierać, dziewczynki muszą jeszcze wykąpać się przed snem!

- Nie ma pośpiechu - odezwała się Sammy. - Mają wakacje i mogą położyć się trochę później niż zwykle, jeśli chcesz.

- Nie, ja też muszę wracać. - Luca nie zauważył rozczarowania malującego się na twarzy Rosy.

Jego myśli uparcie krążyły wokół Cosimy i Francesca.

Cosima weszła do kościoła. Potrzebowała chwili samotności, aby przemyśleć to, co ją spotkało, i w spokoju uporządkować sprzeczne uczucia. Wyrzuty sumienia nie ustąpiły jeszcze, przeciwnie, nasiliły się z powodu jej coraz silniejszej reakcji na obecność Luki.

Przeżegnała się przed ołtarzem i usiadła w ławce. Kilka osób przechadzało się pod ścianami, patrząc na połyskujące złoceniami święte obrazy i freski, ciesząc się panującym w świątyni spokojem. Cosima uklękła i odmówiła modlitwę w intencji synka. Nie do końca wierzyła, że Luca rzeczywiście widział Francesca. Nie podejrzewała go o konfabulację, ale myślała, że może uległ grze wyobraźni albo wziął jakieś inne dziecko za jej synka. Mimo dowodów w postaci piórka i motyla i własnego pragnienia, aby dać się przekonać, obawiała się jakiegoś strasznego zawodu, które znowu by ją rzuciło w otchłań samotności i rozpaczy.

Lubiła Lucę. „Miłość" nie należała do słów, którymi łatwo i chętnie się posługiwała. Gdyby przyznała się sama przed sobą, że uczucie, jakim darzy Lucę, powoli wykracza poza granice sympatii, uznałaby, że odbiera miłość synowi. Luca w krótkim czasie odmienił jej życie. W jednej chwili zanurzała się coraz głębiej w morze, chcąc wreszcie skończyć to wszystko, a niemal już w następnej wybierała ładne sukienki i rumieniła się pod jego pełnym współczucia spojrzeniem. W rezultacie czuła się dziwnie nieswojo, trochę tak, jakby nagle wróciła do okresu dzieciństwa i poszła na wagary Męczyła ją myśl, że jeśli przestanie opłakiwać Francesca, okaże się złą matką - raz już spuściła go z oka i oto, co się stało. Co będzie, jeżeli teraz przestanie po nim płakać? Czy zasługuje na spokój i szczęście, skoro wykazała się tak karygodną niedba-łością? I czy wyrzuty sumienia w ogóle pozwolą jej cieszyć się szczęściem.

Te myśli bez przerwy tłukły się w jej głowie. Francesco odszedł i to, że jego matka marnowała życie, pogrążając się w żałobie, na pewno nie mogło sprowadzić go z powrotem. Skoro syn był przy niej obecny duchem, jak utrzymywał Luca, to niewątpliwie pragnął jej szczęścia. Najwyraźniej nie chciał, aby umarła, w przeciwnym razie nie odszukałby Luki i nie błagał go, aby ją ratował. Poczucie winy podpowiadało jej jednak, że powinna znowu włożyć czarną sukienkę i wrócić do żałoby, do stanu, który dobrze znała. Który, być może, był dla niej najbardziej odpowiedni.

Uniosła powieki i przez moment wpatrywała się w mrok. Oparła dłoń na podnóżku, aby się podnieść i nagłe zobaczyła leżące obok piórko. Podobnie jak tamto, które znalazła przy świecach, było długie i białe. Nie potrafiła wmówić sobie, że jest to tylko zbieg okoliczności.

Rozejrzała się. W kościele nie było żadnych ptaków i jeśli nawet ktoś podłożyłby piórko w czasie, kiedy się modliła, na pewno by to zauważyła. Nie miała cienia wątpliwości, że piórka wcześniej nie było na klęczniku.

Wyszła na zewnątrz, trzymając piórko w palcach. Kręciło jej się w głowie z radości. Jeżeli właśnie otrzymała znak od Francesca, to niewątpliwie powinna odczytać go jako zgodę na spotykanie się z Lucą. Piórko było błogosławieństwem od jej syna.

Usiadła na ławce na skwerze i popatrzyła na bawiące się w pobliżu dzieci. Jakże pragnęła przytulić do siebie swoje dziecko i poczuć ciepło jego małego ciała. Jak bardzo pragnęła ucałować jego delikatną buzię i odetchnąć zapachem dziecięcej skóry. Jej oczy napełniły się łzami, zaraz jednak przypomniała sobie słowa Luki, który zapewniał ją, że nigdy nie jest sama. Przestała płakać i w zamyśleniu okręciła piórko w palcach. Jeżeli Luca miał rację, Francesco był teraz gdzieś blisko, może nawet siedział na tej ławce... Jeśli jesteś tutaj, skarbie, pokaż mi się, żebym zyskała pewność - pomyślała.

Kiedy Rosa i Alessandro wrócili do domu, Eugenio czekał na nich na tarasie.

- Wcześnie przyjechałeś z pracy - rzekła Rosa, gdy Alessandro pobiegł do bawiącego się w ogrodzie rodzeństwa.

- Odbyłem dziś bardzo interesującą rozmowę z kobietą, do której teraz należy *palazzo.*

- Czego chciała?

- Mówi, że ktoś spał w domku w ogrodzie.

- Chyba oszalała!

- Nalega, żebym sprawdził, co się dzieje.

- Czego się spodziewa?

- Że wpadniemy na ślad jakiejś kobiety.

- Dlaczego akurat kobiety?

- Bo znaleźli tam damski szal.

- Z jakiego niby powodu ktoś miałby zakradać się do domku? Strach tam spać!

- Myślę, że właścicielka *palazzo* chce mieć pewność, że nic jej nie grozi.

- W takim razie trafiła na właściwego faceta! - powiedziała Rosa z dumą.

- Niewiele mogę zrobić. Ona twierdzi, że jej syn chce złapać nieproszonego gościa i dlatego nie zmienia zamków.

- Ja zrobiłabym to od razu!

Eugenio rzucił Rosie niepewne spojrzenie.

- Moim zdaniem, ten domek to naprawdę tajemnicze miejsce.

- *Mamma* jest przekonana, że straszy tam duch starego markiza.

- Może. - Eugenio pokręcił głową. - Będę musiał się tam rozejrzeć. Chcesz wybrać się ze mną?

- Nie. Umieram z ciekawości, ale nie wydaje mi się, aby policjant w asyście żony robił wrażenie profesjonalisty. Wystarczy, że po powrocie dokładnie mi wszystko opowiesz.

19

Luca przyjechał po Cosimę do trattorii, jak się wcześniej umówili. Cosima przebrała się w czarną sukienkę w drobne czerwone kwiatki, a włosy związała czerwoną wstążką. Kiedy podszedł bliżej, poczuł aromat cytryn i od razu ogarnęło go pożądanie, dotkliwie bolesne, podobnie jak poprzednio. Objął Cosimę w talii i przycisnął usta do jej szyi, ona jednak odsunęła się i nerwowo rozejrzała dookoła.

- Nie tutaj! - szepnęła. - Ktoś mógłby nas zobaczyć!

- Dlaczego mielibyśmy się ukrywać? Mam ochotę wejść na dach i na cały świat krzyczeć o mojej miłości do ciebie.

- Nie rób tego, proszę! - Roześmiała się, wyraźnie zażenowana. - No, chodź, zbierajmy się.

Pojechali wzdłuż wybrzeża krętą drogą u stóp wzgórz. Słońce zaczęło opadać coraz szybciej, pokrywając morze srebrzystą powłoką. Ciepły wiatr wpadał do środka przez otwarte okna i pieścił ich twarze. Oboje czuli cudowne, zapierające dech w piersiach podniecenie, zupełnie jak młodzi kochankowie, którzy wymykają się z domu wbrew wszelkim zakazom.

Cosima pokazała Luce wąską drogę do małej, ukrytej wśród drzew restauracji. Usiedli na werandzie, pod baldachimem z janowca i cytrynowych drzewek. Przy balustradzie stały duże donice z różową bugenwillą i białym geranium, a przez kuchenne okno sączył się na zewnątrz zapach rozmarynu i oliwy. Dwa czarne psy spały na czerwonych kafelkach w stopniowo blaknącym słońcu, ptaki przysiadały obok nich i dziobały leżące na ziemi okruchy chleba. Grupka małych dzieci z brudnymi buziami i bosymi stopami kopała na zboczu pustą puszkę po fancie, pomagając sobie patykami.

Luca ujął dłoń Cosimy i pogładził ją kciukiem. Młoda kobieta odwróciła się i popatrzyła na morze.

- Jak tu pięknie - powiedziała cicho, starając się nie podsycać swoich wątpliwości wspomnieniami o synu.

- Ty jesteś piękna - odparł Luca. - Im lepiej cię poznaję, tym piękniejsza stajesz się w moich oczach.

Uśmiechnęła się.

- Muszę o ciebie bardzo dbać, jeżeli rzeczywiście uważasz mnie za piękną! Nie codziennie spotykam mężczyzn, którzy szczerze zachwycają się moją urodą!

- Och, ja zachwycam się tobą najzupełniej szczerze. - Luca zajrzał jej głęboko w oczy. - Chyba jeszcze nigdy nie byłem tak szczery.

Po chwili potężnie zbudowana kobieta o brązowej skórze przyniosła im menu. Była dojrzała jak brzoskwinia pod koniec lata, miała rumiane policzki i duże, trochę wyłupiaste oczy. Siwiejące włosy upięła w luźny kok z tyłu głowy, a z jej uszu zwisały duże kolczyki z koralików.

- To najlepszy widok dla zakochanej młodej pary, takiej jak wy! - Zaśmiała się, podając im karty. - Coś do picia? Jakiś aperitif?

- Dwa razy bellini - odparł Luca. - Żeby uczcić nasz pierwszy wspólny wieczór - powiedział po angielsku do Cosimy.

Kobieta zapaliła małą lampkę na środku stolika.

- Tak będzie o wiele przyjemniej. - Cofnęła się o krok, by lepiej ocenić efekt. - Teraz możecie nacieszyć się kolacją w blasku świec, a raczej świecy. Przejrzyjcie menu, bardzo proszę. Polecam ryby, można podejść do akwarium i wybrać świeżutką sztukę.

- Cudowne miejsce - zauważył Luca, kiedy właścicielka zostawiła ich samych.

- To bardzo znana restauracja. Nie sądzisz chyba, że przyjechałabym tu z tobą, gdyby nie była jedną z najlepszych w okolicy?

- I nie niepokoi cię, że możemy tu wpaść na kogoś z twoich znajomych?

- Nie. Ja tylko nie chcę podsycać niczyjej wrogości...

- Chodzi ci o Rosę, tak? Cosima spuściła oczy.

- Rosa nie należy do łatwych osób.

- Alba mówi o tobie z takim uczuciem i przejęciem, że wcale nie dziwi mnie reakcja Rosy.

- Alba jest dla mnie jak matka!

- Nie sądzę, aby Rosa była z tego powodu bardzo szczęśliwa.

- Oczywiście, ale Rosa w ogóle nie jest szczęśliwa.

- Masz na myśli jej małżeństwo? Cosima westchnęła.

- Rosa uważa, że Eugenio nie jest odpowiednim mężem dla niej... Żałuje, że nie może żyć tak jak jej babka, z kochankiem w każdym zakątku Włoch.

- Jak Valentina?

- Rosa ma obsesję na jej punkcie. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby znaleziono ją zamordowaną na drodze do Neapolu, w samochodzie z jakimś milionerem, ubraną w futra i brylanty. Nie sądzę, aby była wierna mężowi. Ona przez cały czas myśli wyłącznie o rzeczach materialnych, takich, których na razie nie ma i nie może mieć.

- Poczucie braku szczęścia rodzi się z pragnienia tego, czego nie możemy mieć - Luca uważnie popatrzył na Cosimę. -Ja byłbym głęboko nieszczęśliwy, gdybym nie mógł mieć ciebie. - Splótł palce z jej palcami. - Chcę się z tobą kochać.

Cosima zarumieniła się gwałtownie i odwróciła głowę. Długą chwilę siedziała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w morzu.

- Wiem - podjął Luca. - Nie będę cię poganiał, kochanie. Chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę. Mamy mnóstwo czasu, nie musimy się śpieszyć.

- Jak długo jesteś gotowy czekać?

Nie poznawał samego siebie, gdy powiedział:

- Będę czekał na ciebie do końca świata.

Eugenio odebrał swojego starego fiata od Gianniego. Rosa próbowała namówić go na kupno nowego samochodu, nie mieli jednak pieniędzy, żeby pozwalać sobie na tak ekstrawaganckie zachcianki. Rosa natychmiast oskarżyła go, że źle ją traktuje, rzecz jasna.

- Dawno temu nazywałeś mnie księżniczką! - prychnęła. -Szkoda, że nie umiesz odnosić się do mnie jak do księżniczki, naprawdę szkoda!

Po tej kłótni kupił jej śliczny naszyjnik z kryształów. Nie był to co prawda samochód, ale na krótko zaspokoił jej pragnienie luksusu. Rosa przypominała srokę - błyszczące przedmioty od razu przyciągały jej pełne zachwytu spojrzenia.

Eugenio był bardzo ciekawy, jak teraz wygląda *palazzo*. W czasie długiego remontu cały budynek zasłaniały rusztowania, nikomu zresztą nie było wolno wchodzić na teren posesji. Co jakiś czas któryś z robotników budowlanych wpadał na kawę do trattorii i zdradzał parę szczegółów, ale takie ochłapy nie mogły przecież wystarczyć miejscowym. Teraz Eugenio jechał krętą drogą, zachwycony pięknem drzew rosnących po obu stronach eleganckiego podjazdu. Ogród był po prostu wypieszczony, duże kule koron przystrzyżone z perfekcyjną dokładnością, trawniki idealnie zielone i równiutko skoszone, rabatki skrupulatnie oczyszczone z chwastów. Widok samego pałacu dosłownie zapierał dech w piersiach. Budynek robił imponujące wrażenie, z wysokimi wieżami i wspaniałym wejściem. Stary kamień doskonale łączył się z nowym, a różowawe dachówki lśniły jak miedź w blasku zachodzącego słońca,

Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła Romina i przywitała go nadzwyczaj serdecznie. U jej stóp kręciła się mała różowa świnka w pampersie.

- Zapraszam do środka, śmiało! - powiedziała spokojnie. - To jest Porci, dostałam go w prezencie od mojego brata. Jakież to typowe dla Nanniego, podarować mi prosię!

- Niezwykłe, łagodnie mówiąc - zgodził się Eugenio. Nie mógł już doczekać się, kiedy wróci do domu i opowie

Rosie o błyszczącej obróżce na karku zwierzęcia.

- Proszę chwilę zaczekać, zaraz pójdę z panem do domku.

Eugenio ruszył za właścicielką przez dziedziniec, z zachwytem przyglądając się przepięknemu otoczeniu. Jakich słów powinien użyć, aby przedstawić to wszystko żonie? Chyba nie dysponował wystarczającym słownictwem. Ci ludzie muszą być ogromnie bogaci, pomyślał. Na tarasie kilka osób grało w karty i gawędziło, popijając czerwone lub może białe wino. W pobliżu czekała pokojówka, gotowa przyjąć polecenia. Wszystko wskazywało na to, że nowi właściciele przekształcili *palazzo* w hotel, ponieważ nikogo nie byłoby chyba stać, aby przyjmować prywatnych gości w tak luksusowy sposób.

Romina nie pofatygowała się, aby przedstawić policjanta swoim gościom. Kiedy schodzili po schodach do ogrodu, profesor podniósł wzrok znad kart.

- Widzę, że młody Luca stracił zajęcie - zauważył.

- Policja nic nie zrobi - rzekł Nanni.

- Powinni przynajmniej pobrać odciski palców - dodała Ma.

- Przecież nic nie zostało skradzione, prawda? - odezwał się Dennis. - Nikt nie ucierpiał, choćby tylko ze strachu. Równie dobrze mógłby to być ktoś z nas.

- Raczej ktoś z nich. - Ma ruchem głowy wskazała Venture**,** która właśnie strofowała dwie młodsze pokojówki. - W powieściach zawsze winny jest jakiś niezadowolony służący.

- Albo sama pani domu! - roześmiał się Dennis.

- Moja siostra ma skłonności do dramatyzowania, ale jest zdecydowanie zbyt zajęta dbaniem o nas wszystkich, aby fundować sobie takie zagadki dla własnej rozrywki - powiedział Nanni.

W ogrodzie Romina otworzyła drzwi domku i gestem zaprosiła Eugenia do środka. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się zorientować, że tym razem nikt nie spał na łóżku.

- Ta kobieta nie przychodzi każdej nocy - wyjaśniła policjantowi.

Eugenio cicho gwizdnął.

- A więc to było miłosne gniazdko starego *marchese*...

- Skąd pan wie, że traktował ten domek jako miejsce schadzek?

- Bo z czasem stało się częścią legendy! Valentina umawiała się z nim właśnie tutaj, to było ich schronienie.

- Niczego tu nie zmieniałam, zostawiłam wszystko dokładnie tak, jak było!

- *Marchese* miał w okolicy opinię zboczeńca. - Eugenio pochylił się, chcąc przeczytać tytuły książek, umieszczone na grzbietach. - Wyłącznie erotyczne, nic dziwnego - dorzucił.

- Gdyby żył, pierwsi wytykalibyśmy go palcami. - Romina zaplotła ramiona na piersi.

- Nie żyje, ale ja nadal wytykam go palcem - oświadczył Eugenio.

- Niech pan sobie nie żartuje, umarli nie wracają z tamtego świata! Jeśli ktoś nie żyje, to nie żyje, koniec i kropka!

- Nie ma żadnych oznak włamania, nic nie skradziono, szkód brak. - Policjant wzruszył ramionami. - Jak już mówiłem, nie mogę nic zrobić, dopóki ta osoba nie pojawi się znowu. Proszę zawiadomić mnie, kiedy pani coś zauważy.

- Może nie wróci - przerwała mu Romina z nadzieją w głosie. - Może znudziło jej się i przeniesie się w inne miejsce.

- Na pani miejscu uważnie przyjrzałbym się personelowi w pałacu, *signora,* i trzymał ten klucz zawsze przy sobie. Pewnie szybko zorientuje się pani, że to nic ważnego.

Po kolacji Luca i Cosima wybrali się na spacer po małej, skalistej plaży. Powoli zapadał zmrok. Pierwsze ledwo widoczne gwiazdy mrugały na fioletowym niebie, księżyc lśnił jak świeżo wypolerowana srebrna moneta. Luca opowiedział Cosimie ó swoim małżeństwie, rozwodzie, pracy i o tym, jak dławiła go sytuacja, w jakiej jeszcze niedawno się znajdował. Wytłumaczył jej też, jak bardzo odmienił go pobyt w Incan-tellarii i spotkanie z nią.

- Teraz czuję, że żyję, odbieram wrażenia wszystkimi zmysłami. Jestem świadomy wszystkiego, co istnieje wokół mnie, od najdrobniejszych kwiatków po powiew wiatru na twarzy. Przyjechałem tutaj, żeby odzyskać spokój i odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd chcę pójść i co dalej robić, ale nigdy nie spodziewałem się, że stanę się innym człowiekiem. -Lekko ścisnął jej rękę. - Nie przypuszczałem, że się zakocham.

Chwilę szli w milczeniu, które zupełnie im nie przeszkadzało.

- A ty? - zapytał w końcu Luca. - Czy ty także coś do mnie czujesz?

Cosima wzięła głęboki oddech.

- Tak, z każdym dniem jestem w tobie coraz bardziej zakochana, ale boję się...

- Czego się boisz? Kogo? Rosy?

- Nie, nie mojej kuzynki. Boję się przyznać sobie prawo do szczęścia. Kiedy tylko zaczynam czuć się szczęśliwa, serce ściska mi się z bólu i znowu myślę o Francescu.

- Sądzisz, że nie zasługujesz na szczęście po tym, co stało się z twoim synem?

- Tak.

Luca przystanął i wziął ją w ramiona.

- Francesco chce, żebyś była szczęśliwa, nie obwinia cię! Gdyby nie on, ty też byś utonęła!

- Pragnę w to wierzyć...

- Posłuchaj, dzisiaj widziałem go na nabrzeżu! Kiedy odeszłaś, pobiegł za tobą, wyraźnie zadowolony. Uśmiechnął się i pomachał do mnie.

W oczach Cosimy zabłysły łzy tęsknoty.

- Chcę wierzyć, z całego serca...

- Zaufaj mi, nigdy bym cię nie okłamał! Wszystko to razem jest dla mnie dziwne i nowe, ja też czuję się zagubiony!

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie chciałem cię zasmucić.

- Przecież dzięki temu łatwiej będzie mi odzyskać szczęście, nie rozumiesz?

Poszli dalej, mocno objęci i przytuleni. Imię Francesca nie wisiało już nad nimi niczym ponury cień, teraz wreszcie mogli o nim otwarcie rozmawiać. Ból Cosimy zelżał. Mówiła o synku z ogromną przyjemnością, wspominając jego zabawy i związane z nim śmieszne zdarzenia. Luca był zafascynowany dzieckiem, którego nie widział nikt poza nim, pragnął jednak niepodważalnego dowodu jego istnienia, dowodu, który mógłby przedstawić Cosimie. Nie miał pojęcia, jak rozmawiać z duchem.

Usiedli na skałkach i Cosima zepchnęła wątpliwości na samo dno umysłu. Pozwoliła, aby pożądanie wzięło górę nad wszystkimi innymi uczuciami i cieszyła się szorstkim dotykiem zarostu Luki na swojej skórze, ciepłem jego warg na swoich ustach, siłą obejmujących ją ramion i całego ciała. Przy Luce czuła się bezpieczna, znowu była sobą. Ostatnie trzy lata przeżyła jako matka, która boleje nad stratą ukochanego dziecka. Teraz znowu czuła się kobietą, kochaną i pożądaną przez mężczyznę.

Po powrocie z *palazzo* Eugenio zastał Albę i Rosę w kuchni, gdzie przygotowywały kolację. Rosa rzuciła się na niego, nie kryjąc podekscytowania.

- I jak tam jest? - zapytała. - Opowiadaj, szybko!

Alba odwróciła się i poszła sprawdzić, czy makaron jest już gotowy. Nie chciała słuchać opowieści o *palazzo.*

- To było zdumiewające. - Eugenio zdjął czapkę i podrapał się po głowie. - Widziałem miłosne gniazdko *marchesel*

- Przyłapałeś intruza?

- Nie. Nie znalazłem nawet żadnych śladów, tak jak myślałem.

- Co za nuda. - Rosa przeciągnęła szkarłatnym paznokciem przez całą szerokość jego piersi. - Nie było tam nawet jakiegoś maleńkiego duszka?

- Nawet maleńkiego duszka...

- Chciałabym kochać się z tobą w tym domku!

- Nie wydaje mi się, aby to było możliwe, bo teraz sprawa zostanie przekazana w ręce inspektora Luki. - Eugenio nawet nie starał się ukryć nuty niechęci, która zabrzmiała w jego głosie.

- I Luca rzeczywiście będzie trzymał straż przy drzwiach?

- Tak sądzę. Jak inaczej mógłby złapać nieproszonego gościa?

- Uwielbiam tajemnice!

- Nie dopatrywałbym się w tym wszystkim żadnej tajemnicy. Ale wiesz co? Myślę, że ta kobieta urządziła tam hotel!

- Chyba nie mówisz poważnie!

- Jak najbardziej poważnie! Widziałem mnóstwo ludzi, to nie mogą być ich prywatni goście!

- Nie mów tylko mamie, dobrze? Byłaby wściekła.

- Czego Eugenio ma mi nie mówić? - Alba pojawiła się w drzwiach z dużą misą.

Eugenio i Rosa wymienili spojrzenia.

- Wygląda na to, że matka Luki urządziła *w palazzo* hotel. Alba o mały włos nie upuściła misy.

- Co takiego? Jesteś pewny?

- Na tarasie siedziało co najmniej piętnaście osób - przesadził Eugenio. - Popijali wino, grali w karty.

- To chyba dobrze dla Incantellarii, co? - powiedziała Rosa.

- Incantellaria nie pomieści takich tłumów!

- Piętnaście osób to jeszcze nie tłum. - Eugenio uwielbiał drażnić teściową.

- Nie masz pojęcia, ile tam jest pokoi! Teraz przyjmuje piętnaście osób, a w sierpniu przyjmie pięćdziesiąt... - Alba ciężko opadła na krzesło. - Nie podoba mi się myśl, że pałac stanie się miejscem rozrywki! Ci ludzie pewnie jedzą na antykach, a w wolnym czasie zaglądają do wszystkich pomieszczeń! To nie w porządku!

- Matka Luki wydała mi się całkiem miła - powiedziała Rosa. - Odrobinę ekscentryczna, ale zabawna.

- Nie życzę sobie, żebyś tam chodziła, rozumiesz?!

- Nie uda ci się mnie powstrzymać, mamo! Mam dwadzieścia sześć lat! Poza tym co złego może z tego wyniknąć? Ro-mina zaprosiła mnie razem z dziećmi, mają tam duży basen.

- Jasne! - przerwała jej Alba ze złością. - Dla swoich gości! Rosa zmrużyła oczy.

- Niepokoi cię przyjazd gości czy może świadomość, że Romina odbudowała tę ruinę?

- Sama nie wiem... - Alba nie chciała dłużej rozmawiać o pałacu. - Jeżeli koniecznie chcesz, możesz skorzystać z jej zaproszenia, ale moja noga nigdy tam nie postanie!

20

Ranek po wieczornej randce z Cosimą Luca spędził w basenie z dziećmi. Coco skakała teraz do wody bez żadnych zahamowań, nurkując z ramion ojca z radosnym piskiem. Zblazowana pannica stopniowo znikała, ustępując miejsca pogodnemu dziecku. Zarażała radością innych, wracając do swojego dawnego wcielenia.

Koło jedenastej Luca uległ wreszcie pragnieniu ofiarowania Cosimie czegoś wyjątkowego i wyruszył na poszukiwanie kobiety, do której należała cytrynowa farma. Zapamiętał, że miała na imię Manfreda, więc zapytał o nią w hotelu na placyku i otrzymał dość dokładne wskazówki. Farma nazywała się La Marmella.

Jechał tą samą krętą drogą, którą poprzedniego wieczoru przebył z Cosimą, i uśmiechał się do siebie na myśl, jak wręczy jej kosz cytryn i ujrzy malujące się na jej twarzy zdumienie. Przestał już obawiać się reakcji Rosy. Czuł, że kiedy zobaczy, jak mocno kochają się z Cosimą, wszystko zrozumie. Ostatecznie Luca tylko z nią flirtował, poza tym była przecież mężatką.

Po mniej więcej dziesięciu kilometrach dotarł do cytrynowego gaju na wzgórzu. Zbocze obsadzone zostało szeregami drzewek, których gęste zielone liście lśniły w południowym słońcu. Skręcił na biegnący między starymi kasztanowcami podjazd i tą cienistą aleją dotarł do stojącego na jej końcu domu.

Był to uroczy wiejski dom z piaskowca, kryty różową, wyblakłą dachówką, ozdobiony żółtymi okiennicami, z których łuszczyła się farba. Wśród drobnych czerwonych kwiatów bugenwilli uwijały się motyle i pszczoły.

Zaparkował przed wejściem i pociągnął za długi metalowy pręt, co wprawiło w ruch umieszczony wewnątrz dzwonek. Po chwili usłyszał szmer przesuwających się po posadzce stóp, szczęk zasuwy i w progu stanęła drobna, chudziutka kobieta. Była delikatna i krucha jak ptaszek, jej załzawione błękitne oczy wyrażały czujność.

- Dzień dobry, nazywam się Luca Chancellor i jestem przyjacielem Cosimy.

Na dźwięk tego imienia twarz starszej pani złagodniała.

- Cosima jest i moją drogą przyjaciółką - powiedziała. -Proszę wejść.

- Szukam pani, która nosi imię Manfreda.

- To ja. Nie jestem jeszcze aż tak stara, aby nie móc otworzyć drzwi, gdy ktoś do nich dzwoni.

Wprowadziła go na otoczony krużgankami dziedziniec, wybrukowany dużymi kamieniami. Pośrodku znajdowała się stara studnia, obecnie wykorzystywana jako donica na kwiaty, z której spływały na ziemię obfite fale pomarańczowej bugenwilli. Widać było, że dom bardzo potrzebuje generalnego remontu, ale stan zaniedbania nadawał mu swoisty urok. Słońce wlewało się na podwórko, z którego prosto w bezchmurne niebo poderwała się para synogarlic. Ich gruchanie wypełniło echem stare ściany.

- Ma pani piękny dom - odezwał się Luca.

- Jest bardzo stary, podobnie jak ja. Obojgu nam przydałby się solidny lifting. - Manfreda przytrzymała się framugi drzwi. - Wyjdźmy na zewnątrz, mamy cudowny dzień.

Usiedli na tarasie, z którego roztaczał się wspaniały widok na szumiące niżej morze. Ogród był zarośnięty żarłocznymi chwastami i ogromnymi krzewami. Ciemnozielone cyprysy kołysały się na wietrze, a po kruszącym się tu i ówdzie murku pięły się róże.

- Jestem za stara na tak duży dom - wyjaśniła niedbale staruszka. - Moi synowie mieszkają w Wenecji i Mediolanie, córka w Genewie, a ja podróżuję między nimi niczym tocząca się po planszy kostka do gry. Gelasio i Vicenzo zajmują się gajem cytrynowym. Hodowla nie przynosi dużego dochodu, ale daje mi mnóstwo przyjemności, zresztą ci młodzi ludzie pracują tu od trzydziestu lat. Lubi pan cytryny, Luca?

- Uwielbiam, *signora.*

- Jak Cosima. - Starsza pani domyślnie skinęła głową. -Jest pan w niej zakochany, prawda?

Jej pytanie kompletnie go rozbroiło.

- Zastanawia się pan pewnie, skąd wiem...

- Skąd pani wie?

- Ma pan miłość wypisaną na twarzy. Dawno temu młodzi mężczyźni mówili o mnie z tym samym wyrazem zachwytu. - Manfreda spoważniała. - Jeszcze nie zapomniałam, jak to było. Cosima to niezwykła kobieta.

- Właśnie dlatego do pani przyjechałem. Chciałbym kupić kosz cytryn i ofiarować jej w prezencie. Cosima mówi, że w całych Włoszech nie ma lepszych.

- Jak to miło z jej strony! Cóż, ostatnio niewiele zajmuję się cytrynami... Mam blisko sto lat!

- To niemożliwe! - zaprotestował elegancko Luca.

- Mówi pan tak dlatego, że wciąż mam oczy młodej dziewczyny, tyle że teraz patrzą na świat ze zniszczonego starego ciała.

- Cosima twierdzi, że bez większego trudu potrafi odróżnić pani cytryny od innych.

Manfreda zrobiła śmieszną minę, rozbawiona absurdalnością tych słów.

- A ja jej wierzę! - dodał Luca, lekko wzruszając ramionami.

- Bardzo mi to pochlebia, naprawdę. Zachowałabym się nieuprzejmie, gdybym zareagowała inaczej, czyż nie? Może pan wziąć tyle cytryn, ile pan zechce, ale najpierw proszę opowiedzieć mi trochę o sobie. Cały dzień nie widziałam żywej duszy i strasznie mi się nudzi! Poza tym nadal umiem docenić towarzystwo przystojnego młodego człowieka. No, niech pan dogodzi starszej damie! Przyjechał pan z Londynu, prawda?

- Tak. Czy mój włoski jest aż tak marny?

- Nie, nie, przeciwnie! Świetnie mówi pan po włosku, zwłaszcza że pana ojciec jest Anglikiem!

Luca poczuł się trochę nieswojo.

- Nie jestem czarownicą - zapewniła go Manfreda. - Nie latam na miotle, mam lęk wysokości. To Cosima opowiedziała mi o panu.

- Powinienem był zgadnąć - uśmiechnął się. - Cosima bardzo panią lubi, więc pewnie o wszystkim pani mówi.

- Lubię myśleć, że jestem dla niej kimś w rodzaju babki. Straciła matkę jako mała dziewczynka i choć Alba dość skutecznie ją zastąpiła, zawsze dźwigać będzie brzemię odrzucenia. - Manfreda ze smutkiem pokiwała głową. - Na domiar złego straciła jeszcze synka. Cosima wycierpiała więcej niż przeciętni ludzie i jest jak ptak ze złamanym skrzydłem. Zrobiłabym dla niej wszystko, absolutnie wszystko.

W prowadzących na taras drzwiach pojawiła się młoda dziewczyna.

- Ach, wróciłaś, Violetto! Mogłabyś przynieść nam lemoniady? To moja pokojówka, Violetta, córka Gelasia. Jest bardzo serdeczna i pomocna.

- Musiała pani poznać Cosimę, gdy była całkiem mała.

- Oczywiście! Była uroczym dzieckiem i wyrosła na czarującą osobę. Może pan sobie wyobrazić, jak się czułam, gdy oddała serce żonatemu mężczyźnie. Taka delikatna dziewczyna chciała zmarnować życie dla kogoś, kto nigdy nie ceniłby jej tak, jak na to zasługuje. Dokonała złego wyboru, ale w życiu nic się nie marnuje, wiem to z doświadczenia. Nawet złe chwile niosą ze sobą ważne lekcje, które warto poznać. Mam dziewięćdziesiąt sześć lat i nadal się uczę, każdego dnia! - Wychyliła się naprzód i zmierzyła Lucę bystrym spojrzeniem. - Gdyby Cosi-ma nie straciła głowy dla Riccarda, nie urodziłaby Francesca. Gdyby nie urodziła Francesca, nie poznałaby bezwarunkowej miłości... Los jedną ręką daje, a drugą zabiera. Teraz straciła Francesca i nie wiadomo, co los dla niej szykuje... - Uśmiechnęła się. - Będzie pan dla niej dobry, widzę to.

- Ja też chcę ją chronić, ale musi mi na to pozwolić!

- Proszę dać jej trochę czasu. Od rozstania z Riccardem nie dopuściła do siebie żadnego mężczyzny.

Violetta wyszła na taras, na tacy niosła szklanki i dzbanek z lemoniadą.

- Cytryny? - podjęła Manfreda. - To dobry początek! Nie sądzę, aby ktokolwiek wpadł na pomysł, żeby podarować jej cytryny!

Gdy Luca wrócił do Incantellarii z bagażnikiem pełnym cytryn, Caradoc siedział na tarasie i czytał Puszkina.

- Gdzie się podziewałeś, młodzieńcze? W ostatnich dniach prawie cię nie widuję! Pewnie chodzi o dziewczynę, co? Ale chyba nie moją?

- Nie, nie pańską - uspokoił go Luca. - Pana dziewczyna jest mężatką.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Jesteśmy przecież wspólnikami zbrodni, prawda? - Caradoc podniósł się sztywno i rozprostował nogi.

- Jesteśmy, oczywiście! Chciałem się tylko zorientować, jak rozwinie się sytuacja, zanim komuś powiem.

- Czy jest soczysta jak dojrzały owoc?

- W porównaniu z nią wszystkie owoce wydają się wyschnięte.

Profesor z aprobatą skinął głową i poklepał Lucę po plecach.

- Nikomu ani słowa, obiecuję - powiedział, powoli kuśtykając w stronę stolika do gry w karty. - Ktoś ma może ochotę na partyjkę brydża przed kolacją?

Okazało się jednak, że na brydża nie wystarczy czasu, ponieważ Coco i Juno miały występ baletowy. Wykonały kilka tańców na tarasie w nowych spódniczkach, które uszyła im Ventura. Wstęp kosztował jedno euro, a wszyscy widzowie znaleźli na krzesłach pięknie ilustrowane programy, przygotowane przez dziewczynki pod nadzorem babci. Oklaskom i zachwytom nie było końca, a Caradoc zagwizdał nawet parę razy, podczas gdy dziewczęta wirowały w piruetach do muzyki z *Piotrusia i wilka.*

Po kolacji Luce udało się spokojnie wymknąć z domu i pojechał do trattorii po Cosimę.

- Możesz wyjść ze mną?

- Nie mamy dziś dużego ruchu, więc zaraz powiem ojcu, że wychodzę.

Zniknęła w restauracji i parę minut później pojawiła się znowu, w zarzuconym na ramiona rozpinanym swetrze.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Luca. - Mały prezent... Jest w bagażniku.

Poprowadził ją wąską uliczką na placyk, gdzie zaparkował samochód.

- Co to takiego? - spytała Cosima. - Pies?

- Coś znacznie lepszego! - Podniósł klapę, odsłaniając kosz pełen cytryn.

- Och, jakie piękne! - Wzięła jedną i podniosła do nosa. -Są z farmy La Marinella!

- Rzeczywiście potrafisz je rozpoznać!

- Są najlepsze na świecie! Dziękuję! - Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Jeżeli zawsze mogę liczyć na taką reakcję, będę codziennie przywoził ci cytryny.

- A ja będę cię codziennie całowała, o tak... - Przycisnęła wargi do jego ust. - To najlepszy prezent, jaki mogłeś mi dać!

Luca zamknął bagażnik.

- Gdzie chcesz jechać?

- Ty wybierasz!

- W takim razie chodźmy do naszego domku w ogrodzie. Chcę ci go pokazać.

Cosima się zaczerwieniła.

- Miłosne gniazdko *marchese*...

- Właśnie...

- Poszłam tam raz z Eugeniem, kiedy jeszcze pałac był w ruinie. Domek zrobił na mnie wrażenie doskonale zachowanego.

- Moja matka nic tam nie zmieniła.

- Dobrze, zabierz mnie tam! Chętnie znowu zobaczę to miejsce!

Luca podszedł do samochodu, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera, lecz Cosima chwyciła go za rękę.

- Nie - powiedziała. - Znam lepszą drogę, w górę klifu. Nie chcę spędzić takiej pięknej nocy w aucie.

Parę minut później dotarli do ustronnej kamienistej plaży, na jej końcu zaczynała się porośnięta trawą ścieżka, biegnąca w górę zbocza. Zrobiło się już ciemno, ale księżyc świecił tak jasno, że drogę widzieli bez trudu. W trawie grały cykady, a w pewnej chwili przez ścieżkę przebiegła salamandra i znieruchomiała pod krzewem, czekając, aż przejdą. Szli powoli, w milczeniu, ciesząc się romantyczną aurą nocy i swoją sekretną wyprawą.

W końcu dotarli na miejsce. Luca zdziwił się, że tak łatwo można dostać się na teren posiadłości jego rodziców i przyszło mu do głowy, że tajemniczy intruz może wchodzi właśnie tędy.

Przekręcił klucz w zamku i bez pośpiechu otworzył drzwi, na wpół spodziewając się, że zastaną kogoś w środku. Na szczęście, ku jego wielkiej uldze, pokój był pusty. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i przytknął płomyk do stojącej na toaletce lampy. Powietrze w domku było ciepłe i przyjemnie pachniało drewnem. Zamknął drzwi i patrzył, jak Cosima obchodzi pokój dookoła, z narastającym podnieceniem przyglądając się pięknym sprzętom i drobiazgom.

- To prawdziwy erotyczny raj - zamruczała cicho. - Książki, obrazy, ten posąg *Dawida* dłuta Donatella... - Musnęła palcami marmur, zatrzymując na moment dłoń na zmysłowym wygięciu biodra. - *Marchese* niewątpliwie był mordercą, ale również człowiekiem wielkiej wrażliwości erotycznej.

- Posiadającym także doskonały gust - uzupełnił Luca. Cosima zdjęła z półki jedną z książek.

- *Casanova...* - przeczytała z uśmiechem tytuł i otworzyła książkę w przypadkowym miejscu. - „Z tymi słowami zdjęła czepek, rozpuściła włosy na ramiona, rozsznurowała gorset i rzuciła go na ziemię. Powoli zsunęła koszulkę i ukazała się moim rozmiłowanym źrenicom podobna do syren na najpiękniejszych płótnach Correggia. Kiedy jednak zobaczyłem, że przesuwa się, aby zrobić dla mnie miejsce, pojąłem, że czas rozważań minął, a miłość domaga się, bym wykorzystał tę chwilę...".

- Miłość domaga się, abym i ja wykorzystał tę chwilę - powiedział Luca, podchodząc bliżej.

Cosima odłożyła książkę i wolnym krokiem zbliżyła się do łóżka, omijając Lucę w zmysłowym tańcu, każąc mu czekać i z całą świadomością podsycając jego podniecenie.

- Valentina spędziła tu pewnie wiele rozkosznych godzin -szepnęła, dotykając zasłon zwisających z czterech kolumienek. - Ciekawe, czy kazał zrobić to łoże specjalnie dla niej.

- Słyszałem o człowieku, który zakochał się w aktorce i zbudował dla niej teatr.

- Cudownie... A co ty stworzyłbyś dla mnie?

- Cytrynowy gaj.

Odwróciła się twarzą do niego.

- To raczej niewiele, prawda?

- Cytrynowy gaj jest na pewno tańszy niż brylanty i futra...

- A co ja zbudowałabym dla ciebie? - Otoczyła jego szyję ramionami i spojrzała mu prosto w oczy, jakby chciała, żeby zobaczył w nich nagie pożądanie.

- Dobre pytanie...

- Restaurację, która nosiłaby nazwę „U Luki"! Roześmiał się i zbliżył twarz do jej twarzy na tyle, że prawie dotykali się nosami.

- I co byś tam dla mnie przygotowywała?

- Ciasto.

- Pachniesz cytrynowym ciastem.

- Więc mnie zjedz!

Nie potrzebował większej zachęty. Zaczął smakować ją tak, jakby chciał powierzyć pamięci każdy najdrobniejszy szczegół. Całował jej szyję, sunąc powoli wargami, i chłonął każde drgnienie skóry, podrażnionej dotykiem. Całował linię jej szczęki i policzek, skroń i czoło, i wreszcie usta, rozchylając wargi, aby poczuć ją jeszcze lepiej. Cosima rozpięła mu koszulę i jej dłonie zaczęły błądzić po twardych mięśniach jego klatki piersiowej i brzucha. Zsunęła sweterek z ramion, a razem z nim ramiączka sukienki i pozwoliła, aby Luca dotknął idealnie gładkiej skóry dekoltu. Sukienka opadła na ziemię, tworząc falę jedwabiu u jej stóp i odsłaniając przed jego oczami zmysłowe linie całej sylwetki. Stała teraz przed nim jedynie w czarnych majteczkach z jedwabiu i koronki, nieśmiało uśmiechnięta. Luca wstrzymał oddech, porażony widokiem jej cudownego ciała w złocistym blasku płomienia świecy. Skórę miała jak miód, brzuch delikatnie zaokrąglony, uda mocne i kształtne. Niezdolny powstrzymywać się dłużej, ostrożnie ułożył ją na łóżku. Cosima zanurzyła się w miękkim materacu i przeciągnęła się zmysłowo, podobna do pięknego kota.

Luca zerwał z siebie koszulę i położył się obok, delektując się ciepłem jej skóry na swojej piersi. Zaczął całować dolinkę między piersiami i stopniowo schodził coraz niżej, do brzucha, który zadrżał, kiedy jego wargi przesunęły się po nim.

Z cichym śmiechem pociągnęła go wyżej i znowu podsunęła mu usta, w tym samym czasie po omacku rozpinając mu dżinsy.

W migotliwym świetle, na łożu *marchese,* Luca ostrożnie zsunął majteczki z bioder Cosimy i długą chwilę napawał się widokiem jej ekscytującej nagości. Leżała swobodnie, nie wstydząc się, i spokojnie czekała na jego ruch. Zaczął niespiesznie pieścić wargami i językiem każdy centymetr jej skóry, pożerając ją wzrokiem i wszystkimi zmysłami.

21

Claire zwykle dzwoniła do dziewczynek codziennie wieczorem. Luca znikał wtedy z pola widzenia córek, żeby nie rozmawiać z byłą żoną, ale następnego ranka Ventura podała mu słuchawkę, kiedy przechodził przez hol. Nie spodziewał się, że usłyszy głos Claire.

- Witaj, Luca - odezwała się, nie mniej zaskoczona. -Wszystko w porządku?

- Dzień dobry - odparł. - Tak, świetnie się bawimy...

- Dziewczynki zadowolone?

Normalnie poczułby się urażony zawartą w jej tonie sugestią, że dziewczynki nie mogą czuć się dobrze w jego towarzystwie, ale tym razem wewnętrzna radość uodporniła go na to.

- Bardzo! - zaśmiał się. - Prawie cały dzień siedzą w basenie, nawet Coco trochę sobie odpuściła!

- Co to znaczy?

- Że zachowuje się jak dziecko i robi to, co robią inne małe dziewczynki.

- Naprawdę?

Roześmiał się znowu, słysząc obronną nutę w jej głosie.

- A ty dobrze się bawisz? - zapytał.

- Tak - odrzekła trochę szorstko. - To był doskonały pomysł. John zna mnóstwo ludzi, więc trochę się zmęczyłam. Poza tym każdy z jego znajomych jest kimś i czułam się trochę od nich gorsza.

- Nie musisz czuć się gorsza, Claire. Najprawdopodobniej jesteś bardziej atrakcyjna niż wszyscy oni razem wzięci.

Nieoczekiwany komplement wyraźnie ją zdziwił.

- Nie wydaje mi się - mruknęła, niepewna, jak zareagować na pochlebną uwagę.

- Możesz mi wierzyć! Zwracam uwagę na wszystkie kobiety, które mijają mnie na ulicy i wiem, że jesteś o wiele ładniejsza od nich, nie ożeniłbym się zresztą z pozbawioną urody i uroku dziewczyną, przecież mnie znasz...

Claire zamilkła. Ten nowy, swobodny Luca mocno ją niepokoił. Nawet jego głos brzmiał inaczej.

- Więc żadna Włoszka z pulchną pupą nie rzuciła cię jeszcze na kolana?

- Mam tu dwie małe Angielki z chudymi zadkami, które nie pozwalają mi złapać tchu i rozglądać się za Włoszkami!

Claire roześmiała się i Luca poczuł, że trochę się rozluźniła.

- Wyjechaliśmy z Barbadosu wcześniej, niż planowaliśmy -powiedziała. - Wróciliśmy parę godzin temu i nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę dziewczynki. Strasznie za nimi tęskniłam.

- One też tęskniły za tobą, ale nie martw się o nie. Ty i John powinniście mieć trochę czasu dla siebie, to ważne. Coco i Juno nie są jego córkami i na pewno jest o nie odrobinę zazdrosny.

- John je uwielbia! - rzuciła, nagle znowu po dawnemu podejrzliwa.

- Nie wątpię. Mówię tylko, że potrzebujecie czasu tylko dla siebie. Bardzo chętnie znowu zajmę się nimi od początku wakacji, bo naprawdę było mi z nimi cudownie. I też będę za nimi tęsknił. - Na samą myśl o pożegnaniu z córkami ogarnął go smutek. - Chyba je słyszę, zaczekaj chwilę!

Rzeczywiście, dziewczynki nadchodziły od strony basenu razem z Sammy, ich włosy ociekały wodą.

- Cześć, dziewczęta! Zgadnijcie, kto dzwoni...

- Mamusia! - wykrzyknęła Juno, wyprzedzając Sammy i Coco.
- Daję im słuchawkę, Claire!

Cosima podeszła do starej wieży wartowniczej i popatrzyła na rozciągającą się przed oczami przestrzeń morza, znajomą, a jednak zawsze inną. Światło zmieniało się, subtelnie malując powierzchnię wody całym wachlarzem rozmaitych odcieni. Tego ranka niebo miało ciepłą błękitną barwę, a słońce wydawało się olśniewająco złociste. Świetliste promienie załamywały się na szczytach fal, ozdabiając je lśniącymi koronami. Cosima wreszcie mogła patrzeć na morze bez uczucia przejmującego żalu. Zdawała sobie sprawę, że nigdy do końca nie przeboleje straty Francesca, ponieważ jego śmierć pozostawiła zbyt głęboką i trwałą ranę, znalazła jednak sposób, aby z nią żyć.

Myślała o nocy spędzonej w ramionach Luki. Kochali się wiele razy, ponieważ nie mogli się sobą nasycić. W końcu ich ciała osłabły i leżeli obok siebie jak rozleniwione lwy, skąpani w cieple miłości. Cosimie na drodze do pełnego szczęścia stały tylko wyrzuty sumienia - te związane z Franceskiem, ale także z Rosą, która wciąż obserwowała ją podejrzliwie, zupełnie jakby ładne sukienki i uśmiech były poważnym przewinieniem. Sama Cosima również nie umiała pozbyć się poczucia winy, które podpowiadało jej, że szczęście nie powinno zajmować miejsca tak wielkiej rozpaczy. W mrocznych godzinach nocy czuła, że nie zasługuje na miłość, ale światło dnia napełniało ją siłą. Życie jest dla żyjących, powtarzała sobie. Francesco na pewno pragnąłby jej szczęścia. Alba miała rację, kiedy mówiła, że życie wymaga większej odwagi niż śmierć.

W *palazzo* podekscytowana Romina czekała na mającego przylecieć z Londynu dziennikarza z „Sunday Timesa". Ponad pół godziny zastanawiała się, jaki wizerunek siebie chce zaprezentować przedstawicielowi mediów i w końcu wy-

szła na taras w długim zielono-fioletowym żakiecie firmy Pucci, białych spodniach i złocistych sandałach. Włosy odgarnęła do tyłu, wiążąc je długim białym szalem; fryzura ta podkreślała blask jej oczu i rysy twarzy, ale także mimiczne zmarszczki. Otaczał ją obłok perfum o zapachu tuberozy.

Ma, Caradoc, Dennis i Nanni siedzieli właśnie przy późnym śniadaniu. Juno i Coco były zajęte malowaniem kredkami, które kupiła im babcia, a Porci leżał obok nich, postękując z zadowolenia. Ku wielkiej uldze Nanniego, Sammy osłoniła kuszące ciało białym T-shirtem i różowymi szortami, chociaż widok jej opalonych młodych ud napełniał go lekkim niepokojem.

- Dzień dobry wszystkim! - Romina podfrunęła do nich jak wielki barwny motyl. - Gdzie mój syn?

- Wybrał się na śniadanie do miasteczka - odparła Ma. -Ostatnio często się tam wymyka. Wygląda na to, że poderwał jakąś miejscową piękność!

- Nie przy... - zaczęła Romina, zerkając na dzieci. - Mam nadzieję, że nie zapomniał o domku w ogrodzie! Dennis, bądź tak miły i zajrzyj tam trochę później, dobrze? Dziennikarz z „Sunday Timesa" przylatuje dzisiaj po południu i wolałabym uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek! Liczę, że Luca zostawił klucz Venturze, jak wcześniej obiecywał. Jest okropnie roztargniony, niestety...

- To młody człowiek, Romino. - Caradoc stanął w obronie Luki. - Daj mu zerwać soczystą brzoskwinkę, chłopak zasługuje na trochę rozrywki!

- Oczywiście, ale obiecał znaleźć intruza!

- Kiedy to zrobi, związemy nieproszonego gościa i upieczemy go na rożnie - powiedziała Ma.

- A jeśli nieproszony gość jest atrakcyjną dziewczyną... -zaczął profesor.

- Złożymy ją w ofierze Luce! - dokończył Nanni ze śmiechem.

- To byłaby zbyt łagodna kara - orzekła Ma. - Nie chcemy przecież, żeby poczuła się nagrodzona za to, że włamała się do domku!

- I za to, że tak mnie zdenerwowała! - prychnęła Romina.

- Policja nie pomogła? - zapytał Caradoc.

- Skądże znowu! *Carabinieri* przechadzają się dookoła, popisując się błyszczącymi epoletami i piękną opalenizną, ale są mniej więcej równie użyteczni jak sklepowe manekiny!

Nanni dopił kawę i rozsiadł się wygodnie, wypinając brzuch okrągły i pękaty jak bukłak z winem.

- Moim zdaniem, intruz zadomowił się tu i spokojnie czeka na długie, gorące lato - oświadczył rozleniwionym głosem. - A ja przetoczę się teraz na leżak, zamknę oczy i oddam się rozmyślaniom o wielkich starożytnych filozofach.

- Niech pan się tylko nie przepracuje, mój drogi! - zawołała Ma. - Mógłby pan naciągnąć sobie jakiś mięsień!

- *Bella donna!* - westchnął Nanni. - Zgodziłbym się z panią, gdyby nie dość oczywisty fakt, że nie mam mięśni, które mógłbym naciągnąć!

- Och, jestem pewna, że ukrywa pan jeden czy dwa wewnątrz tej kształtnej czaszki!

- Proszę dać mi znać, jeśli je pani znajdzie, dobrze? Będę pani ogromnie wdzięczny.

Romina pokręciła głową z pełną czułości i trochę udawaną dezaprobatą.

- Gdybyś tyle nie pił i nie palił, ruszał się od czasu do czasu i jadł o połowę mniej, sam znalazłbyś u siebie więcej mięśni niż tylko dwa!

Nanni dźwignął się z krzesła i niespiesznie ruszył w przeciwległy koniec tarasu.

- A ludzie dziwią się, dlaczego się nie ożeniłem!

Luca zjadł śniadanie w trattorii. Rosa miała przyjść do pracy dopiero po południu, a Cosima wcale. Miał ochotę zatelefonować do niej, obawiał się jednak, że słuchawkę podniesie jej kuzynka. Postanowił kupić Cosimie komórkę, kiedy będzie odwoził dziewczynki na lotnisko. Bardzo zależało mu, żeby zawsze móc się z nią skontaktować. Incantellaria była uroczym zakątkiem, lecz wciąż tkwiła w

przeszłości, skutecznie opierając się próbom wciągnięcia jej w nowoczesność za pomocą anten satelitarnych oraz ogólnie dostępnego Internetu.

Siedząc nad croissantem i kawą, wrócił myślami do poprzedniej nocy. Doskonale pamiętał zapach Cosimy, smak jej skóry, dotyk, westchnienia i nieco zachrypnięty śmiech. Podświadomie spodziewał się, że jego ukochana będzie prawie dziewicą, tak skromnie wyglądała w czarnej żałobnej sukience, ona jednak kochała się z nim ze zmysłowością kobiety, która żyje dla rozkoszy fizycznej, a jej brak zahamowań absolutnie go zafascynował. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek wcześniej było mu tak dobrze. Cosima była kobietą o wielu twarzach i niecierpliwie czekał, kiedy uda mu się odkryć jej inne zaskakujące cechy.

Erotyczne refleksje Luki zakłóciła Stephanie, która przyjechała do miasteczka na zakupy.

- Mogę się przysiąść? - zapytała, zdejmując ciemne okulary.

- Proszę bardzo! Na co masz ochotę?

- Z przyjemnością wypiję espresso. Piękny ranek, prawda?

- Cudowny. - Luca uniósł dłoń, aby przyciągnąć uwagę Fiera. - Co zrobiłaś z ojcem?

- Został w *palazzo.*

- Kiedy kota nie ma...

- Myszy tańcują i robią zakupy! - Roześmiała się, odrzucając do tyłu włosy. - Jednak ja poświęciłam też trochę czasu kulturze. Tutejszy kościół jest uroczy, ale nie wyobrażam sobie, aby ta rzeźba faktycznie płakała krwawymi łzami! Wykonano ją z marmuru i wygląda nie mniej solidnie niż inne takie wizerunki.

- Cuda nie podlegają zasadom logicznych wyjaśnień.

- Podobnie jak magia!

Zdecydowanie potrząsnął głową.

- Istnieje ogromna różnica między cudami a magią! Powiedz mi lepiej, Stephanie Kate, ilu pełnych nadziei młodych mężczyzn zostawiłaś w Yorkshire.

Rosa powoli schodziła do miasta ścieżką w dół zbocza. Czuła się wyjątkowo niezadowolona z życia. Im częściej Cosi-ma się uśmiechała, tym częściej Rosa rzucała jej potępiające spojrzenia. Czy rzeczywiście możliwa była tak radykalna przemiana, przemiana kobiety w żałobie w kobietę zakochaną? Tak, naturalnie, jednak przy założeniu, że jej poprzedni stan był tylko grą, pasywno-agresywnym sposobem na skupienie na sobie uwagi bliskich. Alba skrytykowała Rosę, gdy ta powiedziała coś takiego, broniła Cosimy niczym tygrysica. Zdaniem Alby Cosima potrzebowała odpowiedniego bodźca, aby wydobyć się z morza smutku. Nieudana próba samobójcza uświadomiła Cosimie, że mimo wszystko gorąco pragnie żyć, a Luca pokazał jej, że może znowu poczuć się atrakcyjna i pożądana. Nie można było wątpić, że Luca wydał jej się pociągający, lecz Rosa nie mogła i nie chciała uwierzyć, że on może odwzajemniać uczucie Cosimy.

W trattorii zastała Lucę w ciemnych okularach i błękitnej koszuli, otoczonego aurą charyzmy niczym obłokiem migotliwej mgły. Gawędził i śmiał się z uderzająco piękną młodą kobietą, której nigdy wcześniej nie widziała. Jej wściekłość w jednej chwili stopniała jak poddany działaniu wysokiej temperatury lód. Gdyby Luca był naprawdę zakochany w Cosimie, z pewnością nie flirtowałby w taki sposób z inną kobietą.

Kiedy wyszła na taras, Luca pomachał do niej z uśmiechem. Serce Rosy wykonało skomplikowane salto. Nie mogła nie zauważyć, że mężczyzna pełnym uznania spojrzeniem ogarnął jej obcisły czerwony top i nie mniej obcisłe dżinsy, zatrzymuj ąc wzrok na uroczych, pomalowanych szkarłatnym lakierem paznokciach u stóp, uwięzionych w sandałach na bardzo wysokich obcasach.

- Jakim cudem udaje ci się chodzić na takich szpilkach? -zapytał.

- Kwestia praktyki. - Rosa oparła dłonie na biodrach i przyjęła lekko prowokacyjną pozę. - Moje stopy nie są stworzone do butów bez obcasów.

Odwróciła się do towarzyszki Luki, wyraźnie spodziewając się, że zostanie jej przedstawiona.

- Poznaj moją starą przyjaciółkę, Roso - rzekł Luca. - Ste-phanie pochodzi z Anglii.

Rosa uśmiechnęła się ciepło i potrząsnęła dłonią Ste-phanie.

- Cieszę się, że mogę poznać starą przyjaciółkę Luki - powiedziała. - Luca jest teraz moim starym przyjacielem! -Usiadła przy stoliku, nie czekając na zaproszenie. - Co słychać?

- Wszystko w porządku - odpowiedział Luca. - Moja matka trochę się denerwuje, ponieważ dziś ma przyjechać do niej dziennikarz z „Sunday Timesa".

- Powiedz mu, żeby zajrzał tu do mnie. Jeśli chce poznać całą prawdę o Incantellarii oraz jej morderstwach i skandalach, to właśnie ja wiem wszystko, co można wiedzieć. Mam wszystkie wycinki z gazet dotyczące śmierci mojej babki.

- Ale czy twoja matka nie zamorduje ciebie za rozsiewanie plotek?

- Nie plotek, Luca, lecz faktów. To nie jest sekret, wiele osób dobrze zna tę historię. Moja rodzina starała się zachować ją w tajemnicy, ale okazało się to zwyczajnie niemożliwe. Ludzie zawsze dużo i chętnie mówią, a dziennikarze spisali ich zwierzenia. Valentina była moją babką i mam prawo zrobić z tą wiedzą to, co chcę. Poza tym wydarzyło się to bardzo dawno temu. Matka powinna trochę odpuścić sobie, podobnie jak ojciec, i dać ludziom poczytać!

- Ach, sławny Panfilo! - odezwała się Stephanie. - Mam nadzieję, że uda mi się go poznać.

- Przyjechała pani na krótko? - spytała Rosa z marnie udawanym żalem. - Szkoda! Mój ojciec to wspaniały człowiek, wszyscy go uwielbiają! Wpadnę do was na zdjęcia. -Znowu odwróciła się do Luki. - Bardzo chciałabym zobaczyć *palazzo,* dawno już tam nie byłam.

- Domek w ogrodzie to pewnie jedyna część posiadłości, jaką rozpoznasz.

- Domek, miłosne gniazdko *marchese...* - Oczy Rosy rozbłysły. - To miejsce ma w sobie coś magicznego.

Luca natychmiast pomyślał o Cosimie.

- I tu muszę się z tobą zgodzić! - uśmiechnął się.

Był rozczarowany, że Cosima nie zjawiła się w trattorii, ale nie zaskoczony. Obiecał jej, że będzie dyskretny wobec Rosy, a spotkanie w rodzinnej restauracji mogłoby być niewygodne. Umówili się na wieczór. Luca planował, że pojadą gdzieś na kolację, a potem zabierze Cosimę do domku w ogrodzie. W miarę jak dni mijały bez żadnych nowych rewelacji, utwierdzał się w przekonaniu, że tajemnicza właścicielka szala albo najzupełniej dobrowolnie postanowiła sypiać gdzie indziej, albo wycofała się, przestraszona ich nagłą determinacją przyłapania jej na gorącym uczynku.

Po lunchu *w palazzo* Coco i Juno pożegnały się z dziadkami, którzy ucałowali je serdecznie.

- Przyjedziecie niedługo, prawda, moje małe skarby? -Oczy Rominy wypełniły się łzami. - Przyzwyczaiłam się już, że codziennie słyszę wasze głosiki, dobiegające znad basenu. Będę za wami okropnie tęskniła!

Bill poklepał wnuczki po głowach, zupełnie jakby były psiakami, ale jego spojrzenie było pełne miłości.

- Kiedy przyjedziecie znowu, moja grota będzie już gotowa - obiecał z dumą.

Coco próbowała wyrazić entuzjazm, chociaż nie wiedziała, jak ma wyglądać grota.

- Będzie mi brakowało Obżarciuszka - rzekł Caradoc, głaszcząc gąsienicę.

- Nie dam ci go! - wykrzyknęła Juno, wyrywając profesorowi zabawkę i tuląc ją do piersi.

- Rozwód zawsze niesie ze sobą ogromny smutek - westchnęła Romina, kiedy dziewczynki już odeszły.

- To i tak lepsze wyjście - pocieszył ją Caradoc. - Lepsze niż strach, kłótnie, wieczna niepewność... Tak jak jest nie jest dobrze, ale przynajmniej mogą cieszyć się obojgiem rodziców i nie muszą patrzeć, jak dwoje ludzi, których kochają ponad wszystko w świecie, skacze sobie do gardeł.

- Ale ja tak rzadko je widuję!

- Teraz będziesz je widywała znacznie częściej, możesz mi wierzyć! Popatrz tylko na swojego syna. Gdy przyjechały, nie miał pojęcia, jak się nimi zająć, a dziś jest czułym, opiekuńczym ojcem. Niedługo tu wrócą, zobaczysz.

Luca wsiadł do samochodu razem z Sammy i dziewczynkami. Chwilę rozmawiali, później zamilkli. Luca wyraźnie widział, że i jego córki, i ich opiekunka szczerze żałują, że muszą wyjeżdżać. Usiłował trochę je rozweselić, ale szybko sam także pogrążył się w myślach, zaskoczony, że w ciągu zaledwie jednego tygodnia stali się sobie tak bliscy. Sammy włączyła radio i zaczęła słuchać włoskich piosenek. Luca zerknął na odbijające się w lusterku wstecznym buzie córeczek. Pobyt we Włoszech, choć krótki, zdecydowanie dobrze im zrobił. Promieniały zdrowiem, policzki miały zarumienione, oczy lśniące. Coco pochwyciła jego spojrzenie.

- Pamiętaj, żebyście codziennie dzwoniły do mnie przed pójściem spać, dobrze, skarbie?

Skinęła głową, wyraźnie przejęta sytuacją.

Luca znowu skupił uwagę na drodze, czuł jednak, jak jego serce wzbiera triumfem. Ich umocniona relacja otworzyła Coco na normalne życie, pozwoliła jej rozwijać się jak wiosennemu pączkowi. Jej oczy wciąż zdradzały zbyt głęboką wiedzę o świecie dorosłych, lecz teraz uśmiechała się z niewinnością małej dziewczynki.

Na lotnisku obie niechętnie wysiadły z samochodu. Juno wzięła ojca za rękę, drugą przycisnęła do piersi Obżarciuszka. Coco szła u boku ojca, dźwigając swoją różową torbę z poczuciem misji.

- Co tam masz, kochanie?

- Dużo rzeczy.

- Jakich, na przykład?

- Och, kanapki, które zrobiła dla nas Ventura... Herbat-niczki... Ołówki i papier... Zamierzam narysować coś dla ciebie w samolocie, wiesz, tato?

- Będzie mi bardzo miło!

- Ja też coś ci narysuję! - zawołała Juno, nie chcąc okazać się gorsza.

- Narysuję *palazzo* i babcię z dziadkiem, jak machają nam na pożegnanie - oznajmiła Coco.

- A ja narysuję ciebie jako Niegrzecznego Krokodyla! -zachichotała Juno. - Z wielkimi białymi zębami i długim, pokrytym łuską ogonem!

- Poproście mamusię, żeby wysłała mi te rysunki. Powieszę je sobie w sypialni.

- Mogłybyśmy niedługo tu wrócić? - spytała Coco.

- Jak tylko skończy się szkoła!

- Obiecujesz?

- Obiecuję. - Mocno przytulił córkę. - Będę na was czekaK

22

Luca machał, dopóki dziewczynki i Sammy nie znikły w głębi korytarza, i dopiero wtedy niespiesznie wrócił do samochodu, przygnębiony i ociężały. Przyzwyczaił się do dźwięku ich głosów, do dotyku małych dłoni, szukających jego ręki i widoku uśmiechniętych twarzyczek. Falę gorzkiej tęsknoty usiłował przezwyciężyć myślami o Cosimie. Zaparkował samochód i wyruszył na poszukiwanie telefonu komórkowego dla niej. Była to godziwa rozrywka i wkrótce nastrój znacznie mu się poprawił. W drodze powrotnej do samochodu zauważył sklep z biżuterią i wszedł do środka.

Chrzęst żwiru pod oponami zatrzymującej się na podjeździe taksówki wywołał Rominę z domu. Porci, zupełnie nieświadomy wagi chwili, wyminął swoją panią i potruchtał do samochodu, aby obwąchać jego koła. Gdyby był psem, niewątpliwie podniósłby nogę z intencją zaznaczenia swojej władzy na tym terytorium, ale że był tylko małą świnką, chrząknął znacząco, przemieścił się na trawnik i potoczył w dół po zielonym zboczu.

Dziennikarka (nie dziennikarz!) otworzyła usta na widok świnki w białej pieluszce i przysunęła się do okna, żeby lepiej przyjrzeć się niezwykłemu zwierzęciu. Romina z trudem pohamowała zniecierpliwienie.

- Proszę się nie bać Porciego! - Uśmiechnęła się do gościa. - Nie gryzie...

- Niesamowite - powiedziała kobieta, zgarniając olbrzymią torbę z czarnej skóry.

Miała bladą twarz o ostrych rysach, obramowaną geometrycznym paziem z rudych włosów.

- Ojej, to najprawdziwszy pałac! - wykrzyknęła. Romina jednym spojrzeniem ogarnęła czerwone kabaretki, krótką dżinsową spódniczkę oraz czarne skórzane botki dziennikarki i skrzywiła się lekko.

- Chyba będzie pani trochę za gorąco w tym stroju, moja droga - oświadczyła.

- W Londynie było zimno. Dobrze, że zabrałam lżejsze rzeczy.

- Ja też się cieszę! Mam na imię Romina i jestem panią tego domu. - Wyciągnęła rękę do przybyłej.

- Fiyona Pritchett - odparła młoda kobieta, układając pomalowane szkarłatną szminką wargi w uśmiech. - Fiyona przez „y" w środku...

- Witaj w pałacu Montelimone, Fiyono przez „y" w środku. Miło mi, że wreszcie pani przyjechała! No, nie stójmy tu tak, konając z pragnienia.

Fiyona chwyciła walizkę.

- Nie, nie! - zaprotestowała Romina. - Proszę zostawić dźwiganie ciężarów mężczyznom! Ventura zaraz poprosi jednego z chłopców, żeby zaniósł bagaże do pani pokoju.

- Mogę zostawić rzeczy tutaj?

- Cóż, nie wydaje mi się, żeby Porci mógł porwać walizkę i gdzieś z nią uciec.

Fiyona ruszyła za Romina do wejścia na taras, z zafascynowaniem rozglądając się dookoła.

- To naprawdę zdumiewające miejsce - powiedziała.

- Wiem. Śmiało można nazwać nas największymi szczęśliwcami na całym świecie, prawda? Kiedy znaleźliśmy ten pałac, był w kompletnej ruinie. W pokojach rosła trawa, ściany pokrywały pnącza, w porzuconych meblach gnieździły się zwierzęta...

- Czy pałac był już fotografowany?

- Nie, jeszcze nie. Zdjęcia zostaną zrobione dopiero w poniedziałek.

- Doskonale... Podobno to miejsce ma krwawą historię.

- Bardzo mroczną!

- Chętnie porozmawiałabym z jakimiś tubylcami.

- Mówi pani po włosku?

- Tak, właśnie dlatego mnie tu przysłali. Uczyłam się francuskiego i włoskiego na studiach. Było to dawno temu, ale staram się mówić tymi językami, kiedy tylko mogę.

- Mój syn zawiezie panią do miasteczka. On najlepiej komunikuje się z miejscowymi. - Romina znacząco uniosła brwi. - Niedawno się rozwiódł i chyba teraz nadrabia stracony czas.

- I niedawno porzucił pracę w City, mam rację? Romina obrzuciła młodą kobietę zdumionym spojrzeniem.

- Skąd pani wie o Luce?

- Starannie odrobiłam pracę domową, to wszystko.

Na tarasie Caradoc, Nanni, Dennis i Ma z zapałem grali w brydża. Romina przedstawiła ich dziennikarce i zaprowadziła ją do stołu, aby zaproponować coś do picia.

- Proponuję earl greya albo kawę.

- Poproszę kawę, mocną.

Romina przyglądała się Fiyonie z rosnącym rozczarowaniem. Spodziewała się kogoś zupełnie innego. Ta kobieta była twarda i zdecydowana (z pewnością pochodziła z niższej warstwy społecznej), niezbyt ładna, chociaż niewątpliwie zwracająca na siebie uwagę - jej skóra wydawała się prawie przejrzysta, a oczy miały niespotykany odcień zieleni. Romina podejrzewała, że Fiyona nosi kolorowe szkła kontaktowe.

- Pewnie opala się pani na czerwono, co? - zagadnęła.

- Tak. W ogóle nie mogę siedzieć na słońcu, wolę cień, jak storczyki.

- Ma pani bardzo bladą cerę.

- Przynajmniej nie muszę przejmować się opalaniem, bo w moim przypadku to i tak bez sensu! Uważam zresztą, że dzięki Nicole Kidman i Madonnie blada cera stała się modna.

- Z pewnością dłużej będzie pani wyglądała młodo. - Ro-mina za wszelką cenę chciała być miła.

- Nie przy moim stylu życia! Piję, palę i nie znoszę wcześnie kłaść się spać, więc zawsze będę sprawiała wrażenie starszej.

- Od dawna pracuje pani dla „Sunday Timesa"?

- Zaczęłam pisać jako wolny strzelec dwadzieścia lat temu.

- Nie do wiary! Chyba była pani wtedy bardzo młoda!

- Chyba tak... Zawsze interesowały mnie fakty. - Fiyona zmrużyła oczy. - Lubię tajemnice!

- Tu znajdzie ich pani mnóstwo.

- Och, wiem już o *marchese,* dziewczynie, którą zamordował, tej Valentinie, oraz o jej smętnym narzeczonym Thomasie Arbuckleu! Niestety, staruszek nie chce gadać. Ma już osiemdziesiąt parę lat, a ja nie należę do tych, którzy bez skrupułów dręczą ludzi.

- A wie pani, że brat Valentiny zamordował *marchese*[7].

- Tego nie wiedziałam! Hmmm... Akt zemsty, to logiczne!

- Ludzie nie lubią rozmawiać o przeszłości. Mój syn i profesor wyciągnęli ten szczegół od pewnego staruszka z miasteczka.

- Ta historia naprawdę nie została nigdzie opublikowana? - Fiyona uniosła brwi.

- Nie, stała się częścią folkloru.

- I ludzie, którzy rzeczywiście ją znają, nie chcą nic mówić?

- Nie lubią grzebać się w przeszłości.

- Ale ja lubię! Rozgrzebywanie przeszłości to moja specjalność!

Rozczarowanie Rominy stopniało jak śnieg na wiosnę. Ostatecznie nie musiała przecież czuć wielkiej sympatii do tej kobiety, prawda? Chodziło o to, aby w poczytnej gazecie ukazał się tekst o wspaniałym *palazzo* oraz nieprawdopodobnej przemianie, jaką przeszedł budynek dzięki parze niezwykle utalentowanych, błyskotliwych ludzi. Romina była przekonana, że ścieżki jej i Fiyony nigdy więcej się nie przetną.

- Sęk w tym, że wolałabym skupić się na teraźniejszości. Kto mieszka tu obecnie, co stało się poprzednimi właścicielami, jak buduje się nowe na tak ponurym fundamencie, czy można uciec od przeszłości i takie tam różne...

- Nie chce pani chyba powiedzieć, że wierzy pani w duchy? Fiyona uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając dwa długie,

prawdziwie wilcze kły.

- Nie, ale jeżeli jakieś się tu czają, bardzo chętnie je poznam!

Luca wrócił podczas końcówki ognistej brydżowej rozgrywki i podszedł do stołu, żeby przywitać się z dziennikarką.

- A więc tak wygląda sławny Luca Chancellor! Przyznam się, że spodziewałam się kogoś zupełnie innego!

- I z wzajemnością!

- Robi pan wrażenie kogoś, kto od miesięcy wyleguje się na włoskim słońcu.

- Zakładam, że to nic złego, prawda?

- Oczywiście, ale dla kogoś, kto nie zamierza wracać do pracy!

- Na razie nie mam najmniejszego zamiaru nigdzie wracać.

- Szczęściarz z pana!

Luca usiadł i wystukał papierosa z pudełka.

- Oprowadziłaś już Fiyonę, mamo? - spytał.

- Dopiero przyjechała. Jak dziewczynki?

- Wydaje mi się, że było im smutno. Nie chciały wyjeżdżać.

Romina uśmiechnęła się z rozczuleniem.

- Tak się cieszę. Mam nadzieję, że niedługo znowu przyjadą! - Odwróciła się do Fiyony. - Mówimy o moich wnuczkach. Słodkie dziewczyneczki, bardzo ładne, no, ale mój syn jest przecież bardzo przystojny.

Fiyona nie spuszczała wzroku z Luki, który właśnie zapalał papierosa.

- Dobrze, że nie jestem jedyną palaczką w tym gronie!

- W Europie wszyscy palą - powiedziała Romina. - Tylko Anglia i Ameryka podporządkowały się zwariowanym regułom politycznej poprawności! Zapalmy, tak miło jest gwałcić te zasady.

Kiedy Ventura wyniosła na taras tacę z ciasteczkami i świeżo zaparzoną herbatą, brydżyści obiegli stół niczym wygłodniałe zwierzęta. Nanni opadł na krzesło obok Fiyony, niespokojnym wzrokiem mierząc jej nogi w czerwonych kabaretkach. Dziennikarka spojrzała na jego twarz koloru buraka i uśmiechnęła się.

- Niezłe, prawda? Średnio odpowiednie na pobyt na włoskiej wsi, ale jeszcze dziś rano byłam w wielkim mieście.

- Są bardzo kolorowe - odparł, czując, jak krople potu wykwitają mu na czole na wspomnienie ekscytujących obrazów Toulouse-Lautreca. - Gorąco dziś, nie sądzi pani?

- Uwielbiam upał, bylebym tylko nie musiała siedzieć na słońcu.

Nanni od razu zwrócił uwagę na jej perłową skórę i rubinowe wargi.

- Urodziła się pani w niewłaściwej epoce. Dziś piękne znaczy brązowe.

Fiyona utkwiła w nim spojrzenie szmaragdowych źrenic i wypuściła z ust kształtne kółko z dymu.

- Tajemnica piękna kryje się w oku obserwatora - powiedziała.

- *Brava!* Ma pani absolutną słuszność!

Po herbacie Romina oprowadziła Fiyonę po pałacu, opowiadając ze szczegółami, ile wysiłku i inwencji włożyli oboje z Billem w renowację pomieszczeń. Fiyona była pod ogromnym wrażeniem, nie kryła jednak, że bardziej interesuje ją historia *marchese* i Valentiny.

- Wie pani, w którym pokoju dokonano morderstwa?

- Nie. Liczę, że pani dowie się tego i wszystko mi przekaże!

- Zrobię, co w mojej mocy. Ktoś na pewno wie, jak to było, a ja postaram się znaleźć tę osobę. Jestem w tym dobra. Ostatnio napisałam artykuł o Evicie Peron. Nie uwierzylibyście, jacy ludzie wyleźli na powierzchnię, żeby opowiedzieć mi swoją wersję jej historii. Tekst zrobił prawdziwą furorę!

- W jaki sposób zdobywa pani informacje?

- Sposobów jest mnóstwo. Niektórzy chcą tylko powiedzieć swoje, innym pochlebia moje zainteresowanie. Są tacy, którzy czują potrzebę rozładowania napięcia, i tacy, którym po prostu nikt nie zadał właściwego pytania. Połowa sukcesu to znalezienie odpowiednich ludzi, takich, których historia pożarła, nie zostawiając żadnego śladu, takich, którzy byli świadkami ważnych historycznych wydarzeń, ale nie zostali zauważeni i zapamiętani. Ludzie, po których nie został najmniejszy ślad - oto, kto mnie interesuje.

Kiedy dziennikarka obejrzała pałac, poszły do domku w ogrodzie.

- Jeżeli interesuje panią historia, będzie pani oczarowana - oświadczyła z dumą Romina. - W tym wypadku nie mogę jednak pochwalić się żadnym artystycznym wkładem, ponieważ domek jest teraz dokładnie taki, jaki był.

Przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi. Dennis zapewniał ją, że nie zauważył żadnych śladów wizyt duchów czy innych straszydeł, lecz Romina omiotła szerokie łoże czujnym spojrzeniem. Z wielką ulgą spostrzegła, że jest równie gładkie jak przed kilkoma dniami, kiedy własnoręcznie poprawiała na nim narzutę.

Fiyona uważnie rozejrzała się dookoła. Można było odnieść wrażenie, że nic, ale to absolutnie nic nie zdoła umknąć jej uwadze.

- Ten domek zbudowano dla Valentiny? - spytała, lekko dotykając oprawnej w srebro szczotki i kryształowego słoiczka na krem na toaletce przed lustrem w stylu królowej Anny. - Dziewczyna uprawiała niebezpieczną grę, bez dwóch zdań! Nie wyobrażam sobie, aby przyszło jej do głowy, że padnie ofiarą kochanka, kiedy siedziała tutaj, szczotkując włosy. Ten pokój dedykowany jest zmysłowej rozkoszy, czuje pani tę aurę?

Romina spojrzała na nią niepewnie.

- Chyba nie - odparła, wygładzając palcami jedwabne zasłony nad łożem.

- A przecież była to świątynia zmysłowości. Czary, które tu panują, związane są z seksem! - Fiyona się ożywiła. -Strasznie mi się tu podoba!

- Być może powinnam była zmienić umeblowanie i w ogóle cały wystrój... Po co mi domek poświęcony perwersyjnym zachciankom starego markiza?

- Nie, musi go pani zostawić w takim stanie! Nie powinna pani nic tu zmieniać!

Przez głowę Rominy przemknęła myśl, aby powiedzieć Fiyonie o odwiedzającym domek intruzie, ale przypomniała sobie, że od paru dni nikogo tu nie było. Wszystko wskazywało na to, że nieproszony gość wyniósł się na dobre.

Tej nocy Luca wziął klucz do domku i pojechał po Cosimę pod kościółek w Incantellarii, tak jak się wcześniej umówili. Cosima nadal miała poważne wątpliwości co do ich związku; była przekonana, że przetrwa on tylko pod warunkiem, że codziennie będzie zapalała świece dla Francesca, w ten sposób dowodząc mu, że jej miłość nigdy nie umrze. Jej szczęście, tak mocno zakotwiczone w smutku, było chwiejne jak płomyk na wietrze. Kiedy kochali się, Cosima miała wrażenie, że kradnie chwile rozkoszy niczym złodziej, który wie, że nie zasłużył sobie na taki skarb. Gdy nie byli razem, pielęgnowała swoją radość jak bezcenny diament, przerażona, że ktoś go wypatrzy, zupełnie jakby mógł rozświetlić ciemność i zdradzić jej sekret. Ciemność była dobrze znanym, wygodnym środowiskiem, ale chociaż uparcie wmawiała sobie, że nie zasługuje na nic innego, światło bardzo ją kusiło.

Westchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła stojącego w cieniu kasztanowca Lucę, który cierpliwie na nią czekał, z rękami w kieszeniach. Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, szczęśliwa, że jego siła przenika ją i otacza ze wszystkich stron.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak, po prostu cieszę się, że cię widzę...

- Dokąd jedziemy?

- W górę wybrzeża?

- Gdzie tylko zechcesz!

- Gdzieś, gdzie będziemy wyłącznie we dwoje. - Przypomniała sobie, gdzie jest, cofnęła się i założyła ręce na piersi. -Gdzie twój samochód?

Pojechali w górę wybrzeża, dotykając się rękoma na drążku do zmiany biegów. Ciepły wiatr wpadał do środka przez otwarte okna i muskał ich twarze. Znaleźli małą restaurację w miasteczku o średniowiecznej zabudowie, w którym Cosi-ma nigdy wcześniej nie była. Urocze białe domki kryte różo-wawą dachówką tworzyły krąg wokół kościółka z piękną dzwonnicą, wyraźnie rysującą się na tle fioletowego nieba. Usiedli na trzcinowych krzesełkach pod markizą, przy stoliku, na którym migotała świeca otoczona pierścieniem szkarłatnych kwiatów. Pijąc wytrawne białe wino, trzymali się za ręce ponad blatem. Kiedy zjedli, Luca wyjął zamszowy woreczek z kieszeni marynarki i położył go na dłoni Cosimy.

- Nie mogłem się powstrzymać - rzekł. - Byłem dziś w Neapolu i zobaczyłem je na wystawie. Wiem, że znamy się bardzo krótko, ale chcę, żebyś zdała sobie sprawę, jak poważnie traktuję nasz związek. Bawiłem się sercami wielu kobiet, lecz ty to co innego. Dotarłaś do takiego zakamarka mojego serca, o którego istnieniu sam nie miałem najmniejszego pojęcia. To dla ciebie, właśnie dlatego, że jesteś inna!

Cosima zamrugała i szybko otarła łzy wierzchem dłoni.

- Nie zasłużyłam na ciebie. Mam wyrzuty sumienia, że jestem taka szczęśliwa.

- Nie czuj się winna, kochanie! No, otwórz, proszę... Ostrożnie rozluźniła jedwabny sznureczek i zajrzała do środka. Prezent lśnił w ciemności. Luca kupił dla niej prawdziwą biżuterię. Otworzyła dłoń i wysypała na nią zawartość woreczka. Na widok wielkości brylantów z jej piersi wyrwał się cichy okrzyk. Patrzyła na kolczyki w kształcie łez z takim wyrazem twarzy, jakby były zrabowanym skarbem.

- Kupiłeś je dla mnie? Są olśniewające...

- To stara robota. Włóż je!

Drżącymi palcami wyjęła z uszu proste złote kulki na sztyftach, które zwykle nosiła, i zastąpiła je nowymi kolczykami. Kamienie lśniły w zestawieniu z jej skórą koloru jasnej mlecznej czekolady, podkreślając nieskalaną biel zębów i białek oczu, i tańczyły, gdy Cosima poruszała głową.

- Upnij wysoko włosy - zamruczał Luca, nie mogąc się doczekać, kiedy przywrze wargami do delikatnej skóry jej szyi.

Zdjęła gumkę z przegubu dłoni i pośpiesznie uniosła włosy, robiąc z nich gruby koński ogon.

- Teraz wyglądają zachwycająco - powiedział. Niezdolna zapanować nad podnieceniem, zerwała się z miejsca, obiegła stół i mocno objęła ukochanego.

- Muszę na nie popatrzeć! - zawołała. - Obejrzę się w lustrze w łazience, zaraz wracam!

Luca zapalił papierosa i uśmiechnął się z zadowoleniem. Dawanie jeszcze nigdy nie sprawiało mu takiej przyjemności.

Wracając, Cosima szła powoli, lekkim krokiem uwydatniając linię talii i bioder, podkreśloną cienką, przylegającą do ciała bawełnianą sukienką. Oparła dłonie o stół i nachyliła się nad blatem, patrząc na Lucę oczami pełnymi pożądania.

- Jedźmy do domku w ogrodzie i kochajmy się! - wyszeptała niskim, nieco zachrypniętym głosem.

Luca nie potrzebował zachęty. Uregulował rachunek i wyszli z restauracji, ścigając się do samochodu jak para nastolatków. Zanim Luca wpuścił Cosimę do środka, przycisnął ją do drzwi auta i pocałował, sunąc wargami po szyi aż za ucho, i muskając językiem różową konchę, w którą wpięty był brylantowy kolczyk. Czuł bijące od jej ciała gorąco i rytmiczne wznoszenie się i opadanie piersi. Aromat cytryn, którym przesiąknięta była wilgotna skóra, był zapraszająco rześki.

Jazda do *palazzo* jeszcze bardziej rozpaliła płonący w nich ogień. Luca zaparkował w pewnej odległości od wejścia i razem ruszyli ścieżką między drzewami. Księżyc świecił na niebie jak chińska latarnia, wydobywając drogę z gęstych ciemności. Luca był zbyt podniecony, aby przejmować się odwiedzającym domek intruzem. Zapalił świecę, a Cosima ściągnęła z łoża jedwabną narzutę, rozpięła suwak sukienki i zdjęła majteczki. Stała przed Lucą naga, tylko z brylantami w uszach i żądzą płonącą w oczach. Luca zrzucił marynarkę z ramion, ale zanim zdążył rozebrać się do końca, Cosima podeszła i rozpięła mu koszulę. Potem ukryła twarz na jego piersi, pokrywając pocałunkami każdy centymetr skóry. Erotyczne napięcie gęstniało w powietrzu razem z zapachem wosku i cytryn, a oni rozkoszowali się uczuciem wzajemnej bliskości, szczególnie łatwo wyczuwalnym w wybudowanym z myślą o miłości domku.

Nagle z uniesienia wyrwał ich jakiś dźwięk na dworze. Chwilę później usłyszeli zgrzyt klucza w zamku i zrozumieli, że ktoś bezskutecznie próbuje wypchnąć tkwiący od wewnątrz klucz Luki. Rozległo się szuranie stóp. Luca i Cosima zamarli. Leżeli spleceni na łożu i nie śmieli swobodnie odetchnąć. Wiedzieli, że intruz obchodzi domek dookoła i być może zagląda do środka przez okna.

- Widzi nas? - szeptem zapytała Cosima.

- Mam nadzieję, że nie...

Gdyby Luca był ubrany, otworzyłby drzwi i stanął oko w oko z nieproszonym gościem, niezależnie od tego, czy był to mężczyzna, czy kobieta, jednak nagość nadawała temu pomysłowi odcień farsy. Zdawał sobie też sprawę, że zanim zdąży wciągnąć spodnie i koszulę, podglądacz zniknie.

- Co robimy? - szepnęła Cosima.

- Nic. Będziemy cichutko, żeby nic nie było słychać... Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale położył palec na jej ustach.

- Szszsz... Nic nie zepsuje naszej nocy, kochanie.

23

Następnego ranka Luca nie zszedł na dół, więc Romina zabrała Fiyonę do trattorii z nadzieją, że zastaną tam Rosę. Jeżeli ktokolwiek mógł pomóc dziennikarce w znalezieniu informacji, to tym kimś z pewnością była urocza, gadatliwa Rosa.

Dzień wstał pochmurny. Od wschodu ciągnęła po niebie zbita, szara masa, strasząc burzą i deszczem. Fiyona zdecydowała się zrezygnować z czerwonych kabaretek i minispódniczki na rzecz dżinsów, różowych klapek oraz dżinsowej kurtki, narzuconej na biały T-shirt. Z jej ramienia zwisała wielka torba, zupełnie jakby młoda kobieta musiała nosić ją za karę. Nozdrza Rominy zadrgały, zaatakowane ciężkim, piżmowym zapachem perfum Fiyony, która wyglądała tak, jakby nade wszystko potrzebowała porządnej gorącej kąpieli. *Molto Inglese,* pomyślała Romina. Ten typ Angielek zawsze sprawiał wrażenie nieco niechlujnych i zaniedbanych.

Rosa siedziała na tarasie, zajęta rozmową z Fierem. Na widok Rominy uśmiechnęła się i pomachała do niej.

- *Buongiorno!*

- *Buon giorno,* Rosa! Przywiozłam kogoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. - Romina delikatnie wypchnęła Fiyonę do przodu.

- Nazywam się Fiyona Pritchett i jestem dziennikarką magazynu „Sunday Times" - przedstawiła się Angielka płynnym włoskim.

Rosa była pod wrażeniem.

- Świetnie mówi pani po włosku!

- Staram się - odparła skromnie Fiyona. - Lubię ćwiczyć, ale w Londynie moją jedyną szansą jest rozmowa z kelnerami!

Spojrzała na Fiera. Oczy młodego mężczyzny rozbłysły, odpowiadając z entuzjazmem na przekazaną bez słów wiadomość.

- Kawy, *signorina*[7]. - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Tak, poproszę czarną.

- Ja też chętnie się napiję - dorzuciła Rosa. Fiero odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

- Więc pisze pani artykuł o *palazzo*[7]. - zagadnęła Rosa. -Usiądziemy? Śniadanie na koszt firmy! - dodała dumnie. -Wiem o tym miejscu absolutnie wszystko! Moją matką jest Alba, córka Valentiny. Proszę śmiało pytać o wszystko, co przyjdzie pani do głowy, to mój ulubiony temat.

- Zostawię was same. - Romina zerknęła na zegarek. -Mam sporo spraw do załatwienia w domu! Tyle osób i w ogóle, no, rozumiecie.

- Wystarczy nam godzina, jeśli Rosa nie ma nic przeciwko temu - powiedziała Fiyona.

- Może być nawet całe przedpołudnie - odparła Rosa. -Dziś będzie raczej spokojnie, zresztą Fiero jest na miejscu, żeby pomóc. - Przez jej twarz przemknął cień irytacji. - Nie sądzę, żeby Cosima miała się pojawić. Wróciła do domu o czwartej rano i teraz jeszcze śpi! Taka nagła przemiana, ta dziewczyna zasługuje na Oscara, słowo daję!

Romina zmrużyła oczy. Trochę po czwartej słyszała warkot silnika i wesołe pogwizdywanie syna. Więc to z powodu tej Cosimy Luca wałęsał się poza domem o takiej nieludzkiej porze.

- Czy pani matka zgodziłaby się ze mną porozmawiać? -Fiyona postawiła magnetofon na stole i włączyła go.

- Nie, mama nie chce nawet *odwiedzić palazzo!* Jest wściekła, że budynek został odnowiony i przywrócony do dawnej świetności. Uważa chyba, że powinien rozsypać się w gruzy. Będzie bardzo niezadowolona, że spotkałam się z panią. Moim zdaniem, mama zapomina, że Valentina była moją babką i że pod wieloma względami jestem do niej bardzo podobna.

- Nie ma żadnych zdjęć Valentiny - zaczęła Fiyona.

- Ale jest jej portret! Proszę zaczekać, przyniosę go! Kiedy Rosa pobiegła po portret, Fiero przyniósł Fiyonie kawę.

- Podać coś jeszcze? - spytał.

- Chętnie porozmawiałabym z panem. Muszę wprawiać się we włoskim! - Fiyona uśmiechnęła się zalotnie i wetknęła papieros między czerwone wargi.

Fiero wykazał się refleksem i natychmiast podsunął zapalniczkę. Fiyona pochyliła się do przodu, unieruchamiając jego dłoń własną.

- Jest pan bardzo młody, Fiero...

- Mam dwadzieścia pięć lat - odparł, całkowicie rozbrojony jej drapieżnym spojrzeniem.

Oszacowała go wzrokiem.

- Włosi są bardziej wyrafinowani i dojrzali niż Anglicy. Jesteś dobrym kochankiem?

Przesunął językiem po dolnej wardze.

- Wiesz, jacy jesteśmy, my, Włosi. Żyjemy dla miłości. Żyjemy dla kobiet!

- Szkoda, że przyjechałam na tak krótko, bo moglibyśmy zawrzeć umowę. Uczyłabym cię angielskiego w zamian za lekcje włoskiego, rozumiesz?

Skinął głową, patrząc na nią i lekko rozdymając nozdrza.

- Cóż, może innym razem - mruknęła.

Rosa wróciła ze szkicem przedstawiającym leżącą nagą kobietę i podała go Fiyonie. W ogóle nie dostrzegła pożądliwego błysku w oczach Fiera.

- Teraz nikt już nie zwraca uwagi na ten szkic, ale to właśnie jest Valentina, sportretowana przez mojego dziadka!

- ,,Valentina, akt w pozycji leżącej, Thomas Arbuckle, 1945" - przeczytała.

- Piękna, prawda?

- Zachwycająca! - Fiyona pokiwała głową. - Niegrzeczny uśmiech... Dostrzegam podobieństwo! - uśmiechnęła się do Rosy.

Rosa nie kryła zadowolenia.

- Ja nie jestem aż tak niegrzeczna. Nie mam okazji, niestety...

- Mogę mówić ci po imieniu? Jesteś mężatką?

- Tak, z trójką dzieci! Bardzo konwencjonalny styl życia.

- Być może Valentina wcale nie byłaby taka niegrzeczna, gdyby nie wojna. Brała sobie kochanków, żeby przeżyć.

- Nie wydaje mi się, żeby związała się z Łupem Bianco tylko dlatego, aby przetrwać. Był dla niej przepustką do lepszego życia w Neapolu, życia wyższych sfer! U jego boku mogła być inną osobą.

- Prosta dziewczyna z małego miasteczka, znaleziona w futrze i brylantach. - Fiyona przytoczyła zdanie z artykułu o morderstwie. - Musiał to być straszny szok dla twojego biednego dziadka.

- Tego samego dnia mieli wziąć ślub. Narzeczona przystojnego cudzoziemca, jakież to romantyczne! Tutejsi ludzie mówią, że figura Chrystusa z kościółka po raz pierwszy od wielu lat nie zapłakała krwawymi łzami, co było zapowiedzią tragedii.

- Wierzysz w to?

- Niekoniecznie. Mówią też, że figura zapłacze znowu dopiero wtedy, gdy duchy zaznają spokoju!

- Nadal uważają, że stary *marchese* straszy w pałacu? Rosa spoważniała.

- W *palazzo* naprawdę działo się coś dziwnego. Mój mąż jest policjantem. Zanim Romina kupiła posiadłość, wiele osób widziało światło, wędrujące przez ciemne pokoje, słychać też było dziwne odgłosy. Nikt poza moim mężem nie ośmielił się tam pójść. Jest bardzo odważny.

- Znalazł coś?

- Nic. - Rosa wzruszyła ramionami. - Ja również byłam tam wiele razy, nie boję się. Te ruiny miały w sobie coś pięknego, teraz to już nie to samo.

- Ale chyba nie widziałaś ducha na własne oczy, co? -Fiyona wypuściła z ust smużkę dymu.

- Nie wierzę w duchy! - Rosa zaśmiała się lekceważąco. -Nie wykluczam jednak możliwości, że jakiś żywy duch kręci się po domu i próbuje straszyć ludzi. Romina narzeka, że ktoś bez jej wiedzy i pozwolenia sypia w domku w ogrodzie. Ściągnęła tam nawet mojego męża, żeby sprawdził, co się dzieje.

- Romina jest ekscentryczką, ale nie wygląda na osobę przesądną.

- Romina pochodzi z północnej części Włoch, a to wielka różnica! Tutejsi ludzie są przerażająco prymitywni!

- Więc nie wierzysz, że *marchese* nawiedza pałac, szczerze żałując, że zabił ukochaną kobietę?

- Nie, oczywiście, że nie wierzę! Ktoś najzwyczajniej w świecie urządza sobie żarty albo może mieszkańcy Incan-tellarii wymyślili to wszystko, żeby zniechęcić ewentualnych kupców do nabycia *palazzo* i urządzenia w nim hotelu. Tutejsi ludzie lubią spokój i są dumni ze swojej historii. Zawsze zależało im, żeby wszystko zostało tu tak jak było, żeby pałac nadal był czymś w rodzaju ponurej świątyni, ale się nie udało...

- Mogę zacytować twoje słowa?

- Możesz cytować, co tylko chcesz, a nawet dołączyć fotografię! Ostatecznie jestem bardzo podobna do Valentiny!

- Ale nie pozwolisz mi opublikować zdjęcia szkicu?

- W żadnym razie! - wykrzyknęła Rosa, chwytając portret i mocno zaciskając palce na ramie. - Chyba że zależy ci na jeszcze jednym morderstwie w Incantellarii!

- Czy to prawda, że twój cioteczny dziadek zabił markiza w akcie zemsty?

- Tak. Zabił go w *palazzo.*

- Wiesz może gdzie?

- W salonie *marchese,* w jego skórzanym fotelu. - Rosa wymownym gestem przeciągnęła palcem po szyi. - Zarżnęli go jak świnię!

- Zarżnęli? Oni?

Rosa drgnęła, jakby ktoś ją nagle ukłuł.

- Zarżnął go - sprostowała pośpiesznie. - On, Falco... Fiyona w zamyśleniu przygryzła wnętrze policzka.

- Ach, tak...

- Policja nigdy nie przeprowadziła porządnego dochodzenia w sprawie śmierci Valentiny. Założyli, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, i że zginęła w rezultacie porachunków mafijnych. Nie przyszło im do głowy, że to Lupo znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie, bo *marchese* zabił Valentine, a Lupo był przypadkową ofiarą. - Rosa pochyliła się nad stołem i konspiracyjnie zniżyła głos. - Szczerze mówiąc, markiz ją zabił, bo nie chciał, żeby mój dziadek zabrał ją ze sobą do Anglii. Skoro nie mógł jej mieć, postanowił, że nikt nie będzie jej miał, i tyle! Moim zdaniem, *marchese* był przebiegłym starym lisem. Doskonale wiedział, że Valentina ma innych kochanków i chyba wcale mu to nie przeszkadzało. Moja matka mówiła, że zawsze zbierał piękne przedmioty, był estetą i kolekcjonerem. Valentina była dla niego po prostu jedną z tych pięknych rzeczy, ale kiedy zakochała się w moim dziadku, tak naprawdę, całym sercem, markiz nie mógł tego znieść. Zniszczył kobietę, którą uwielbiał, żeby nikt inny nie mógł jej zdobyć. Dziwi mnie, że jeszcze nie nakręcono filmu na podstawie tej historii!

- Może jakaś wytwórnia zainteresuje się nią po publikacji mojego artykułu, kto wie. Mamy dwa miliony nakładu!

Rosa wytrzeszczyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że dwa miliony ludzi będą o mnie czytać?!

Fiyona postanowiła jeszcze mocniej połechtać próżność swojej rozmówczyni.

- Dwa miliony ludzi przeczytają tekst o tobie i twojej rodzinie.

- *Madonna!* To niesamowite! Potrafię nieźle grać, wiesz? Jestem całkiem dobrą aktorką!

- Nie wątpię - powiedziała szczerze Fiyona. Rosa w rozmarzeniu zmrużyła oczy.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby jakiś przystojny cudzoziemiec obsypał mnie brylantami i porwał na drugi koniec świata.

- Nie podoba ci się tutaj?

- Nic się tu nie dzieje! Rozumiem, dlaczego Valentina przeszła na ciemną stronę mocy, naprawdę. Była wojna, to prawda, ale ona po prostu szukała silnych wrażeń!

Dwadzieścia po jedenastej Romina przyjechała po Fiyonę, lecz ta nadal rozmawiała z Rosą. Fiero kręcił się w pobliżu niczym ćma, zwabiona barwnym płomieniem fascynującej dziennikarki.

- Jeszcze nie skończyłyście? - spytała Romina.

- Mam już wszystko, co chciałam mieć. - Fiyona wyłączyła magnetofon. - Dziękuję ci, Roso! Rozmowa z tobą była bardzo, bardzo interesująca. - Pomachała do Fiera. - Zobaczymy się później!

Rosa spojrzała na nią ze zdziwieniem, wyraźnie urażona.

- Chcesz przeprowadzić wywiad z Fierem?

- Chcę porozmawiać ze wszystkimi. Nie uznaję niewykorzystanych możliwości.

- Ale Fiero nic nie wie!

Fiyona potrząsnęła głową z chytrym uśmiechem.

- Każdy coś wie. - Mrugnęła do Fiera. - Do zobaczenia wieczorem!

W samochodzie Romina zapytała Fiyonę, czy ma wszystkie potrzebne informacje.

- Wszystkie, a nawet jeszcze więcej! - odparła Fiyona z satysfakcją. - Gwiazda Valentiny nadal jasno świeci!

- Ach, młodzi są tacy naiwni! - Romina westchnęła. -Rosa nie dostrzega ponurej i wulgarnej strony tej historii, widzi tylko jej blask.

- Wyjdzie z tego świetny tekst, to najważniejsze.

- Powinna pani porozmawiać z jej matką.

- Podobno Alba nie chce rozmawiać na ten temat.

- Szkoda! Jestem pewna, że w jej oczach wszystko to ma zupełnie inny wymiar!

- Rosa sugerowała, że w zabójstwie *marchese* brało udział więcej osób, nie tylko jedna...

- Myślałam, że zabił go sam Falco!

- Może tylko się przejęzyczyła... Romina wzruszyła ramionami.

- Zapytam mojego syna. Wygląda na to, że jest bliżej z niektórymi członkami tej rodziny, niż myślałam.

- To ważne dla mojego tekstu, wolę korzystać ze sprawdzonych informacji!

- Proszę zostawić to mnie.

Tego popołudnia, kiedy Rosa wróciła do domu, Cosima była jeszcze w swojej sypialni. Rosa cały ranek czekała, żeby porozmawiać z kuzynką i teraz uznała, że co za dużo, to niezdrowo. U szczytu schodów przystanęła na moment, słysząc, że Cosima nuci jakąś melodię. Postanowiła nie pukać, nacisnęła klamkę i weszła do pokoju.

Cosima siedziała przed toaletką, wpatrzona w swoje odbicie, a z jej uszu zwisały najwspanialsze kolczyki z brylantami. Rosa głośno wciągnęła powietrze, porażona zazdrością i furią.

- Trzeba było zapukać! - wykrzyknęła Cosima, podrywając ręce do uszu i starając się zasłonić brylanty.

- Już je widziałam, głupia! Nie wyobrażasz sobie chyba, że nie wiem o tobie i Luce! Widziałam was razem! Więc podarował ci brylanty, tak?!

- Tak. - Cosima szybko się opanowała.

- Cieszę się z twojego szczęścia - rzuciła szorstko Rosa.

- Naprawdę?

- Dlaczego nie? Luca wcale mi się nie podoba! Lubię z nim trochę poflirtować, jasne, ale przecież jestem mężatką!

- Przepraszam, że sama ci nie powiedziałam.

- Nie ma za co! Ja też nie czuję się w obowiązku zwierzać ci się z moich tajemnic!

Cosima nie mogła nie usłyszeć napięcia w głosie kuzynki. Sztuczny spokój Rosy budził w niej poważny niepokój. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby nagle na jej głowie wylądował jakiś twardy przedmiot.

- Dał mi je wczoraj wieczorem - wyznała.

- Mogę obejrzeć? - Rosa usiadła na brzegu łóżka. v , M Cosima wahała się chwilę, zdjęła jednak kolczyki, podała

je Rosie i wstała, ustępując jej miejsca przed lustrem. Rosa błyskawicznie wsunęła sztyfty w uszy i z dziecinnym zachwytem spojrzała na swoje odbicie.

- Nigdy nie widziałam piękniejszej biżuterii! - szepnęła. -Musiały kosztować fortunę, pewnie tyle, co spory dom. Wygląda na to, że Luca jest milionerem, nieźle trafiłaś! Znalazłaś sobie bogatego faceta!

- Nie zamierzałam szukać żadnego faceta - powiedziała niepewnie Cosima.

- Powinnam była wykazać się trochę większym sprytem, ale kiedy wychodziłam za Eugenia, byłam bardzo młoda i niewinna! W ogóle nic nie wiedziałam o życiu, nic! Nie tak jak ty, uzbrojona w mądrość kobiety w średnim wieku. - Z

piersi Rosy wyrwało się ciężkie westchnienie. - Te kolczyki są prześliczne, ale gdzie będziesz je nosiła? Czy Luca zamierza zabrać cię do Neapolu?

- Nie! Będę nosiła je tylko dla niego!

- Może porwie cię do Londynu.

Cosima popatrzyła na nią z przerażeniem.

- Nigdy nie wyjadę z Incantellarii!

- Dlaczego? Oddałabym wszystko, byle tylko wyrwać się z tej sennej małej dziury!

- Ale ja nie mogę. - Głos Cosimy załamał się nagle.

- Dlaczego, na miłość boską?!

- Nie mogę zostawić Francesca...

Luca spędził poranek w łóżku. Niebo za oknem było szare i wyraźnie zanosiło się na deszcz, ale w jego sercu świeciło słońce. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście - życie nagle całkowicie się odmieniło, a wszystko za sprawą pewnej kobiety z pełnego czarów małego miasteczka. Wyjechał z Londynu z uczuciem wewnętrznej pustki i zagubienia, ponieważ pozostawił życie, które wiódł przez dwadzieścia lat. Nie miał pojęcia, co będzie dalej robił, był jak rzucony na fale kawałek drewna. Teraz jego życie zyskało cel - kochał Cosimę i swoje dzieci. I właśnie tego zawsze brakowało mu w życiu - miłości. Nie egoistycznego uczucia, jakim z początku darzył Claire, i nie mglistego wyobrażenia o miłości, jaką powinien dać córkom, ale prawdziwej miłości, takiej, która przezwycięża ulotne pragnienia, miłości do drugiego człowieka, nie do siebie. Świadomość, że wreszcie wie, co w życiu najważniejsze, dodawała mu energii. Zbyt podekscytowany, aby spokojnie leżeć w łóżku, wziął ręcznik kąpielowy i ruszył w kierunku małej zatoczki, żeby trochę popływać.

- Jest zakochany - powiedziała Ma, delektując się Krwawą Mary przed lunchem.

- Ale nie w mojej dziewczynie! - zawołał radośnie Caradoc. - Stawiam na wdowę!

- Tę, która straciła synka?

- Tak.

- Nie przypuszczałam, że mu się uda podbić jej serce. -Ma pokręciła głową.

- Luca jest bardzo przystojny i miły - odezwała się Ste-phanie. - Dlatego mnie to wcale nie dziwi! Kelnerka w tratto-rii po prostu za nim szaleje.

Oczy profesora rozbłysły.

- To jest właśnie moja dziewczyna! Za mną także szaleje!

- Chciałaby dusza do raju! - prychnęła Ma. - Głupi z ciebie staruszek, i tyle!

- Nigdy nie jest się zbyt starym, żeby marzyć - zaprotestował Nanni, zastanawiając się, gdzie podziała się ta zalotna dziennikareczka.

- Mam nadzieję, że ożeni się z riią i da jej następne dziecko - powiedziała z rozmarzeniem Stephanie.

Ojciec z czułością poklepał ją po kolanie.

- Jesteś nieuleczalną romantyczką, Stephanoula!

- To zła krew - oznajmiła ponuro Ma. - Na jego miejscu w ogóle nie zbliżałabym się do tej rodziny. Wyobraźcie sobie, że dziadek Cosimy popełnił morderstwo w tym tu *palazzo*. *Marchese* został zarżnięty jak zwierzę! A jej cioteczną babkę zamordowano na drodze do Neapolu, ponieważ zmieniała kochanków jak rękawiczki i wszystkich zdradzała! Ja tam poważnie bym się zastanowiła, zanim związałabym się z takim krwawym klanem!

Caradoc pokręcił głową.

- Wszyscy mamy krewnych, z których wcale nie jesteśmy dumni. Tak czy inaczej, nikogo nie wolno osądzać z powodu błędów jego przodków.

- Niech pan zapamięta moje słowa, profesorze! Z tego związku nie wyniknie nic dobrego, powtarzam raz jeszcze!

Kiedy Luca nadszedł od strony plaży, z twarzą zaczerwienioną od wysiłku i posklejanymi wilgotnymi włosami, Ma odstawiła szklankę, zdecydowana jako pierwsza wypytać go o wszystko dokładnie.

- Słuchaj, Luca, robimy zakłady z twojego powodu! -krzyknęła przez taras.

Luca rzucił jej pytające spojrzenie.

- A co obstawiacie?

- Po co ciągle jeździsz do miasteczka? Bo przecież nie na dobrą kawę, prawda?

Uśmiechnął się do nich jak chłopiec, który już nie może się doczekać, kiedy obwieści wszystkim, że zdobył pierwsze miejsce w konkursie.

- Ach, ten uśmiech mówi wszystko! - skomentował Caradoc. - Wyglądasz jak kocur, który wychłeptał całą śmietankę, mój drogi!

- Zakochałeś się, pytanie tylko, w kim! - dociekała Ma.

- Nie mów jej! - Nanni się zaśmiał, leniwie paląc papierosa. - Dżentelmen nie ma dobrej pamięci w takich kwestiach!

- Chodzi o wdowę - powiedział profesor. - Mam rację, prawda?

Luca usiadł przy stole.

- Czyżbym był aż tak przejrzysty?

- Szczęście to zaraźliwy stan - rzekł Caradoc. - Twoje w jakimś stopniu przenosi się także na nas.

- Albo po prostu budzi w nas zazdrość - sucho dorzuciła Ma.

Luca bezradnie popatrzył na Stephanie.

- Co mam zrobić?

- Prosisz mnie o pomoc?

- Jesteś młodą kobietą. Czy chciałabyś, żeby o twoim życiu emocjonalnym dyskutowała ta grupka ekscentryków?

- Tak, jeśli mieliby powiedzieć mi coś ważnego i pozytywnego. Dlaczego nie?

- Świetnie - odparł. - Jestem zakochany i mam ochotę wykrzyczeć to całemu światu, ale ona woli zachować to w tajemnicy.

Ma zmrużyła oczy.

- Na twoim miejscu poważnie bym się zaniepokoiła!

- Dlaczego?

- Co takiego ma do ukrycia? Jest mężatką?

- Zdecydowanie nie.

- To wdowa! - Caradoc radośnie klasnął powykręcanymi przez artretyzm dłońmi. - Wiedziałem!

W tym momencie Romina i Fiyona wróciły z miasteczka. Nanni wyprostował się na widok rudowłosej. Z przykrością spostrzegł, że tym razem ma na nogach nie czerwone kabaret-ki, ale dżinsy. Zrobiło mu się gorąco, lecz uczucie to było dziwnie przyjemne. Przełknął łyk martini i uśmiechnął się do niej szeroko.

Fiyona była czujna jak lis na polowaniu. Utkwiła w mężczyźnie zwodniczo spokojne spojrzenie zielonych oczu w kształcie migdałów i prowokacyjnie oblizała wargi.

- Masz może ochotę na małą przechadzkę przed lunchem, Nanni? - zagadnęła. - Bardzo chciałabym chociaż chwilę po-brodzić w morzu.

Kiedy Fiyona poszła się przebrać, Ventura wyniosła na taras telefon.

- *Signore* Luca...

Luca wziął słuchawkę, pewny, że to Claire. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu usłyszał głos Frei.

- Cześć, skarbie, co za miła niespodzianka! - zawołał.

- Co u ciebie? - spytała, wyraźnie spięta.

- Wszystko w porządku, żyję jak w niebie. Kiedy przyjedziesz?

- Może prędzej, niż myślisz...

- Naprawdę?

- Gdy widzieliśmy się ostatni raz, podziękowałeś mi, że zawsze jestem przy tobie, kiedy mnie potrzebujesz, pamiętasz?

- Oczywiście! Po to są przyjaciele. Masz jakieś kłopoty, kochanie?

- Tak. Teraz to ja potrzebuję ciebie. Luce nagle zakręciło się w głowie.

- Tak? Co się dzieje?

- Miles ma romans.

Luca o mały włos nie roześmiał się z niedowierzaniem, lecz w głosie Frei brzmiała nuta tak wielkiego zdenerwowania, że szybko zapanował nad sobą.

- Jesteś pewna?

- Nie mam żadnych wątpliwości. Co powinnam robić?

Nie był to odpowiedni moment, żeby powiedzieć jej o Cosimie.

- Przyjedź tutaj, naturalnie!

- Ale co z dziećmi?

- Na kilka dni zostaną pod opieką niani, nic im się nie stanie. Powiedz Milesowi, że dajesz mu czas na zakończenie tamtego związku. Oczywiście z oburzeniem zaprzeczy, że w ogóle ma romans, ale jeśli jesteś pewna, zostaw go ten jeden, jedyny raz. Jeżeli będziesz musiała zostawić go po raz drugi, nie powinnaś już do niego wracać.

24

Fiyona zdjęła klapki i zanurzyła stopę w wodzie. Nanni zauważył, że paznokcie pomalowane miała czarnym lakierem, i poczuł, jak jego rozleniwione lędźwie przenika dreszcz podniecenia. Z trudem łapał oddech po spacerze na odludną plażę, usiłował jednak udawać, że kosztowało go to tyle samo wysiłku, ile Fiyonę.

- Mam słabość do cudzoziemców - wyznała szczerze, podwijając sarong i wchodząc nieco głębiej w fale. - Nie wiem, czy to kwestia obcego języka, czy po prostu fakt, że cudzoziemcy rzeczywiście są inni... Włosi są dobrymi kochankami. W sposobie ich poruszania się jest coś poetyckiego, nawet jeżeli są otyli i leniwi, poza tym czerpią przyjemność z dawania przyjemności, a to bardzo mi się podoba. Generalnie mężczyźni są potwornymi egoistami i zabiegają tylko o to, żeby fiut jak najszybciej im stanął.

Nanni pośpiesznie otarł spocone czoło chusteczką. Fiyona obrzuciła go przyjaznym spojrzeniem.

- Nie stój tak na tych kamykach, lepiej wejdź do wody.

- Jestem zwierzęciem lądowym - odparł, patrząc z tęsknotą na chłodną wodę, ale wstydząc się rozebrać.

- Umiesz pływać?

- Oczywiście! Mam jednak sporą masę i poszedłbym na dno jak „Titanic".

- Więc zdejmij buty i podejdź tutaj. Wyglądasz, jakbyś lada chwila miał eksplodować!

Urażony jej słowami, zrzucił buty i skarpetki, podwinął spodnie, odsłaniając białe łydki, i ostrożnie wszedł do wody. Krzyknął nerwowo, kiedy jego organizm odnotował różnicę temperatur.

- Założę się, że od razu czujesz się lepiej! - Fiyona uśmiechnęła się zachęcająco.

- Serce z pewnością bije mi teraz dziesięć razy szybciej! Jeżeli dostanę zawału, ty będziesz temu winna!

- Jeżeli dostaniesz zawału, nie będziesz mógł kogokolwiek za to obwinie.

Podeszła do niego, zanurzyła dłonie w wodzie, a kiedy zziębły, przyłożyła je do jego rozognionych policzków. Nanni szarpnął się do tyłu.

- Daj spokój, przecież to bardzo przyjemne, może nie?

- Ale trochę niespodziewane...

- Najlepsze rzeczy w życiu są niespodziewane. Parę lat temu umarłam, wiesz? Tak, wiem, że brzmi to dziwnie, ale tak było. Podobno powinnam była doznać poważnych uszkodzeń mózgu, bo długo nie oddychałam, lecz nic mi się nie stało. Niewykluczone, że był to cud. Tak czy inaczej, teraz chwytam życie za jaja. - Położyła dłoń na jego rozporku. -Jeśli ktoś mi się podoba, idę z nim do łóżka. Nie czekam na Tego Jedynego, ale świetnie się bawię, rozglądając się za nim. Nie udawaj, że nie wpadłam ci w oko! Przyjechałam tu tylko na ten weekend i zamierzam wykorzystać wszystkie przyjemne możliwości do maksimum. Jesteś inteligentnym facetem, uwielbiam takich.

Pamięć natychmiast podsunęła Nanniemu wspomnienie rudowłosej dziewczyny, w której podkochiwał się w szkole. Też była śmiała i zalotna i czasami po mszy chwytała go za kołnierzyk koszuli i wciągała za fontannę, gdzie całowała się z nim bez końca, głównie po to, aby odhaczyć kolejnego chłopaka na swojej liście podbojów.

Fiyona otworzyła szeroko hipnotyzujące zielone oczy.

- Mamy trochę czasu, żeby zabawić się przed lunchem? -spytała słodko.

Luca usiadł obok matki w salonie.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekł. - Chodzi o Freyę... Podejrzewa, że Miles ma romans. Poradziłem jej, żeby jak najszybciej tu przyjechała. Dobrze zrobiłem?

- Oczywiście! Powinna od razu go zostawić!

- Milesowi przyda się chwila otrzeźwienia. Nie ma pojęcia, jaki z niego szczęściarz, że ożenił się z Freyą...

- Zawsze miałeś do niej słabość!

- Nadal bardzo ją lubię i dlatego chcę jej pomóc.

- Może przyjechałaby razem z matką? W trudnych chwilach dziewczyna zawsze powinna mieć przy sobie matkę.

Romina już wybiegła myślami daleko naprzód, oceniając szanse swojego syna na spokojne życie u boku Frei.

- Tak, to dobry pomysł - podjęła po chwili. - Zaraz zadzwonię do Rosemary i zaproszę je obie.

- Narobisz w ten sposób sporo zamieszania. - Luca pomyślał o Fitzu i Albie, którzy spotkaliby się po trzydziestu latach.

Romina zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem...

- Nie przejmuj się, czasami wszystkim przydaje się odrobina adrenaliny! Ja z przyjemnością poobserwuję całą tę sytuację!

Matka nadal patrzyła na niego ze zdziwieniem, zanim jednak zdążyła zadać następne pytanie, w drzwiach salonu stanął Bill.

- A, tu jesteś, kochanie! - Wyciągnął dłoń, na której spoczywał mały złoty kolczyk. - Znalazłem ten drobiazg w domku w ogrodzie! Moim zdaniem to ważny dowód w sprawie!

Luca natychmiast rozpoznał jeden z kolczyków Cosimy i wstrzymał oddech.

-Cóż, teraz mamy już pewność, że intruz jest kobietą. - Romina oglądała kolczyk z bliska.

- Chyba że jest to kolczyk do nosa! - rzucił żartobliwie Luca. - Mogę zobaczyć?

- Szkoda, że nie można przeprowadzić badania DNA!

- Jest tak mały, że mógł leżeć tam od wielu lat - powiedział Luca.

Bill potrząsnął głową.

- Mocno wątpię! Leżał na dywanie przy łóżku. Z całą pewnością ktoś upuścił go tam całkiem niedawno.

- Musimy więc znaleźć osobę, która nosi tylko jeden kolczyk - rzekła Romina. - Pozostawiam to w twoich rękach, Sherlocku!

- Musisz ją znaleźć, Luca, poważnie! - powiedział Bill. -Dlaczego nie sypiasz w domku?

- Myślałem, że mama nie chce, aby ktokolwiek tam spał.

- Zmieniłam zdanie! Gdzie byłeś wczoraj w nocy?

- Poza domem.

- Z przyjaciółką?

- Tak.

- Z Cosimą?

- Jakim cudem zgadłaś?

- Rosa mówiła, że jej kuzynka wróciła do domu o czwartej rano, a ciebie słyszałam na podjeździe parę minut po czwartej. Nie trzeba potężnego intelektu, żeby dodać dwa do dwóch.

- Więc Rosa też dokonała tej kalkulacji? -Niewątpliwie!

- Muszę zadzwonić do Cosimy.

- Chwileczkę, kochanie! Mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- Jasne!

- Chodzi mi o ten artykuł dla „Sunday Timesa". Rosa zasugerowała Fiyonie, że zamachu na *marchese* dokonało dwóch ludzi, tymczasem wszyscy powtarzają, że był tylko jeden morderca, brat Valentiny, Falco. Byłoby zabawnie, gdybyśmy

odkryli, że miał wspólnika, nie sądzisz? To by nadało artykułowi posmak prawdziwej sensacji!

- Rosa gada, co jej ślina na język przyniesie i zawsze chętnie dramatyzuje!

- Cosima na pewno wie, jak naprawdę było. Teraz, kiedy masz z nią romansik, mógłbyś ją chyba trochę podpytać. I jak najszybciej złap intruza, skarbie, bo powoli stajesz się równie nieskuteczny jak policja! Jeszcze parę dni, i rozchoruję się ze zniecierpliwienia i niepokoju. To mój domek, moja radość i duma, i nikomu nie radzę się do niego zbliżać!

Luca milczał. Nie miał zamiaru narażać się na bezsensowne dyskusje z matką.

Kiedy wziął do ręki swoją komórkę, aparat rozdzwonił się głośno.

- Cosimo, właśnie miałem wybrać twój numer! - powiedział. - Jak się czujesz w ten piękny ranek?

- Rosa wie! Wie o tobie i o brylantach!

- Powoli, powoli, Cosi. Nie ma się czym denerwować! Można by pomyśleć, że przyłapała cię w trakcie napadu na bank!

- Bałam się, że się na mnie rzuci!

- Posłuchaj, kochanie, Rosa ma męża, a ty nie! Jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi, którzy odnaleźli się, i nie ma w tym nic złego! Jeżeli Rosa jest trochę zazdrosna, to już jej problem.

- To chyba ona kręciła się w nocy pod domkiem!

- Tak sądzisz?

- Powiedziała mi, że wie, że jesteśmy ze sobą, ponieważ nas widziała!

- Więc wreszcie znaleźliśmy intruza! - oświadczył pogodnie Luca.

- Intruza?

- To długa historia, opowiem ci ją przy kolacji.

- Nie mam pojęcia, co robiła tam w środku nocy.

- Rosa ma obsesję na punkcie Valentiny, więcej, ona uważa, że jest Valentiną. Może całymi nocami leży na tym łożu i marzy o przygodach, których nigdy nie przeżyje...

- Jest zazdrosna, bo dopatruje się podobieństw między mną i Valentiną. Widzi tylko to, że obie zakochałyśmy się w Anglikach, że dostałyśmy w prezencie brylanty.

- Miejmy nadzieję, że zakończenie naszej historii będzie szczęśliwsze - zauważył trzeźwo Luca. - A przy okazji, mój ojciec znalazł na dywanie twój kolczyk.

- Ach, zastanawiałam się, gdzie się podział!

- Nie noś tego drugiego, jeśli nie chcesz, żeby moja matka to zauważyła i wzięła cię na cel. Przyjadę do trattorii na lunch. Teraz, kiedy wszyscy wiedzą o naszym związku, nie mam zamiaru dłużej spotykać się z tobą włącznie pod osłoną ciemności. Chcę pokazać cię całemu światu, Cosi! Nie, nie protestuj, to na nic się zda! Przyjadę, czy ci się to podoba, czy nie. I bardzo się cieszę, że już nie musimy się ukrywać! Oboje jesteśmy za starzy, żeby bawić się w takie dziecinne gry...

- Może my tak - przerwała mu Cosima. - Ale nie Rosa! Nanni i Fiyona wrócili ze spaceru zarumienieni i spoceni.

Romina obrzuciła brata uważnym spojrzeniem i zorientowała się, że paraliżująca go dotąd inercja zniknęła, wyszedł z ukrycia pewny siebie mężczyzna. Ostrożnie zerknęła na Fiyonę. Nic się nie zmieniło w niedbałej postawie i ogólnie niechlujnym wyglądzie młodej kobiety, sprawiała jednak wrażenie dosyć zadowolonej z siebie.

- *Madonna!* - wymamrotała pod nosem Romina. - Ta dziewczyna jest zwyczajną dziwką!

- Było cudownie - oświadczyła Fiyona, padając na krzesło. - Nic nie może równać się z morzem!

- Tobie też się podobało? - zwróciła się Romina do brata. Nanni popatrzył na nią wzrokiem pełnym poczucia winy.

- Tak... Muszę przebrać się przed lunchem, ten upał jest zabójczy dla człowieka mojej tuszy.

- Morze cię nie ochłodziło? - spytała sarkastycznie.

- Liczyłem na to, ale po wspinaczce pod górę znowu potwornie się spociłem...

Zniknął, zanim Romina zdążyła zasypać go gradem bardziej szczegółowych pytań, a w sypialni pozwolił sobie na szeroki, radosny uśmiech. Kiedy ponad dwadzieścia lat temu ostatni raz uprawiał seks, była to upokarzająca porażka, na jej wspomnienie do tej pory dreszcz przebiegał mu po plecach. Serdecznie życzył tamtej dziewczynie śmierci, bo wtedy cała ta wstydliwa historia umarłaby razem z nią. Od tamtego czasu ze wszystkich sił unikał seksu, lecz Fiyona rozbudziła głęboko ukryte w jego duszy pragnienia i Łazarz powstał z martwych. Nanni nie potrafił właściwie określić, co tak bardzo go w niej pociągało. Może jej swobodne podejście do seksu i całkowicie naturalne zachowanie. Pożądała go i bez pytania wzięła to, na co miała ochotę, a on w pełni zaspokoił jej pragnienia. Z trudem poznawał mężczyznę, który patrzył na niego z lustra. Rozbierając się, ośmielił się pomyśleć, że może chciałaby zrobić to jeszcze raz.

Luca pojechał do miasteczka i zaparkował na placu. Kiedy wysiadał, zauważył Francesca, podskakującego dookoła grupki starszych kobiet, siedzących na ławce pod palmą. Chłopiec dmuchał im w twarze i śmiał się, gdy rozglądały się ze zdziwieniem. Luca pokręcił głową, wyrażając żartobliwą dezaprobatę dla zabaw Francesca. Szczęście matki najwyraźniej uszczęśliwiło małego, ponieważ jego uśmiech był spontaniczny i beztroski. Chłopiec wyczuł obecność Luki, na chwilę przestał dmuchać, popatrzył na niego i wskazał ręką kościół.

Luca wszedł do środka przez duże drzwi. Powietrze w świątyni przesycone było zapachem kadzidła, świece migotały w półmroku jak małe gwiazdy. Nigdzie nie dostrzegł Cosimy, obszedł więc kościół dookoła, zaglądając do malutkich kapliczek w bocznych nawach, gdzie przed wizerunkami świętych także płonęły świece. Dopiero po paru chwilach zobaczył Cosimę z boku głównego oł-

tarza, pogrążoną w rozmowie z księdzem. Siedzieli na ławce i szeptali, prawie stykali się głowami. Obserwował ich przez moment, nie chcąc im przerywać. Wydawało mu się, że usłyszał słowa „Londyn" i „Anglia".

Na jego widok Cosima zamrugała ze zdziwieniem, powiedziała coś do księdza i podniosła się.

- Mogę przedstawić cię ojcu Felippo, Luca? - Gestem zachęciła go, żeby podszedł.

Ojciec Felippo wstał i ujął dłoń Luki.

- Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, Luca! - rzekł serdecznie. - Cosima dużo mi o panu opowiadała.

Luca nie miał pojęcia, jak należy rozmawiać z księdzem.

- To piękny kościół - zauważył sztywno.

- Dziękuję! Lubimy ten kościół, prawda, Cosimo?

- Tak... To miejsce, gdzie można znaleźć pociechę i wielki spokój - odparła, uśmiechając się do Luki.

- Nie chciałem przeszkadzać - wyjaśnił.

- Już skończyliśmy. - Ojciec Felippo odwrócił się do Cosimy. - Czy tak?

Skinęła głową.

- Dziękuję... Chodź, Luca, pora na lunch! Ruszyli w stronę drzwi.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - spytała.

- Francesco mi pokazał...

- Francesco?

-Tak. Straszył trzy starsze panie, dmuchając im w twarze. - Luca lekko wzruszył ramionami. - Wskazał mi kościół, więc zrozumiałem, że tu cię znajdę. Jest bardzo pożyteczny.

Cosima całym sercem pragnęła mu uwierzyć, ale że sama nie mogła zobaczyć Francesca, wciąż ogarniały ją wątpliwości.

- Tak bardzo chciałabym go przytulić - powiedziała cicho.

- Francesco jest duchem, Cosi. Będziesz mogła go przytulić dopiero wtedy, gdy do niego dołączysz.

W milczeniu przecięli placyk. Francesco zniknął. Staruszki nadal plotkowały na ławce, jakby nic się nie zdarzyło.

- Chcę ci wierzyć, naprawdę - odezwała się Cosima. - Nie jestem jednak pewna, czy nie mówisz mi tego, co chcę usłyszeć, żeby mnie uszczęśliwić. Może to wszystko tylko gra dzięki której mam się w tobie zakochać.

Luca był wstrząśnięty, że Cosima wciąż mu nie wierzy.

- O czym rozmawiałaś z ojcem Felippo? - zapytał po chwili.

- O niczym ważnym! - W jej oczach pojawiły się łzy. -Dlaczego tylko ty go widzisz? Dlaczego nie ja?

Luca mocno chwycił ją za ramiona.

- Nie wiem, kochanie. Nie wątp w moje słowa, proszę cię! Dałbym wszystko, żeby dowieść ci, że mówię prawdę, ale nie potrafię.

- Może Francesco powiedziałby ci coś, o czym wiemy tylko on i ja?

- Francesco w ogóle nie mówi! To mały chłopiec i pewnie jest tak samo zagubiony jak my! Najprawdopodobniej nie przyszło mu nawet do głowy, że powinien w jakiś sposób przekonać cię, że nadal żyje... Jedyne, czego chce, to być blisko ciebie!

- A ja chcę być blisko niego. - Rozejrzała się dookoła. -Gdzie on teraz jest?

- Nie widzę go.

- Nie widzisz? Dlaczego? Dlaczego widzisz go tylko wtedy, gdy jesteś sam, beze mnie? Jeżeli naprawdę go widzisz, sprowadź go tutaj i porozmawiaj z nim!

Luca patrzył na nią w milczeniu, ze smutkiem w oczach.

- Nie mogę - przyznał. - Wszystko to jest dla mnie zupełnie nowe, ja też nie wiem, jak to się dzieje.

Nagle w głowie zaświtał mu szalony pomysł.

- Chodź! - zawołał, chwytając ją za rękę i prawie ciągnąc przez plac w kierunku trzech starych kobiet. - Zapytamy je!

- Pomyślą, że oszalałeś!

- Mogą sobie myśleć, co im się podoba!

Staruszki przerwały rozmowę i z zaciekawieniem patrzyły na młodych ludzi. Cosima skrzywiła się, skrępowana i przestraszona, natomiast Luca przedstawił się, ani na chwilę nie tracąc pewności siebie.

- Dzień dobry paniom. - Ukłonił się. - Nazywam się Luca Chancellor. Przepraszam, że zakłócam paniom spokój, na dodatek pytanie, które chciałbym paniom zadać, jest co najmniej dziwne...

Trzy wdowy przyglądały mu się bez słowa, z takim wyrazem twarzy, jakby nagle ujrzały przed sobą przybysza z kosmosu.

- Czy parę minut temu nie miałyście panie wrażenia, że ktoś dmucha wam w twarz? Zdaję sobie sprawę, że brzmi to dziwacznie, ale naprawdę bardzo zależy mi na odpowiedzi.

Naj szczupłej sza staruszka zaczęła ssać bezzębne dziąsła, a najtęższa zamamrotała coś pod nosem. Trzecia uśmiechnęła się, ukazując pełny zestaw drobnych, pożółkłych zębów.

- A więc to ty, łobuzie! - zachichotała. - Gdybyś nie był taki przystojny, stłukłabym cię moją torebką!

Ta szczupła wychyliła się do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się Luce.

- To pan na nas dmuchał? - zapytała groźnie. - To bardzo niegrzecznie, chyba pan wie.

- To nie byłem ja, słowo honoru! - Luca cofnął się o krok. - To był duch, ale moja przyjaciółka nie chce mi uwierzyć.

- Duch?! - wykrzyknęły zgodnym chórem, wymieniając pełne podniecenia spojrzenia.

- I co, teraz mi wierzysz? - spytał.

- Nie mam innego wyjścia - odparła Cosima. Luca spokojnie zajrzał jej w oczy.

- Nie okłamałbym cię, Cosi. Przyrzekam, że nigdy cię nie okłamię!

W milczeniu szli wzdłuż nabrzeża. Kiedy byli blisko trat-torii, Cosima zesztywniała na widok Rosy, która stała na tarasie oparta o stolik, zajęta wesołą rozmową z młodymi mężczyznami. Miała na sobie czerwoną, mocno wydekoltowaną sukienkę.

Weszli na taras, lecz Luca nie puścił ręki Cosimy. Rosa podniosła wzrok i zauważyła ich mocno splecione dłonie i bliskość ciał. Zmusiła się do uśmiechu, usiłowała lekko potraktować całą sytuację.

- Szkoda, że nie możecie się zobaczyć! - zawołała. - Gdybym nie miała męża, byłabym zazdrosna!

- Może zjesz z nami lunch?
Rosa zrobiła zabawną minę.

- Marzenie ściętej głowy! Widzicie chyba, że pracuję! Nie, zjedzcie lunch we dwoje, ostatecznie musicie jeszcze trochę lepiej się poznać! - Wskazała stolik w rogu tarasu. - Tam jest najspokojniej, nikt nie będzie was podsłuchiwał.

- Dziękuję, Roso! - powiedziała szczerze Cosima.

- No, przecież to ja poznałam was ze sobą! Gdyby nie moja interwencja, dalej płakałabyś w swojej izdebce jak jakaś staruszka! - wymierzyła zakończony szkarłatnym paznokciem palec prosto w twarz Luki. - A ty nadal rozmyślałbyś o swoim rozwodzie! Cieszę się ze względu na was i na siebie, ponieważ ten dobry uczynek wymazał być może część popełnionych przeze mnie w przeszłości grze-

szków i dzięki niemu po śmierci pójdę do nieba. Siadajcie i jedzcie, Alfonso przygotował wspaniałego homara!

Weszła do kuchni i usiadła przy małym drewnianym stoliku.

- Romano, przynieś mi kieliszek wina, dobrze?

- Dobrze się czujesz, Roso? - spytał Alfonso, ponieważ młoda kobieta gwałtownie zbladła.

- Nic mi nie jest.

Romano podsunął jej kieliszek i napełnił go winem. Rosa szybko upiła duży łyk.

- Od razu mi lepiej! - Bezradnie pokręciła głową. - Niektórzy ludzie mają cholerne szczęście!

Po kolacji Fiyona zamówiła taksówkę do miasteczka, przypomniawszy wcześniej Rominie, że umówiła się z Fierem.

- Teraz już wiem, dlaczego tak dobrze mówi po włosku -powiedziała Romina do Ma. - Sypia ze wszystkimi kelnerami, ot, i wszystko!

- Twojego brata czeka poważny zawód... - Ma pokiwała głową. - Ta dziewczyna wprawiła go w ogromne podniecenie.

- Coś musiało obudzić go do życia, szkoda tylko, że trafił akurat na dziwkę!

- Ona jest jak zwierzę! - prychnęła pogardliwie Ma. -Atakuje wszystko, co się rusza!

- Zwłaszcza jeżeli to „coś" nie rusza się zbyt szybko, tak jak Nanni.

- Machnij na niego ręką, jeżeli dzięki temu dziewczyna napisze dobry artykuł!

Romina zerknęła na brata, który siedział na tarasie ze szklaneczką whisky w ręku.

- Mam nadzieję, że nas nie zawiódł - mruknęła.

- Och, nie wydaje mi się, żeby Fiyona była szczególnie wybredna!

- Przecież Nanni w ogóle nie jest seksowny, w każdym razie ja tego nie widzę.

Ma w zamyśleniu zmrużyła oczy.

- No, nie wiem... Każda potwora znajdzie swego amatora, nie sądzisz?

- I nawet ty masz swojego potwora, Ma? Starsza pani uśmiechnęła się ironicznie.

- Jestem zdecydowanie zbyt uduchowiona, żeby delektować się ziemskimi rozkoszami...

- Ziemskie rozkosze to wszystko, na co możemy liczyć! Chwytaj dzień, moja droga!

25

Było ciemno. Słony wiatr ciągnął od morza i zimnymi palcami przeczesywał włosy Rosy, gdy szła przed siebie kamienistą plażą, mrużąc załzawione oczy. Słyszała dalekie odgłosy przyjęcia, nagłe wybuchy śmiechu, wesołe dźwięki, które z całym okrucieństwem podkreślały jej niezadowolenie z życia i samotność. Usiadła na plaży, ciaśniej otuliła się swetrem i utkwiła wzrok w morzu. Gwiazdy migotały jak robaczki świętojańskie, księżyc lśnił na niebie, rozświetlając powierzchnię morza i linię horyzontu.

Miałam mieć lepsze, ciekawsze życie - myślała Rosa. - Nie powinnam mieszkać w małym miasteczku, nie powinnam żyć i umierać na uboczu świata! Teraz Cosima kradnie życie, które miało być moim udziałem! Wyjedzie do Londynu i będzie podróżować po świecie, nosić drogie ubrania i brylanty... Rozczarowana i wściekła, chwyciła kamyk i rzuciła go do wody, gdzie wylądował z głośnym, satysfakcjonującym plu-śnięciem.

Kątem oka zauważyła niewyraźną postać po drugiej stronie plaży. Upuściła kamyk, który przed sekundą podniosła i wytężyła wzrok. Mężczyzna... Wyglądał na dziwnie podekscytowanego, chociaż nie mogła dojrzeć jego twarzy. Nagle przyszło jej do głowy, że może zamierza wejść głębiej w fale i utopić się, jak Cosima. Cóż, ona nie miała najmniejszego zamiaru rzucać mu się na ratunek, więc skuliła się, żeby jej nie zauważył. Nerwowo spacerował w tę i z powrotem, po kolana w wodzie. W końcu ruszył w kierunku wąskiej ścieżki, biegnącej w górę, aż do domku w ogrodzie i dalej, do *palazzo*.

Rosa podniosła się i zaciekawiona pośpieszyła za nieznajomym. Znała tę ścieżkę jak własną kieszeń, znała wszystkie jej odcinki i zakręty. Ostrożnie, żeby mężczyzna nie zauważył jej i nie usłyszał, lekko i zwinnie jak kot biegła po kamieniach. Wyglądało na to, że tamten też doskonale znał ścieżkę, bo sprawnie poruszał się w ciemności, nie zatrzymując się ani nie potykając.

Szła za nim w bezpiecznej odległości. Nerwy miała napięte i była gotowa w każdej chwili uskoczyć w krzaki, gdyby się odwrócił, lecz on szedł przed siebie

jak w transie. Można było pomyśleć, że ma wytyczony cel i nic go od tego nie odciągnie.

Wreszcie zniknął między drzewami. Rosa przyczaiła się za dużym krzewem i czekała. Dobiegł ją szelest kroków dookoła domku. Mężczyzna chyba zaglądał przez okna, sprawdzając, czy nikogo nie ma w środku. Nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Wstrzymała oddech, serce mocno biło jej z podniecenia. Miała teraz szansę przeżyć przygodę, niewielką, jasne, ale jednak przygodę. Ostatecznie Valentina sama odmieniła swoje życie, prawda?

Widziała ciepły blask świecy, wypływający spomiędzy deszczułek okiennic, wnikający w ciemność i wyraźnie zdradzający obecność nocnego gościa. Więc jednak domek w ogrodzie rzeczywiście odwiedzał intruz, i wcale nie był to duch... Ale kim był ten mężczyzna i po co tu przyszedł? Czując, jak krew pulsuje jej w skroniach, Rosa objęła palcami klamkę i pchnęła drzwi.

Cosima spała niespokojnie, udręczoną smutkiem i tęsknotą za zmarłym synkiem. W dzień Luca dawał jej odwagę i nadzieję, lecz w nocy napełniała ją tylko rozpacz i uczucie, że powoli spada w przepaść. Luca rzucił jej koło ratunkowe, ale czy potrafi ją uratować? Nie mogła zostawić Francesca. Nic nie mogło skłonić jej do opuszczenia Incantellarii, ponieważ tu spoczywały w ziemi jej wspomnienia. Nie miała cienia wątpliwości, że będzie mieszkała tu do końca życia, z Lucą albo bez niego.

Kiedy wreszcie zapadła w głęboki sen, ogromny spokój uwolnił ją od obrazów, które wciąż podsuwał umysł. Uświadomiła sobie, że ze wszystkich stron otacza ją biel i że w tym niebiańskim świetle wyczuwa obecność syna. Francesco pojawił się przed nią taki, jaki był za życia - z dużymi, roześmianymi oczami, lśniącą opaloną skórą i policzkami o barwie wschodzącego słońca. Przylgnął do niej całym ciałem, a ona objęła go mocno. Czuła mleczno-waniliowy zapach jego włosów, gładką skórę pod wargami, bijące od niego ciepło, i po raz pierwszy od trzech lat była sobą.

Po pewnym czasie Francesco oderwał się od niej i cofnął, wciąż jednak patrzył na nią pełnymi miłości oczami mądrego starego człowieka. . - Musisz wrócić - odezwał się.

- Nie każ mi tego robić!

- Musisz. Twój czas jeszcze nie nadszedł.

- Ale ja chcę zostać z tobą! - błagała.

Uśmiechnął się tak, jakby myśl o tym, że mogliby być rozdzieleni, była najzupełniej absurdalna.

- Przecież wiesz, że zawsze jestem z tobą.

- Nie widzę cię!

- Zaufaj, *mamma...* - Kontury jego ciała powoli zaczęły się rozpływać w jasnym świetle. - Zaufaj...

Wyciągnęła ręce, próbując odnaleźć go w tym blasku.

- Kocham cię, Francesco! Nie zostawiaj mnie, nie mogę bez ciebie żyć! Nie zostawiaj mnie, wróć, proszę!

- Spokojnie, kochanie, spokojnie, to tylko zły sen. - Alba pochylała się nad nią, ubrana w białą nocną koszulę.

Cosima rozejrzała się dookoła z przerażeniem. Francesco zniknął. Alba delikatnie pogłaskała ją po głowie.

- Wszystko w porządku, wszystko w porządku, już się obudziłaś.

- Nie chcę się budzić! - Mocno zacisnęła powieki, siłą woli usiłowała wrócić do dziwnego białego Nieba.

- To był sen - powtórzyła Alba.

- Nie, naprawdę go widziałam! Był tutaj... Dotykałam go, czułam jego zapach! - Rozpłakała się.

Gdy Alba zapaliła lampę, Cosima skrzywiła się boleśnie.

- Wyłącz światło!

Alba zignorowała jej żądanie i spokojnie usiadła na brzegu łóżka.

- Francesco naprawdę do mnie przyszedł! - Cosima zacisnęła palce na ramionach Alby i popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. - Luca mówił, że nic na świecie nie może sprawić, żebym znowu poczuła dotyk Francesca, ale on nie docenił mojego synka! Francesco znalazł sposób...

Alba wyłączyła lampę i siedziała przy Cosimie, dopóki ta znowu nie zasnęła. W miarę upływu lat nabierała coraz mocniejszego przekonania, że świat duchowy oddziela od świata fizycznego bardzo cienka granica. Dobrze pamiętała wyraźne uczucie obecności ducha Valentiny w domu, kiedy przyjechała tu wiele lat temu, pamiętała też nieodparte wrażenie, że jej matka odeszła gdzieś dalej, gdy Immacolata w końcu jej na to pozwoliła.

Położyła się obok Panfila, którego nie obudził niespokojny głos Cosimy ani jej płacz. Umysł Alby przeskakiwał od jednej myśli do drugiej, powoli odpływając w sen. Nagle usłyszała cichy śpiew, czy raczej ledwo dosłyszalnie nuconą melodię. Mógł to być szmer wiatru albo odległe pohukiwanie sowy, lecz dźwięk stopniowo zyskiwał na sile. Zaintrygowana, podniosła się i podeszła do okna. Prowadzącą do domu ścieżką lekkim, sprężystym krokiem szła Rosa. Alba gwałtownie wstrzymała oddech. Była wstrząśnięta. W pierwszej chwili pomyślała o Eugeniu. Gdyby dowiedział się, że jego żona wróciła do domu nad ranem, doszłoby do potwornej awantury.

Alba pośpiesznie narzuciła na ramiona szlafrok i zbiegła na dół. Przyłapała Rosę w chwili, gdy ta niczym złodziej wślizgiwała się do domu bocznym wejściem.

- Gdzie ty byłaś, na miłość boską?! - wysyczała Alba, opierając dłonie na biodrach.

Jej twarz świeciła bielą w promieniach księżyca, wpadających do środka przez kuchenne okna.

- Na spacerze...

- O tej porze?!

- To moja ulubiona pora.

- Upiłaś się!

- Nieprawda, nie wypiłam ani kropli alkoholu! - Rosa uśmiechnęła się tajemniczo. - Jestem po prostu szczęśliwa!

- Z jakiego niby powodu?! Twój mąż leży samotnie w łóżku, a twoje dzieci...

- Nigdy nie budzą się w nocy - weszła jej w słowo Rosa.

- Ale zawsze istnieje możliwość, że jednak się obudzą, i co wtedy? Eugenio nie wiedziałby, gdzie się podziałaś!

- Prawie co noc wychodzę na spacer. - Rosa oparła się o kuchenny blat i założyła ramiona na piersi. - Uwielbiam chodzić w ciemności po klifach i po plaży. Czuję się wtedy szczęśliwa, *mamma.* Wymykam się z tego klaustrofobicznego domu i wreszcie mogę odetchnąć pełną piersią. Jednak jeszcze nigdy nie czułam się tak jak dziś. Nawet nie przypuszczałam, że mogę być tak szczęśliwa!

Przez twarz Alby przemknął mroczny cień.

- Z kim byłaś?

- Z nikim. Z duchami.

- Co ty wygadujesz, na Boga?!

- Byłam z duchami - powtórzyła powoli Rosa i potrząsnęła głową, jakby matka była zbyt głupia, aby zrozumieć. - Nie przejmuj się, trochę sobie żartuję! Jestem okropnie zmęczona. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdę się położyć.

- Oby tylko Eugenio nie przyłapał cię na tych nocnych wędrówkach!

- Eugenio zawsze śpi jak zabity.

- Uważaj, bo któregoś dnia może się jednak ocknąć i wtedy będziesz miała poważne kłopoty!

- Wiem, jak poradzić sobie z moim mężem! Wszyscy faceci są tacy sami.

Alba z troską popatrzyła na nadąsaną córkę.

- Problem z tobą polega na tym, że w ogóle nie doceniasz tego, co masz... - Westchnęła.

- Skąd możesz wiedzieć? Nigdy mnie o nic nie pytasz! Wiecznie myślisz tylko o Cosimie! Cosima to, Cosima tamto... Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz zapytałaś, jak ja się czuję! Nieważne, to bez znaczenia. - Rosa ruszyła w stronę schodów. - A skoro już mówimy o Cosimie, ona i Luca są kochankami.

- Wiem.

- Jakżeby inaczej, wy dwie jesteście sobie takie bliskie! -Rosa ruszyła na górę, zostawiając za sobą rozwścieczoną Albę.

- Możesz sobie myśleć, co ci się podoba, ale jestem twoją matką, a to jest mój dom! Spróbuj zobaczyć coś więcej poza czubkiem własnego nosa, Roso! Zawsze byłaś straszną egoistką!

Rosa miała wielką ochotę trzasnąć z rozmachem drzwiami łazienki, nie chciała jednak obudzić Eugenia. Oparła dłonie na brzegu umywalki i wciągnęła powietrze, gniewnie rozdymając nozdrza. Jak matka śmiała odzywać się do niej w taki sposób?! Wcale nie była egoistką! Chciała być tylko w centrum świata Alby i chyba jako jej córka miała prawo do tej pozycji, prawda? Sęk w tym, że od śmierci Francesca miejsce to zajmowała Cosima... Popatrzyła na swoją twarz w lustrze i ujrzała Valentine.

Istniało pewne prawdopodobieństwo, że Cosima wyjedzie do Anglii z Lucą. I bardzo dobrze, niech go sobie bierze! Rosa już go nie potrzebowała, bo dzisiejszej nocy odkryła, że wszystko, czego mogłaby zapragnąć, jest tutaj, w Incantellarii, i zawsze tu było.

Znowu wślizgnęła się do łóżka, przekonana, że mąż śpi i że nie słyszał jej rozmowy z matką. I znowu serce Eugenia ściskało się z bólu, roniąc krwawe łzy.

Następnego dnia była niedziela. Rosa nuciła przez całe śniadanie, a tajemniczy uśmiech ani na chwilę nie znikał z jej ust, natomiast Cosima jadła w milcze-

niu, wszystkimi zmysłami trzymając się świeżego wspomnienia snu o Francescu. Panfilo poszedł na mszę z Totem, Beatą, Rosą, Eugeniem oraz ich dziećmi i kuzynami, podczas gdy Alba została w domu z Cosimą, która planowała już następne spotkanie z Lucą.

Panfilo z czułością ucałował żonę, radząc jej, aby zapomniała o kłótni z Rosą.

- Nie mam pojęcia, po kim nasza córka dziedziczy te buntownicze geny! - Uśmiech pogłębił zmarszczki, rysujące się na jego przystojnej twarzy.

- Ale ja złagodniałam z czasem. - Alba uśmiechnęła się niechętnie.

- Rosa też złagodnieje. Jest młoda i gwałtowna. Porozmawiamy o tym później, ale może potrzebuje własnego domu...

- I utrzyma ten dom z pensji policjanta?

- Nie, z mojej!

W głębi duszy Alba wcale nie chciała, aby Rosa i Eugenio wyprowadzili się i przy każdej wzmiance o takiej możliwości wymyślała mnóstwo przeszkód, które jakoby przekreślały to rozwiązanie. Wciąż powtarzała młodym, aby zaczekali, aż zgromadzą dość pieniędzy na ładny duży dom, a gdy Panfilo proponował, że pomoże im finansowo, mówiła, że zrani to dumę Eugenia. Poza tym wygodnie jest przecież mieć opiekunkę do dzieci na zawołanie, prawda? Trójka dzieci to spora gromadka, ale obecność gotowej do pomocy babci sprawiała, że ciężar ten był o wiele łatwiejszy do udźwignięcia. We Włoszech wielopokoleniowe rodziny często mieszkały razem, taka była tu tradycja. Immacolata żyła w ten sposób i Alba poszła w jej ślady, nie chciała jednak przyznać się nawet przed sobą do strachu, że bez córki i jej dzieci dom wyda się pusty i samotny, zwłaszcza że Panfilo dużo podróżował. Rodzina Rosy stała się częścią jej życia i Alba szczerze cieszyła się ich towarzystwem. Uwielbiała dzieci, z przyjemnością czytała im bajki na dobranoc i otulała je do snu, lubiła patrzeć, jak bawią się w oliwnym gaju.

Najważniejsze było jednak to, że Rosa, jej mąż i dzieci pomogli jej poradzić sobie ze stratą Francesca. Gdyby nie oni, Alba runęłaby w mroczną otchłań razem z Cosimą. Ponieważ wciąż byli przy niej, nie mogła mówić o własnej rozpa-

czy -zdawała sobie sprawę, że gdyby raz wkroczyła na tę niebezpieczną ścieżkę, mogłaby nigdy nie wrócić do równowagi.

Cosima zmywała naczynia, wciąż rozmyślając o niezwykłym śnie, kiedy w oknie pojawiła się twarz Luki. Wszedł do środka, objął ją i pocałował w policzek. Alba odwróciła się, głęboko poruszona ich wzajemną czułością.

- Chciałbym porwać cię gdzieś na cały dzień, jeżeli twoja rodzina może się bez ciebie obyć - powiedział Luca.

- Jedź, oczywiście! - Alba uśmiechnęła się, dzieląc radość, malującą się na zarumienionej twarzy Cosimy. - Zasługujesz na odrobinę rozrywki!

Luca wypuścił Cosimę z ramion i oparł się o blat.

- Moja matka jest dziś po prostu nieznośna! Musiałem uciec z domu.

- Co jej dolega?

- Perspektywa wizyty Panfila, który ma sfotografować *palazzo,* to więcej, niż jej nerwy są w stanie wytrzymać. Siedzi teraz w pozycji lotosu na tarasie i usiłuje się uspokoić, co nie jest łatwe w sytuacji, gdy mój ojciec i profesor prowadzą ożywioną debatę polityczną przy stoliku obok. - Luca westchnął. -Jutro w pałacu zjawi się cały legion florystów, stylistów, wizażystów oraz ich asystentów, więc też będę musiał ratować się ucieczką!

- Możesz pomóc nam w trattorii - zaproponowała Cosima z uśmiechem. - Zwłaszcza że Rosa chce towarzyszyć ojcu...

- Jakoś w ogóle mnie to nie dziwi!
Alba przypomniała sobie nocną eskapadę córki i przyszło

jej do głowy, że może Cosima i Luca wiedzą coś, o czym ona nie wie.

- Nie wyobrażam sobie, do czego mogłaby mu się przydać! - rzuciła, licząc, że przypadkiem z czymś się zdradzą.

- Rosa jest zafascynowana *paldzzo* - powiedziała Cosima. - Wydaje mi się, że czasami zakrada się do domku w ogrodzie, i to w środku nocy!

- Po co, na miłość boską?

- Może szuka przygód?

- W tym starym, pustym i martwym domku?

- Dla niej to miejsce jest jak najbardziej żywe.

Alba potrząsnęła głową.

- Jestem pewna, że nie masz racji!

- Jednak ktoś rzeczywiście odwiedza domek - odezwał się Luca. - Matka poleciła mi, żebym dowiedział się, kto to taki.

- Rosa zna moje odczucia co do *palazzo!* - Alba zbladła. Nie chciała rozmawiać o pałacu, a tym bardziej wyobrażać sobie, jak córka napawa się tragedią z przeszłości. Rosa wiedziała przecież, że tamta historia to dla niej rzecz święta.

- Matka zaprosiła jeszcze dwoje ludzi - Luca postanowił zmienić temat.

- Pałac do złudzenia przypomina teraz hotel! - rzuciła Alba tonem znacznie ostrzejszym, niż zamierzała.

- Tak, z każdą chwilą staje się coraz bardziej podobny do hotelu albo pensjonatu - zgodził się Luca. - Profesor i Ma Hemple to stali bohaterowie naszej współczesnej historii. Jestem pewny, że spędzą tu całe lato. Naprawdę nie wiem, jak moi rodzice znoszą bezustanne towarzystwo obcych ludzi!

- Kogo teraz zaprosili? - Cosima odstawiała na półkę osuszone talerze.

- Uroczego staruszka, niejakiego Fitzroya Davenporta -powoli i dobitnie powiedział Luca.

Zobaczył, jak Alba otwiera usta ze zdziwienia i nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia. Z premedytacją udawał przecież, że nie zna jej historii.

- Fitzroya Davenporta?

- Tak - odparł Luca. - Zna go pani?

- Tak. Byliśmy kochankami.

Cosima utkwiła w ciotce zdumione spojrzenie. Luce szczerość Alby wydała się zupełnie rozbrajająca.

- Kochankami? Kiedy? Alba się roześmiała.

- Och, zanim poznałam Panfila, rzecz jasna! Kiedy byłaś małą dziewczynką... Dokonałam wtedy bardzo mądrego wyboru i nigdy ani przez chwilę tego nie żałowałam. Musiałam zdecydować, Cosimo - albo ty, albo Fitz. Nie mogłam mieć was obojga!

- Biedny Fitz - rzekł Luca.

- Cóż, po pewnym czasie ożenił się z inną! Kto to jest?

- Ma na imię Rosemary - odparł. - Jest bardzo... Bardzo energiczna i niezwykle witalna.

- Czyli taka, która rozpycha się w życiu łokciami! Że też Fitz wybrał sobie akurat taką żonę! Niestety, zawsze wydawało mi się, że ma skłonność do tego typu kobiet... Kiedy przyjeżdżają?

- W przyszły weekend.

- Nie mogę się już doczekać po tylu latach! Założę się, że zdziwi się na mój widok!

Luca przypomniał sobie wyraz tęsknoty malujący się na twarzy Fitza i jego pełen czułości ton głosu, gdy mówił o Albie.

- Będzie miło zaskoczony - powiedział z naciskiem. Zrobiło mu się żal Rosemary, ponieważ Alba była o wiele piękniejsza od niej, ale nie odezwał się więcej. Po chwili wyszedł z Cosimą na słońce. Ostrzegł Albę i doszedł do wniosku, że zrobił tyle, ile należało. Nie powinien mieszać się w sprawy, które w ogóle go nie dotyczyły.

Wyciągnęli się na trawie pod starą wartownią. Cosima była dziwnie roztargniona, wydawało się, że błądzi myślami gdzie indziej. Luca przeczesał palcami jej włosy i pocałował ją w szyję.

- O czym myślisz?

- Miałam w nocy sen - odparła, uśmiechając się nieśmiało. - Nie wiem, jak go rozumieć.

- Opowiedz mi.

- Śnił mi się Francesco.

26

Nanni i Fiyona postąpili zgodnie z zaleceniami Caradoca i usiedli na ławce na placyku przed kościołem. Słońce świeciło jasno, ptaki ćwierkały na drzewach albo skakały po trawie, wydziobując okruszki rozsypane dla nich przez dzieci, a dzwon wzywał ludzi na niedzielną mszę. Starsi mężczyźni i kobiety, jedni i drudzy w czerni, pojawiali się na skwerze jak wyłażące spod skał kraby, z głowami okrytymi czarnymi kapeluszami lub szalami, z wystającymi z kieszeni różańcami. Młode pary przechodziły szybkim krokiem ze swoimi pociechami, dziewczynkami w świątecznych sukienkach i wypucowanymi do czysta chłopcami. Miało się wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Incantellarii śpieszyli do kościoła. Zamknięte było wszystko poza hotelem, pod którym na taksówkę czekało dwoje amerykańskich turystów z przewieszonymi przez ramię aparatami fotograficznymi, pochłoniętych przeglądaniem przewodnika po południowych Włoszech.

Fiyona i Nanni czekali, podobni do pary hien. Przy Fiyonie Nanni był całkowicie odmieniony. Czuł się męski i seksowny, bez zahamowań pokazywał światu swój duży brzuch i palił cygaro. Fiyona wydawała się trochę bardziej zainteresowana młodymi mężczyznami, ciemnowłosymi i przystojnymi, emanującymi typową dla południowców aurą zmysłowości. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy obrzucała ich gorącymi spojrzeniami, a oni uśmiechali się w odpowiedzi, natychmiast rozpoznając widoczną w jej oczach dostępność, coś jak tabliczka z napisem „Otwarte", którą wywiesza się na drzwiach sklepu.

Fiyona wetknęła papierosa między wargi i zapaliła, wypuszczając smużkę dymu z boku ust.

- W tym miasteczku aż roi się od starych ludzi - odezwała się. - I wszyscy oni na pewno coś wiedzą.

- Musimy znaleźć odpowiednią osobę - odparł Nanni. -Nie sądzę, żeby wszyscy chcieli z nami rozmawiać, ludzie z południa są ostrożni.

- Za to młodzi są otwarci - zauważyła Fiyona, myśląc o Fierze i ich bezwstydnym flircie.

- Ale młodzi nie przeżyli wojny!

- Czy twoja siostra znała historię *palazzo,* kiedy go kupowała?

- Oboje zakochali się w tej posiadłości i jej historia w najmniejszym stopniu ich nie interesowała.

- Teraz ich interesuje...

- Teraz interesuje wszystkich. - Nanni strząsnął popiół z cygara na ziemię.

- I siostrze nie przeszkadza, że w jej domu zamordowany został stary człowiek?

- Dlaczego miałoby przeszkadzać? Zdarzyło się tak dawno temu.

- Ciekawe, co Alba i jej rodzina myślą o tym, że twoja siostra odnowiła pałac!

- Gdyby Alba była przewrażliwiona na tym punkcie, na pewno by tu teraz nie mieszkała. Przecież ona w ogóle nie znała swojej matki, bo Valentina zginęła, gdy Alba była niemowlęciem!

- Ale jej wuj był mordercą.

- Zemścił się za śmierć siostry.

- Morderca to morderca. Założę się, że wolałaby, żeby ludzie zapomnieli o tych wydarzeniach.

- Pamiętaj, że Falco nigdy nie został formalnie oskarżony o morderstwo! Policja przyjęła, że była to sprawka mafii i dochodzenie zamknięto.

- Falco zrobił to sam czy miał wspólnika, jak myślisz? -Fiyona przypomniała sobie podejrzane przejęzyczenie Rosy.

- Ilu ludzi trzeba, żeby zabić jednego markiza? - Nanni się zaśmiał. - Może było ich trzech, kto wie.

- Ja chcę wiedzieć - powiedziała z naciskiem Fiyona. - Lubię sprawdzać fakty i prostować zasłyszane wiadomości! Właśnie to sprawia, że jestem dobrą dziennikarką!

- Z całą pewnością jest to niezwykle pozytywna cecha... Większość znanych mi dziennikarzy najzwyczajniej w świecie zmyśla i kłamie!

Po mszy wszyscy wylegli z kościoła na plac i szybko się rozeszli. Fiyona daremnie rozglądała się za chętnymi do rozmowy, próbowała nawet zagadnąć parę osób, lecz mieszkańcy Incantellarii patrzyli na nią z mieszanką oburzenia i przerażenia i odchodzili, mamrocząc pod nosem.

- Nie będzie łatwo - westchnęła.

- Mówiłem ci, że nikt nie chce rozmawiać z obcymi.

- Więc jak udało się to twojemu siostrzeńcowi? - Fiyona podjęła jeszcze jedną nieskuteczną próbę i nagle jej wzrok zatrzymał się na znajomej twarzy. - Rosa! - zawołała i pomachała do niej.

Rosa oderwała się od rodzinnej grupy.

- Witaj, Fiyono! Co tu robisz?

- Byłam na mszy - odparła Fiyona. Rosa uniosła brwi.

- To jest Nanni, brat Rominy. Rosa potrząsnęła dłonią Nanniego.

- A to twoje dzieci? - spytała Fiyona, gdy krewni Rosy ją dogonili.

- Tak, to moje dzieci i mój mąż Eugenio. A to mój ojciec Panfilo, mój wuj Toto, jego żona Paola i jego matka Beata.

- Masz dużą rodzinę. - Fiyona przywołała na twarz swój najcieplejszy uśmiech.

- Nie poznałaś nawet połowy mojej rodziny! — Rosa się roześmiała. - Zajmujemy prawie cały kościół!

- Mieszkacie tutaj, w miasteczku?

- Tuż pod Incantellarią, w tym samym domu, gdzie kiedyś mieszkała Valentina - odrzekła Rosa, starając się, aby Beata jej nie usłyszała.

- W tym eleganckim stroju jesteś do niej jeszcze bardziej podobna. - Fiyona uważała, że mały komplement nigdy nie zaszkodzi.

- Miałabyś ochotę wpaść do nas na drinka? - zapytała Rosa.

- Z przyjemnością! Mogę zabrać ze sobą Nanniego?

- Oczywiście! - Rosa odwróciła się do ojca. - Zaprosiłam ich do domu na drinka.

Panfilo spochmurniał.

- Nie patrz tak na mnie, tato! - Rosa rzuciła Fiyonie przepraszające spojrzenie. - Moja matka nie lubi mówić o *palazzo*.

Fiyona natychmiast spotęgowała działanie swojego uroku osobistego.

- Proszę się nie przejmować, nie chcemy się narzucać -powiedziała. - Bardzo miło nam było wszystkich was poznać! Ma pan cudowną, wspaniałą rodzinę, Panfilo! Musi pan być z niej bardzo dumny.

Panfilo poczuł się zażenowany. Nie umiał być nieuprzejmy, nie leżało to w jego naturze.

- Nie, nie, w żadnym razie się nie narzucacie! - rzekł szybko. - Serdecznie zapraszam do naszego domu!

Fiyona kątem oka pochwyciła spojrzenie Nanniego, wsunęła rękę pod ramię Rosy i ruszyła w stronę samochodu Panfila.

Alba posprzątała zabawki dzieci, poskładała ich ubrania i schowała do szuflady pozostawione na stole ołówki oraz książki. Potem postanowiła przejść się do starej wartowni, gdzie pod oliwnym drzewem leżała jej matka.

Wspominała, jak szła tą samą ścieżką jako młoda dziewczyna, marząc o Fitzu, i starała się dokonać trudnego wyboru, czy zostać we Włoszech z Cosimą, czy wrócić do Anglii z Fitzem. Jakiś drapieżny ptak zataczał kręgi wysoko nad jej głową, szukając wzrokiem myszy albo królików. Alba odetchnęła zapachem dzikiego tymianku i rozmarynu, ogarnęła wzrokiem zbocze wzgórza, na którym wśród trawy kwitły małe żółte kwiatki, i poczuła, jak ogarnia ją radosny nastrój. Wiedziała, że nigdy nie znudzi się urodą tego krajobrazu, naturalnym pięknem, które wzięło jej serce w wieczną niewolę.

Z wielkim ożywieniem pomyślała o perspektywie spotkania z Fitzem. Czy bardzo się zmienił? Czy to możliwe, aby ona nadal coś do niego czuła? A może jej miłość okaże się tylko przeżartym rdzą czasu wspomnieniem albo nawet ułudą z przeszłości? Na myśl o jego małżeństwie z Rosemary parsknęła głośnym śmiechem. Nieszczęsny Fitz wpadł w ramiona twardej, pozbawionej skrupułów kobiety. Zawsze był serdeczny, uroczy i łagodny, no i niewątpliwie podatny na wpływ silnych, zdecydowanych kobiet. Alba złamała mu serce, ale obiecała, że będzie czekała na niego. I rzeczywiście, czekała, ale on nie wrócił. Włochy wypełniły pustkę, którą zostawił po sobie Fitz, a Cosima nauczyła ją, że miłość ma wiele twarzy. Ostatecznie potrzeby Cosimy okazały się dla Alby ważniejsze niż potrzeby Fitza... Pełne łez oczy małej dziewczynki oraz jej niedowierzający uśmiech upewniły Albę, że jej decyzja o powrocie do Włoch była słuszna. Później pojawił się Panfilo i zakochała się w nim. Zakochanie z czasem przeistoczyło się w silną, głęboką i trwałą miłość. Zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby wyszła za Fitza i została w Londynie. Czy Fitz wykazałby się wystarczającą siłą charakteru, aby zatrzymać ją przy sobie? A może szybko by się nim znudziła i wróciła do swojej dawnej rozwiązłości? Czy Włochy prędzej czy później ustąpiłyby w jej sercu miejsca płytkiemu materializmowi i chciwości świata, z którym była związana? Jaką kobietą byłaby dzisiaj?

Dotarła do oliwki pod zrujnowaną wieżą i usiadła na trawie. Pamiętała, jak Fitz przyjechał do Incantellarii i poprosił ją o rękę, pamiętała swoją radość, a potem lęk przed pozostawieniem rodziny, którą dopiero co odnalazła. Wróciła myślami do ich wyprawy do *palazzo.* Wspięli się po powyginanej przez czas, przerdzewiałej pod uderzeniami niezliczonych ulew bramie i przemknęli po podjeździe zarośniętym przez krzaki i zasypanym przez liście i połamane gałęzie.

Ogród przejął kontrolę nad całą posiadłością i wtargnął do domu, wężowymi pnączami wdzierając się do środka przez rozsypujące się mury... Zapamiętała też panujący w pałacu złowrogi chłód oraz swoją myśl, że w budynku jest tak zimno, jakby stał na szczycie wysokiej góry, z własnym, właściwym tylko jemu klimatem. Na szczęście w wyprawie towarzyszył jej Fitz i jego obecność dodała jej odwagi.

Wreszcie weszli do pokoju, w którym powietrze wyraźnie różniło się od powietrza w pozostałych częściach *palazzo,* ponieważ dawało się tam wyczuć ciepło bijące od żywej istoty. W kominku żarzyły się jeszcze węgle, a przed nim stał obity skórą fotel. Albę i Fitza od progu ogarnęło uczucie, że nie są sami.

Pamięć podsunęła Albie obraz albinosa Nera, człowieka, którego *marchese* adoptował, gdy tamten był małym chłopcem z Neapolu. Nero był wątły, kruchy, nie miał przednich zębów i powoli zapijał się na śmierć, tęskniąc za markizem, którego kochał i stracił. To przez niego pałac został wystawiony na działanie sił przyrody i najzupełniej dosłownie rozsypywał się w gruzy nad jego głową. Nero mieszkał w jednym pokoju, tym samym, w którym zamordowano *marchese.* Zalał się łzami, kiedy Alba powiedziała mu, że jest córką Valentiny, a ona gorzko zapłakała na wieść, że to markiz zabił jej matkę. Fitz pomógł jej poskładać fragmenty tragicznej układanki i odsłonić ostateczny obraz miłości, zazdrości i zemsty.

Po tamtej nocy Alba przysięgła, że nigdy więcej nie wejdzie do pałacu. Jej ojciec wierzył, że Valentina go kochała, gdy tymczasem ona leżała w wielkim łożu w domku razem z markizem. Podarowała kochankowi nawet swój naszkicowany ręką Thomasa akt i powiesiła go nad łóżkiem. Po latach Alba znalazła szkic w czasie wyprawy z Fitzem i oddała go ojcu. Thomas był głęboko wstrząśnięty, ponieważ wcześniej niemało cierpienia przysporzyło mu przekonanie, że obraz na zawsze zaginął. Nie chciał, aby akt przypominał mu o kobiecie, która zdradziła go w tak okrutny sposób, i powiedział Albie, że wolałby, aby pozostał on w jej rękach. Alba nigdy nie zapomniała twardego błysku w jego oczach, gdy opowiedziała mu, jak razem z Fitzem rozwiązała zagadkę śmierci *marchese.* Falco wziął na siebie odpowiedzialność za morderstwo, lecz Alba dopiero wtedy zrozumiała, jaką rolę odegrał w tamtych wydarzeniach jej ojciec. Rosa widziała tylko roman-

tyczną stronę pozornie wspaniałych przygód swej babki, jednak Alba znała prawdę i doskonałe wiedziała, że życie Valentiny było nieuczciwe i tandetne jak tombak. Thomas nigdy nie przebolał jej kłamstw. Wbił nóż w szyję markiza, ale nie był w stanie zapomnieć ironicznego uśmiechu swego wroga. „Możesz mnie zabić, lecz pamiętaj, że ja pierwszy zadałem ci śmiertelny cios", powiedział *marchese.*

Alba poznała prawdę o swoim ojcu i ten przełomowy moment bardzo zbliżył ich do siebie. Później już nic nie było w stanie ich rozdzielić. Nie mieli przed sobą żadnych tajemnic i mówili sobie wyłącznie prawdę, którą Alba w końcu podzieliła się ze swoją włoską rodziną. Doświadczenie nauczyło ją, że ludzie naprawdę sobie bliscy niczego przed sobą nie ukrywają.

Pomyślała teraz o Panfilu i jego związku z *palazzo.* Obawiała się, że przywrócony do dawnej świetności pałac wzbudzi żywe zainteresowanie opinii publicznej. Na domiar złego w magazynie o międzynarodowym zasięgu ma ukazać się artykuł odsłaniający sekrety, których dziennikarze nie mieli prawa ujawniać. Ludzie zaczną przyjeżdżać do Incantellarii z czystej ciekawości, pragnąc na własne oczy zobaczyć miejsce tragicznych wydarzeń i historia Valentiny stanie się własnością całego świata. Ojciec zaufał Albie, a teraz ona musiała zaufać swoim bliskim, nie była tylko pewna, czy wszyscy na to zaufanie zasługują. Rosa odziedziczyła geny Valentiny i Alba myślała o tym z prawdziwym lękiem.

W końcu wstała i ruszyła w drogę powrotną przez oliwny gaj. Sądziła, że jej rodzina wróciła już z kościoła, a kiedy była blisko domu, dobiegł ją wesoły śmiech i górujący nad innymi głos Panfila. Uśmiechnęła się na myśl o mężu. Miała ogromne szczęście, naprawdę. Zobaczyła, że przyszli także Toto z żoną Paolą, ich dzieci i wnuki. Maluchy bawiły się w ogrodzie z psem Garibaldim, a dorośli sączyli czerwone wytrawne wino i pogryzali pyszne *crostini* przy stole pod baldachimem z winorośli. Alba przywitała ich serdecznie i zatrzymała uważne spojrzenie jasnych oczu na dwojgu obcych.

- To jest Fiyona, a to Nanni, brat Rominy - przedstawiła ich Rosa.

Alba z wysiłkiem zamaskowała niezadowolenie.

- Witajcie - powiedziała, siadając obok Panfila. - Mieszkacie *w palazzo,* tak?

- To przepiękne miejsce - odezwała się Fiyona. Obserwowała Albę, jakby była ona niezwykle interesującym przypadkiem medycznym albo insektem, którego organy należy dokładnie zbadać pod mikroskopem.

Alba od razu wychwyciła jej akcent. . .

- Jest pani Angielką...

- Podobnie jak pani!

- Skąd pani pochodzi?

- Z Londynu.

- Ja też dorastałam w Londynie. Przez pewien czas mieszkałam na barce na Tamizie...

- Zimą było tam pewnie bardzo wilgotno, prawda?
Albie wydało się nagle, że czuje zapach oleju parafinowego i uśmiechnęła się trochę tęsknie.

- Uwielbiałam moją barkę.

- Nadal jest przycumowana do nabrzeża?

- Nie, rozpadła się.

Nie miała zamiaru wyjaśniać, dlaczego ,,Valentina" została zatopiona.

- Szkoda! Niektóre z nich są bardzo stare.

- I solidniejsze od mojej.

- No, tak... Ja mieszkam w Bloomsbury, w domu, który zimą też ocieka wilgocią. - Fiyona zaśmiała się przyjaźnie. -Macie szczęście, że mieszkacie tutaj!

- We Włoszech zawsze świeci słońce - rzekł Panfilo, poklepując kolano żony pod stołem.

- A jeśli czasem nie świeci, to zawsze jest jeszcze makaron! -Nanni z uśmiechem poklepał się po pokaźnym brzuchu.

- Niczego wam tutaj nie brak, chyba tylko ptasiego mleka! - Fiyona rozejrzała się dookoła z nieco demonstracyjnym uznaniem. - Incantellaria to prawdziwy raj na ziemi. Widzieliście, co Romina i Bill zrobili z *palazzo*[7] Podobno budynek był w totalnej ruinie, kiedy go kupili...

- Nie, nie widzieliśmy - odparła krótko Alba, nie mając ochoty tłumaczyć dlaczego.

- Jutro tata będzie robił zdjęcia *palazzo* dla magazynu „Sunday Times" - oświadczyła Rosa.

- Nie będzie pan rozczarowany - zapewnił gospodarza Nanni. - Moja siostra ma doskonały gust i rzeczywiście przywróciła pałacowi dawny wspaniały wygląd.

Alba skrzywiła się lekko.

- Dlaczego uważacie, że dawniej pałac wyglądał wspaniale? - spytała.

- Nie ulega wątpliwości, że było to architektoniczne arcydzieło! - Nanni doszedł do wniosku, że obecnym przydałby się wykład na temat okresu neoklasycystycznego.

- A wystrój wnętrz jest po prostu niesamowity - dodała Fiyona. - Koniecznie musi pani obejrzeć pałac! Na pewno widziała go pani, gdy był w ruinie, prawda?

- Nie zamierzam się tam wybierać - sucho oświadczyła Alba.

- -Wie pani, kto mieszkał tam przed Rominą i Billem? Przy stole zapadła cisza. Nikt nie chciał rozmawiać o pałacu, zwłaszcza w obecności Alby, jednak Fiyona była uparta, a wino stępiło jej normalnie wyczulony zmysł obserwacji.

- Dowiedziałam się, że wiele lat temu pałac należał do sławnego *marchese* Ovidio di Montelimone, ale kto mieszkał tam po jego śmierci? I dlaczego właściciel dopuścił, aby tak piękny budynek obrócił się w gruzy?

- Nie lubimy rozmawiać o przeszłości. - Panfilo czuł gniew bijący od jego żony, oburzonej natrętnymi pytaniami obcej kobiety.

- Ale przeszłość jest fascynująca! - zawołała Fiyona, poddając się zgubnemu wpływowi alkoholu. - Trzeba ją ożywić, bo wtedy zyskuje nowe barwy! Niektóre tajemnice można rozwiązać dopiero po upływie wielu lat, patrząc daleko wstecz!

- Dlaczego tak bardzo interesuje panią historia *palazzo*[7]. -spytała Alba.

- Fiyona jest dziennikarką, mamo.

Alba pobladła, kompletnie oszołomiona odkryciem, że zdradziła ją własna córka.

- Dziennikarką?

Fiyona nie spodziewała się, że Rosa ją wyda.

- Pisuję dla magazynu „Sunday Times" - przyznała. -Przepraszam, myślałam, że pani o tym wie.

Alba obrzuciła ją tak morderczym spojrzeniem, że ta skuliła się w sobie. Po chwili odezwała się, mówiąc dobitnie i po angielsku, aby na pewno została jasno zrozumiana.

- Zakradacie się do mojego domu, korzystacie z mojej gościnności, pijecie moje wino i jecie moje *crostini,* chociaż dobrze wiecie, że moją matką była Valentina Fiorelli, zamordowana przez *marchese,* właściciela pałacu, który nazywacie wspaniałym, a wszystko to z intencją wyciągnięcia z nas informacji i ujawnienia tajemnic, skrywanych przez ponad pięćdziesiąt lat? - Odwróciła się do córki. - Roso, jeżeli wyobrażasz sobie, że tej kobiecie chodziło o twoją przyjaźń, to jesteś żenująco naiwna! Świetnie, mam nadzieję, że dobrze się bawicie! Napijcie się jeszcze, proszę bardzo! I wybaczcie mi, że wolę nie przebywać w towarzystwie ludzi gotowych sprawić ból tym członkom mojej rodziny, którzy wciąż pamiętają śmierć mojej matki, choć od pięćdziesięciu sześciu lat próbują o niej zapomnieć!

Kiedy odwróciła się na pięcie i znikła w domu, Panfilo z żalem pokręcił głową.

- Przykro mi, ale chyba powinniście już iść - powiedział uprzejmie.

- Oczywiście... - Fiyona podniosła się niepewnie. - Chodźmy, Nanni.

Nanni popatrzył na Panfila.

- Moja siostra będzie zrozpaczona, że was uraziliśmy.

- Proszę nie zapominać, że Valentina była matką Alby. -Panfilo zwrócił się do Fiyony. - A ojciec mojej żony jeszcze żyje... Jeżeli koniecznie musi pani napisać artykuł o *palazzo,* to proszę podejść do tego z wyczuciem oraz szacunkiem dla tych, których tamta historia dotyczyła.

Fiyona z trudem przełknęła ślinę.

- Naturalnie...

- Odwiozę was - zaproponował Eugenio.

- Nie trzeba, pójdziemy pieszo - powiedział Nanni. -Znam drogę.

- Na pewno? - Rosa była wściekła, że matka publicznie ją upokorzyła.

Fiyona wzięła Rosę za rękę. Szminka się jej rozmazała, podkreślając zmarszczki wokół ust i plamiąc zęby. Było oczywiste, że dziennikarka wypiła zdecydowanie za dużo.

- Przykro mi, Roso. Ale nie martw się, dwa miliony ludzi przeczytają o tobie w gazecie!

Nanni poprowadził Fiyonę ścieżką pod górę.

- Co za katastrofa! - wykrzyknął żałośnie.

- To moja wina. Za mocno naciskałam.

- Czego chciałaś się dowiedzieć?

- Lubię znać wszystkie fakty.

- A jeszcze ich nie znasz?

- Jestem pewna, że Falco nie sam zamordował *marchese*..

- I co z tego?

- Jego wspólnikiem musiał być Thomas, ojciec Alby!

- Liczyłaś, że Alba sama ci to powie?

- Nie wiem, na co liczyłam! Zapomniałam, gdzie jestem.

- Zawstydziłaś nas wszystkich!

- Przepraszam, czuję się okropnie. To tacy mili ludzie.

- Więc daj im święty spokój, Fiyono! Odpuść sobie!

- Ale to byłaby taka dobra historia.

- Nie byłaby dobra, gdyby miała zranić ludzi!

- To dla mnie nie nowość.

Szli przez las. Drzewa wznosiły się wysoko ponad nimi, liście szeleściły na wietrze, przepuszczając promienie, które malowały kalejdoskop światła i cienia na ścieżce przed idącymi. Fiyonie kręciło się w głowie po winie i było jej bardzo gorąco.

- Muszę się na chwilę położyć!

Nanni zirytował się, ale nie miał wyboru. Nie mógł przecież zanieść Fiyony do domu na własnych plecach.

Wyciągnęła się na trawie i zasłoniła oczy przedramieniem.

- Tak jest o wiele lepiej. Nagle zaczęła się śmiać.

- Co cię tak bawi? - spytał, kładąc się obok niej.

- Sama nie wiem... My, cała ta sytuacja. Wszystko to razem wydaje mi się bardzo śmieszne.

- Ja jakoś nie widzę w tym nic zabawnego! Ty nie musisz się niczym przejmować, bo zaraz wrócisz do domu, ale my musimy tu żyć. Moja siostra zabije cię, jeśli Panfilo jutro nie zechce zrobić zdjęć *palazzo.*

- Och, cholera jasna! No, dobrze, jestem winna. Jak mogę ci to wynagrodzić?

- Nie wiem. - Nanni z ciężkim westchnieniem zamknął oczy.

- Szybki numerek pewnie nie wchodzi w grę, co? <*

27

Panfilo znalazł wściekłą Albę w sypialni.

- Nawet nie próbuj mi wmówić, że twoje zdjęcia *palazzo* okażą się czymś dobrym! A w ogóle co ta kobieta tu robiła, na miłość boską?!

- Rosa ją zaprosiła - odparł spokojnie Panfilo.

- Rosa to idiotka!

- Jest młoda i naiwna.

- Ci ludzie z pałacu narobią nam wszystkim niezłych kłopotów, zobaczysz!

Panfilo usiadł na łóżku.

- Nie sposób ci się oprzeć, kiedy się gniewasz.

- Nie wyobrażaj sobie tylko, że uda ci się ułagodzić mnie pochlebstwami! Jestem na nie całkowicie uodporniona!

- Słuchaj, *fotografie palazzo* ukażą się niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie... Jeżeli nie zrobię ich ja, znajdą kogoś innego.

- Nie mogę znieść myśli, że ta przeklęta baba zakradła się tu, żeby węszyć jak jakiś cholerny detektyw! Tu chodzi o moją matkę... I o mojego ojca! Co będzie, jeżeli ona się dowie, że tata zamordował *marchese*[7]

- Nie dowie się - zapewnił ją Panfilo. - Kto miałby jej o tym powiedzieć? Tylko my wiemy, co się wydarzyło.

- I Rosa!

- Rosa jest naiwna, ale nie głupia.

- Obraziła się na mnie, a dobrze wiesz, jaka jest wybuchowa! Może i nie jest głupia, ale zachowuje się jak idiotka. Nie powinnam była jej tego mówić! A jeśli Cosima powie Luce, a on powtórzy wszystko matce? Ta dziennikarka zatrzymała

się w *palazzo* i z pewnością nadstawia uszu, jakby to były anteny satelitarne! Boję się myśleć, co ci ludzie wygadują!

- Uspokój się, kochanie. - Panfilo przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Jak dobrze wiesz, trzydzieści lat temu odkryłam, że tata i Falco wspólnie zamordowali *marchesel* To był akt zemsty, „sprawa honorowa", jak powiedział mój ojciec. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale rozumieliśmy się bez słów. Jeżeli teraz tata się dowie, że zdradziłam komuś jego tajemnicę, jeśli artykuł na ten temat ukaże się w brytyjskim czasopiśmie, będzie gorzko rozczarowany. Nie potrafię znieść myśli, że mogłabym go zranić, nie chcę, żeby mnie potępił.

- Dlaczego nie mielibyśmy poprosić Rosę, żeby trzymała buzię na kłódkę?

- Nie, daj spokój! Pomówię z Cosimą, może ona zdoła dowiedzieć się czegoś od Luki! W przeciwieństwie do naszej córki, Cosimie można ufać.

- Jesteś niesprawiedliwa! - Panfilo pokręcił głową. - Musisz okazać Rosie trochę więcej zrozumienia, przecież to twoja córka! Może już tego nie pamiętasz, ale kiedyś byłaś równie narwana i wybuchowa jak ona.

- Rosa jest znacznie gorsza, niż ja kiedykolwiek byłam! Ta dziewczyna poważnie mnie martwi! Wiesz, że wymyka się gdzieś w nocy? Bóg jeden wie, co knuje! Mam tylko nadzieję, że nie wdała się w jakiś romans!

Panfilo się roześmiał.

- Nie wydaje mi się, żeby w Incantellarii Rosa narażona była na silne pokusy!

- Jeżeli Rosa czegoś naprawdę chce, na pewno to znajdzie! Jest spragniona przygód, rwie się do ciekawszego życia jak koń do biegu! I zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jaka z niej szczęściara, że ma za męża Eugenia!

- Może naprawdę potrzebuje własnego domu - podsunął ostrożnie Panfilo.

- To nie jest rozwiązanie! - Alba wstała. - Więc jak, nadal jesteś zdecydowany zrobić tę sesję zdjęciową w *palazzo*?.

- Tak - odparł bez wahania. - Podjąłem się tego zlecenia.

- Nie chcę wiedzieć, co ci ludzie tam zrobili.

- W porządku!

- Niech przypadkiem nie przyjdzie ci do głowy, żeby pokazywać mi zdjęcia.

- Nie pokażę ci ich.

- I nie chcę czytać tego artykułu, jeśli się ukaże!

- Dobrze.

- I najlepiej nie mówmy o tym nigdy więcej!

Panfilo uśmiechnął się lekko, rozbawiony melodrama-tycznym zakończeniem. Problem polegał na tym, że w głębi serca Alba uważała, iż historia Valentiny i *palazzo* stanowią jej wyłączną własność. Za żadne skarby świata nie chciała pogodzić się z faktem, że Valentina należy do Incantellarii, a pałac do Rominy i Bilia Chancellorów. Panfilo znał żonę lepiej niż ona samą siebie. Pomyślał teraz, że wcale nie byłby zaskoczony, gdyby ciekawość jednak przezwyciężyła jej opory.

Tej nocy Rosa nie mogła się doczekać, kiedy Eugenio wreszcie zaśnie. Leżała w łóżku, wpatrzona w sufit, czujnie nasłuchując. Myślała o swojej matce, która poprzedniej nocy obserwowała ją z okna sypialni, przekonana, że Rosa ma romans. Cóż, w pewnym sensie rzeczywiście był to romans, romans na poziomie emocjonalno-intelektualnym.

Gdy oddech Eugenia stał się głęboki i regularny, Rosa cicho wstała, ubrała się w łazience i wymknęła z domu. Całą drogę przebyła biegiem. Księżyc jasno świecił, ale nawet z zawiązanymi oczami bez trudu odnalazłaby ścieżkę, posługując się wewnętrzną mapą zmysłów. Podniecenie było upajające. Rosa była pewna, że to samo czuła przed laty Valentina. Jej babka podążała tą samą ścieżką do domku w ogrodzie, gdzie czekał już na nią *marchese.* Rosa jeszcze niedawno uważała, że w Incantellarii nie można znaleźć żadnych podniet ani przygód, ale bardzo się myliła. Cały czas miała je tuż przed swoim ślicznym noskiem, najdosłowniej.

Wreszcie dotarła do domku. W[T]okół panowała niczym niezakłócona cisza. Rosa była sama. Luca był zajęty jej kuzynką. I dobrze, mogli zajmować się sobą do woli, Rosa miała na oku coś znacznie lepszego! Domek emanował od wewnątrz subtelnym, roztańczonym blaskiem zapalonych wcześniej świec.

- Ach, jesteś, moja droga! Liczyłem, że przyjdziesz! Rosa zamknęła za sobą drzwi.

- Za nic bym z tego nie zrezygnowała! - odparła, osuwając się na szerokie łoże. - Cały dzień czekałam, kiedy wreszcie cię zobaczę!

Gdy wzrok Rominy spoczął na wielkim Panfilu Pallavicinim, chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, wliczając w tę grupę Billa, którego przecież bardzo kochała. Nie próbując silić się na zbędne słowa, zarzuciła fotografowi ręce na szyję, spowijając go woalem od Pucciego i obłokiem perfum, i głośno, z rozmachem ucałowała go w pokryte zarostem policzki.

- *Madonna!*- wykrzyknął ze śmiechem. - A ja spodziewałem się damy w angielskim stylu!

- Jestem Włoszką. - Romina dopiero teraz odzyskała głos. -1 to stuprocentową!

Panfilo ogarnął spojrzeniem fasadę *palazzo,* mamrocząc same superlatywy.

- Najwyraźniej miała pani niesamowitego architekta!

- Mojego męża - odparła z dumą Romina.

- *Complimenti!*

- Dziękuję... Chodźmy, oprowadzę pana!

Lawirując między wielkimi czarnymi kubłami, pełnymi ciętych kwiatów, oraz torbami i pudłami przedarli się do holu. Panfilo oglądał wszystko uważnie, nie pomijając żadnych szczegółów ścian, sufitów i umeblowania. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go od razu dostrzegać ważne, choć drobne detale, które umykały uwadze większości ludzi. Skupiał się na świetle, innym w każdym pokoju, i na kolorach, którymi Romina kazała pomalować ściany. Podziwiał jej gust, śmiały, lecz bezbłędny, i żałował, że Alba nie chce schować dumy do kieszeni. Dawniej zawsze towarzyszyła mu podczas sesji i z przyjemnością oglądała piękne rezydencje.

Na tarasie Romina przedstawiła go swoim przyjaciołom. Dennis, Stephanie, Ma i Caradoc grali w karty. Nanni zabrał Fiyonę do miasteczka, twierdząc, że koniecznie powinni wypić razem ostatnią kawę przed jej zaplanowanym na popołudnie wyjazdem. Oboje byli zbyt zażenowani, aby spotkać się z Panfilem. Porci podbiegł do przybysza i obwąchał jego buty.

- Moi drodzy, oto sławny Panfilo Pallavicini! - oznajmiła Romina, teatralnym gestem rozkładając ramiona.

- Wielki Panfilo! - wykrzyknął profesor. - Nie mogliśmy się już doczekać pańskiej wizyty!

- Co za tchnąca spokojem scena. - Panfilo odgarnął do tyłu długie włosy. - Życie *w palazzo* jest chyba naprawdę przyjemne.

- Do pewnego stopnia! - poskarżyła **się** Ma. - Byłoby jeszcze przyjemniejsze, gdybym wygrywała!

- Zamierzam pokazać teraz naszemu gościowi domek w ogrodzie - powiedziała Romina.

- Mam nadzieję, że nie natkniecie się na żadne duchy! -zawołał za nimi Dennis.

- Luca na pewno zdążył je już przepłoszyć... - mruknęła sarkastycznie Ma.

- Luca jest zbyt zajęty żyjącymi, żeby niepokoić umarłych -rzekł Caradoc.

Panfilo ruszył za Rominą przez ogród.

- Mój mąż stale coś buduje - wyjaśniła mu po drodze. -Teraz konstruuje grotę z trzech głazów... Nie mam pojęcia, co potem wymyśli!

- Macie przepiękną rezydencję. Odwaliliście niewiarygodny kawał dobrej roboty! Trudno wyobrazić sobie, że jeszcze dwa lata temu były to ruiny!

- Te ruiny miały w sobie niepowtarzalny urok, może mi pan wierzyć! Żałuję, że nie zrobiłam wtedy zdjęć... Chętnie zestawiłabym album fotografii z tamtego okresu i współczesnych. Miejsce o takiej historii powinno mieć szczegółową dokumentację, oczywiście ze względu na potomność. Wszystko, co pozostało w niezmienionym stanie, to ten domek. Widział go pan kiedyś?

- Dużo słyszałem o nim od mojej córki, ale nigdy tu nie byłem. Z wielką przyjemnością go sfotografuję. Sęk w tym, że nie wiem, jak uda mi się wybrać kilka zdjęć spośród tak wielu! Rzeczywiście, lepszy byłby album niż artykuł prasowy.

- Ma pan absolutną rację! Sama już o tym myślałam. Może przygotowalibyśmy taki album lub książkę razem, co pan na to?

- Myślę, że moja żona wręczyłaby mi pozew rozwodowy. • Romina się uśmiechnęła.

- Nie martwiłabym się tym, gdybym była na pana miejscu. Tysiąc kobiet zaczęłoby walczyć o pana, zanim zdążyłby się pan zastanowić, gdzie prześpi następną noc!

Kiedy zatrzymali się pod domkiem, Romina ze zdziwieniem zobaczyła leżącego pod drzwiami Porciego.

- Co ty tutaj robisz, świneczko? - spytała.

Z przerażeniem pomyślała, że pewnie ktoś jest w środku.

- Pani ulubieniec?

- Mój malutki Porci - powiedziała z czułością, gdy świnka podniosła się i stanęła obok nich, czekając, aż wpuszczą ją do środka.

Romina z trudem przywołała nonszalancki uśmiech i otworzyła drzwi. Porci niespiesznie wbiegł do domku, a Romina odetchnęła z ulgą - pokój był pusty.

Panfilo rozejrzał się po uroczym małym budyneczku. Wnętrze imponowało idealną symetrią i harmonią tak zmysłową jak zachwycający utwór muzyczny. Romina otworzyła okiennice i wpuściła słońce, wydobywając z półmroku książki, wielkie łoże, śliczną toaletkę i biureczko. Nagle coś kazało jej spojrzeć na trawę pod oknem. Tam, wśród zielonych źdźbeł, piętrzył się spory kopczyk niedopałków.

Rominę w jednej chwili ogarnęła furia. Muszą intruza znaleźć, miała już tego serdecznie dosyć! Luca musi, po prostu musi przyłapać tę kobietę na gorącym uczynku, ponieważ w przeciwnym razie idiotka podpali domek! Nie chcąc rujnować dnia, na który czekała od wielu tygodni, zacisnęła zęby i opanowała się.

- Cudowne miejsce, prawda? - Uśmiechnęła się do Panfila.

- Zupełnie wyjątkowe! - przytaknął i nagle z roztargnieniem potarł kciuk opuszkami pozostałych palców. - Wyczuwam tu w powietrzu coś dziwnego, nie potrafię tego opisać. Mam wrażenie, że panuje tu atmosfera smutku.

- Ja nazywam to miłością - powiedziała Romina.

- Może... Utracona miłość... Smutne uczucie, naprawdę! Mam nadzieję, że uda mi się uchwycić ten nastrój. - Panfilo wyjrzał przez okno, próbując się zorientować, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. - Sfotografuję domek na sam koniec, kiedy słońce będzie już zachodziło i światło zyska odpowiednią miękkość...

Od strony ścieżki dobiegł ich odgłos szybkich kroków. Przez głowę Rominy przemknęła myśl, że to może intruz i podziękowała Bogu, że towarzyszy jej Panfilo. Porci utkwił w drzwiach wyczekujące spojrzenie. Po paru sekundach pojawiła się w nich Rosa, zarumieniona po wspinaczce pod górę zbocza.

- Halo! - zawołała. - Przyszłam pomóc! Panfilo uśmiechnął się do córki.

- Doskonale! Przyda nam się dodatkowa para rąk!

- Witaj, Roso! - ucieszyła się Romina. - Tak się cieszę, że to ty...

- Witaj, Romino, i ty, mała świnko! - Rosa chwyciła Por-ciego na ręce.

Zwierzę nie stawiało najmniejszego oporu. Rosa przysiadła na brzegu łoża i pogłaskała świnkę.

- To chyba najwygodniejsze łóżko na świecie. - Uśmiechnęła się tęsknie, wspominając minioną noc.

- Nie rozsiadaj się tak, mamy mnóstwo pracy - rzekł Panfilo.

- Kiedy będziesz fotografował domek?

- Pod wieczór.

- Świetnie. - Rosa postawiła Porciego na ziemi i wyszła z ojcem na słońce. - To powinno być główne zdjęcie.

- Nie widziałaś jeszcze całego pałacu! - zaprotestowała Romina, zamykając za sobą drzwi.

- Nie wyobrażam sobie, aby cokolwiek mogło dorównać domkowi! No i łożu, na którym moja babka leżała z *márchese...*

- Właśnie to łoże stało się główną przyczyną jej śmierci -zauważył sucho Panfilo.

- Nie psuj nastroju, tato! Pozwól mi nacieszyć się tą romantyczną aurą!

- Życie Valentiny było dość wulgarne i dekadenckie, Roso! Romantyzm nie miał nic wspólnego z jej wyborami!

Nanni i Fiyona woleli trzymać się z daleka od trattorii Fio-rellich, bo przecież Alba mogła pojawić się tam w każdej chwili. Fiyona zauważyła młodego *carabiniere,* gawędzącego z ładną kobietą. Pozłacane epolety policjanta lśniły w porannym słońcu, a jego oczy ukryte były za imponująco eleganckimi ciemnymi okularami.

- Szkoda, że muszę dziś wracać do Londynu. - Zaciągnęła się papierosem. - Mogłabym przywyknąć do tutejszego stylu życia.

- Nie wyobrażam sobie, jak to będzie, gdy przyjdzie czas mojego powrotu do Wenecji - rzekł Nanni.

- Co czeka na ciebie w Wenecji?

- Nic.

- Więc zostań tutaj!

- Nie mogę w nieskończoność być na garnuszku u siostry.

- Dlaczego? Inni nie mają takich skrupułów!

- W końcu jednak wszyscy wyjadą.

- Nie sądzę, prędzej tu umrą!

- Incantellaria rzeczywiście ma nieodparty urok.

- Raczej *palazzo* Montelimone - sprostowała Fiyona. -Nigdy nie zapomnę tego domku w ogrodzie!

- A właśnie! - ożywił się Nanni, ruchem ręki przywołując kelnera, żeby zamówić następne podwójne espresso. - Co zamierzasz napisać?

- Szczerą prawdę.

- To znaczy?

- Że Romina i Bill, jedna z najbardziej ekscentrycznych par, jakie spotkałam, na splamionych krwią fundamentach zbudowali wspaniałą rezydencję, w której spokój i harmonia nie zawsze skutecznie tłumią echa tajemnicy i morderstwa. Opowiem historię Valentiny i *marchese* i napiszę, że zgodnie z plotką Falco, brat Valentiny, zemścił się na markizie i zabił go, ale ta wersja wydarzeń nigdy nie została oficjalnie potwierdzona i sprawę zamknięto. Wspomnę też, że być może Falco miał wspólnika, którego tożsamość do dziś pozostaje nieznana.

- Wymieniłabyś z nazwiska ojca Alby, gdybyś jej wcześniej nie obraziła?

Fiyona się zamyśliła.

- Nie - odparła po chwili. - Mam dobrego nosa i czuję, że Thomas Arbuckle maczał palce w tej sprawie, ale mam też pewne wątpliwości, co oznacza, że mogłabym popełnić błąd. A ja nie popełniam błędów.

- *Sei brava davvero* - zdumiał się Nanni.

- Nie jestem osobą dobrą. Zawsze bardziej zależało mi na napisaniu zgodnego z prawdą tekstu niż oszczędzaniu uczuć tych, o których piszę. Dziennikarze często zapominają, że mają do czynienia z żywymi ludźmi. Tak czy inaczej, mogę pomyśleć o bohaterach moich artykułów, kiedy siadam do pisania, przynajmniej tyle. Poza tym mam słabość do Rosy i chyba powoli zakochuję się w Incantellarii. Gdybym wszystkich tu obraziła, nie mogłabym wrócić, a przecież ty chcesz, żebym wróciła, prawda?

Nanni przypomniał sobie przeżyte na plaży chwile i poczuł przyj emny ból w lędźwiach.

- Będzie mi ciebie brakowało.

- Słodki jesteś! - zaśmiała się.

- Wyjeżdżasz dopiero po południu, prawda? Co zamierzasz robić do tego czasu?

Szkarłatne wargi Fiyony wygięły się w uśmiechu. Nie miała czasu na uwodzenie przystojnego policjanta, zresztą Nanni naprawdę podbił jej serce.

- Zastanówmy się - powiedziała, pochylając się nad stolikiem. - Przy placu jest mały hotel. Nie możemy wrócić do *pa-lazzo,* bo jesteśmy wyrzutkami. Może moglibyśmy ukryć się tu na całe przedpołudnie i zamówić lunch do pokoju?

- To najlepszy pomysł, na jaki dziś wpadłaś, droga Fiyono!

Panfilo spędził cały dzień, robiąc fotografie w asyście pełnego entuzjazmu młodzieńca imieniem Mario. Rosa przechodziła z jednego pokoju do drugiego, wyobrażając sobie, jak wyglądały w dniach największej chwały, i ani trochę nie pomagając ojcu. Romina przyćmiła stylistę oraz florystykę, którzy starali się pokazać pokoje w jak najlepszym świetle, rozstawiając wszędzie duże wazony z białymi liliami i różami w odcieniu przyćmionego różu. Przed wykonaniem ro-

dzinnego zdjęcia makijażystka poświęciła godzinę na zrobienie Rominie makijażu i fryzury, Romina uparła się też, aby wyszczotkować Porciego i w ten sposób podkreślić urodę świnki. Bill nie miał ochoty dać się sfotografować, lecz żona bardzo nalegała. Ostatecznie opinia publiczna powinna przecież na własne oczy zobaczyć, jaki jest przystojny, wyjaśniła mu.

Panfilo ustawił ich na tarasie, z morzem w tle. Pani domu trzymała Porciego w ramionach, zupełnie jak dziecko, i drapała go po pękatym brzuszku, a świnka chrząkała z rozkoszy i wiosłowała jedną nogą w powietrzu. Wcześniej Romina zmieniła Porciemu pieluchę. Panfilo wykonał serię zdjęć i później z zadowoleniem przejrzał polaroidy.

Pod koniec dnia przenieśli się do domku w ogrodzie. Światło było bardziej subtelne, słońce namalowało delikatnie różowe smugi na niebie. Romina uparła się, aby zostawić wnętrze w naturalnym stanie - bez żadnych kwiatów, żadnych mis z owocami, bez żadnych, ale to żadnych ozdób i dekoracji. Powietrze wibrowało magią i szybko się okazało, że Romina miała rację.

Panfilo zrobił próbne zdjęcia polaroidem i sięgał właśnie po normalny aparat, kiedy nagle światła zamigotały i zgasły.

- *Madonna!* - wykrzyknęła Romina. - Chyba rzeczywiście mieszka tu duch!

- To *marchese!* - zawołała podniecona Rosa.

Porci chrząknął niespokojnie i uciekł w krzaki. Mario rzucił się sprawdzać kable i wtyczki w generatorze, ponieważ w domku nie było instalacji elektrycznej.

- Można zrobić zdjęcia bez lamp? - zapytała Romina. Panfilo potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, aby naturalne światło było dość mocne. - Odwrócił się do swojego asystenta. - Co się stało? Wysiadł generator?

- Nie, wszystko działa, jak trzeba. Spróbuj jeszcze raz... Panfilo włączył lampy. Działały. Nie tracąc czasu, zajął się

ustawianiem ostrości. Miał nacisnąć migawkę, gdy lampy znowu zamigotały i po paru sekundach zgasły. Jedna żarówka eksplodowała, zasypując podłogę okruchami szkła.

- Niesamowite! - pisnęła Rosa.

- Co się dzieje? - spytała niespokojnie Romina.

- Ktoś nie chce, żebyśmy sfotografowali to miejsce -oświadczył ponuro Panfilo.

- Albo nie życzy sobie, żebyśmy robili zdjęcia przy sztucznym świetle - zasugerowała Rosa. - Spróbuj bez lamp, tato, posłuchaj mnie!

- Dobrze... - Panfilo westchnął, przekonany, że wnętrze jest zbyt ciemne. - Wezmę polaroid.

Chwilę czekali na wywołanie zdjęcia. Romina przypomniała sobie niedopałki na ziemi pod oknem i pomyślała, że może to niechlujny palacz albo palaczka ma coś wspólnego z awarią lamp. Wreszcie Panfilo wziął do ręki gotową fotografię.

- Idealna! - powiedział ze zdziwieniem. - No, w takim razie nie marnujmy czasu!

Zaczął szybko robić zdjęcia, obawiając się, że światło może się szybko zmienić.

- To na pewno *marchese,* prawda? - odezwała się Rosa. -Musiało mu zależeć, żeby zdjęcia domku wypadły jak najkorzystniej i wiedział, że możliwe jest to tylko przy naturalnym świetle!

- Nie wierzę w duchy - wymamrotała Romina.

- Ja tam nie jestem już taka pewna. - Rosa pokręciła głową. - Wydaje mi się, że świat składa się nie tylko z tego, co widać gołym okiem.

- Zupełnie jakbym słyszała moją matkę! - Romina roześmiała się lekceważąco. - Ciągle miała jakieś zwidy, była kompletnie szalona!

Rosa w milczeniu wpatrywała się w fotografię. Światło, w którym skąpane było wnętrze domku, wydawało jej się nie tyle naturalne, ile nadprzyrodzone...

Po powrocie do domu Panfilo ani słowem nie wspomniał o spędzonym *wpalazzo* dniu. Rosa także zgodziła się milczeć. Nie chciała znowu prowokować matki, zwłaszcza że sama nie zdążyła jeszcze wrócić do równowagi po scenie, jaką poprzedniego dnia wywołała, zapraszając dziennikarkę na drinka.

Alba nie zadawała żadnych pytań. Siedzieli przy kolacji, omijali temat *palazzo* tak jak łyżwiarze starają się omijać niebezpieczną dziurę w lodzie. Cosima wróciła z wypadu na zakupy do Neapolu i włożyła jedną z nowych sukienek, które kupił jej Luca. Rosa przyglądała jej się z zazdrością, zaraz jednak przypomniała sobie o nowym przyjacielu i podniecające oczekiwanie na noc zniszczyło zazdrość, jak słońce rozgania mgłę.

Panfilo zostawił zdjęcia w miejscu, gdzie Alba musiała je znaleźć. Zgodnie z jego przewidywaniami, nie zdołała zapanować nad ciekawością. Kiedy wszyscy rozeszli się do łóżek, na palcach zbiegła na dół, żeby obejrzeć fotografie.

28

- Jak tam wdowa, Luca? - zagadnął Caradoc, grzechocząc kostkami lodu w szklaneczce whisky.

Siedzieli na tarasie, chociaż było już późno. Szare ćmy i muszki kręciły się wokół lamp, a w trawie grały cykady. Ventura posprzątała po kolacji, Romina i Bill poszli spać, zmęczeni po trwającej cały dzień fotograficznej sesji. Ma usadowiła się na fotelu w salonie, chcąc posłuchać, jak Nanni gra na fortepianie. Ku jej zdumieniu grał jak zawodowy pianista, a jego długie palce bez wysiłku tańczyły po klawiszach. Dennis i Stephanie zaraz po podwieczorku niechętnie odjechali lśniącym maserati, obiecując, że wrócą za rok. Romina z żalem odprowadzała wzrokiem oddalający się samochód. Stephanie byłaby dobrą żoną dla Luki, mimo swojej młodości. Cóż, zawsze mogła liczyć na Freyę.

- To nie wdowa - wyjaśnił Luca. - Nigdy nie była mężatką!

- Ach, czarny koń! Zbuntowana przeciwko konwencjonalnej wizji związku kobieta, matka nieślubnego dziecka!

- Jestem nią zafascynowany.

- Fascynacja to dobra rzecz... Ja także byłem zafascynowany moją Myrtle! Kłopot w tym, że od czasu jej odejścia żadna inna nie zdołała mnie zafascynować.

- Nawet Rosa? - Luca się uśmiechnął.

- Moja dziewczyna? Cóż, Rosa jest śliczna! - Profesor pociągnął łyk whisky. - Mężczyzna nigdy nie jest aż tak stary, żeby nie podziwiać pięknej kobiety, ale moje serce jest zamknięte, opieczętowane pocałunkami Myrtle... Otrzymałem w tym życiu wszystko, czego pragnąłem. Nie mogę się już doczekać, kiedy spotkam Myrtle w następnym...

- Wierzy pan, że tak się stanie?

- Wiem, że tak będzie. - Caradoc przyłożył dłoń do serca. - Czuję to tutaj!

Luca wychylił się do przodu i oparł przedramiona na kolanach. Miał ochotę zwierzyć się profesorowi ze swoich przeżyć.

- Pamięta pan tego małego chłopca, którego widziałem w kościele?

- W czasie *festa?* Tak, pamiętam. Pomyślałem tylko, że lepiej będzie o nim nie wspominać.

. - Prawdziwy z pana przyjaciel.

- I co, widziałeś go znowu?

- Wiele razy. To zmarły synek Cosimy. Sądzę, że utknął tutaj z powodu jej rozpaczy. Sądzi pan, że możemy „uziemiać" duchy siłą naszej woli?

- Niby dlaczego nie? Jesteśmy czystą energią, prawda? I wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani... Ale może chłopiec został tutaj z własnej woli?

- Uwiązany miłością matki?

- Był dla niej wszystkim. Może nie chce zostawić jej w smutku?

- Ale ona nie musi być sama! Mówił pan, że miłość przychodzi, kiedy uważamy, że wcale jej nie potrzebujemy. I że kiedy człowiek raz odkryje prawdziwą miłość, nie umie wyobrazić sobie, jak to możliwe, że kiedyś żył bez niej. Teraz już wiem, co pan miał na myśli! Zakochałem się. To uczucie jest prawdziwe, więc widzę, że miał pan rację.

- Jedyną pozytywną stroną starości jest mądrość.

- Niektórzy ludzie starzeją się, ale wcale nie zdobywają mądrości.

- Szczerze im współczuję! Czy twoja ukochana odwzajemnia tę miłość?

- Wydaje mi się, że zaczyna mnie kochać. Cała trudność w tym, że wciąż dręczy ją poczucie winy.

- To najzupełniej naturalne, musisz dać jej trochę czasu. Sądząc po twoim braku planów na przyszłość, czas to chyba towar, którego ci nie brakuje...

- Powiedziałem jej o Francescu, że widziałem go jako ducha.

- Wierzy ci?

- Chce wierzyć, ale jest podejrzliwa. Szkoda, że Francesco nie może dać mi czegoś konkretnego, czegoś, co stanowiłoby dla niej wiarygodny dowód jego istnienia.

- Trudno uwierzyć w coś, czego nie można zobaczyć ani dotknąć!

- Nie chcę, żeby widziała we mnie oszusta, który wykorzystuje pamięć jej syna, aby się do niej zbliżyć!

- Na pewno zna cię lepiej, niż sądzisz, mój chłopcze.

- Cosima jest Tą Jedyną, profesorze! Wiem, że tak jest! Caradoc uśmiechnął się tolerancyjnie.

- Więc powiedz jej to, mój drogi!

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nie będzie naprawdę moja, dopóki nie pozwoli odejść synkowi.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Tak. Tak, chcę!

- I zabrać ją do Londynu?

- Nie wyobrażam jej sobie w Londynie. Gdybym zabrał Cosimę z Incantellarii, byłoby to tak, jakby ktoś porwał piękną panterę prosto z dżungli i zamknął ją w klatce w zoo.

- Pytałeś ją, co myśli o zoo?

Luca przypomniał sobie rozmowę Cosimy z księdzem.

- Chyba z góry znam odpowiedź.

- Więc dlaczego nie zostaniesz tutaj?

- I co miałbym tu robić?

- Potrzeba jest matką wynalazku!

- Pracować w rodzinnej firmie? -. Luca się roześmiał. -Nie wydaje mi się, żebym mógł parzyć kawę od rana do wieczora!

- Wymyślisz coś! Jeżeli rzeczywiście ją kochasz, uporasz się z tym problemem!

- Naprawdę ją kocham, więc na pewno sobie poradzę. Caradoc popatrzył na niego z ojcowską troską.

- Ale najpierw musisz coś zrobić - rzekł poważnie.

- Co takiego, profesorze?

- Musisz dowiedzieć się, kim jesteś i czego chcesz od życia. Gdy odkryjesz, co sprawia ci największą radość, zrozumiesz, co jest celem twojego istnienia. Myślę, że odpowiedź na to pytanie naprawdę cię zaskoczy.

- Pan już ją zna? - ze zdziwieniem zapytał Luca.

- Gdyby tak było, mógłbym ci znacznie skuteczniej pomóc! Nie, to tyją znasz. Zajrzyj w głąb siebie i zaczekaj, aż odpowiedź się zmaterializuje.

Alba siedziała przy biurku Panfila i oglądała fotografie. Było ich piętnaście. Piętnaście okien, przez które mogła spojrzeć w przeszłość. Bez pośpiechu przyglądała się każdemu zdjęciu, w skupieniu wyławiając wszystkie detale i przywołując z pamięci wygląd tych miejsc z czasu, gdy była tam razem z Fitzem. Mimo woli podziwiała dobry smak i rozmach działań Rominy. Pałac naprawdę był piękny, pod każdym względem, zupełnie odmieniony przez światło i miłość. Alba roześmiała się cicho ze złudzeń, które tak długo hodowała. Ponure obrazy, przechowywane przez prawie trzy dekady, karmione łzami i idiotycznymi fantazjami, nagle przestały istnieć. Romina, otwierając okiennice i wpuszczając do środka słońce, wygoniła duchy. Miejsce, które wydawało się złowrogą jaskinią nieprawości, teraz okazało się bardzo miłym rodzinnym domem. Alba ogromnie żałowała, że nie ma dość odwagi, aby zapytać Rominę, czy mogłaby zwiedzić *palazzo,* ale duma jej na to nie pozwalała. Nie potrafiła przyznać się do błędu.

Na samym końcu natknęła się na zdjęcie domku w ogrodzie. Wyglądał dokładnie tak samo jak przed trzydziestu laty, żaden sprzęt nie został przesunięty ani w jakikolwiek sposób zmieniony. Łoże też było to samo, ze spłowiałymi zasłonami i jedwabną narzutą, na małej toaletce stały słoiczki na kremy i szklane buteleczki na perfumy, lustro w stylu królowej Anny, w które jej matka pewnie często patrzyła, nadal ustawione było pod tym samym kątem, a obok stało krzesło, na którym musiała siadywać, podczas gdy *marchese* czekał na nią w łożu. Ach, i to prześliczne małe biureczko! Najdziwniejsze ze wszystkiego wydało się jednak Albie światło. Można było odnieść wrażenie, że jego źródłem jest sam pokój, nie żadna lampa, i wyglądało naprawdę niesamowicie, jak blask z innego świata.

Wróciła do sypialni i zastała Panfila siedzącego na łóżku i pogrążonego w lekturze. Spojrzał na nią znad okularów i natychmiast odgadł, że oglądała zdjęcia. Alba nie miała najmniejszego zamiaru przyznać się, co robiła. Bez słowa rozebrała się i weszła do łóżka. Po chwili Panfilo zgasił światło i przysunął się bliżej, obejmując ją w talii i przyciągając do siebie. Czuła, że patrzy na nią poprzez ciemność, czuła niewypowiedziane na głos słowa, drżące na jego wargach.

- Nie mów tego! - ostrzegła.

- Czego mam nie mówić?

- Dobrze wiesz czego! Że wiesz...

- Że wiem? Co wiem?

- No, dobrze, widziałam je!

- Naprawdę? - zapytał z udawanym zdziwieniem.

- Tak! Ale nadal nie zamierzam tam pójść!

- Oczywiście... - Pocałował ją w szyję.

- Nie mogłam się powstrzymać. Leżały na twoim biurku, celowo je tam zostawiłeś...

- To moje biurko, prawda?

- Położyłeś je na samym środku.

- Na samym środku mojego biurka!

- Nie chciałam ich oglądać, ale nie potrafiłam się opanować.

- Jesteś więźniem swoich własnych przekonań, kochanie! Nic mnie nie obchodzi, czyje obejrzałaś, czy nie!

Odwróciła się na plecy i pozwoliła, żeby ją objął.

- Oto jedyne miejsce na całym świecie, w którym czuję się absolutnie bezpieczna - wyszeptała. - Tutaj, przy tobie.

- Czasami zachowujesz się całkowicie irracjonalnie, ale mimo wszystko jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Uważasz, że zachowuję się irracjonalnie?

- Lubujesz się w stwarzaniu melodramatycznego nastroju.

- Nieprawda!

- No, troszeczkę...

- Całkowicie się mylisz! - oświadczyła z naciskiem.

- Mimo to nigdy nie potrafię ci się oprzeć.

- Dobrze, że mam przynajmniej jedną pozytywną cechę!

- Masz ich mnóstwo. A teraz przestań wreszcie gadać, bo chcę cię pocałować.

Przylgnął wargami do ust żony i poczuł, jak ona uśmiecha się z zadowoleniem.

Luca machnął na wszystko ręką i pojechał do Neapolu kupić Cosimie pierścionek. Caradoc miał rację: miłość spadła na niego, kiedy w ogóle się jej nie spodziewał i teraz nie miał pojęcia, jak bez niej żył. Cosima napełniła jego duszę jakąś ciepłą, cudowną substancją, która dotarła do najdalszych zakamarków. Luca lubił człowieka, którym stawał się przy ukochanej. Cosima nie wiedziała, że

jest bardzo zamożny, i kochała go dla niego samego. Jeśliby mu pozwoliła, kupiłby dla niej cały świat. Nie cofnąłby się przed niczym, gdyby tylko mógł odkupić dla niej małego Francesca.

Odpowiedniego pierścionka szukał niedługo. Musiał to być pierścionek z brylantem, ale bardzo prosty. Klejnot odróżniał się od innych w taki sam sposób, jak Cosima wyróżniała się spośród innych znanych mu kobiet. Był duży jak cukierek.

Przypomniał sobie, jak kupował pierścionek zaręczynowy dla Claire. Nie wybrał go sam, tylko wysłał ją, żeby zaprojektowała go razem z jubilerem, którego prace lubiła. Jego zaangażowanie ograniczyło się do uregulowania rachunku, który okazał się niższy, niż się spodziewał. Cóż, w tamtym okresie Claire nie była jeszcze zepsuta. W ciągu dziesięciu lat małżeństwa zdobyła umiejętność instynktownego wyławiania najdroższych rzeczy w sklepie, a robienie zakupów stało się jej największą przyjemnością. Wyprawiała się na łowy w najbardziej ekskluzywnych dzielnicach, od Rodeo Drive poprzez via delia Spiga po Bond Street, i nigdy nie wkładała tej samej sukni dwa razy. Cosima pochodziła z prostej rodziny i miała proste upodobania. W przeciwieństwie do swej kuzynki, wydawała się zadowolona z tego, co miała. Być może śmierć syna nauczyła ją, że przedmioty materialne nie mają żadnej istotnej wartości. Luca przypomniał sobie wyraz twarzy Cosimy w chwili, gdy podarował jej kolczyki, i jej radość wypełniła jego serce cudownymi bąbelkami. Pragnął kupić dla niej wszystkie piękne ozdoby, jakie znajdowały się w sklepie.

Jadąc do domu drogą wzdłuż wybrzeża, doszedł do wniosku, że przyszedł już czas, aby sprowadził swój samochód do Włoch. Najwyższy czas. Skoro zamierzał osiąść tutaj na stałe, powinien zapuścić korzenie, urządzić dom, pomyśleć o jakimś konstruktywnym zajęciu. Wyobrażał sobie, jak kocha się z Cosimą, jak spędza z nią całe życie. Nie mógł się doczekać, kiedy oświadczy jej się w przyzwoity, staroświecki sposób. Niestety, w ten weekend miała przyjechać Freya razem z matką i ojczymem, wiedział więc, że będzie musiał zaczekać aż do ich wyjazdu. Postanowił, że zaraz potem zabierze Cosimę na plażę o zachodzie słońca, uklęknie przed nią i poprosi ją o rękę. W jego wieku naprawdę nie powinien dłużej marnować czasu.

W *palazzo* Romina zasypała go gradem wyrzutów.

- Wczoraj poszłam z Panfilem do domku w ogrodzie i kiedy otworzyłam okiennice, z przerażeniem zobaczyłam stos niedopałków pod oknem! Wyobrażasz sobie coś takiego?! Ta kobieta mogła podpalić domek! Musisz ją znaleźć, i to szybko! Dosyć tego romansowania, naprawdę, powinieneś trochę zmądrzeć po tym, jak naraziłeś dzieci na stres związany z rozwodem, a nie rzucać się w ramiona pierwszej z brzegu najzupełniej nieodpowiedniej dziewczyny!

Luca zastanawiał się chwilę, do którego z bezmyślnych oskarżeń powinien odnieść się najpierw. Nagle poczuł w kieszeni pod palcami pudełeczko z pierścionkiem zaręczynowym i jego irytacja natychmiast stopniała.

- Posłuchaj, mamo - zaczął spokojnie. - Wiem, kto to jest.

- Naprawdę? - Romina wyrzuciła ramiona w górę. - Od jak dawna?

- Od dawna.

- Więc kto to taki?

- Tego nie mogę ci powiedzieć, muszę najpierw porozmawiać z tą kobietą. Możesz się jednak nie obawiać, bo nie stanowi ona żadnego zagrożenia dla twojego bezpieczeństwa.

- Co za ulga!

Luca zmierzył matkę surowym spojrzeniem.

- A co do tej drugiej kwestii, mojego romansowania, jak to określiłaś, nie ma to nic wspólnego z tobą! Jestem wystarczająco dorosły, żeby samodzielnie wybrać sobie dziewczynę i nie wysłuchiwać twoich uwag na temat tego, czy jest odpowiednia, czy nie!

- Ależ kochanie, pod tym względem masz raczej negatywne doświadczenia!

- Myślę, że sporo nauczyłem się na własnych błędach.

- I dlatego popadasz z jednej skrajności w drugą? Cosima to prosta dziewczyna z malutkiego miasteczka, brakuje jej wyrafinowania i obycia. Potrzebujesz kobiety, która zna świat, nie prowincjuszki!

- Chyba jednak nie wiesz, czego mi potrzeba - odparł, dość skutecznie walcząc z irytacją.

- Jestem twoją matką, więc wiem, czego ci potrzeba, to chyba oczywiste!

Parsknął śmiechem, rozbawiony jej pewnością siebie.

- W ogóle się nie zmieniasz! - powiedział.

- Za jakiś czas zostawisz Cosimę i znajdziesz sobie kobietę taką jak Freya, zobaczysz! I nie udawaj, że nie jesteś w niej trochę zakochany! Kiedy wyszła za Milesa, byłeś dosłownie zielony z zazdrości. Freya też popełniła błąd. Teraz oboje możecie zostawić swoje pomyłki za sobą i zacząć nowe, wspólne życie. W *palazzo* starczy miejsca dla sześciorga dzieci!

- To tylko twoje marzenia, mamo!

- To chyba naturalne, że chcę mieć więcej wnuków! Gdyby Bill mi pozwolił, sama miałabym tuzin dzieci...

- Freya nie jest kobietą dla mnie.

- Zawsze była kobietą dla ciebie! Czasami osoba, którą kochamy, jest...

- Tuż pod naszym nosem - dokończył za nią, śmiejąc się z tego banału.

- No, właśnie! Jej mąż pozwolił sobie na skok w bok i tym samym dał jej pretekst, dzięki któremu może wycofać się z tego małżeństwa!

- Freya kocha Milesa. Nie sądzisz, że powinna spróbować go odzyskać, także ze względu na dzieci?

- To zależy od tego, jak bardzo zaawansowany jest proces rozpadu związku, prawda? Niewykluczone, że jest już nieodwracalny. - Romina uśmiechnęła się kpiąco. - Kiedy Freya cię zobaczy, zapomni, że chciała odzyskać Milesa!

- Kocham Cosimę - powiedział Luca zdecydowanym tonem.

- Wydaje ci się, że ją kochasz.

- Nie, mamo! Wiem, że ją kocham!

Romina otworzyła usta, ale Luca uciszył ją gestem.

- I nawet nie myśl o tym, żeby wmawiać mi, co czuję, dobrze?

Wymownie przewróciła oczami.

- Nie podejmuj tylko żadnych pochopnych decyzji, proszę! - Westchnęła. - Najpierw zabierz ją do Londynu i zorientuj się, czy pasuje do twojego świata. Moim zdaniem szybko się zorientujesz, że Londyn to nie miejsce dla niej.

Luca nie miał ochoty dowodzić matce, że ma słuszność. Nie musiał tego robić, podjął już decyzję.

29

Freya, Rosemary i Fitz przyjechali do Incantellarii w piękny, słoneczny dzień. Romina zamówiła dla nich łódź, żeby mogli nacieszyć się widokiem średniowiecznej panoramy miasteczka od strony morza. Fitz miał żołądek ściśnięty w twardą kulę ze zdenerwowania. Ostatni raz był w Incantellarii przed trzydziestu laty. Nie wiedział, czy Alba nadal tu mieszka. Wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że Fiorelli sprzedali rodzinną trattorie i przenieśli się gdzie indziej. Trzydzieści lat to długi okres. Robiło mu się zimno na myśl, że w miejscu trattorii Fiorellich zobaczy inną restaurację. W głębi serca pragnął, aby wszystko było tak jak wtedy, nawet ona.

Nie mógł zwierzyć się Rosemary. Jego żona zawsze wyrażała się o Incantellarii z wyraźną pogardą; było tak od samego początku, odkąd opowiedział jej o Albie i o tym, jak próbowała skłonić go, żeby przyjechał za nią do Włoch. To właśnie Rosemary wiele lat temu odwiodła go od tego pomysłu; w ciągu następnych miesięcy bardzo zbliżyli się do siebie. Teraz towarzyszyła mu wyłącznie dlatego, że nie chciała, aby sam spotkał swoją dawną miłość. Z tego powodu nie podzielił się z nią swoją tęsknotą i obawami. Mógł tylko trzymać się burty na rufie łodzi i czekać. Przygotowując się na najgorsze, wyobrażał sobie nocne kluby i eleganckie butiki, drogie hotele i plażę zatłoczoną prawie nagimi, obwieszonymi biżuterią wulgarnymi Europejczykami.

Freya nie powiedziała matce o romansie Milesa, nie chciała jej martwić. Postąpiła jednak zgodnie z radą Luki i oświadczyła mężowi, że wie o jego romansie. Miles naturalnie wszystkiemu zaprzeczył, zarzucił jej paranoiczną podejrzliwość oraz brak zaufania do niego, ale Freya nie miała cienia wątpliwości. Dysponowała zbyt mocnymi dowodami, świadczącymi na niekorzyść męża - urywkami rozmów telefonicznych, przeczytanymi ukradkiem wiadomościami w komórce, wieczorami spędzonymi podobno na brydżu. Znała nawet nazwisko kochanki Milesa. Była to niejaka Felicity Cranley, która rzeczywiście regularnie grywała z nim w brydża, osoba niezasługująca na miano choćby przeciętnie ład-

nej. Z biletem na samolot do Neapolu w torebce Freya postawiła Milesowi ultimatum. Zdecydowała się dać mu jedną szansę, uprzedziła go jednak, że następnym razem weźmie dzieci ze sobą i już nie wróci. Miles milczał, kompletnie oszołomiony i niezdolny wydusić z siebie ani słowa.

Teraz, siedząc w motorówce bez męża i dzieci, czuła się cudownie wolna. Wiatr rozwiewał jej włosy, powietrze pachniało morską solą i tymiankiem, a świadomość, że za parę chwil zobaczy Lucę, swojego dawnego ukochanego, działała na jej zmysły jak dobry alkohol. Czuła, że z każdą sekundą ogarniają coraz większe podniecenie. Kątem oka zerknęła na ojczyma, którego twarz przybrała odcień seledynowej naci selera. Uznała, że Fitz cierpi na paskudny atak mdłości i uśmiechnęła się ze współczuciem. Rosemary także zwróciła uwagę na stan męża i zaczęła masować mu kark. Jak Fitz miałby im wyjaśnić, co jest przyczyną jego fatalnego samopoczucia? Po trzydziestu latach?

Kiedy łódź okrążyła klify i wpłynęła do zatoki, trójka pasażerów bez słowa zapatrzyła się na piękne miasteczko. Fitz poszukał wzrokiem trattorii Fiorellich na nabrzeżu, byli jednak jeszcze zbyt daleko. Świadomość, że Incantellaria tak niewiele się zmieniła, przynajmniej pozornie, dodała mu sił. Na kamienistej plaży leżały niebieskie rybackie łodzie, zupełnie jak dawniej, budynki wydawały się znajome, a wyżej wznosiła się mozaikowa kopuła kościoła San Pasquale. Wspomnienia spadły na Fitza niczym niesione wiatrem kartki z pamiętnika. Pamięć podsuwała mu fragmenty obrazów z jego wizyty, od chwili, gdy ujrzał Albę na nabrzeżu, po moment wspólnego wyjazdu. Starał się je zatrzymać i smakować je bez pośpiechu, ale oto już przybili do brzegu i Romina, nie Alba, entuzjastycznie machała do nich z pomostu.

Gdy wysiedli, Fitz uniósł oczy, szukając trattorii. Nie zawiódł się - wciąż była na dawnym miejscu.

- Wyglądasz już lepiej - powiedziała Rosemary. - Biedny Fitz miał atak choroby morskiej - wyjaśniła.

- Ojej, czyżby mocno kołysało? - spytała Romina.

- Trochę - odparła Rosemary. - W porządku, kochanie?

- Tak, o wiele lepiej - rzekł Fitz, który zdążył już odzyskać siły.

- Luca czeka na ciebie w *palazzo.* - Romina uśmiechnęła się do Frei. - Bardzo cieszy się z twojej wizyty.

- Ja też się cieszę - odrzekła Freya. - Miałam wielką ochotę zobaczyć waszą rezydencję!

- Nie będziesz rozczarowana. Pałac dopiero co został sfotografowany dla „Sunday Timesa", zdjęcia robił sam wielki Panfilo Pallavicini!

- Wspaniale! - zawołała Rosemary, nie chcąc zdradzać swojej ignorancji.

Nazwisko fotografa nic jej nie mówiło.

- Zamówiłam dwie taksówki - ciągnęła Romina. - Mój samochód jest za mały, żeby pomieścić nas wszystkich, a nie byłam pewna, ile będziecie mieli bagażu.

Szybkim spojrzeniem oszacowała zwarty szereg granatowych toreb i walizek. Rosemary miała widać w zwyczaju zabierać ze sobą mnóstwo rzeczy.

- I widzę, że dwie taksówki to wcale nie za dużo - dorzuciła.

- Nie znoszę uczucia, że nie mogę włożyć na siebie tego, co należy - wyjaśniła Rosemary. - Mało brakowało, a przywiozłabym nawet kuchenny zlew, założyłam jednak, że pewnie macie takie urządzenie. Romina się roześmiała.

- Nawet kilka, jeśli dobrze pamiętam!

Fitz ciągle patrzył w stronę trattorii, wyobrażając sobie Albę taką, jaka była przed trzydziestu laty, z zabawną krótką fryzurą i w prostej sukience w kwiaty, tak różną od wyrafinowanej dziewczyny z Londynu, w minispódniczkach od Mary Quant i wysokich butach z błękitnego zamszu. Tu, w Incan-tellarii, natychmiast zauważył, że jej wewnętrzny bunt i wieczna nerwowość ustąpiły miejsca spokojowi i zadowoleniu z życia, czego szczerze jej zazdrościł. Ciekawe, jaka była teraz... Czy udało jej się zachować ten spokój, czy też może wróciła do życia w jakimś wielkim mieście i swojej dawnej osobowości. Na wpół spodziewał

się, że Alba wybiegnie zaraz z trattorii z szeroko rozpostartymi na powitanie ramionami, ale na tarasie restauracji widział tylko obcych ludzi.

- To trattoria Fiorellich. - Romina zauważyła kierunek jego spojrzeń. - Luca spędza u niej mnóstwo czasu, ponieważ podają znakomitą kawę. Pójdziemy tam, jeżeli będziecie mieli ochotę, bo jedzenie też jest doskonałe. Właścicielka trattorii jest żoną Panfila, tego fotografa...

Przez głowę Fitza przemknęła myśl, że być może Romina mówi o Albie. Chciał zapytać o właścicielkę lokalu, ale wolał nie denerwować Rosemary, która miała wyjątkowo wyczulony słuch.

- Piękne miejsce - przyznała Rosemary, kiedy usadowili się w samochodzie. - Trochę dziwaczne, lecz naprawdę urocze.

- Ma fascynującą historię.

- Naprawdę? Nie wyobrażam sobie, co ciekawego mogło wydarzyć się w takiej sennej dziurze!

- Opowiem wam przy lunchu. Nasz pałac odegrał w tym wszystkim niezwykle ważną rolę!

Fitz zaskakująco dobrze pamiętał Incantellarię. Miasteczko było o wiele bardziej ruchliwe niż przed trzydziestu laty i „wzbogacone" o gąszcz satelitarnych talerzy, ale poza tym niemal się nie zmieniło. Kiedy wjechali na drogę pod górę, po plecach przebiegł mu dreszcz podniecenia. Ostatni raz był w *palazzo* razem z Albą - przeskoczyli wtedy przez zardzewiałą bramę i dokładnie zbadali ruiny. W tamtym okresie nic nie mogło powstrzymać Alby przed zdobyciem tego, na czym jej zależało.

Przejechali przez bramę, tę samą, lecz oczywiście odrestaurowaną, i przemknęli pod cyprysami. Teraz posiadłość nie miała w sobie nic złowrogiego, ponura aura zniknęła bez śladu. Pałac odbudowano i otynkowano, ogród oswojono i uporządkowano. Fitz pomyślał, że pewnie wszystko wygląda tu mniej więcej tak, jak na początku istnienia rezydencji. Romina i Bill dokonali jednak koniecznych zmian w tak przemyślany sposób, że nic nie raziło nowością.

Freya była oczarowana Incantellarią i pałacem. Rozumiała teraz, dlaczego Luca nie chciał wracać do Londynu. Gdyby dane jej było żyć w otoczeniu tak idealnej harmonii, też wolałaby zostać tu na zawsze. Żałowała, że nie zabrała dzieci. Wpadłyby w zachwyt na widok bajkowego pałacu i prześlicznego miasteczka.

Luca usłyszał warkot silników i wyszedł na podjazd przywitać gości.

- Luca! - Freya wyskoczyła z samochodu i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

Romina się uśmiechnęła. Ten chłopak naprawdę nie miał pojęcia, co dla niego dobre.

- Świetnie wyglądasz! - zawołała Freya. - Taki opalony i wypoczęty! Wakacje doskonale ci zrobiły!

- Tobie też dobrze zrobią! Parę dni w słońcu nad basenem, spacery po plaży, trochę czasu na spokojne przemyślenie niektórych spraw.

Luca nie chciał psuć radości przyjaciółki, opowiadając jej o Cosimie. Postanowił, że znajdzie lepszy moment. Nie wątpił, że Freya będzie się cieszyła jego szczęściem.

- Jak to dobrze, że namówiłeś mnie na tę wizytę! - powiedziała, ujmując go pod ramię. - Miles nie mógł uwierzyć, że wyjeżdżam! Myślę, że jest nadal oszołomiony.

- Zasługuje na coś gorszego niż takie oszołomienie!

- Potrzebuję kilku dni w innym otoczeniu, żeby uspokoić się i uporządkować myśli... Mam za sobą okropne przeżycia, naprawdę.

- Chodźmy się czegoś napić. Przy okazji chcę przedstawić cię dwójce moich bardzo dobrych i drogich przyjaciół.

- Tak? - Freya podniosła ku niemu oczy, w ciepłym blasku jego uwagi zapominając o dzieciach i niewiernym mężu.

- Potem oprowadzę cię po pałacu - dodał.

Ma, Nanni i Caradoc gawędzili na tarasie, a Porci spał na wygrzanych słońcem kamiennych płytach, z brzuchem wyraźnie zaokrąglonym mimo pozornego braku apetytu. Mężczyźni wstali, aby przywitać się z Freyą, lecz Ma pozostała na swoim miejscu, zbyt senna i otyła, by się ruszyć.

- Oto najważniejsze osobistości w całej Incantellarii! -Luca uśmiechnął się szeroko. - Mój wuj Nanni, ekscentryczny ofiarodawca świnki; profesor Caradoc Macausland, najmądrzejszy człowiek chrześcijańskiego świata; Ma Hemple, prawdopodobnie najbardziej zrzędliwa kobieta po tej stronie Neapolu.

Ma wyciągnęła rękę do Frei.

- Luca bardzo się myli co do mnie, jestem najpogodniej usposobioną osobą w tej okolicy! On po prostu nie rozumie mojego poczucia humoru, pewnie za dużo lat spędził w banku, pracując z dobrze urodzonymi londyńczykami!

Freya parsknęła śmiechem.

- Widzę, że rzeczywiście bardzo się co do pani pomylił!

- Miło mi poznać jeszcze jedną urodziwą dziewczynę -odezwał się Caradoc.

- Profesor ma słabość do pięknych dam - wyjaśnił Luca.

- Mam śliczną dziewczynę w trattorii! Nazywa się Rosa i jest piękna jak wiosenna róża!

- Jest dziwką - sprostowała Ma. - Caradoc nie widzi różnicy.

- W naszym wieku nie ma to dla nas wielkiego znaczenia - rzekł Nanni, któremu nagle przypomniała się biała skóra Fiyony i jej ogniście rude włosy łonowe. - Bierzemy to, co nam dają, i nie zadajemy zbędnych pytań.

- Popatrz tylko, kto przyjechał! - zawołała Romina do męża.

- To cudowne miejsce, Bill! - powiedziała Rosemary, podchodząc do gospodarza i całując go w policzek.

- Zrobiliśmy, co tylko się dało.

- Zrobiliście znacznie więcej! - Fitz się uśmiechnął, wspominając zrujnowany pałac.

Balustrada tarasu była przed laty prawie kompletnie zburzona, a kamienne płyty tak zarośnięte mchem i chwastami, że tylko miejscami prześwitywały spod zieleni. W powietrzu unosił się ciężki, obrzydliwy zaduch, tymczasem teraz ogród pachniał świeżo skoszoną trawą, sosnową żywicą i kwiatami gardenii. Fitz wziął głęboki oddech, wypinając pierś do przodu jak paw i delektując się powrotem do przeszłości.

Ventura i lokaj wynieśli na taras wino i półmiski pełne *crostini* i wszyscy zajęli się swobodną rozmową. Ma od razu poczuła antypatię do Rosemary. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ nienawidziła hipokryzji i egzaltacji. Rosemary nie czuła się swobodnie na obcym gruncie; o wiele lepiej wypadała w domu, wśród ludzi tego samego co ona pokroju. Cudzoziemcy zawsze mocno ją peszyli, podobnie jak ci, którzy nie mieli nic przeciwko ich towarzystwu. Chociaż Fitz od trzydziestu lat w ogóle nie wspominał o Incantellarii i prawie obojętnie zareagował na zaproszenie Bilia i Rominy, w jego milczeniu było coś dziwnego, zupełnie jakby próbował się w nim ukryć. Rosemary nie była zazdrosna o Albę, ponieważ pozycja żony dawała jej poczucie bezpieczeństwa, ale jednak Incantellaria stanowiła część tego rozdziału przeszłości Fitza, z którą nie miała żadnego związku. Pewnie właśnie dlatego to małe włoskie miasteczko zawsze budziło w niej podejrzliwość. Fitz chciał tu przyjechać, zobaczyć, jak Romina i Bill odremontowali swój dom, a Rosemary nie mogła przecież pozwolić, aby wyruszył na tę wyprawę sam, tylko w towarzystwie wspomnień.

Ma polubiła Fitza od pierwszego wejrzenia. Nie chodziło tylko o to, że był przystojny - o wiele ważniejsze było dla niej, że był szczery i prawdziwy. Niczego nie udawał, nie grał żadnej roli. Wziął Porciegó na kolana i zaczął go głaskać. Świnka zachrząkała rozkosznie i wystawiła brzuszek, po którym Fitz posłusznie ją podrapał. Fitz entuzjastycznie reagował na wszystko, nawet na poczucie humoru Ma, a to należało do rzadkości, w każdym razie w tak wczesnym stadium znajomości. Ma ze swej strony nie miała nic przeciwko temu, że trochę z niej pokpiwał, więcej, to jej się podobało.

Jeśli chodzi o Freyę, to Ma uważnie obserwowała zachowanie młodej kobiety wobec Luki. Romina mówiła jej, że tych dwoje było starymi przyjaciółmi i że Freya podejrzewała swojego męża o romans. Ma w ogóle nie rozumiała, po co ludzie się pobierają; jej zdaniem wierność nie leży w naturze mężczyzny. Szybko się zorientowała, że Freya podkochuje się w Luce, który nie ukrywa sympatii do dawnej przyjaciółki. Ale miłość? Romina nie miała racji, obiektem głębokich uczuć Luki była zupełnie inna kobieta. Ma usadowiła się wygodnie i postanowiła spokojnie czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Miłość była bardzo interesującym sportem dla obserwatorów.

W czasie lunchu Romina zaznajomiła świeżo przybyłych gości z krwawą historią *palazzo*. Twarz Fitza przypominała maskę i nie zdradzała żadnych uczuć, natomiast Rosemary i Freya dosłownie chłonęły każde jej słowo.

- I wyobraźcie sobie, że rodzina Valentiny nadal mieszka w Incantellarii - oświadczyła Romina.

Fitz na ułamek sekundy uchylił maski. Na jego policzki wypełzł lekki rumieniec.

- Właścicielką trattorii jest córka Valentiny. Nadal jest to rodzinna firma.

Rosemary zacisnęła zęby i z trudem zachowała spokój. Miała nadzieję, że wielka miłość Fitza wyprowadziła się z miasteczka albo umarła.

- Alba pewnie wyszła za mąż - odezwała się.

- Tak, za Panfila Pallaviciniego! - przypomniała im Ro-mina.

- Tego fotografa! - skojarzyła Rosemary.

Freya miała niejasne wrażenie, że ojczym zamilkł, kiedy Romina zaczęła opowiadać o Valentinie.

- Byłeś tu już kiedyś, prawda, Fitz? - zagadnęła Romina.

- Dawno temu.

- Odwiedziłeś też wtedy pałac?

- Był w ruinie.

Romina radośnie zatarła ręce.

- Jak wyglądał?

Rosemary słuchała, czujnie wyprostowana, gdy Fitz opisywał panujący w pałacu nienaturalny chłód, obrzydliwy odór, zarośnięty ogród i rozsypujące się mury.

- Przyszliśmy to wszystko obejrzeć - wyjaśnił.

- My? - spytała szybko Ma.

- Byłem razem z dawną przyjaciółką.

Niejasna odpowiedź rozbudziła zainteresowanie starszej pani.

- Z dawną przyjaciółką - powtórzyła. - Bardzo tajemnicza historia.

- Bynajmniej - odparł chłodno Fitz. - To była Alba. Nie widziałem jej ponad trzydzieści lat.

Przy stole zapanowała cisza. Rosemary była oburzona, że Fitz wymienił imię dawnej kochanki. Poczuła się tak, jakby ją obraził. Freya zdziwiła się, że kobieta, którą Fitz zamierzał poślubić, była tak blisko związana z mroczną historią, opowiedzianą przez Rominę. Mężczyźni patrzyli na Fitza z najszczerszym podziwem - Alba była wielką pięknością.

- Czarny koń z ciebie, nie ma co! - odezwał się Bill, podając dalej karafkę z winem. - Co pomyśli Alba, kiedy nieoczekiwanie zjawisz się w trattorii?

- Nie zdziwiłbym się, gdyby w ogóle mnie nie poznała. To było trzydzieści lat temu.

- Nie musisz wybierać się do trattorii - powiedziała Rosemary ze sztucznym uśmiechem. - Możemy się stąd nie ruszać, trudno wyobrazić sobie milsze otoczenie.

- Powinien pan tam zajrzeć, to oczywiste! - Ma natychmiast przejrzała sztuczki Rosemary. - Chyba szkoda byłoby przebyć taki szmat drogi i nie zobaczyć tej kobiety.

- Ja bardzo chciałabym spotkać się z dawną miłością! -poparła ją Romina.

- Nie ma się czym tak ekscytować. - Fitz starał się mówić lekkim tonem.

Wyczuwał lęk Rosemary tak wyraźnie, jakby nagle wyrosły jej długie kolce.

- Niezwykła historia! - rzuciła Ma. - Trochę jak szekspirowski dramat!

- Który? - spytał Caradoc.

- O, to zależy od zakończenia!

Rosemary nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tonie.

- Faktycznie, to bardzo ciekawe - przyznała z wysiłkiem.

Miała ochotę dorzucić, że bawią się jej kosztem, ale ugryzła się w język. Pomyślała, że zachowuje się nierozsądnie. Ostatecznie wszystko to działo się trzydzieści lat temu.

Podczas gdy starsi udali się na drzemkę po lunchu, Luca zaprosił Freyę na wycieczkę z przewodnikiem po terenie posiadłości. Wiedział, że powinien powiedzieć o Cosimie, ale nie chciał sprawiać jej przykrości. Przyjechała do niego szukać pomocy w poważnych małżeńskich kłopotach i na pewno nie miała ochoty słuchać, że on zamierza oświadczyć się tutejszej piękności. Jego szczęście nie powinno usunąć w cień zasadniczego celu jej wizyty, byłoby to najzwyczajniej w świecie niesprawiedliwe.

Wyrzucał sobie, że wcześniej z nią flirtował i pragnął cofnąć wszystkie swoje słowa, które mogły mieć niewłaściwy wydźwięk. Freya miała rację - gdy czuł się niepewnie, była dla niego bezpiecznym, znajomym portem, ale teraz, gdy odzyskał siłę i życiową energię, nie potrzebował już takich zabezpieczeń. Miał nadzieję, że Freya nie myśli poważnie o opuszczeniu Milesa.

Oprowadził ją po ogrodzie i pokazał domek, który zgodnie z jego przewidywaniami wzbudził jej zachwyt. Usiedli na łożu, na którym kochał się z Cosimą, i

w końcu, po krótkiej rozmowie o urodzie małego budynku oraz jego tragicznej historii, poruszyli temat Milesa.

- Nigdy nie przypuszczałam, że Miles należy do tego typu mężczyzn - powiedziała Freya, zakładając wijące się pasmo włosów za ucho. - Nie jest i nie był bawidamkiem, nie ogląda się za ładnymi kobietami.

- Kim ona jest?

- Grają razem w brydżowej czwórce. Nawet nie jest atrakcyjna, ma proste, przetłuszczające się włosy i okrągłą twarz.

Roześmiała się, a Luca jej zawtórował.

- Co w niego wstąpiło? - spytał.

- Nie mam pojęcia. Może jestem dla niego za spokojna, za łagodna.

- Przecież to cudowne cechy!

- Może chce ostrego seksu, może zależy mu na kimś, kto robi różne perwersyjne rzeczy, takie, jakich ja nie chcę robić.

- Jakich perwersyjnych rzeczy nie chcesz robić? - Luca nie mógł się powstrzymać.

Zarumieniła się.

- Sama nie wiem. Miles nigdy wprost mnie o nic takiego nie prosił, jest bardzo konwencjonalny. Po prostu staram się znaleźć jakieś wytłumaczenie...

- Więc postawiłaś mu ultimatum, tak?

- Kazałam mu zakończyć ten romans i zagroziłam, że jeśli tego nie zrobi, zabiorę dzieci i zostawię go.

- Wyobrażam sobie, że nieźle go wystraszyłaś.

- Chyba tak.

- Na pewno spełni twoje żądanie!

- Ale czy ja zdołam mu teraz zaufać? Nie jestem pewna.

- Masz czworo dzieci, które szybko się zorientują, że nie ufasz ich ojcu. Zresztą bez wzajemnego zaufania wasze małżeństwo wcześniej czy później się rozpadnie.

- Twoje dziewczynki jakoś zaakceptowały nową sytuację, prawda?

- Tak mi się wydaje, ale nikomu bym tego nie życzył. Coco i Juno spędziły tu ostatni tydzień i bawiliśmy się wspaniale, lecz naturalnie byłoby dla nich znacznie lepiej, gdybyśmy ocalili nasze małżeństwo.

- Ale teraz biorą to, co najlepsze z dwóch światów - w Anglii są z mamą, a tutaj z tatą...

- Nie jest im łatwo - powiedział z naciskiem. - Każde dziecko chce, żeby jego rodzice kochali się, to najnormalniejsza rzecz pod słońcem! - Spojrzał uważnie na Freyę. - Kochasz jeszcze Milesa?

- Oczywiście - odparła bez najmniejszego wahania. - Ale bardzo mnie zranił.

- Gdybyś go nie kochała, nie zdołałby cię zranić!

- Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat i nie wyobrażam sobie życia bez Milesa. Byłam na tyle arogancka, że uważałam się za centrum jego świata. Nie przyszło mi do głowy, że mógłby zakochać się w kimś innym. Teraz czuję się tak, jakby wymierzył mi potężny cios w splot słoneczny i pozbawił oddechu... - Uśmiechnęła się nieśmiało. - No i cała moja zarozumiałość zniknęła.

Pogładził ją lekko po ramieniu.

- Za parę dni wrócisz do Anglii, do tego czasu Miles zerwie z tamtą kobietą. Ale będziesz musiała bardzo się starać, żeby cię to nie zniszczyło.

- Wiem. Jeśli ją rzuci, spróbuję o tym zapomnieć, ale nie będzie mi łatwo.

- Pokazałaś mu, że nie zamierzasz tolerować skoków w bok, to bardzo dobrze.

- Raczej nie podejrzewał, że tak po prostu nagle wyjadę! -Uśmiechnęła się szeroko. - Wydaje mi się, że to ty go wystraszyłeś, wiesz?

-Ja?

- Tak. Powiedziałam mu, że jadę do ciebie, i to rozbudziło jego zazdrość. Miles zawsze był o ciebie trochę zazdrosny.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Bardzo mi pomogłeś. - Z czułością ścisnęła jego rękę. -Jesteś prawdziwym przyjacielem!

30

Fitz bardzo denerwował się myślą o spotkaniu z Albą, chociaż oboje dawno temu znaleźli szczęście u boku innych. Zdawał sobie sprawę, że trzydzieści lat może okazać się jedną chwilą, jeśli chodzi o uczucia. Alba złamała mu serce. Rosemary opatrzyła je, ale pod powierzchowną blizną nadal była krwawiąca rana. Nie cierpiał już tak dotkliwie, jak w czasie pierwszych miesięcy po rozstaniu z Albą, bo naturalnie czas zrobił swoje, lecz ból wciąż się odzywał. Czasami czuł żal, kiedy indziej tęsknotę za czymś głęboko upragnionym. Często marzył o Albie i wyobrażał sobie, jak mogłoby wyglądać ich wspólne życie. Teraz, patrząc na pełną uroku Incantellarię, zastanawiał się, czy potrafiłby być tu szczęśliwy. Pewnie czułby się lepiej, gdyby mógł zdecydowanie zaprzeczyć, ale wcale tak nie było.

Romina uwielbiała dramatyczne sytuacje. Nigdy nie przy-szłoby jej do głowy, że Fitz Davenport i Alba Pallavicini mogliby być razem. Fitz był niewiarygodnie angielski - cygaro, kapcie i kominek - natomiast Alba idealnie włoska. Jej ojciec był wprawdzie Anglikiem, lecz Incantellaria szybko wydobyła z niej typowo włoskie cechy. Alba i Fitz byli tak różni jak czarna pantera i spokojny dog. Romina nie dostrzegała w ich sytuacji żadnych podobieństw do własnego małżeństwa, ponieważ nie należała do osób świadomych siebie. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Fitz mógłby teraz prowadzić trattorie**,** a nie być mężem, ogólnie rzecz biorąc, sympatycznej, lecz autorytatywnej i dominującej Rosemary. Romina z trudem powstrzymywała pragnienie, aby jak najszybciej doprowadzić do spotkania dawnych kochanków, i bardzo żałowała, że nie może wysłać Rosemary na drugi koniec świata, żeby tamci dwoje mieli szansę spokojnie porozmawiać o przeszłości. Czuła, że Rosemary ani na moment nie zostawi ich samych. Kobiety takie jak żona Fitza tylko pozornie były silne; pod kruchą powierzchnią szalał w nich ocean niepewności i zazdrości. Rosemary w jakiś sposób usidliła Fitza, a on był głupi, bo pozwolił się usidlić!

Romina oprowadziła gości po pałacu, a potem wepchnęła ich wszystkich do samochodu Nanniego i swojego małego żółtego fiacika. Freya została z Lucą w domku w ogrodzie. Nie miała ochoty przyglądać się, jak Fitz i jego dawna ukochana upokarzają matkę.

Alba dołożyła starań, aby wypaść jak najlepiej. Oczywiście zawsze dbała o swój wygląd, lecz tego dnia, ożywiona świadomością, że Fitz może w każdej chwili wejść do trattorii, chciała zrobić wyjątkowo dobre wrażenie. Umyła włosy i pozwoliła, aby opadały na plecy błyszczącymi falami. Wybrała czarną sukienkę w czerwone i zielone kwiaty, która dość ciasno opinała jej kształtne ciało, podkreślając krągłość piersi, bioder i pośladków. Nie była już tak smukła jak w tamtych odległych czasach, wiedziała jednak, że jak na babcię wygląda całkiem nieźle. W życiu każdej kobiety przychodzi chwila, kiedy musi wybrać między swoją twarzą a figurą. Alba miała to już za sobą i wybrała twarz. Kilka kilogramów, które być może chętnie by zgubiła, nadawało jej skórze młodzieńczy wygląd. Starannie pociągnęła rzęsy tuszem i nałożyła na policzki odrobinę różu, mając nadzieję, że nikt nie zwróci na to uwagi. Nie powiedziała mężowi o przyjeździe Fitza, ponieważ niewiele wskazywało na to, aby mieli się spotkać. Panfilo wyjechał na parę dni do Mediolanu, zresztą gdyby nawet wrócił wcześniej do domu, i tak raczej nie przejąłby się nieoczekiwaną wizytą dawnego przyjaciela żony. Panfilo był silnym, pewnym swojej wartości mężczyzną i Alba nie sądziła, aby pojawienie się Fitza w ogóle go zainteresowało. Wyszła z domu w nadziei, że Fitz zajrzy do trattorii, bo w przeciwnym wypadku jej starania poszłyby na marne.

Okazało się, że tego dnia w trattorii byli po prostu wszyscy. Rosa i Cosima pracowały na sali, a Toto gawędził ze stałymi klientami. W porze lunchu wszystkie stoliki były zajęte. Duża łódź przywiozła grupę turystów z Sorrento. Alba była tak roztargniona, że nie zauważyła chytrego uśmieszku Rosy ani jej wyjątkowo sprężystego kroku. Obie prawie się do siebie nie odzywały. Tylko Cosima skomentowała wygląd Alby, z ciepłym uśmiechem chwaląc jej fryzurę i sukienkę. Alba odpowiedziała uśmiechem i oświadczyła, że *Vecchio polio fa buon brodo,* „stare kury świetnie nadają się na dobry rosół".

Po południu dobry nastrój Alby się ulotnił. Usiadła przy stoliku w kącie i zajęła się sprawdzaniem rachunków. Nie chciała wyjść, bo przecież Fitz mógł się jeszcze pojawić. Nie była pewna, jak powinna się zachować. Zwykle nie spędzała całego dnia w trattorii.

- Idę do domu - powiedziała w końcu Cosimie.

Czuła się trochę jak dziewczyna, której chłopak nie przyszedł na pierwszą randkę.

- Jakoś poradzicie sobie z twoim ojcem i Rosą - dodała. -Do zobaczenia później!

Dotarła do prowadzących na ulicę schodów i nagle przystanęła. Od nabrzeża zmierzał ku niej Fitz Davenport. Wcale się nie zmienił, może tylko jego skronie odrobinę posiwiały, a na twarzy pojawiło się trochę zmarszczek. Matka Natura obdarzyła Fitza odpornym na działanie czasu chłopięcym wyglądem.

Fitz także ją dostrzegł i jego twarz rozjaśnił szeroki, zaraźliwy uśmiech. Zupełnie zapomniał o idącej parę kroków za nim Rosemary. Czas cofnął się o całe trzydzieści lat i Fitz Davenport znowu szedł na spotkanie miłości swojego życia.

- Dobry Boże, nie mogę uwierzyć, że to ty! - powiedział, całując Albę w policzek. - Niesamowite, że wciąż tu jesteś! W ogóle się nie zmieniłaś!

Alba uśmiechnęła się i Fitz ujrzał nie kobietę, która niedawno skończyła pięćdziesiąt sześć lat, ale dziewczynę, w której się zakochał.

- Obiecałam, że będę na ciebie czekać - szepnęła. Fitz spochmurniał.

- Cóż, nie mogłam przecież czekać w nieskończoność, prawda? - Zaśmiała się lekko.

Zawtórował jej, lecz w jego śmiechu brzmiała wyraźna nuta żalu.

- Powinienem był wiedzieć...

- No i jak podoba ci się twoja dawna przyjaciółka? - zagadnęła Romina, jakby to ona zaaranżowała spotkanie.

- Bardzo! - odparł Fitz, niechętnie wypuszczając Albę z objęć.

Zerknął w bok i poczuł, jak żona zaborczym gestem wsuwa mu rękę pod ramię.

- To jest Rosemary - powiedział. - Moja żona.

Alba jednym spojrzeniem oszacowała energiczną kobietę, którą Fitz poślubił zamiast niej.

- Witamy w Incantellarii! - uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że mogę panią poznać. - Rosemary już oceniła południową urodę Alby i jej zaskakująco jasne oczy. - Dużo o pani słyszałam.

Fitz doskonale wiedział, co Alba myśli o Rosemary, i wyraz rozbawienia w jej oczach tylko potwierdził te przypuszczenia.

- Chodźcie, poszukamy stolika, przy którym wszyscy będziemy mogli usiąść i porozmawiać - powiedziała Alba i poprowadziła gości przez taras.

- Muszę usiąść w cieniu - oświadczyła Ma, pomagając sztywno podpierającemu się laską Caradocowi, który spytał:

- Gdzie cudna Rosa?

- Poszła do domu, do dzieci.

- Och, co za zawód!

- Co za ulga! - sprostowała sucho Ma. - Będziesz mógł wreszcie trochę pomilczeć!

Wszyscy usiedli. Alba najchętniej zostałaby sama z Fitzem, ale było to niemożliwe. Jego żona żywo przypominała Albie jej macochę, kobietę, którą bardzo nieuprzejmie nazywała „Bawołem". Kto by pomyślał, że Fitz zwiąże się z taką osobą? Dostrzegła malującą się w jego oczach bezradność. On również chciał porozmawiać z nią tylko w cztery oczy, byli jednak skazani na rozmowę w obecno-

ści grupy zaciekawionych słuchaczy i zazdrosnej żony. Alba uniosła rękę i przywołała Cosimę.

- Przynieś nam wszystkim herbatę i kawę, dobrze? Cosima wyjęła z kieszeni fartuszka bloczek i ołówek.

- Jak miło znowu cię widzieć, Fitz! - Alba pochyliła się nad stołem. - Nadal masz psy i cuchnące stare volvo?

- Dlaczego Luca i Freya nie przyjechali z nami? - zapytała Ma.

- Mają mnóstwo spraw do omówienia - odparła Romina. Zauważyła, że ołówek Cosimy nieruchomo zawisł nad kartką, chociaż Nanni i Caradoc składali właśnie zamówienie.

- Luca zawsze zajmował wyjątkowe miejsce w sercu Frei -powiedziała Rosemary, starając się nie podsłuchiwać rozmowy męża z Albą.

- Trochę się rozminęli! - Romina celowo podniosła głos. -A byliby idealną parą...

- Luca jest przystojny, ale zmienny. - Rosemary westchnęła. - Wcale się nie dziwię, że jego małżeństwo nie wytrzymało próby czasu! To nie jest mężczyzna stworzony do monoga-micznego związku.

- Moim zdaniem serce Luki jest stałe i już zajęte - wtrącił Caradoc, zerkając na Cosimę.

Młoda kobieta uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, chociaż było jej niedobrze ze zdenerwowania. Luca ani słowem nie wspomniał o Frei. Powoli zaczął ogarniać ją gniew.

Nie chodziło jej o to, że był teraz z inną kobietą, ale że nic jej o tym nie powiedział.

Kiedy wszyscy zostali już obsłużeni, Cosima wycofała się do kuchni, wyjęła z kieszeni komórkę i wyłączyła ją. Skoro Luca był zdolny do kłamstwa na tak błahy temat, to co jeszcze mógł przed nią ukrywać? I jaki jest sens ich związku, skoro nie mogła mu zaufać?

Luca i Freya zostali w domku do szóstej. Szczegółowo omówili kwestię Milesa. Luca cierpliwie słuchał i starał się udzielać Frei naprawdę dobrych rad, chociaż temat zaczął go już trochę nudzić. Kiedy późnym popołudniem słońce wypełniło pokój bursztynowym światłem, zaproponował spacer po plaży, a potem wyprawę do trattorii na spotkanie z pozostałymi gośćmi. Wiedział, że musi powiedzieć Frei o Cosimie. Gdyby uwierzyła, że jest wolny i zainteresowany, pomysł odejścia od męża mógłby jej się wydać znacznie bardziej atrakcyjny. Nie chciał rozbudzać w sercu dawnej przyjaciółki fałszywej nadziei, lecz jeszcze bardziej zależało mu na zachowaniu pełnego zaufania Cosimy.

Morze rozpościerało się przed nimi, połyskując w wieczornym świetle. Kilka białych łodzi sunęło po falach, wyżej morskie ptaki zataczały kręgi na tle nieba. Freya wdychała zapach dzikiego tymianku, rosnącego między skałami i z każdą chwilą czuła się coraz lepiej. Incantellaria znalazła drogę do jej duszy, wnikając w nią wszystkimi zmysłami. Ukradkiem przyglądała się idącemu przed nią Luce. Szedł wyprostowany, z uniesioną głową, był opalony, a jego gęsta czupryna lśniła w słońcu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to ona wdała się w romans. Przypomniała sobie, jak Luca wyznał, że decyzja o rozstaniu z nią była najgłupszą, jaką podjął w życiu. Zarumieniła się na wspomnienie jego gorących, namiętnych spojrzeń. Ona także nie zapomniała lata 1979 roku, kiedy byli kochankami. Pamiętała wszystko... Luca był jej pierwszym mężczyzną. Z lekkim uśmiechem zaczęła się zastanawiać, jak byłoby im teraz, kiedy ona nie była już niewinną dziewczyną.

Pewnie nikt by się nie domyślił, że się kochali... Później mogłaby spokojnie wrócić do domu, do Milesa i tylko ona znałaby słodycz swojej zemsty.

- Miejscowi ludzie opowiadają historię o czerwonych goździkach, które kiedyś wyrzucił tu na brzeg tajemniczy prąd. -Luca wsunął ręce do kieszeni i dotknął pękatego pudełka z pierścionkiem dla Cosimy.

- Wierzysz w to?

- Na pewno coś takiego rzeczywiście miało miejsce, ale kto wrzucił te goździki do wody? W Morzu Śródziemnym nie ma przypływów ani odpływów.

- A płacząca krwawymi łzami figura Jezusa?

- Sprawka sprytnego księdza.

- Wierzysz w cokolwiek, czego nie można zobaczyć? -spytała, przypominając sobie jego sprzeczkę z Hugonem.

- Tak.

Pomyślał o Francescu, nie mógł jednak teraz opowiadać Frei o wszystkich dziwnych rzeczach, które przydarzyły mu się w ciągu ostatnich dni. Nie chciał nawet mówić o niezwykłych przeżyciach, które dzielił z Cosimą, a tym bardziej o więzi, jaka w rezultacie ich połączyła. Bardzo lubił Freyę, ale nie miał ochoty obnażać przed nią swojej duszy.

-Posłuchaj, chciałbym ci o czymś powiedzieć - odezwał się. Rosa schodziła na plażę z Alessandrem i Olivia, kiedy w oddali dostrzegła Lucę z jakąś nieznajomą kobietą. Syknięciem uciszyła dzieci i przystanęła. Luca i nieznajoma stali bardzo blisko siebie, pogrążeni w rozmowie. Rosa ujrzała, jak Luca wyjmuje z kieszeni malutkie pudełko i podaje tamtej. Tajemnicza nieznajoma była ładna, Rosa mogła to ocenić mimo odległości. Wiatr rozwiewał jej długie, piękne włosy, a jasna skóra na tle morza wydawała się przejrzysta jak droga porcelana. Kobieta była smukła, o długich rękach i nogach, i nawet mało atrakcyjne szorty nie potrafiły zeszpecić jej sylwetki. Wzięła pudełeczko... Rosę ogarnął gniew. Czy Cosima wiedziała, że Luca wybrał się na romantyczny spacer po plaży z obcą kobietą? Nieznajoma z pewnym wahaniem podniosła wieczko pudełka, wykonując gest protestu, ale Luca zbył jej wątpliwości machnięciem ręki. Kobieta popatrzyła na zawartość pudełka, potrząsnęła głową, zamknęła je i zarzuciła Luce ramiona na szyję. Stali tak, przytuleni jak kochankowie i trwało to długo, bardzo długo. Rosa zatrzęsła się ze złości, złapała dzieci za ręce i zawróciła do domu, rozważając gorączkowo rozmaite możliwości. Nic dziwnego, że z nią też flirtował! Tak samo zachowywał się przecież wobec Stephanie! Był playboyem, ot co! Jej się udało, ale Cosima nie miała tyle szczęścia, a przecież była krucha i bezbronna jak wystawiona na strzał myśliwego kaczka! Nie powinna była ufać temu uwodzicielowi! Rosa wiedziała, że musi ratować kuzynkę. Rodzina była przecież najważniejsza - musiała powiedzieć Cosimie, nie miała wyjścia.

Luca przytulił Freyę do piersi.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

Cofnęła się i oddała mu pudełko. Jej oczy lśniły jak morze.

- Przepiękny pierścionek! - powiedziała. - Będzie zachwycona, nie wyobrażam sobie zresztą, żeby mógł się komuś nie podobać!

- Bardzo chciałem podzielić się z tobą moją radością, nie wiedziałem tylko, czy mogę, z uwagi na twoje kłopoty z Milesem.

- To wspaniała nowina, Luca! Ogromnie się cieszę, naprawdę! Dzięki temu mogę teraz myśleć nie tylko o sobie.

- Jesteś bardzo wielkoduszna, szczególnie w tych okolicznościach.

- Nie żartuj sobie! Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? Próbowałam ci pomóc, kiedy mnie potrzebowałeś, a teraz ty stoisz przy mnie. Miałam rację, widzisz? Kochałeś to, czego byłam symbolem. Mówiłam ci, że pewnego dnia będziemy ze śmiechem wspominali tamtą rozmowę.

- Nie jest mi do śmiechu - przyznał z zażenowaniem. - Za bardzo się wstydzę.

- Niepotrzebnie! Mnie to naprawdę śmieszy. Oczywiście kiedy dowiedziałam się o romansie Milesa, od razu uznałam cię za wyjątkowo atrakcyjnego! Po prostu nigdy nie byliśmy sobie przeznaczeni. - Wzięła go pod ramię i ruszyli w górę plaży. - Mam szczęście, że jesteś moim przyjacielem, wiem jednak, że nigdy nie dokończymy tego, co dawno temu zaczęliśmy.

- Moja strata - powiedział dyplomatycznie.

- Moja również! A teraz może przedstawisz mnie tej szczęśliwej dziewczynie, co?

Cosima była tak wzburzona, że wcześnie wyszła z tratto-rii, zostawiając Albę na tarasie, zajętą rozmową z Fitzem oraz jego zaborczą żoną. W domu zastała wyraźnie zaniepokojoną Rosę, która czekała na nią w kuchni. Dzieci siedziały na tarasie z Beatą, Alessandro czytał babce jakieś opowiadanie ze szkolnego podręcznika.

- Muszę z tobą porozmawiać - odezwała się Rosa.

- Nie jestem w nastroju! - Cosima podeszła do lodówki i wyjęła sok cytrynowy.

- Chodzi o Lucę.

- Tym bardziej! Nie chcę o nim rozmawiać! * Rosa spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Więc już wiesz?

- O czym? - Cosima napełniła szklankę sokiem i oparła się o kuchenny blat.

- O tej jego dziewczynie.

- Ja jestem jego dziewczyną! - Cosima obrzuciła kuzynkę lodowatym spojrzeniem. - A jeśli mówisz o tej, która przyjechała do *palazzo,* to tak, już wiem! Słyszałam, jak rozmawiali o niej w trattorii.

- Czyli Luca nie powiedział ci o niej? Cosima utkwiła wzrok w dnie szklanki.

- Nie, ale na pewno zamierzał to zrobić.

Nie mogła spojrzeć Rosie w oczy. Nie chciała, żeby kuzynka dowiedziała się, jak głęboko zraniła ją zdrada Luki.

Rosa wzięła głęboki oddech.

- Widziałam ich na plaży.

- Kiedy?

- Przed chwilą. Wyglądali na bardzo zżytych. Luca dał jej małe pudełeczko, a ona otworzyła je i padła mu w ramiona...

Krew w jednej chwili odpłynęła z twarzy Cosimy.

- Żałuję, że ich widziałam - ciągnęła Rosa. -1 żałuję, że to ja musiałam ci o nich powiedzieć.

- Jesteś pewna?

- Ja nie kłamię! To on cię oszukał!

- Nie wierzę ci! - wybuchnęła Cosima. - Podaj mi przynajmniej jeden powód, dlaczego miałabym ci wierzyć!

Reakcja Cosimy całkowicie zaskoczyła Rosę. W przeszłości często spierały się o rozmaite rzeczy, przekomarzały się i kłóciły, ale były jednak kuzynkami. Łączyły je mocne więzy krwi i w głębi serca Rosa szczerze kochała Cosimę.

- Nie jesteś tylko moją kuzynką, Cosi. Jesteś dla mnie jak siostra.

Cosima zalała się łzami.

- Boże, myślisz, że we wszystkim mnie okłamał?! - wy-szlochała.

- Na twoim miejscu nie wierzyłabym ani jednemu jego słowu!

Cosima pomyślała o Francescu i poczuła, jak jej nadzieja znika niczym spływająca do ścieku woda, pozostawiając najczarniejszą rozpacz. Potrząsnęła głową, niezdolna ubrać żal w słowa.

Gdy Luca i Freya dotarli do trattorii, Romina nadal była tam z Albą, Rosemary i Fitzem, Nannim, Ma oraz Caradokiem.

- Usiądź z nami, kochanie! - powiedziała Rosemary. Alba zmierzyła nowo przybyłą uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, czy ma przed sobą córkę Fitza.

- Freya jest moją pasierbicą - rzekł Fitz, najwyraźniej czytając w jej myślach. - Ale jest mi bliska jak własne dziecko.

- Piękna! - Alba skinęła głową.

- Jestem z niej bardzo dumny!

- Gdzie Cosima? - spytał Luca.

Alba była tak pochłonięta spotkaniem z Fitzem, że w ogóle nie zauważyła nieobecności Cosimy.

- Musiała pójść do domu.

- A niech to, chciałem przedstawić ją Frei!

- Może powinieneś jej poszukać - podsunął Caradoc, dając Luce do zrozumienia, że nie wszystko jest w porządku.

- Coś się stało? - Luca pochylił się nad profesorem.

- Nie powiedziałeś jej o Frei, prawda?

Luca wzniósł oczy do nieba, zdumiony własną głupotą.

- Jest wściekła?

- Tak wściekła, jak tylko może być prawdziwie namiętna Włoszka.

Luca zostawił Freyę z całą grupą i pobiegł na placyk złapać taksówkę. Wybrał numer Cosimy, ale w komórce od razu włączyła się poczta głosowa. Niepokój przygniatał mu serce niczym potężny głaz. Skoro wyłączyła telefon, naprawdę musiała wpaść w furię. Rozejrzał się po placyku, ale taksówek nie było. Włożył ręce do kieszeni, zastanawiając się, co robić, i nagle zobaczył Eugenia, palącego papierosa na schodach policyjnego posterunku i rozmawiającego z innym *carabiniere.* Włoch także go dostrzegł i lekko uniósł brwi.

- *Buongiorno!*

- Hej, nie zechciałbyś mi pomóc?

- O co chodzi?

- Mógłbyś podrzucić mnie do waszego domu? Muszę natychmiast zobaczyć się z Cosimą!

Eugenio rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał go obcasem.

- Podwiozę cię, jasne, zwłaszcza jeżeli to pilna sprawa... Luca poszedł za nim do policyjnego wozu, zaparkowanego przy krawężniku.

- Znalazłeś już intruza? - zapytał Eugenio, gdy wsiadali.

- Jeszcze nie - odparł Luca.

Nie zamierzał wspomnieć, że podejrzewa żonę policjanta. Eugenio zdołał powstrzymać uśmiech zadowolenia.

- Wydawało mi się, że miałeś pilnować drzwi.

- Mam ciekawsze zajęcia!

- Z Cosimą wszystko w porządku?

- Taką mam nadzieję. To chyba tylko nieporozumienie.

- Cosima jest bardzo wrażliwa - zauważył Eugenio tonem pełnym najgorszych przeczuć.

- Właśnie dlatego muszę jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę!

31

Luca wyskoczył z policyjnego samochodu i pobiegł w dół zbocza. Beata siedziała na tarasie z Rosą i dziećmi, przed nimi stały pełne makaronu talerze. Na widok Luki twarz Rosy przybrała chłodny wyraz, od razu odgadł więc, że stało się coś złego.

- *Buona sera* - rzekł uprzejmie do Beaty, która odpowiedziała mu łagodnym uśmiechem.

Najwyraźniej nic nie wiedziała. Rosa podniosła się z krzesła i poszła do kuchni. Luca podążył za nią.

- Co się dzieje? - zapytał.

Błyskawicznie odwróciła się twarzą do niego, opierając dłonie na biodrach.

- Jak śmiałeś zdradzić moją kuzynkę?! - krzyknęła ze złością. - Wszyscy pozwoliliśmy ci się oczarować! Masz nas za bandę prowincjonalnych idiotów, co?!

- O czym ty mówisz, na miłość boską?!

- Równie dobrze możesz od razu wyjść i nie wracać, bo nie jesteś tu już mile widziany! Gdyby Falco żył, na pewno by cię zamordował!

- Nic nie rozumiem! Nikogo nie zdradziłem! Rosa zaniosła się dzikim śmiechem.

- Nie kłam! Widziałam cię!

- Widziałaś mnie? Gdzie? Nagle Luca wszystko zrozumiał.

- Widziałaś mnie na plaży z Freyą - odpowiedział na własne pytanie.

- Tak ma na imię?! Bardzo ładnie!

- To wcale nie było tak, jak ci się wydawało.

- Nigdy nie jest tak, jak się komuś wydaje, co?! Wszyscy jesteście tak cholernie przewidywalni! Dlaczego mężczyźni przynajmniej od czasu do czasu nie wymyślą czegoś nowego, dlaczego ciągle muszą powtarzać te same banały!

Eugenio wszedł do kuchni w chwili, gdy oboje na moment zamilkli.

- Nie przeszkadzam?

- Nie przejmuj się, Luca właśnie wychodzi!

- Nie możesz nie wysłuchać mojego wyjaśnienia!

- Jeśli Rosa prosi, żebyś wyszedł, lepiej wyjdź - powiedział Eugenio chłodnym tonem.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Rosa westchnęła dramatycznie i odwróciła się. - No, słucham! I lepiej naprawdę się postaraj!

Luca wyjął z kieszeni małe pudełeczko. Rosa popatrzyła na nie podejrzliwym wzrokiem.

- To jest to pudełko, które dałeś Frei.

- Tak. Ale gdybym chciał, żeby je miała, nie trzymałbym go teraz w ręku.

Rosa ostrożnie podniosła wieczko.

- *Madonna!* - Gwizdnęła z podziwem, podsuwając puzderko mężowi.

- To dla Cosimy - wyjaśnił Luca. - Zamierzam poprosić ją o rękę.

- Więc dlaczego dałeś je Frei?

- Nie dałem go jej, tylko pokazałem!

- Pokazałeś jej pierścionek zaręczynowy innej kobiety? Co to za dziwne zwyczaje?

- Freya jest moją starą przyjaciółką. Zostawiła męża, ponieważ wdał się w romans. Nie miała dokąd pojechać, chciałem jej pomóc. Nie mogłem tak od razu powiedzieć jej o Cosimie. Pomyślałem, że nie powinienem mówić jej o swoim szczęściu, kiedy sama jest bardzo nieszczęśliwa, dlatego zaczekałem na odpo-

wiedni moment. Freya szczerze się ucieszyła. Obejmowaliśmy się jak przyjaciele, Roso!

- Dlaczego nie uprzedziłeś Cosimy o jej przyjeździe?

- Bo obawiałem się, że wcale jej się to nie spodoba. Rosa zrobiła zabawną minę.

- To dość uczciwe postawienie sprawy. I miałeś rację, nie spodobało się!

- Słuchaj, nigdy nie zdradziłbym Cosimy! Kocham ją! Rosa oddała mu pierścionek.

- Lepiej kochaj ją całym sercem i duszą, bo jeśli ją unie-szczęśliwisz, gorzko tego pożałujesz, zobaczysz! Naszą rodzinną tradycją jest wywieranie zemsty w bardzo gwałtowny sposób.

- Powiesz mi teraz, gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Nie masz żadnego pomysłu?

- Po prostu wybiegła z domu.

Luca wyjął komórkę z kieszeni.

- Nie fatyguj się, ona nie chce z tobą rozmawiać!

- Muszę ją znaleźć!

- Rosa? - odezwał się Eugenio, któremu zrobiło się szczerze żal Luki.

On także wiedział, co to znaczy kochać zbyt mocno.

- No, dobrze, może i mam pomysł, gdzie jej szukać.

- Gdzie?

- Chodź ze mną, pokażę ci... Eugenio, ty prowadzisz! Fitz wrócił do *palazzo* razem z Rosemary, Freyą, Rominą,

Ma, Nannim i Caradokiem. Całą drogę patrzył w okno, przeżuwając żal, że nie mógł spędzić popołudnia tylko z Albą. Rosemary z egzaltacją zachwycała się pięknem krajobrazu, gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie rozmawiać o Albie. Romina czytała w myślach Fitza z taką łatwością, jakby jego głowa wykonana była ze szkła.

- Odpocznę trochę przed kolacją - powiedział profesor, rozprostowując nogi i sztywnym, nieco chwiejnym krokiem wchodząc do holu.

- Ja także - odparła Ma. - Co za męczące popołudnie. Te niekończące się wakacje potrafią zupełnie człowieka wyczerpać!

- Masz ochotę na partyjkę? - zwrócił się Nanni do Fitza. Fitz spojrzał na żonę.

- Co masz ochotę robić, kochanie? Romina pośpieszyła mu z pomocą.

- Rosemary, mam doskonały pomysł! Może chciałybyście z Freyą zajrzeć do cudownego sklepiku, pełnego przepięknych włoskich ozdób i drobiazgów? Większość rzeczy *wpalazzo,* które tak ci się podobały, pochodzi właśnie stamtąd! Sklep nazywa się Casa Giovanna i znajduje się nieco na uboczu, dlatego trudno go znaleźć. Jutro będzie zamknięty, ale jeśli zatelefonuję do Imeldy, na pewno zaczeka teraz na nas. Co ty na to?

- Och, z przyjemnością tam pojadę! - Rosemary uznała, że mała terapia zakupowa to coś, co zdecydowanie należy jej się po dwóch godzinach spędzonych w towarzystwie pięknej byłej dziewczyny Fitza.

- Luca pewnie jeszcze nie wrócił? - zapytała Freya z lekkim niepokojem. - Mam nadzieję, że nie spotkała go jakaś nieprzyjemność.

- Luca wróci na kolację. - Romina otworzyła drzwi. - No, chodźcie, szkoda czasu!

Pochwyciła spojrzenie Fitza i mrugnęła znacząco.

- Więc co z tymi kartami? - nalegał Nanni.

- Może trochę później! Teraz mam ochotę na krótki spacer w towarzystwie wspomnień.

- Proszę bardzo! - Nanni schylił się, żeby poklepać Porciego.

Fitz stał chwilę na żwirowanym podjeździe. Zastanawiał się, co robić. Nie mógł przestać myśleć o Albie. Dobrze znał drogę do jej domu; pamiętał starą wartowniczą wieżę, drzewo oliwne i grób Valentiny. Są wspomnienia, które nigdy nie płowieją. Postanowił pójść ścieżką koło domku w ogrodzie. Miał nadzieję, że zastanie Albę.

Alba była przygnębiona. W myśli przeklinała zaborczą żonę Fitza, która nie pozwoliła im porozmawiać w cztery oczy. Że też Fitz musiał ożenić się z taką kobietą... Pewnie zdecydował się z rozpaczy, była przecież zbyt ostra i energiczna, by mógł ją kochać. Jedna z tych kobiet, co to lubią mieć kontrolę nad wszystkim. Alba dobrze znała Fitza i czuła, że po prostu poddał się zabiegom Rosemary. Och, może i był szczęśliwy, jasne, istniało jednak wiele stopni szczęścia i Alba była gotowa się założyć, że wskaźnik zadowolenia z życia jej byłego ukochanego zatrzymał się mniej więcej w połowie skali.

W domu dowiedziała się od Beaty, że Rosa i Eugenio zniknęli w wielkim pośpiechu, a razem z nimi Luca. Beata słyszała dobiegający z kuchni podniesiony głos Rosy, ale nie wiedziała, o co chodzi. Alba z rozpaczą przewróciła oczami. Teraz myślała przede wszystkim o Cosimie i obawiała się, że ta zrobiła coś głupiego. Była tak przyzwyczajona do jej kruchego stanu emocjonalnego, że zawsze spodziewała się najgorszego. Na pytanie, czy wie, gdzie jest Cosima, Beata odpowiedziała przecząco.

- Może poszła na spacer. - Alba podniosła się z krzesła. -Idę wziąć prysznic, mam za sobą długi dzień.

- Cały czas byłaś w trattorii?

- Wiesz, kto przyjechał? Fitz! Pamiętasz go?

- Oczywiście! Jaka miła niespodzianka! Co tutaj robi?

- Zatrzymał się *wpalazzo.*

- Ach, tak? Wybierasz się tam?

- W żadnym razie! Dzikimi końmi mnie tam nie zaciągną!

- Ożenił się?

- Tak, ze strasznie energiczną i zaborczą kobietką! - Alba nawet nie przypuszczała, że podzielenie się uczuciami z Beatą sprawi jej taką przyjemność. - Ta idiotka ani na sekundę nie zostawiła nas samych! Chciałam spokojnie pogadać z Fitzem, ostatecznie nie widzieliśmy się trzydzieści lat! Nie mam pojęcia, dlaczego jest taka zaborcza!

- Ponieważ ty jesteś bardzo piękną kobietą.

- Już nie!

- Och, nadal jesteś piękna! Czas był dla ciebie łaskawy, bo miałaś szczęśliwe życie!

- Tak czy inaczej, przecież go jej nie ukradnę, prawda? Mogła okazać się wielkoduszna i zaproponować, żebyśmy porozmawiali sami, ale nie, ona musiała siedzieć tuż obok i słuchać każdego słowa, chociaż nie miała zielonego pojęcia, o czym mówimy!

- Biedny stary Fitz... Zawsze miał skłonność do silnych kobiet.

- Cóż, mnie nie pragnął na tyle mocno, aby tu przyjechać i zostać! Sam jest sobie winien, nikt mu nie kazał żenić się z tą całą Rosemary!

- Ale ty masz Panfila... Dostałaś to, na co zasłużyłaś, kochanie, najlepszego mężczyznę pod słońcem!

Alba poszła na górę i wzięła prysznic. Wspomnienia spływały na nią razem z wodą i zaczęła nucić, przywołując z wielką przyjemnością obrazy, których przez wiele lat nie miała ochoty oglądać. Wspominała swoją barkę przy Cheyne Walk oraz ulubione wysokie buty z niebieskiego zamszu, te na drewnianych podeszwach, które kupiła w salonie Biby. Wspominała kozę, którą przywiązała na dachu barki Viv, żeby wygryzła trawę i kwiaty, i przywołała przerażony wyraz twarzy swojej starej przyjaciółki, gdy ta odkryła, co się stało. Zastanawiała się, gdzie jest teraz Viv i czy jej książki znajdują jeszcze czytelników. Tak, w tamtych czasach Alba była zupełnie inną osobą.

Wyszła spod prysznica i wmasowała w skórę trochę różanego olejku. W sypialni panował upał. Przez szeroko otwarte okno wpadał do środka gorący wiatr i odgłos grania cykad.

Zapinając guziki sukienki, Alba patrzyła na ogród i rozciągające się niżej morze. I właśnie wtedy usłyszała cichy męski głos, którego nie pomyliłaby z żadnym innym... Mężczyzna mówił coś do Beaty fatalnym, trudnym do zrozumienia włoskim, a starsza pani słuchała go cierpliwie. Głos należał do Fitza.

Alba zbiegła na dół, lecz zanim wyszła na taras, spędziła chwilę w kuchni, żeby się uspokoić.

- Och, to ty, Fitz! - zawołała z udawanym zdziwieniem.

- Byłem właśnie...

Zamierzał opowiedzieć zmyśloną historyjkę, jak to przechodził tędy przypadkiem, wiedział jednak, że Alba przejrzy go w mgnieniu oka.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - dokończył szczerze.

- Gdzie twoja żona?

- Poszła na zakupy.

- Masz ochotę się przejść? Moglibyśmy pójść do starej wartowni.

- Z przyjemnością!

- Zaczekasz tu do powrotu Rosy, Beato?

- Zostanę tak długo, jak długo będę ci potrzebna, moja droga! Idź i baw się dobrze!

Beata uśmiechnęła się lekko. Nie była jeszcze aż tak stara, aby nie pamiętać, jak czuje się kobieta w towarzystwie atrakcyjnego mężczyzny.

Fitz życzył Beacie dobrej nocy, wsunął ręce do kieszeni i ruszył za Albą ścieżką przez oliwny gaj w kierunku klifów. Słońce zachodziło, malując niebo tuż nad linią horyzontu intensywnym szkarłatem i złotem.

- Nic się tu nie zmieniło, prawda? - Popatrzył na Albę. -Ty też wcale się nie zmieniłaś.

- Tak naprawdę zmieniamy się tylko zewnętrznie. Kiedy jestem z tobą, wciąż mam dwadzieścia pięć lat!

- Powinienem był przyjechać tu za tobą.

- Nie, zrobiłeś to, co wydawało ci się słuszne.

- Ale to nie było słuszne. Nie wykorzystałem swojej wielkiej szansy i teraz wydaje mi się, że ostatnich trzydziestu lat w ogóle nie było. Nie wiem, dlaczego zabrakło mi odwagi.

- Kiedy poznałeś Rosemary? Zaraz po moim wyjeździe?

- Parę tygodni później.

- Aż tak szybko? Nie było ci trochę smutno?

- Byłem zrozpaczony. Potwornie za tobą tęskniłem i w pewnym momencie prawie zdecydowałem już, że pojadę do Incantellarii, ale wtedy była już Rosemary. Zdołała mnie przekonać, że we Włoszech nie czułbym się szczęśliwy. Powiedziała, że gdybyś naprawdę mnie kochała, wybrałabyś mnie, nie Włochy.

- Nie chodziło tylko o Włochy, także o Cosimę - wyjaśniła Alba. - Jest dla mnie jak rodzona córka. Nigdy nie żałowałam, że tu wróciłam!

- Natomiast ja milion razy plułem sobie w brodę, że nie pojechałem za tobą!

- Jesteś szczęśliwy z Rosemary?

- Byłem szczęśliwy z tobą, z Rosemary jestem zadowolony. To dobra kobieta, dba o mnie, ale w moim małżeństwie nie ma namiętności, która nas łączyła, no i z pewnością Rosemary nie ma tak fantastycznego poczucia humoru jak ty. - Popatrzył na nią z czułością. - Byłaś wielką miłością mojego życia, największą i niepowtarzalną.

- Bardzo mi to pochlebia. Świetnie się razem bawiliśmy, prawda?

Krok Alby stał się lekki i sprężysty. U boku Fitza czuła się pełna radości i ożywiona, zupełnie jakby znowu była młodą, rozbawioną dziewczyną, a nie babcią, która musi stosować się do ogólnie przyjętych zasad postępowania.

- Często myślałem o tobie przez te wszystkie lata. Nie bardzo potrafię przyjąć do wiadomości, że masz wnuki... Zapamiętałem cię taką, jaką byłaś wtedy.

- Niestety, jestem znacznie starsza i tęższa!

- Nie, jesteś teraz piękniejsza, niż byłaś, ponieważ na twojej twarzy maluje się mądrość, którą zdobyłaś! Widzę też, że jesteś spokojniejsza i łagodniejsza.

- Skąd wiesz?

- Kiedy cię poznałem, byłaś niewiarygodną egoistką.

- Nieprawda!

- Byłaś rozwiązła, samowolna, uparta i dzika. Wszyscy robili to, co chciałaś. Zakochałem się w tobie, bo byłaś jak dzikie zwierzę. Kto cię poskromił?

- Pewien fotograf, który ma na imię Panfilo.

- Imponujące imię - przyznał Fitz.

- Imponujący mężczyzna.

- Jesteś z nim szczęśliwa? A może to ja jestem wielką miłością twojego życia, jedyną i niepowtarzalną?

Szturchnęła go żartobliwie.

- Obawiam się, że nie mogę powiedzieć ci tego, co chcesz usłyszeć! Trudno, powiem ci prawdę... Panfilo jest miłością mojego życia. Kto wie, co stałoby się z nami, gdybyśmy tanecznym krokiem odeszli prosto w zachodzące słońce, jak to bywa w romantycznych filmach, ale dzięki mojemu mężowi jestem naprawdę bardzo szczęśliwa.

Fitz z trudem ukrył zawód.

- Wolałbym usłyszeć, że przez ostatnie trzydzieści lat byłaś potwornie nieszczęśliwa.

- I co zrobilibyśmy wtedy? Ty odszedłbyś od Rosemary, ja od Panfila, i zaczęlibyśmy nowe, wspólne życie? Przecież wiesz, że to niemożliwe.

- Przyznaję, że czasami o tym myślałem!

- Jesteś zabawny, wiesz?

- Przede wszystkim jestem już starym człowiekiem i mam prawo marzyć...

- Nie jesteś stary! I nie masz żadnej wymówki dla snucia tego rodzaju marzeń! Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. To bardzo prawdziwe przysłowie!

Dotarli do oliwnego drzewka i usiedli.

- Co dzieje się z Viv? - zapytała Alba.

- Viv umarła...

- Dobry Boże! - Alba pobladła gwałtownie. - Vitrnie żyje?

- Umarła jakieś dziesięć lat temu.

- Była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką. Stała przy mnie w każdej sytuacji, tylko z nią zawsze mogłam porozmawiać. Jakie to smutne, że straciłyśmy ze sobą kontakt. No, ale dajmy spokój, bo zaraz zacznę płakać. Opowiedz mi o Anglii, tyle lat tam już nie byłam! I o sobie, rzecz jasna! - Alba ułożyła się na boku, podpierając głowę na zgiętej ręce. - Cała zamieniam się w słuch, chcę wiedzieć wszystko! To nasza jedyna szansa.

- Och, nie byłbym tego taki pewny! Jeżeli Rosemary nas tu przyłapie, będę wolny do końca życia!

Eugenio wjechał przez bramę farmy La Marmella.

- Dlaczego sądzisz, że Cosima będzie tutaj? - Luca niespokojnie spojrzał na Rosę.

- Jeżeli nie znajdziemy jej tutaj, to nie mam już żadnego pomysłu.

- O, Boże! - jęknął Luca. - Jeśli jej tu nie ma, poderżnę sobie gardło!

Samochód powoli jechał podjazdem. Cytrynowe drzewka lśniły w wieczornym świetle. Muchy fruwały pomiędzy liśćmi, a stadko małych ptaszków nagle poderwało się z gałęzi i uleciało w niebo. Lucę najzupełniej dosłownie mdliło ze zdenerwowania. Wiedział, jak krucha emocjonalnie jest Cosima, i czuł, że uwierzyła w jego zdradę oraz domniemane zakłamanie. Pomyślała pewnie, że posłużył się Franceskiem, aby przekonać ją do siebie, marnego oszusta... Modlił się w milczeniu, aby rzeczywiście była u Manfredy, jedynej kobiety, która mogła zaświadczyć o jego uczciwości.

Samochód zatrzymał się przed drzwiami, Luca wysiadł i zadzwonił. Nerwowo przestępował z nogi na nogę. Kilka sekund, bo tyle zajęło Manfredzie dotarcie do drzwi, wydawało mu się wiecznością. Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, niemal wpadł do środka.

- Manfredo! - zawołał. - Czy ona tu jest?

- Oczywiście - odparła spokojnie starsza pani. - Proszę wejść... - Odsunęła się, żeby wpuścić go do holu. - Roso, Eugenio, witajcie. - Zaśmiała się cicho. - Przyjechałeś w niezłej obstawie, młody człowieku!

- Nic jej nie jest?

- Zupełnie nic - odparła poważnie. - Jednak pan, młodzieńcze, musi jej sporo wytłumaczyć!

Pogroziła Luce kościstym palcem.

- Wiem! Gdzie jest?

- Na tarasie...

Manfreda odwróciła się do Rosy.

- Violetta zrobiła przepyszne *limoncello*. Chodźmy napić się odrobinę, jest w kuchni.

Rosa obejrzała się, idąc za starszą panią w stronę kuchni. Bardzo żałowała, że nie może być świadkiem pogodzenia się Luki i Cosimy, natomiast Eugenio w najmniejszym stopniu nie był tym zainteresowany. Perspektywa kieliszka *limon-*

cello wydawała mu się bardziej kusząca niż przyglądanie się kuzynce żony oraz jej ukochanemu.

Luca wyszedł na taras. Przy niewielkim stole siedziała Co-sima... I Francesco. Luca stanął jak wryty. Na moment uległ wrażeniu, że chłopiec żyje, zaraz jednak dostrzegł przejrzystą świetlistość jego ciała. Wyglądało to tak, jakby mały został namalowany transparentnymi kolorami, trochę jak tęcza. Luca doszedł do wniosku, że nie powinien w tej chwili wspominać Cosimie o jego obecności.

Cosima obrzuciła go odległym, chłodnym spojrzeniem. Siedziała za barierą, która wyrosła między nimi w ciągu paru ostatnich godzin, i przyglądała mu się jak obca.

- Przepraszam cię, Cosi... Powinienem był powiedzieć ci o Frei.

- Słucham...

- To moja dawna przyjaciółka, znamy się od dzieciństwa. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, nie zachowałem się wobec niej jak należy. Nigdy nie darzyłem sympatią jej męża, uważałem go za nadętego durnia. Flirtowałem z nią, wiedząc, że jest zamężna i niedostępna. Powiedziałem, że jest jedyną kobietą, jaką w życiu kochałem, że teraz, po rozwodzie, zrozumiałem wreszcie, że osoba, której zawsze szukałem, cały czas była tuż obok mnie. Później przyjechałem tutaj i poznałem ciebie. -Sięgnął po dłoń Cosimy, ale ona cofnęła rękę i położyła ją sobie na kolanach. - Parę dni temu Freya odkryła, że mąż ją zdradza, więc zaprosiłem ją tutaj, żeby się pozbierała. Nie uprzedziłem cię o tym, bo nie chciałem cię zdenerwować, a jednocześnie zależało mi, żeby powiedzieć jej o tobie w taki sposób i w takich okolicznościach, by nie pogłębić jej przygnębienia. Próbowałem chyba zadowolić was obie i w rezultacie zraniłem kobietę, którą kocham najbardziej. Na plaży powiedziałem Frei, że nie jestem już wolny, że moje serce należy do ciebie. - Wziął głęboki oddech. - Nie sądziłem, że tak to będzie wyglądało - rzekł, wyjmując z kieszeni małe pudełeczko. - Wyobrażałem sobie, że będziemy w jakimś romantycznym miejscu...

Wzrok Cosimy spoczął na puzderku.

- Pokazałem to Frei, żeby wiedziała, że mam wobec ciebie najpoważniejsze zamiary. - Podsunął jej pudełko. - Kocham cię, Cosi! Nigdy cię nie okłamałem i nigdy nie okłamię. Chcę spędzić z tobą resztę życia!

Francesco patrzył, jak matka bierze pudełko. Przygryzła dolną wargę, zastanawiając się, co zrobić, lecz ostatecznie ciekawość zwyciężyła i Cosima uniosła wieczko. Nie czekając na jej pozwolenie, Luca ujął jej lewą dłoń i wsunął pierścionek na czwarty palec.

- Wybacz mi, najdroższa.

Po policzku Cosimy spłynęła duża łza.

- Powiedz, że za mnie wyjdziesz, proszę.

Potrząsnęła głową, zdjęła pierścionek i starannie odłożyła go do pudełka.

- Nie mogę za ciebie wyjść.

Luca poczuł się tak, jakby świat nagle zwalił mu się na głowę.

- Nie możesz? Dlaczego?

- Bo nie mogłabym żyć w żadnym innym miejscu.

- Dlaczego?

- Nie zostawię Francesca. - Z trudem przełknęła ślinę. Francesco patrzył na matkę z ogromnym smutkiem. Po chwili przeniósł na Lucę błagalne spojrzenie.

- Francesco siedzi tuż obok ciebie - rzekł cicho Luca. - Na tamtym krześle.

Cosima pośpiesznie spojrzała na pustą przestrzeń.

- Przestań, Luca... Nie rób...

- Francesco jest tutaj, przysięgam!

- Nie dręcz mnie! - Twarz Cosimy pobladła zé złości. -Nie wykorzystuj mojego syna, żeby do mnie dotrzeć!

Luca zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze. Oczyścił umysł, żeby Francesco mógł przekazać mu to, co miał do powiedzenia.

- Mów do mnie, Francesco - odezwał się. - Twoja matka cię potrzebuje i ja także.

Czekał. Cosima siedziała nieruchomo, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. Z początku Luca słyszał tylko mocne uderzenia własnego serca, rozbrzmiewające głuchym echem w uszach. Zdawał sobie sprawę, że jeśli mu się nie uda, Cosima raz na zawsze straci do niego zaufanie. Musiał porozumieć się z Franceskiem, zależało od tego jego życie.

W kompletnej ciszy i pustce umysłu ze słów zaczęły formować się zdania, które z całą pewnością nie pochodziły od niego. Luca powoli powtarzał to, co słyszał. Nie otwierał oczu, by nie zerwać nici komunikacji, i nie myślał o reakcji Cosimy, koncentrując się wyłącznie na brzmiącym w jego głowie przekazie.

Drżał z podniecenia, świadomy, że wreszcie może rozmawiać z synem kobiety, którą pokochał.

- Zostawiałem zabawki w różnych miejscach w domu, żeby zwrócić twoją uwagę, *mamma,* ale ty za każdym razem obwiniałaś moich kuzynów. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to mogłem być ja... Ze wszystkich sił starałem się, żebyś mnie zauważyła... Jestem z tobą bez przerwy, każdego dnia i każdej nocy. Nigdy nie odszedłem, ale ty mnie nie dostrzegasz i jest mi smutno... Przepraszam, że pobiegłem za tym piórkiem... W jednej chwili byłem w wodzie, a już w następnej stałem na plaży i krzyczałem do ciebie, lecz ty mnie nie widziałaś i nie słyszałaś. Chciałem, żebyś poczuła się lepiej, więc zostawiłem ci na poduszce mojego motyla, ale ty tylko rozgniewałaś się na Alessandra... Nie wiedziałaś, że to ja, że próbuję cię przeprosić... Alessandro mnie widział, lecz bał się powiedzieć ci o tym. Dałem mu żółtą różę i poprosiłem, żeby dał tobie, lecz ty nie pomyślałaś, że to ode mnie. Żółty to mój ulubiony kolor, nie pamiętasz? Położyłem białe piórko obok stołu ze świecami w kościele, a potem u twoich stóp, kiedy uklękłaś, żeby się pomodlić... Nie miałem innego sposobu, aby do ciebie dotrzeć. Tylko Luca mnie widzi, nie wie jednak dlaczego. Widzą mnie też niektóre dzieci, i całe szczęście, bo czuję się strasznie osamotniony... Próbuję dosięgnąć światła, ale twój smutek tak mnie obciąża, że nie mogę dość wysoko podskoczyć. Pewnego dnia zrozumiesz, że śmierć nie jest końcem, lecz początkiem nowej drogi... Wiem, że przyszedł już czas, abym wrócił do domu. Tak zostało postanowione, jeszcze zanim się urodziłem. Jedyną rzeczą, jaką zabieramy ze sobą, jest miłość... Mam twoją miłość, *mamma,* noszę ją w sercu...

Francesco zamilkł. Oczy Luki były mokre od łez. Spojrzał na Cosimę - zasłoniła usta dłonią, jej palce drżały. Oboje milczeli.

Francesco poruszył ręką i dotknął palcami pudełka. Z początku trudno było cokolwiek zauważyć, ale nagle pudełko zaczęło się przesuwać na oczach dwojga dorosłych, aż wreszcie znieruchomiało na blacie przed Cosimą. Francesco podniósł wzrok i popatrzył na matkę.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa - powiedział.

Luca usiłował przemówić, ale z jego gardła wydobył się tylko ochrypły jęk. Po chwili odchrząknął i powtórzył słowa chłopca.

- Zapytaj go o coś - szepnęła Cosima. - Jak nazywa się jego ulubiony motyl?

Luca nie musiał pytać, ponieważ Francesco już odpowiadał.

- Mój Morfino... Cosima się rozpłakała.

- Tak go nazywał... Morfino... Powiedz mu, że mam nadzieję, że w Niebie jest mnóstwo jego ukochanych motyli.

- Francesco mówi, że pewnego dnia sama zobaczysz, czy tam są.

Cosima otworzyła puzderko i włożyła pierścionek.

- Ja też chcę być szczęśliwa - wyznała przez łzy. - Ale nie chcę wyjeżdżać z Incantellarii.

- Wyjdziesz za mnie?

- Tak, jeżeli zostaniesz tu ze mną.

Luca chwycił jej dłoń.

- Jeżeli chcesz tu zostać, to zostaniesz! Moje szczęście zależy od ciebie, Cosi! - Roześmiał się, widząc, jak Francesco kładzie dłoń na ich splecionych palcach. - Mamy błogosławieństwo twojego syna. Teraz zaczekajmy na błogosławieństwo moich córek.

32

Kiedy Manfreda, utykając, wyszła na taras razem z Eugeniem i Rosą, z radością spostrzegła, że nastąpił pokój. Duży brylant na palcu Cosimy lśnił prawie tak jasno jak jej oczy.

Rosa postawiła na stole tacę z napojami i serdecznie uściskała kuzynkę. Jedynie odrobinę zazdrościła Cosimie pięknego pierścionka i szczęśliwej odmiany losu.

- Cieszę się, że Luca nie jest kłamcą - powiedziała i z uśmiechem odwróciła się do narzeczonego Cosimy. - Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam.

- Wszystko dobrze się skończyło. Cosima zgodziła się za mnie wyjść, kręci mi się w głowie ze szczęścia.

- Musimy powiedzieć mamie! - zaśmiała się Rosa.

- Nie powiemy nikomu, dopóki nie przekażę tej wiadomości moim córkom. Dopiero wtedy poproszę Tota o rękę Cosimy i obwieszczę moje szczęście całej Incantellarii!

Manfreda usiadła i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Wszystko jest teraz tak, jak być powinno - oznajmiła, splatając dłonie na kolanach.

- No, prawie - wtrącił Luca. - Roso, już od dawna noszę się z zamiarem, żeby o coś cię zapytać.

- O co?

- Czy to ty przychodziłaś do domku w ogrodzie?

Eugenio zareagował szybciej niż Rosa.

- Nie bądź śmieszny! Co niby Rosa miałaby tam robić?

Ledwo wypowiedział te słowa, a już się zorientował, że nie ma racji.

- Kochanie?

Rosa zrobiła sobie drinka i usiadła.

- Nie, nie jestem intruzem, którego szukaliście. W każdym razie nie pierwszym intruzem...

Eugenio popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Więc to tam chodzisz co noc?

- Wiesz o tym?

- Oczywiście. Widzę, jak wychodzisz i jak wracasz, ale nie mam pojęcia, gdzie spędzasz pół nocy.

Chwyciła go za rękę i obrzuciła przerażonym spojrzeniem.

- Na pewno myślałeś, że ja...

- Ufam ci - przerwał jej Eugenio. - A przynajmniej bardzo chcę ci ufać.

- Nie mów o tym mamie, proszę!

- Powiedz nam prawdę, to rozwieje wszystkie wątpliwości.

- Kto przychodził tam przed tobą? - spytał zaintrygowany Luca.

- Ludzie od zawsze opowiadali, że w *palazzo* w środku nocy widać wędrujące z pokoju do pokoju światło i słychać różne hałasy, prawda? To miejsce od lat było odwiedzane, ale nie przez zmarłych. Lubię spacerować po plaży nocą. - Uśmiechnęła się przepraszająco do męża i lekko ścisnęła jego rękę. - Nie złość się, w ten sposób odzyskuję spokój i odpoczywam w samotności. Uwielbiam ciemności, takie wyprawy sprawiają mi wielką przyjemność! Morze przepięknie wygląda w blasku księżyca i słyszę wtedy dosłownie wszystko, nawet szmer myśli w mojej głowie. Tak czy inaczej, którejś nocy zapragnęłam pójść do domku w ogrodzie. Nigdy nie ukrywałam swojej fascynacji Valentina. Jej życie było tragiczne, lecz ja dostrzegam także romantyczną stronę jej przeżyć. *Mamma* bardzo by się na mnie gniewała, ale ten domek przyciągał mnie jak magnes. Chciałam

być blisko Valentiny i byłam ciekawa, czy Romina coś w nim zmieniła, czy też może dostrzegła to, co widziałam ja, i zostawiła wnętrze takim, jakie było.

Rosa z przyjemnością uświadomiła sobie, że wszyscy słuchają jej jak zaczarowani.

- Poszłam więc tam i zobaczyłam, że w środku pali się światło. Przez szpary w okiennicach wyraźnie widziałam migotanie świecy. Mogłam się odwrócić i udać do domu albo otworzyć drzwi i sprawdzić, kto tam jest... Incantellaria to senna mieścina, nic się tu nigdy nie dzieje, aż nagle los podarował mi szansę przeżycia takiej przygody! Pchnęłam drzwi...

- Kto to był? - przerwał jej Luca. Rosa uśmiechnęła się tajemniczo.

- Pozwólcie, że do kogoś zadzwonię - powiedziała. - Wtedy pokażę wam, kogo tam zastałam.

- Musisz nam powiedzieć! - zawołała Cosima.

- Nie, chcę, żebyście sami zobaczyli. - Rosa odwróciła się do męża. - Przepraszam...

Obawy Eugenia rozpłynęły się w słodkim blasku jej uśmiechu - tylko on wiedział, jak trudno przychodzi Rosie słowo „przepraszam".

Cosima ucałowała Manfredę na pożegnanie.

- Dziękuję! - szepnęła starszej pani do ucha.

- Nie dziękuj mi! Zasługujesz na szczęście, moja droga. Najwyższy czas, żebyś otworzyła serce na nową miłość.

Alba i Fitz obserwowali, jak słońce powoli zanurza się w morzu. Ziemia skąpana była w przyćmionym fioletowym świetle.

- To najpiękniejsza pora dnia - zauważyła Alba z zadowoleniem.

- Nie chcę, żeby się skończyła. Nie chcę wracać do mojego życia! Wolałbym zostać tu z tobą i udawać, że wszystko jest tak, jak było trzydzieści lat temu, że jesteśmy młodzi i zakochani.

- Nie jesteśmy już tacy jak wtedy.

- Czy ludzie aż tak bardzo się zmieniają?

- Tak, życie nas zmienia! Incantellaria uczyniła ze mnie inną osobę. Tamta arogancka dziewczyna w minispódniczce i wysokich butach na drewnianych podeszwach poszła na dno razem z «Valentina".

- Nie, Ona nadal jest w tobie! - Fitz uśmiechnął się szeroko. - Ja ją widzę!

- Całe szczęście, że tylko ty.

- Tak, bo nikt poza mną by jej nie poznał! Ja znam jej twarz, ponieważ ją kocham.

- Jesteś nieuleczalnym romantykiem!

- Kiedyś powiedziałaś mi, że na tym polega mój problem.

- Pamiętasz?

- Oczywiście! Powiedziałaś też wtedy, że nie wierzysz w miłość ani małżeństwo.

- Sam widzisz, że ludzie się zmieniają!

- A ja ci powiedziałem, że kiedy się zakocham, oddam tej kobiecie całe moje serce i już nigdy go nie odzyskam.

- Och, Fitz! - Alba potrząsnęła głową. - Jesteś zakochany we wspomnieniu?

- Pozwoliłem ci odejść i wiem, że była to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- Nie przejmuj się, masz przecież Rosemary! - zakpiła łagodnie.

Ogarnęło ją przyjemne podniecenie. Może dziewczyna w minispódniczce i błękitnych butach mimo wszystko nadal w niej żyła?

- Słuchaj, a może znowu zakradlibyśmy się do *palazzo,* tylko we dwoje?

- Po co? - Fitz uniósł brwi.

- Ponieważ nie byłam tam od czasu naszego rozstania trzydzieści lat temu! Nie śmiałam pójść tam sama, ale z tobą chyba się odważę!

Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać.

- Chodźmy do domku w ogrodzie - powiedziała Alba. -Nikt się nie dowie. Zajrzymy tam tylko, żeby zobaczyć, jak teraz wygląda! Podobno Romina nic w nim nie zmieniła.

- Rzeczywiście nic nie zmieniła - potwierdził Fitz. - Nadal wygląda tak jak wtedy, gdy twoja matka czesała włosy przy toaletce.

- Och, Fitz, cała trzęsę się ze zdenerwowania!

- Nie bój się, jesteśmy przecież razem. Gdyby nie te zesztywniałe stawy, uwierzyłbym chyba, że znowu jestem młody.

- W głębi serca naprawdę jesteś młody - powiedziała. -Poznaję tamtego młodego mężczyznę, bo go kochałam...

- Powiedz mi, że nadal go kochasz!

- Dawno temu, jeśli pamiętasz, powiedziałam ci też, że istnieje wiele odcieni miłości.

- Więc nadal mnie kochasz! Alba ruszyła ścieżką pod górę.

- Nadal cię kocham, Fitz! - zawołała. ; . Bez wahania pośpieszył za nią.

- Kocham cię za to, że nadal mnie kochasz!

Rosa zaparkowała nieco poniżej *palazzo,* ponieważ nie chcieli, aby Romina przyłapała ich w ogrodzie. Cosima wzięła Lucę za rękę i ruszyli za Rosą w stronę domku. Zapadła już ciemność. Zamglony księżyc niespiesznie wspinał się po

granatowym niebie, a migoczące oczy tysiąca gwiazd dopiero rozpoczynały nocne czuwanie. Wiatr szeleścił wśród liści, niewidoczne cykady grały swoje ulubione melodie.

Rosa otworzyła drzwi. Pokój oświetlony był ciepłym blaskiem świecy. Eugenio, Luca i Cosima weszli za Rosą, wyciągając szyje, aby zobaczyć, kto czeka na nich w środku. Przy oknie wychodzącym na tyły domku stał mężczyzna, tak chudy, że spodnie wisiały na nim jak worek, ściągnięte mocno paskiem. Miał na sobie białą koszulę, a mocno przerzedzone włosy wydawały się białe i delikatne jak gęsi puch. Trzymająca papierosa dłoń była koścista, obciągnięta skórą cienką i przejrzystą jak skrzydło ćmy, różową z brunatnymi plamami. Powietrze w pokoju przesycone było tym samym słodkim aromatem, który na dobre przylgnął do tajemniczego szala.

- Nero? - odezwała się cicho Rosa.

Starzec odwrócił się powoli. Gdy zobaczył, że nie jest sama, uśmiechnął się.

- Mamy więc dziś towarzystwo - rzekł spokojnie. - *Che bello!*

- To jest mój mąż Eugenio, a to moja kuzynka Cosima i jej narzeczony Luca...

- Ach, Eugenio, słyszałem o tobie same dobre rzeczy! Eugenio nie wiedział, co odpowiedzieć. Był całkowicie zaskoczony.

- Witaj, Luca. - Jasne oczy mężczyzny przeniosły się z Luki na Cosimę, badając rysy jej twarzy. - Miło mi, że mogę cię poznać, Cosimo. Dostrzegam podobieństwo... - Wyciągnął zimną, wilgotną rękę, którą Cosima ostrożnie potrząsnęła. - Jednak to ty, Roso, odziedziczyłaś twarz po swojej babce...

- Jest pan adoptowanym synem *marchese*[?]. - zapytał z niedowierzaniem w głosie Luca.

- Tak, a to jest miejsce, które zawsze było dla mnie bardzo ważne... Ovidio kochał ten domek najbardziej na świecie. Po jego śmierci machnąłem ręką na pałac. - Mężczyzna podkreślił swoje słowa lekceważącym gestem. - Kompletnie się rozsypałem, a pałac razem ze mną, ale domku nigdy nie zaniedbałem. Ovidio nadal tu jest, czujecie jego obecność?

Cosima lękliwie rozejrzała się dookoła.

- Siadajcie, proszę...

Wysunął stojące przy toaletce krzesło, a Rosa rzuciła się na łóżko tak swobodnie, jakby do niej należało, zachęcając Eugenia, żeby usiadł obok niej. Luca i Cosima, świadomi, że Nero najprawdopodobniej widział, jak kochali się na łożu, usiedli na podłodze.

- Możecie sobie chyba wyobrazić, jak się ucieszyłem, gdy pierwszy raz zobaczyłem tu Rosę. Przez głowę przemknęła mi myśl, że to Valentina powstała z grobu! Zaprzyjaźniliśmy się, prawda, moja droga?

- Nero był strasznie smutny, kiedy go tu znalazłam. Przypominał zrozpaczonego psa, który czuwa nad ciałem swojego zmarłego pana, był to żałosny widok.

- Gdzie pan mieszka? - zapytała Cosima.

- Mam niewielki dom w górach, niedaleko stąd. Kupiłem go za ostatnie pieniądze z fortuny Ovidia, kiedy w pałacu nie dało się już mieszkać. Próbowałem tam zostać, naprawdę, ale mury rozsypywały się wokół mnie i w końcu musiałem odejść. Jednak codziennie wracałem, niczym wytresowany gołąb i patrzyłem, jak ogród stopniowo pochłania ruiny. Zostawiłem ten domek w jego pierwotnym stanie, ponieważ wszystkie znajdujące się tutaj rzeczy osobiście wybierał Ovidio. Te książki, rzeźby, obrazy, tkaniny mają wartość tylko w tym miejscu, dlatego uczyniłem z niego coś w rodzaju świątyni.

- Bardzo romantycznie, prawda? - odezwała się Rosa.

- Nie mógł pan liczyć na to, że moja matka zostawi domek w spokoju - rzekł Luca.

- Nie mogłem... Próbowałem straszyć ludzi, ale nie byłem szczególnie przekonującym duchem.

- Więc to pan „straszył" w pałacu? - spytał Eugenio.

- Nocami spacerowałem po korytarzach i pokojach. -Nero najwyraźniej uważał, że pałac nadal stanowi jego własność. - Znam tu każdy kąt, każdy zakamarek.

- Nic dziwnego, że Ventura skarżyła się, że w pałacu straszy!

- Nie musi się niczego obawiać. Ten duch może zrobić krzywdę jedynie sobie, nikomu więcej! To pana rodzina mieszka teraz *w palazzo,* tak?

- Tak - odparł Luca.

- Co za szczęście, że posiadłość dostała się w ręce tak wrażliwych ludzi... Cóż, musiałem podjąć ryzyko, potrzebowałem pieniędzy, więc sprzedałem pałac.

- Nero jest zadowolony z tego, co twoja matka zrobiła *w palazzo* - wtrąciła Rosa.

- Mama uważa, że uchwyciła piękno pałacu w jego początkowym kształcie - rzekł Luca.

- Pałac jest teraz zupełnie inny! - rzucił ostro starzec. -Mam album ze starymi fotografiami, więc wiem, jak dawniej wyglądały wnętrza, ale twoja matka ma dobry gust, młodzieńcze. Ovidio bardzo cenił wrodzone wyczucie elegancji.

- Nero i ja rozmawiamy do późnej nocy, prawda, Nero? -Rosa się uśmiechnęła. - Zdziwilibyście się, gdybyście wiedzieli, kogo tu spotykał dzięki markizowi! Kiedy był małym chłopcem, bywali tu sławni ludzie z całej Europy, Aga Khan, książę i księżna Windsoru... Słucham tych historii z zapartym tchem i nigdy się nie nudzę.

Zerknęła na męża, szukając w jego wzroku aprobaty. Eugenio patrzył na nią z miłością, zachwycony, że Nero nie jest młodym kochankiem, którego sobie wyobrażał.

- A ja mogę snuć opowieści całymi godzinami. Ogólnie biorąc, raczej nie przepadam za ludźmi, wolę wspomnienia o tych, których kochałem, a którzy już odeszli, ale Rosa i ja naprawdę się zaprzyjaźniliśmy. Nie czuję się już osamotniony. Jakież to ironiczne, że wnuczka kobiety, która ukradła serce Ovidia, jest teraz moją pociechą.

W tym momencie ktoś pchnął drzwi i w progu stanęła Alba. Na jej twarzy malowało się całkowite zaskoczenie, że domek nie jest pusty.

- *Mamma!* - Rosa usiadła na łóżku, wyraźnie zaskoczona.

- Co ty tu robisz?! O, mój Boże! Nero?

- Alba! - Starzec nie ukrywał zadowolenia, że jego widownia jeszcze się powiększyła. - Czy to Fitz? Nie bójcie się, zapraszam do środka! Można by pomyśleć, że czas nagle zaczął się cofać, słowo daję...

- Skąd znasz Nera, Roso? - odezwała się Alba, zdziwiona, że starzec żyje.

- Zastałam go tutaj! - Rosa wzruszyła ramionami, zupełnie jakby była to najbardziej naturalna sytuacja na świecie.

- Teraz, kiedy wreszcie znaleźliśmy intruza, musimy powiadomić moją matkę - rzekł Luca.

Fitz rzucił Albie niespokojne spojrzenie. Pomyślał, że Rosemary może w każdej chwili zobaczyć go tutaj razem z Albą i nagle zrobiło mu się zimno z przerażenia.

- Powinienem już iść - powiedział.

- Nie, w żadnym razie! - zaprotestował Nero. - Warto byłoby spotykać się tutaj każdej nocy, moglibyśmy zorganizować najwspanialszy salon dyskusyjny.

Fitz odwrócił się, żeby wyjść i wpadł na Rominę, która stała w progu u boku Rosemary. Obie wyglądały jak nauczycielki, które właśnie przyłapały grupkę uczniów na zakazanej imprezie o północy.

- Co się tu dzieje, na miłość boską?! - wybuchnęła Romi-na. - Kto to jest?!

- Romina, nieprawdaż? - Nero podniósł się z krzesła. -Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Nero, pałac Montelimone był kiedyś moją własnością.

- Nero? - powtórzyła Romina. - *Madonna,* jakie to wszystko dziwne! Więc to pan tu przychodził? *Chefascinan-te!* Luca, pobiegnij do domu i przynieś butelkę

wina! Muszę się napić. Przesuń się trochę, Roso, upadnę, jeżeli zaraz nie usiądę. Wrócił pan ze świata zmarłych, Nero, kto by pomyślał.

- Nigdy nie czułem się bardziej żywy! - Nero odsłonił w uśmiechu dziurę w miejscu, gdzie kiedyś tkwiły dwa zęby.

- Drogi przyjacielu, proszę opowiedzieć mi o *marchese!* -zawołała Romina.

Nagle tuż obok niej przemknął Porci i podbiegł do Nera, który chwycił go w ramiona.

- Witaj, mała świnko! Och, dobrze wiem, po co przyszedłeś... - Wyjął z kieszeni kawałek ciasta, który Porci pochłonął w ułamku sekundy.

- Oto rozwiązanie jeszcze jednej zagadki - wymamrotała Romina, siadając na brzegu łóżka.

Rosemary spojrzała na męża.

- A co ty tutaj robisz? - spytała energicznie. - Szukałyśmy cię w całym pałacu!

Wszyscy patrzyli teraz na Fitza i Albę, którzy wyraźnie nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Rosa wykorzystała ten moment, aby zawrzeć pokój z matką.

- Wszystko to moja wina - oświadczyła, wstając. - Nero jest moim przyjacielem! Chciałam przedstawić go mojemu mężowi, mamie i Cosimie, więc zakradliśmy się tu niepostrzeżenie, a wtedy zaskoczyli nas Fitz i Luca, którzy chcieli schwytać intruza. - Podniosła ręce w geście kapitulacji. - Jesteśmy winni, bez dwóch zdań!

- Jednak tak naprawdę intruzem jestem ja - rzekł Nero. -To przyjemniejsze słowo niż „duch", podoba mi się.

- Gdybym wiedziała, że to pan, zaprosiłabym pana na drinka - oznajmiła Romina.

- Naprawdę?

- Naturalnie! To pana domek, bo dzięki panu nie uległ zniszczeniu! Szczerze mówiąc, od początku miałam wrażenie, że nie należy do mnie i chyba właśnie

dlatego nawet nie próbowałam nic w nim zmienić. W głębi duszy musiałam zdawać sobie sprawę, że jest własnością kogoś, kto ma do niego znacznie większe prawo.

- Ma pani znakomity gust, Ovidio byłby zachwycony pani wyobraźnią i wyczuciem! Mam album ze starymi fotografiami, może chce pani zobaczyć, jak wyglądał pałac u szczytu chwały, zanim wystawiliśmy go na działanie sił przyrody?

- Z ogromną radością! - wykrzyknęła Romina. - I bardzo proszę, aby przychodził tu pan jak najczęściej, oczywiście pod warunkiem, że będzie pan opowiadał mi o *marchese*!.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności. - Nero ucałował jej dłoń. - Jest pani nie tylko piękna, ale i wybitnie inteligentna. Jestem oszołomiony potęgą pani intelektu, a moja wdzięczność po prostu nie zna granic. Pozwoli pani, że zapalę?

Rosemary wyraźnie się rozluźniła.

- Przepraszam - mruknęła, wsuwając rękę pod ramię Fitza. - Bardzo się niepokoiłam.

- Czym?

Pokręciła głową, nie chcąc mówić o swoich obawach w obecności Alby.

- Takimi tam babskimi głupstwami. Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Alba uśmiechnęła się do córki i to wystarczyło, aby Rosa w pełni odczuła aprobatę matki. Zasłużyła na podziw i szacunek Alby i teraz wszystko miało być już zupełnie inaczej.

Luca wrócił nie tylko z winem i kieliszkami, ale także z pozostałymi domownikami. Wszyscy stłoczyli się w domku i sącząc wino, z zapartym tchem słuchali opowieści Nera, który ożywił przeszłość barwnymi opisami wizyt książąt i diuków oraz przygód niezwykłego *marchese.*

Luca delikatnie ścisnął rękę Cosimy. Pierścionek z brylantem lśnił jak gwiazda, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi do chwili, gdy Luca pochwycił spojrzenie profesora, który patrzył na niego z ojcowską czułością. Starszy pan skinął głową i znacząco mrugnął.

33

Luca poinformował rodziców, że wraca do Londynu, aby zakończyć swoje tamtejsze sprawy, uregulować rachunki i spotkać się z przyjaciółmi. Nie powiedział im o swoich małżeńskich planach, nie wspomniał też Cosimie, jak wyobraża sobie ich wspólną przyszłość. Wsiadł po prostu do samolotu z zamiarem spędzenia reszty życia u boku kobiety, która dała mu szczęście.

W *palazzo* panowało spore zamieszanie. Romina praktycznie adoptowała Nera, nadając domkowi jego imię i zapraszając go na stały pobyt. Całymi godzinami przesiadywała na tarasie, oglądając stare fotografie pałacu oraz eleganckich ludzi, których *marchese* zabawiał w aurze imponującej dekadencji. Z zachwytem przyjęła możliwość uczestniczenia w nocnych rozmowach Nera z Rosą, a Eugenio, uradowany, że Nero nie jest przystojnym nieznajomym, którego obraz stworzyła jego wyobraźnia, pozwolił żonie widywać się ze staruszkiem tak często, jak miała ochotę. Zniedołężniały Nero nie mógł stanowić żadnej konkurencji dla Eugenia, o czym najlepiej świadczyły pełne entuzjazmu i czułości pieszczoty, jakimi obsypywała męża nagle złagodniała Rosa.

Fitz, Rosemary i Freya wrócili do Anglii. Miles prawie rozchorował się ze zdenerwowania, że żona zostawi go dla Luki, co rzeczywiście byłoby możliwe, gdyby nie Cosima. Freya przyjęła żarliwe przeprosiny Milesa i uwierzyła mu, gdy oświadczył, że zerwał z kochanką i już nigdy nie pozwoli sobie na romans. Niewierny mąż nie mógł oderwać teraz od Frei oczu i rąk, i chodził za nią po domu jak wierny psiak. Freyę trochę to drażniło, cieszyła się jednak z powrotu do domu. Nie musiała rzucać się w ramiona Luki, aby wrócić do równowagi, ponieważ teraz to ona trzymała w ręku wszystkie karty.

Fitz wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy Alby. Zamknął ją w najdalszym zakamarku swego serca, razem z odrobiną żalu i smutku. Zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu tęsknić za tym, co nieosiągalne. Oni dwoje napisali i zamknęli swój rozdział dawno temu, teraz Fitz musiał wrócić do codziennego życia i z nadzieją patrzyć w przyszłość. Postanowił, że postara się nie myśleć o tym, co mogło się wydarzyć, i nie płakać nad swoim brakiem odwagi. Był już za stary, aby

daremnie zatruwać sobie lata, które jeszcze mu pozostały, lecz jego serce mimo wszystko na zawsze pozostało w dłoniach Alby.

W czasie nieobecności Luki Nero stał się pełnoprawnym członkiem „rodziny" złożonej z Nanniego, Caradoca oraz Ma, którzy wyraźnie zamierzali przedłużyć swój pobyt w *palazzo* do jesieni, a może i dłużej. Gorące uczucie Porciego do Nera nasiliło się - świnka zasypiała teraz u nóg staruszka, ukołysana łagodną melodią jego przepięknego włoskiego. Bill z właściwym sobie spokojem przyjął do wiadomości, że nieco ekscentryczni przyjaciele jego żony pozostaną w pałacu na bliżej nieokreślony czas. Ich obecność sprawiała, że Romina była szczęśliwa, i to całkowicie wystarczało Billowi. Skupił uwagę na ogrodzie i nosi się z zamiarem budowy drugiego domku, poświęconego pięknu i wiedzy, no i oczywiście samej Rominie.

Panujący w Londynie hałas i gwar oraz dziwne uczucie osamotnienia wśród milionów ludzi mocno rozstroiło Lucę. Z obrzydzeniem wdychał zanieczyszczone powietrze, krzywił się na widok przemieszczających się po chodnikach tłumów oraz sunących ulicami sznurów aut. Czuł, jak żołądek ściska mu się ze zdenerwowania i frustracji.

Pojechał do Kensington, nie uprzedzając dziewczynek o swojej wizycie, aby zrobić im niespodziankę. Zanim nacisnął dzwonek, usłyszał ich dobiegający z domu śmiech i nagle ogarnęło go ogromne podniecenie. Normalnie przywiózłby im mnóstwo prezentów, lecz tym razem tak śpieszył się do córek, że zupełnie zapomniał o podarunkach.

Na jego widok Claire zarumieniła się ze zdziwienia.

- Co ty tu robisz? - zawołała.

Zanim Luca zdążył odpowiedzieć, Coco i Juno skoczyły prosto w jego ramiona. Tulił mocno obie dziewczynki, całując ich ciepłe buzie i wciskając nos w potargane włosy.

- Strasznie za wami tęskniłem! - wyszeptał, uświadamiając sobie, że mówi najszczerszą prawdę.

- Obżarciuszek chce cię zobaczyć! - oświadczyła Juno i pobiegła do pokoju po pluszową gąsienicę.

- Jak się masz, Coco?

- Pojedziemy niedługo do Włoch? - spytała starsza córka.

- Oczywiście, jeśli chcesz!

- Uwielbiam pływać w basenie...

- Ja też!

Coco zachichotała.

- Bo jesteś Niegrzecznym Krokodylem!

Luca połaskotał ją.

- Chyba wiesz, co robią Niegrzeczne Krokodyle, prawda?

- Zjadają dzieci! - wykrzyknęła Coco i ze śmiechem rzuciła się do ucieczki.

- Wejdź, proszę - odezwała się Claire.

- Jesteś sama?

- Jeśli chodzi ci o Johna, to tak, jestem sama...

- Świetnie. Muszę porozmawiać z tobą i dziewczynkami.

- O czym? - Claire zadrżała, wystraszona wizją przerażających możliwości.

Luca poklepał ją po plecach.

- Nie masz się czego bać, Claire! Chciałbym podzielić się z wami pewnymi nowinami.

- Dobrze, chodźmy do kuchni. Napijesz się herbaty?

- Kawy, jeśli można. Masz jakieś ciasteczka?

Claire zawołała dziewczynki i wszyscy razem usiedli przy stole. Luca zaniepokoił się nagle, że jego córki mogą z niechęcią przyjąć tak ważne dla niego

wiadomości, że mogą poczuć się zagrożone obecnością kobiety, która rościła sobie prawa do serca ich ojca.

- Co to za nowiny? - zapytała Claire, stawiając przed nim filiżankę kawy.

Luca popatrzył na pełne oczekiwania buzie dziewczynek.

- Przeprowadzam się do Włoch...

- Chcesz mieszkać w Incantellarii? - zdziwiła się Claire. - Co będziesz tam robił, na miłość boską?

Nie odpowiedział, czekając na reakcję Coco i June.

- Mam nadzieję, że będziecie przyjeżdżać do mnie na wakacje i ferie - rzekł po chwili milczenia. - Mama i ja będziemy się wami dzielić.

Oczy Juno zabłysły.

- Kiedy są następne wakacje? - zapytała,

- Niedługo - odparł Luca.

Claire milczała, zastanawiając się, jakie konsekwencje będzie miała dla niej decyzja Luki.

- Cieszysz się, że zamieszkam w Incantellarii? - zwrócił się Luca do Coco.

- Tak - oświadczyła, przejęta, że ojcu zależy na jej zdaniu. - Bardzo się cieszę!

- Wiecie, że mamusia ma przyjaciela, który nazywa się John, prawda?

Claire patrzyła na niego czujnie. Dziewczynki pokiwały głowami.

- Mama czułaby się samotna bez Johna, a ja czuję się samotny w Incantellarii - ciągnął Luca. - Skoro mama i tata nie mogą być razem, najlepiej będzie, jeśli znajdą sobie nowych przyjaciół... Mama już znalazła Johna, a ja...

- A ty się żenisz - rzuciła nonszalancko Coco.

Claire znowu się zaczerwieniła.

- Żenisz się? - spytała.

- Tak - odparł ostrożnie. - Znalazłem kobietę, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

- Kto to jest? - Claire czuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej cios prosto w brzuch, pozbawiając ją tchu.

- Ma na imię Cosima. Może ją pamiętacie, dziewczęta?

- Jest bardzo ładna! - powiedziała Coco, zachwycona, że wie coś, czego nie wie matka. - Ma piękne gęste włosy i miły uśmiech! Od razu domyśliłam się, że ona cię lubi, tatusiu!

- Czy ja ją pamiętam? - spytała Juno.

- Obżarciuszek na pewno ją pamięta! - zaśmiała się Coco.

- Ja też! - zawołała Juno, kiwając głową pluszaka.

- Więc wszystko w porządku.

Coco błyskawicznie dostrzegła nowe możliwości.

- Możemy być twoimi druhnami?

Luca odetchnął z ulgą. Córki zaaprobowały jego wybór, pozostała mu więc tylko jedna sprawa do załatwienia.

- Claire, chcę sfinalizować ugodę finansową bez udziału sądu - powiedział.

- Dobrze... Dziewczęta, pobawcie się teraz chwilę, dobrze? Tata i ja mamy do omówienia rozmaite nudne sprawy.

Coco i june wybiegły z kuchni, z podnieceniem rozmawiając o ślubie ojca. Luca podał Claire kopertę.

- Dlaczego tak nagle odłożyłeś broń?

- Ponieważ jestem szczęśliwy i zależy mi, żebyś ty również była szczęśliwa!

- Naprawdę?

- Tak. Mamy dwie cudowne córeczki, które razem sprowadziliśmy na ten świat... Nie wyszło nam, to prawda, ale udało nam się zrobić coś bardzo, bardzo ważnego.

Claire otworzyła kopertę i wyjęła starannie złożony dokument. Luca przyglądał się, jak szybko przebiega go wzrokiem.

- Żartujesz?! - wykrzyknęła cicho.

- Dlaczego? To za mało?

Popatrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jakby nagle rzucił jej do stóp cały świat.

- To bardzo dużo! O wiele lepiej wyszedłbyś na ugodzie w sądzie!

- Nie chcę załatwiać tego w sądzie i nie chcę wychodzić lepiej na twoim zdenerwowaniu. Te pieniądze słusznie ci się należą. Byliśmy małżeństwem dziesięć lat, w czasie których rozpuściłem cię jak dziadowski bicz... Nie mogę oczekiwać, że będziesz utrzymywała się za kwotę niższą od tej, którą dysponowałaś, gdy byliśmy razem!

Claire założyła ramiona na piersi.

- Więc to już naprawdę koniec - powiedziała, starając się ukryć smutek. - Czy kiedykolwiek w ogóle byliśmy szczęśliwi?

- Gdy urodziły się Coco i Juno, byliśmy najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

- To chyba niezwykła kobieta, skoro dla niej chcesz osiąść w takiej dziurze.

- Tak.

- Czym będziesz się tam zajmował?

- Ach, to pytanie za milion dolarów!

Jednak uśmiech Luki świadczył ponad wielką wątpliwość, że dobrze wie, co będzie robił.

Luca spędził w Londynie dwa tygodnie, dopinając rozmaite sprawy na ostatni guzik oraz spotykając się z niewielką grupką przyjaciół, którzy coś dla niego znaczyli. Z pomocą swojej dawnej sekretarki odpowiedział na olbrzymi stos zaproszeń i listów z jego kilkutygodniowej nieobecności i wystawił dom na sprzedaż. Codziennie rano i wieczorem dzwonił do Cosimy i z każdym dniem coraz mocniej za nią tęsknił. Wiedział, że nie będzie mu brakowało ani życia w Londynie, ani pracy w City - te dni już minęły. Stał teraz na progu nowego życia i myśl o tym napełniała go radosnym podnieceniem.

Wyruszył do Włoch swoim aston martinem z opuszczonym dachem, z wiatrem we włosach i myślami o Cosimie, które dominowały nad wszystkimi innymi. Głośno wtórował Andrei Boccellemu i czuł, jak nastrój poprawia mu się z każdym przebytym kilometrem. Mając przed sobą tak jasną przyszłość, wreszcie doskonale rozumiał, dlaczego pewnej nocy w głowie zaświtała mu konkretna myśl. Ciemność to tylko brak światła. Sam musiał znaleźć światło w swojej duszy i zrobił to.

Została tylko jeszcze jedna rzecz, którą miał załatwić przed spotkaniem z Cosimą, jedna sprawa, od której zależały wszystkie jego plany. Z mocno bijącym sercem przejechał przez bramę farmy La Marmella.

34

Cosima przyjmowała właśnie zamówienie na tarasie trattorii, gdy w polu jej widzenia pojawił się Luca. Zaskoczenie zabarwiło jej policzki pięknym rumieńcem, a cała twarz złagodniała w wyrazie wielkiej czułości.

- Przepraszam bardzo - powiedziała do starszej pani. -Fiero, czy mógłbyś przyjąć to zamówienie?

Fiero kiwnął głową, zastanawiając się, dlaczego Luca dźwiga wielki kosz cytryn.

Cosima przylgnęła do Luki tak ciasno, jakby jego ramiona były jedynym miejscem na świecie, w którym może być spokojna i bezpieczna.

- Tęskniłam za tobą.

- A ja za tobą! - Pocałował ją w skroń. - Jesteś jeszcze piękniejsza!

Odsunęła się odrobinę i parsknęła śmiechem, patrząc na kosz z cytrynami.

- Jesteś zabawny! Mam zgadnąć, skąd je przywiozłeś?

- Z twojej farmy.

Cosima zmarszczyła brwi.

- Z mojej farmy?

- Tak...

- Nie wiedziałam, że mam farmę!

- Kupiłem dla ciebie najpiękniejszą farmę na świecie, z widokiem na morze. Będziemy tam hodować cytryny i spokojnie starzeć się razem!

Wzięła do ręki złocisty owoc i przytknęła nos do pachnącej skórki, przez chwilę zupełnie oszołomiona.

- Przecież one pochodzą z La Marinella!

- Tak jest.

Wrzuciła cytrynę z powrotem do kosza i otworzyła usta, z których mimo widocznych starań nie wydobył się żaden dźwięk. Jej oczy rozszerzyły się i wypełniły łzami radości.

- Kupiłeś dla mnie farmę La Marinella?

- Tak, kupiłem ją dla nas! Zostaniesz moją żoną, a nasza przyszłość będzie taka, jaką sami zbudujemy.

- Nie mogę w to uwierzyć! A co z Manfredą?

- Manfreda cały czas o wszystkim wiedziała, rzecz jasna, i tylko czekała na ofertę z mojej strony. Już od dawna chciała przenieść się do syna do Wenecji, zależało jej tylko, żeby farma trafiła w dobre ręce. Powiedziałaś, że powinienem zasadzić roślinę i patrzeć, jak rośnie, więc tak zrobiłem!

- Jestem kompletnie oszołomiona!

- Profesor kazał mi zajrzeć w głąb siebie i dowiedzieć się, co jest dla mnie ważne. Posłuchałem go. Ty jesteś dla mnie ważna, kochanie. Ty, moje córki oraz dzieci, które może będziemy mieli. Nic nie jest i nie może być ważniejsze od miłości - nauczył mnie tego Francesco. Na tamten świat nie mogę zabrać nic materialnego, ale na pewno wezmę ze sobą miłość!

Gdy Cosima weszła do środkowej nawy małego kościółka San Pasquale, Luca spostrzegł, że poza Totem, na którego ramieniu się wspierała, oraz Coco, Juno, Olivia i Domenica, pięknie ubranymi druhnami, a także Alessandrem w roli pazia, towarzyszył jej jeszcze jeden chłopiec, niewidzialny dla wszystkich z wyjątkiem Luki. Tak, Francesco miał prawo kroczyć tuż obok matki, ponieważ to właśnie on poznał ich ze sobą. Francesco, mały włoski swat...

Cosima zdawała sobie sprawę z obecności syna, gdyż uprzedził ją we śnie. Teraz wierzyła w jego bliskość, chociaż nie mogła go ujrzeć. Wiedziała, że jeśli wyciszy się, zamknie oczy i przywoła synka, ten na pewno przyjdzie.

Szła wsparta na ramieniu ojca, czując ogromną ulgę. Mogła rozpocząć nowy rozdział życia ze świadomością, że ma błogosławieństwo Francesca, że miłość do Luki w niczym nie umniejsza jej miłości do syna. Fałdy długiej kremowej sukni szeleściły subtelnie, gdy sunęła po kamiennej posadzce. Na nogach miała pantofelki w tym samym kolorze, które przypominały jej o dniu spędzonym na zakupach w Neapolu razem z Albą i Rosą; wszystkie trzy śmiały się wtedy często i głośno, uradowane wzajemną obecnością. Welon, który osłaniał jej twarz, był tym samym, który w dniu swojego ślubu nosiła Alba.

Romina zatrudniła stylistkę z ekipy magazynu „Sunday Times", aby upięła włosy Cosimy i ozdobiła je malutkimi żółtymi kwiatkami, które zgodnie z życzeniem panny młodej miały dominować w jej ślubnym wizerunku. Gładka skóra Cosimy lśniła, podobnie jak brązowe oczy, rozpromienione szczęściem, które wreszcie się do niej uśmiechnęło. Wysoki, przystojny Luca czekał z boku ołtarza, gotowy wziąć jej dłoń z ręki ojca i poprowadzić ją w przyszłość, Cosima wiedziała, że Luca nigdy jej nie opuści, ponieważ wybrał go dla niej Francesco. Ujęli się za ręce przed ojcem Felippem, aby złożyć uroczystą przysięgę małżeńską. Świece na ołtarzu migotały, kadzidło syciło powietrze aromatyczną wonią, a Francesco patrzył, jak brazylijski niebieski motyl rozkłada skrzydła na jego dłoni i ulatuje w górę. Ojciec Felippo dostrzegł motyla i oświadczył, że na pewno zwiastuje on szczęście młodej parze. Wszyscy zgromadzeni wstrzymali oddech z zachwytu. Nigdy dotąd nie widzieli w Incantellarii tak pięknego motyla. Luca i Cosima uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

Romina osuszyła oczy jedwabną chusteczką i Bill otoczył ją ramieniem. Nie lubiła przyznawać się do błędu, lecz tym razem powiedziała sobie, że jej syn chyba wiedział jednak, czego chce. Profesor uśmiechnął się, gdy Luca uklęknął przed ołtarzem na poduszkach, które Beata wyhaftowała specjalnie na tę okazję. Czuł, że ten chłopiec wreszcie odkrył, czego chce od życia i co jest dla niego naprawdę ważne. Esencja szczęścia była wyjątkowo mało skomplikowana, lecz większość ludzi nie potrafiła jej uchwycić. Caradoc uważał, że może przyznać

sobie punkty za to, że wskazał Luce drogę. Nie dotyczyło to miłości, bo tę pan młody znalazł sam. Ma ze zdumieniem poczuła, że na jej górnej wardze drży gorąca łza i otarła ją pośpiesznie, przerażona, że emocje zniszczyły chroniącą ją zbroję i odsłoniły miękkie serce. Nanni widział wszystko i kpiąco uniósł brwi, lecz Ma była zbyt wzruszona, aby go skarcić. Rosa zacisnęła palce wokół dłoni Eugenia.

- Pamiętasz, jak my braliśmy ślub? - szepnęła.

- Oczywiście.

- Ja byłam piękniejsza.

- Naturalnie, kochanie! Żadna panna młoda nie była bardziej olśniewająca od ciebie i nigdy nie będzie!

Rosa żartobliwie szturchnęła go łokciem w bok i znowu skupiła wzrok na młodej parze, która szykowała się już do odejścia od ołtarza. Widziała podnieconе twarzyczki swoich dzieci, którym Coco pomogła ustawić się w odpowiednim porządku. Zgromadzeni podnieśli się z miejsc, organy zagrały i młodzi ruszyli w drogę, rozpoczynając nowy etap życia.

W procesji, która podążyła za nimi prosto w słońce, zabrakło jednej osoby, osoby uwolnionej przez radość, by wreszcie mogła wzlecieć ku j asnemu światłu. Mały włoski swat czuł, jak jego duch staje się coraz większy i większy, wypełniony nieskończonym blaskiem bezwarunkowej miłości. Daleko przed nim czekali już Immacolata, Falco i Valentina, a także inni, którzy przebyli tę drogę wcześniej, nieznani, lecz jednocześnie znajomi, zanurzeni w tym samym wiecznym prądzie życia. Francesco wreszcie dotarł do domu.

Epilog

Ojciec Felippo wrócił do kościoła, kiedy weselni goście udali się na przyjęcie do domu Alby i Panfila. Z rozbawieniem przyglądał się, jak Luca i Cosima odjeżdżają zaprzężonym w konia, pełnym cytryn wozem. Cosima tak bardzo pragnęła pozostać w Incantellarii, wśród związanych z jej synem wspomnień, że była gotowa żyć samotnie, ale ksiądz powiedział jej, że jeśli Luca darzy ją szczerym uczuciem, zostanie tu razem z nią. Teraz ojciec Felippo gratulował sobie trafności osądu.

Zmierzał właśnie w stronę ołtarza, aby pogasić świece, kiedy jakieś poruszenie w bocznej nawie zwróciło jego uwagę. Spojrzał na marmurową postać Chrystusa. Po lśniącym białym kamieniu z prawego oka Zbawiciela powoli spływała cieniutka strużka czerwonej krwi. Ojciec Felippo głośno wciągnął powietrze, a całe jego ciało przeszył dreszcz. Przeżegnał się pośpiesznie i padł na kolana, pokornie zdumiony, że on i tylko on ma być świadkiem cudu.

Kilka minut później ze wzruszeniem sprawdził, czy krew nadal płynie, zerwał się z kolan i pędem ruszył do drzwi.

- *Miracolo, miracolo, miracolo!* - wołał głośno.

Wkrótce całe miasteczko stłoczyło się w niewielkim kościele. Stare kobiety zawodziły pobożnie, starcy szlochali, a młodzi z otwartymi ze zdumienia ustami patrzyli na cud, który wydarzył się w obojętnym współczesnym świecie. Kościelne dzwony biły rozgłośnie i wszyscy zaczęli myśleć o hucznym festynie, wszyscy poza Albą, jej rodziną oraz gośćmi, którzy i tak już świętowali.

- W dniu, kiedy Chrystus zapłacze krwawymi łzami, wszystkie duchy wreszcie zaznają spokoju - rzekł ksiądz, przypominając sobie dziwne, pojawiające się znikąd białe piórka i błękitnego motyla. - Tak właśnie będzie...

Podziękowania

Od lat nosiłam się z zamiarem napisania tej książki. Ponieważ przez całe życie widywałam duchy, jestem głęboko przekonana, że nasze życie nie kończy się wraz ze śmiercią, ale że wszyscy w końcu wracamy do domu, z którego wyszliśmy. Ci, których kochamy i tracimy, zawsze są przy nas i czuwają nad nami z wielką miłością. Życie nie kończy się w chwili śmierci - ta chwila przeprowadza nas tylko na drugi brzeg.

Nie napisałabym tej powieści bez pomocy wyjątkowej i bardzo bliskiej memu sercu przyjaciółki Susan Dabbs. Ta niezwykła kobieta posiada zdumiewający dar, który otworzył mi oczy na fascynujący świat Ducha. Jest to przygoda na całe życie i cieszę się każdym nowym odkryciem, jakiego dokonuję.

Od lat dziecięcych często prowadziłam z ojcem rozmowy na temat życia i śmierci. Na przestrzeni lat ojciec podsycał moje zainteresowanie tą wielką kwestią, odpowiadając na pytania z ogromną mądrością i otwartością. Wymieniamy się książkami i pomysłami, a wspólna fascynacja bardzo nas zbliżyła. Bez jego zachęty na pewno nie zabrałabym się do pracy nad tą książką.

Chcę podziękować też mojej matce, która przeczytała manuskrypt, czujnym okiem wyławiając błędy. Zawsze wspiera mnie ze wszystkich sił, a jej aprobata ma dla mnie wielkie znaczenie. Nauczyła mnie w życiu wielu rzeczy, a co najważniejsze nauczyła mnie miłości.

Serdecznie dziękuję mojej redaktor Susan Fletcher, która przeczesała manuskrypt gęstym grzebieniem i powyrywała wszystkie „chwasty". Jej sugestie zawsze są mądre i w ogromnym stopniu przysłużyły się książce. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła! Dziękuję również całemu mojemu zapracowanemu zespołowi z

wydawnictwa Hodder za entuzjazm i poświęcenie: dziękuję Eleni Fostiropoulos, Swati Gamble, Auriol Bi-shop oraz Lucy Hale.

Ogromnie wdzięczna jestem mojej agentce Sheili Crowley. Czasami mam wrażenie, że Sheila jest tylko moją agentką, bo dzięki swemu niezwykłemu darowi sprawia, że wszyscy jej autorzy w tym samym stopniu czują się otoczeni jej opieką. Jest także moją przyjaciółką i doradczynią, która niezmordowanie pracuje nad moimi książkami i nigdy nie jest zbyt zajęta, aby mnie wysłuchać.

Moje powieści z całą pewnością nie ukazałyby się w tylu krajach, gdyby nie dział praw autorskich na zagranicę w A.P. Watt - serdecznie dziękuję Lindzie Shaughnessy, Hornie Ra-stegar i Teresie Nicholls oraz mojemu agentowi filmowemu i telewizyjnemu Robertowi Kraittowi.

Nasze dzieci Lily i Sasha są moją największą inspiracją i radością. Wszystkie moje książki są im dedykowane.

I wreszcie dziękuję mojemu ukochanemu mężowi Sebagowi, najwierniejszemu sojusznikowi, pomocnikowi i pełnemu poświęcenia *consigliere.* Dziękuję!